

McGoldrick May

Spelnione marzenia

1

Czerwiec 1772

Trzymając przy twarzy maskę ozdobioną piórami, Portia obserwowała kilkoro drzwi sali balowej, odtwarzając w myślach plan rezydencji w North End. Dużo za niego zapłaciła, więc miała nadzieję, że jest dokładny. Dotknęła medalionika, który nosiła na szyi.

Bal maskowy w eleganckiej posiadłości na Copp Hill, wydany z okazji urodzin króla, był jej jedyną szansą. Admirał Middleton prawie nigdy nie urządził przyjęć, dlatego Portia właśnie dzisiaj musiała uwolnić matkę zamkniętą w tym domu od dwudziestu czterech długich lat.

Na liście gości znaleźli się najważniejsi przedstawiciele bostońskiej śmietanki towarzyskiej, łącznie z gubernatorem. Oczywiście na adres pastora Higginsa i jego żony, gdzie mieszkała Portia, nie przyszło żadne zaproszenie, lecz wybaczyła admirałowi, że ją pominął. Aby się dostać na bal, po prostu okłamała najbliższą przyjaciółkę i oszukała ludzi, którzy uważali ją za członka rodziny. Nie miała wyjścia. Wszystko musiało rozstrzygnąć się właśnie tej nocy.

- Jest pani dzisiaj bardzo milcząca, kochanie.

Kochanie! Portia z trudem nad sobą zapanowała, słysząc ten poufaly zwrot. Odwróciła się i spojrzała na swojego partnera. Kapitan Turner nachylał się ku niej, jak zwykle, kiedy coś mówił. Suknia pożyczona od Belli była za obcisła, fiszbin gorsetu boleśnie wrzynały się w ciało, bez wątpienia zostawiając trwałe ślady. Portia już nie raz przyłapała kapitana na tym, że gapi się na jej piersi. Opuściła maskę, żeby zakryć dekolt. Oficer przeniósł wzrok na jej twarz, a ona zdobyła się na uśmiech.

Właśnie kapitanem Turnerem, kuzynem Belli, posłużyła się Portia, żeby dostać się do rezydencji admirała. Niestety teraz miała trudności z pozbyciem się natręta.

- Po prostu oniemiałam z zachwytu. - Portia uniosła maskę do twarzy i rozejrzała się po sali balowej w poszukiwaniu ratunku. Goście tańczyli menueta. Kobiet było dużo mniej niż mężczyzn, choć wyglądało na to, że nie tylko sama elita przysłała na bal swoje córki. - Nie musi pan koniecznie dotrzymywać mi towarzystwa, kapitanie. Nie chciałabym narobić sobie wrogów wśród tych uroczych dam, zatrzymując pana dla siebie.
- Nonsens, kochanie. Za nic w świecie nie ośmieliłbym się pani zaniedbywać. Wie pani, że czekałem na taką chwilę od miesięcy. Muszę dodać, że nie na darmo.
- Mieszkam w koloniach od niecałego roku - wtrąciła Portia.
- A ja jestem pani oddanym sługą od chwili, gdy panią zobaczyłem na inauguracyjnej mszy wielebnej Higginsa - oświadczył kapitan. - Nie wyobraża sobie pani, jaki byłem szczęśliwy, kiedy następnej niedzieli poznała pani Bellę.
- To ja miałam szczęście, ale...

- Szczerze mówiąc - przerwał jej Turner - gdy nas sobie przedstawiono miesiąc później, a potem nie odpowiedziała pani na żaden z moich listów, już byłem gotowy porzucić nadzieję. Nie muszę więc mówić, jak się ucieszyłem, kiedy moja urocza kuzynka przysłała mi wiadomość, że nareszcie zgodziła się pani, żebym złożył jej wizytę. I kiedy przyjęła pani zaproszenie na bal. Czy teraz pani myśli, że odstąpię ją choć na krok?

Portia opuściła maskę i stwierdziła, że oficer znowu wlepia oczy w jej dekolt. Miał czterdzieści kilka lat, jak oceniała, i choć był potężnie zbudowany, wyraźnie tracił dawną sprężystość i siłę. Co gorsza, nazbyt żywo interesował się jej osobą.

- Gorąco tu, prawda? - zauważyła. - Byłby pan taki miły i przyniósł mi coś do picia?

Kapitan zatrzymał służącego, wziął z tacy pełną czarkę i z ukłonem podał ją swojej towarzysze. Portia zakłęła w duchu i przyjęła poncz ze słabym uśmiechem. Gdy Turner znów się do niej pochylał, szybko rozejrzała się po sali.

- Nigdy nie miałam okazji widzieć tylu dystyngowanych osób naraz - powiedziała. - Wojskowi wyglądają imponująco w galowych mundurach.

- Z radością przedstawię pani każdego z nich, łącznie z żonami - zaproponował kapitan. - Tu, w Bostonie, służy jego wysokości wielu wspaniałych ludzi. Kogo chciałaby pani poznać?

Portia zaczęła szukać wzrokiem człowieka stojącego jak najdalej od nich. Znalazła takiego bez trudu. Opierał się o kolumnę tuż przy drzwiach i miał pochmurną minę pasującą do jego czarnego stroju.

- Tamten dżentelmen... - Wskazała maską. - Chyba nigdy go nie spotkałam.

- Byłbym zaskoczony, gdyby pani go знаła, kochanie. - Turner skrzywił się z niesmakiem. - To Pierce Pennington, brat hrabiego Aytoun. Pochodzi ze starej szkockiej rodziny, ale to prawdziwy łotr. Przyjechał do Bostonu rok temu i szybko zyskał sobie nazwisko w finansach i żegludze.

- Nie jest trudno w tych czasach dorobić się majątku, skoro ludzie odmawiają płacenia podatków za angielskie towary? - spytała Portia.

- Nie, jeśli komuś brakuje szacunku dla ustalonych zasad handlu - odparł cierpko kapitan.

- Ma pan na myśli kontakty z przemytnikami?

- Oficjalnie nic takiego nie powiedziałem. Ale wkrótce zdemaskujemy głównych przestępców, którzy bogacą się kosztem Korony, i położymy kres ich procederowi. -

Turner nie odrywał wzroku od Penningtona. - Są w tym człowieku rzeczy, których nie rozumiem. Moi przełożeni uważają go jednak za całkowicie lojalnego wobec króla. Jego młodszy brat jest oficerem brytyjskiej armii i cieszy się dobrą reputacją.

- Pan Pennington wygląda mi na interesującego człowieka - stwierdziła Portia.
- Chyba nie mówi pani poważnie, panno Edwards - obruszył się Turner.
- Owszem. - Turkot powozów zajeżdżających na dziedziniec oznaczał przybycie gubernatora, który nigdzie nie ruszał się bez wojskowej eskorty. Portia przywołała na twarz słodki uśmiech. - Wiem, że z panem jestem bezpieczna, kapitanie. Mógłby pan łaskawie przedstawić mi tego dżentelmena?
- Nie rozumiem, dlaczego ze wszystkich obecnych tu osób postanowiła pani poznać akurat tego... Szkota.
- Zona pastora Higginsa ma szkockich przodków - wyjaśniła Portia. - Chciałabym jej opowiedzieć, że przedstawił mi pan jednego z jej wybitnych ziomków.
- Wybitnych! - warknął kapitan, ale szybko się zreflektował. - Cóż, skoro pani tak na tym zależy, może pani pójdzie ze mną i...
- Nie, nie! - rzuciła Portia, ukrywając twarz pod maską. - Nie mogę dopuścić do tego, by pomyślano, że jestem niezadowolona z pańskiego towarzystwa. Pan o wiele lepiej niż ja zna reguły obowiązujące w towarzystwie, ale sądzę, że gdyby to pan podszedł do mnie z panem Penningtonem, nie byłoby powodu do plotek.

Popchnęła go lekko i odczekała stosowną chwilę. Gdy tylko Turner wmieszał się w tłum, zaczęła powoli cofać się ku drzwiom balkonowym. Chwilę później wyszła na taras i zbiegła po schodach na trawnik obłany światłem księżyca.

Z uzyskanych przez nią informacji wynikało, że matka zajmuje apartament na drugim piętrze, tuż nad ogrodem różanym. Jediną drogą, którą mogła się do niej dostać bez przechodzenia przez dom, był balkon przy sypialni matki.

Portia uniosła spódnice i pobiegła alejkami, obsadzonymi po obu stronach bukszpanem. Minęła rabaty kwiatowe i wkrótce dotarła do ogrodu różanego. Natychmiast wypatrzyła balkon, pod nim niewysoką gruszę, a po jego obu bokach kraty na pnące róże. Wszystko zgadzało się z opisem. Szybko wspięła się na mały nasyp.

Całe dwadzieścia cztery lata życia spędziła w błogiej nieświadomości własnego pochodzenia. Wychowana w sierocińcu ze szkołą w walijskim Wrexham, w wieku

szesnastu lat dołączyła do rodziny pastora Higginsa. Nigdy nie wątpiła w to, co o rodzicach opowiadała jej lady Primrose, założycielka i dobrodziejka sierocińca. Matka Portii zmarła przy porodzie, ojciec, znany jakobita, na wygnaniu we Francji, jakiś czas po bitwie na wrzosowiskach Culloden. Portia często wyobrażała sobie, jak to by było mieć rodzinę.

Jakiś miesiąc temu dziecięce marzenie ożyło. Kiedy zachorowała Mary, żona pastora, do domu przy Sudbury Street wezwano doktora Deminga. Podziwiając medalionik panny Edwards, lekarz rozpoznał kobietę z miniaturowego portretu znajdującego się w środku, Helenę Middleton. Od tamtej chwili Portia nie spoczęła, póki nie dowiedziała się o niej wszystkiego.

Zaczęła się wspinać po kracie. Wąski balkon pełnił raczej funkcję ozdobną niż użytkową, bo nie było na nim dość miejsca, żeby swobodnie stanąć. Portia położyła maskę na balustradzie i spróbowała zajrzeć do środka przez okno, zamknięte mimo ciepłej nocy. Nic nie zobaczyła, więc chwyciła się kraty jedną ręką i przysunęła bliżej. Niestety przekonała się, że story są zaciągnięte.

Chodziły słuchy, że Helena Middleton jest obłąkana i dlatego trzyma się ją w zamknięciu. Wszyscy rozmówcy wychwalali admirała za oddanie i troskę o jedynaczkę, ale Portia domyśliła się prawdy. Jeśli jej ojciec był jakobitą, romans córki okryłby hańbą Middletona, oficera brytyjskiej armii i wiernego sługę króla. Ale czy to wystarczający powód, żeby więzić ją przez ponad dwie dekady?

Portia cicho zapukała w szybę. Pamiętała o tym, że ma niewiele czasu na wyjaśnienie sytuacji. Podobieństwo między nią a matką nie rzucało się w oczy, a poza tym Helena mogła nie wiedzieć, że jej dziecko przeżyło. Zastukała znowu. Jej serce tłukło się o żebra. Przeczuwała, że jeszcze trudniejszym zadaniem będzie przekonanie matki, żeby uciekła razem z nią.

Gdy nagle zasłony się rozsunęły, Portię ścisnęło w gardle. Kobieta w oknie wyglądała dużo starszej niż na miniaturze, ale mimo pasm siwizny w długich, złotych włosach sięgających pasa, bladej cery i podkrążonych oczu nie było wątpliwości, że to dama z portretu.

Miała na sobie cienką koszulę nocną, w dłoni trzymała świecę. Kiedy otworzyła okno, Portia zorientowała się, że matka jej nie widzi.

Krata zaskrzybiała niepokojąco i Portia kurczowo przytrzymała się balustrady. Marzyła o tej chwili przez całe życie, a teraz ledwo mogła wydobyć z siebie głos.

Helena postawiła świecę na parapecie i lekko się wychyliła.

- Mamo! - wyszeptała Portia.

Na twarzy Heleny Middleton odmalowało się najpierw oszołomienie, a potem przerażenie. Zniknął z niej cały kolor. Portia ostrożnie wyciągnęła rękę i dotknęła jej ramienia. Helena krzyknęła głośno.

Pierce Pennington patrzył, jak gubernator ze swoją świtą wchodzi do sali balowej. Zauważył, że Thomas Hutchinson obrzucił czujnym spojrzeniem wszystkich obecnych, niczym pies pasterski chroniący stado owiec przed wilkami.

Kiedy go dostrzegł i skinął głową, Pennington odwzajemnił gest. Następnie Hutchinson skierował całą uwagę na gospodarza, który ruszył mu na powitanie. Orkiestra smyczkowa zaczęła grać utwór Haendla. Pierce odsunął się od kolumny i skierował ku szerokim drzwiom prowadzącym do ogrodu.

- Chyba pan nie wychodzi tak wcześnie?

Pennington natychmiast rozpoznał oficera, który zastąpił mu drogę. Kilka lat starszy od niego Turner niczym szczególnym się nie wyróżniał. Trudno też było ocenić, czy jest przyjacielem, czy wrogiem. Pierce wiedział jednak, że kapitan od lat wiernie służy admirałowi Middletonowi i jest z nim w zażyłych stosunkach.

- Idę zaczerpnąć świeżego powietrza. Dlaczego pan pyta, kapitanie?
- Pewna młoda dama chce zawrzeć z panem znajomość - wyjaśnił Turner.
- Ze mną? - zdziwił się Pennington. - Proszę mi tylko nie mówić, że znużyła się pańskim towarzystwem, kapitanie.
- Sądzę, że nie - odburknął oficer. - Po prostu zapragnęła poznać jakiegoś Szkota, a zdaje się, że nie ma tutaj innego oprócz pana.
- Dama o wybrednym guście - skomentował Pierce, wodząc oczami po morzu czerwonych i niebieskich mundurów, złotych galonów, balowych sukien, koronek i masek z piórami. Salę zapełniali wysokiej rangi brytyjscy wojskowi i ich żony. - Nie widzę nikogo, kto by na pana czekał, kapitanie.
- Doprawdy? - Turner obejrzał się przez ramię. - Stała tam jeszcze przed chwilą.

Pennington jeszcze raz skinął głową gubernatorowi, który przechodził obok nich razem z

gospodarzem.

- Jest piękna? - zapytał, wracając spojrzeniem do kapitana.
- Owszem - odparł krótko Turner, przeszukując wzrokiem salę balową.
- Młoda? - Tak.
- Ma poczucie humoru?
- Nie prosiłem, żeby pan się do niej zalecał, sir - rzucił z irytacją oficer. - Wystarczy, że pana przedstawię.
- W takim razie proszę mnie do niej zaprowadzić, kapitanie, skoro pan uważa, że to bezpieczne.

Turner uklonił się sztywno i ruszył w stronę stołu z przekąskami. Pierce obejrzał się na kamienny taras. Był zły, że traci czas. Przy wjeździe na dziedziniec czekał na niego stangret Jack z powozem.

Kapitan zaczął krążyć po sali, szukając swojej partnerki. W końcu zatrzymał się i rozejrzał bezradnie.

- Nie mam pojęcia, gdzie zniknęła - rzekł z rezygnacją.
- Pewnie pan ją wypłoszył - skwitował Pennington lekkim tonem. - Może będę miał szczęście poznać tajemniczą damę przy innej okazji.
- Jak pan sobie życzy - odparł kapitan, nie przestając się rozglądać.

Ale kiedy Pierce ruszył w stronę drzwi balkonowych, Turner dogonił go po kilku krokach.

- Może wyszła na powietrze. Skarżyła się, że tu jest gorąco.

Przystanęli na pustym tarasie. Pierce starał się nie okazywać zniecierpliwienia. Spojrzał na iglice i dachy Charlestown, leżącego po drugiej stronie rzeki oświetlonej blaskiem księżyca, a potem na wschód, na maszty statków cumujących w porcie.

- Tutaj również nie ma pańskiej damy - stwierdził, wdychając zapach morza i świeżego siana, mieszający się z wonią róż - Może powinien pan jeszcze raz rozejrzeć się po sali.
- Istotnie... chyba tak...

Niezdecydowanie Turnera zirytowało Penningtona.

- Lepiej niech pan wejdzie do środka i popyta innych gości. Młoda i piękna kobieta bez eskorty przyciąga uwagę w sali balowej.

- Ma pan rację. Przepraszam.

Kapitan uklonił się i zniknął w środku.

Pierce ruszył z wyćwiczoną swobodą alejkami wiodącymi przez niewielki sad. Na razie goście popisywali się strojami i dowcipem wobec siebie nawzajem, ale w każdej chwili któryś mógł wypuścić się do ogrodu. Pierce nie chciał, żeby ktoś go zobaczył.

Za drzewem wiśni ścieżka skręciła ku stajniom. Pennington zatrzymał się i rzucił ostatnie spojrzenie na dom. Na tarasie nie było nikogo. Wszędzie panował spokój.

Odwrócił się, żeby iść dalej, kiedy nagle nocną ciszę przeszył krzyk.

Nie była to odpowiednia pora na wyjaśnienia. Słyszając głos matki, która chwiejnie odsunęła się od okna, Portia omal nie puściła się balustrady. Po krótkiej chwili stanęła pewniej na kracie i zaczęła schodzić najszybciej, jak się odważyła. Dom nagle ożył. Rozszczękały się psy, przez otwarte okna dobiegały nawoływania i szybkie kroki służby. W połowie drogi suknia zaczepiła się o kolce. Portia próbowała się uwolnić i wtedy poczuła, że krata odsuwa się od muru. Nie miała wyboru. Mocno szarpnęła materiał i skoczyła, chwytając się konarów gruszy.

Gdy opadła na miękką ziemię, pękło jej sznurowanie gorsetu. Z góry posypały się na nią liście i drobne gałęzie. Portia wstała czym prędzej i pobiegła przed siebie. Oddalając się, usłyszała zamieszanie w pokoju na piętrze. Przecinając ogród różany, dostrzegła łukowate przejście i skierowała się ku niemu. Gdy po raz ostatni obejrzała się na dom, wpadła na kogoś wysokiego i potężnie zbudowanego. Oszolomiona cofnęła się tak gwałtownie, że straciła równowagę, ale para silnych rąk chwyciła ją za ramiona.

Portia w panice podniosła wzrok, spodziewając się jednego ze służących admirała. Ogarnęła ją wielka ulga, gdy zobaczyła Szkota, do którego wysłała kapitana Turnera.

W ciemności rozbrzmiewały okrzyki: „złodziej!” i „włamywacz!”

- Nie jest tak, jak pan myśli! - wykrzyknęła pospiesznie. Nie mogła wyjawic prawdy, jeśli chciała tu wrócić i przeprowadzić plan do końca.
- A co myślę?
- Nie jestem złodziejką. - Próbowała się odsunąć, ale mężczyzna mocno przytrzymał ją za nadgarstek. Donośne głosy zbliżały się coraz bardziej. - To pomyłka. Ja tylko spacerowałam po ogrodach. I... chyba przestraszyłam jakąś kobietę wyglądającą przez okno.
- To musiał być męczący spacer.

Portia skrzywiła się, kiedy wolną dłonią dotknął jej policzka, zadrapanego przy upadku, a następnie wyjął z jej włosów gałązkę.

Prześladowcy byli tuż-tuż. Portia chwyciła Szkota za rękę i pociągnęła go w cień pod murem ogrodu. Nie mogła pozwolić, by ją złapano. Wołała nie myśleć, co zrobiłby z nią admirał Middleton, gdyby odkrył, że łączy ich pokrewieństwo; własną córkę latami trzymał w zamknięciu.

- W sali balowej było za gorąco. Musiałam wyjść na spacer. - Ogarniał ją coraz większy strach. - Proszę, musi mi pan pomóc. Sama nie zdołam im się wytłumaczyć.

- To prawda. Mnie też pani nie przekonała.

- Panie Pennington, błagam, żeby mi pan uwierzył. Nie jestem złodziejką. Swoje postępowanie mogę wyjaśnić rozsądnej osobie, ale nie ścigającemu mnie tłumowi. Jeśli pomoże mi pan się stąd wydostać...

- Tam jest! - Okrzyk rozległ się bardzo blisko. - Tam!
Portia obejrzała się przez ramię i zobaczyła nadbiegających mężczyzn. Kilku niosło pochodnie. Szybko przytuliła się do Szkota.

- Proszę - wyszeptała.

Pennington mocniej ścisnął ją za rękę i zawołał:

- Tutaj!

2

Okrzyki służących rozbrzmiały w sąsiednim pokoju, a potem w ogrodzie. Helena skuliła się przy ciężkich zasłonach, gdy usłyszała zgrzyt zasuw w drzwiach. Spojrzała na balkon. Świeca stojąca na parapecie migotała, była niknącym punkcikiem światła w morzu ciemności, które powiększało się z każdym dniem.

Traciła rozum. Świat snów przejmował władzę nad jawą.

Lekarze ostrzegali ją, że może doznawać złudzeń. Wydawały się bardzo realne, ale były jedynie wytworami jej skołatanego umysłu. Mówili, że lekarstwa pozwolą jej zasnąć, ale musi brać je regularnie.

Nie wierzyła medykom. Wątpiła w ich uczciwość, uważała za szarlatanów. Po każdej dawce trujących mikstur czuła się coraz bardziej chora. Ale czasami, wbrew rozsądkowi, zdesperowana ulegała naciskom i brała leki.

Teraz nie wiedziała, czy młoda kobieta istniała naprawdę, czy po prostu wyobraźnia

splatała jej figła.

Mamo, powiedziała. Mamo.

Ale przecież ona nie miała dziecka. Biedactwo, które urodziła, nie żyło długo. Helena dotknęła ramienia w miejscu, gdzie jeszcze czuła palce tamtej dziewczyny. Nie, to tylko iluzja, zwykłe urojenie.

Drzwi się otworzyły. Zamazane postacie niosące świece otoczyły ją kręgiem.

- Panno Middleton?

Jedna ze służących zarzuciła jej szal na ramiona. Helena zadrżała mimo woli, kiedy usłyszała ciężkie kroki pani Green.

- Ktoś tu był?
- Nie - odszepnęła Helena.
- Ktoś próbował włamać się do pokoju? - Nie.
- Więc dlaczego pani krzyczała?
- Miałam... zły sen. - Helena zbliżyła się do okna. Balsamiczne nocne powietrze koło jej skórę jak lekki dotyk nieznajomej. Mamo, powiedziała.
- Wszyscy w rezydencji słyszeli pani krzyk. Zakłóciła pani przyjęcie. Goście są zdenerwowani, admirał bardzo niezadowolony. Nie wzięła pani dziś lekarstwa?

Helena bez słowa odwróciła się plecami do pani Green. Oczywiście, że wypła gorzki napój. Spała, kiedy rozległo się pukanie w szybę. Szkoda tylko, że nie mogła zobaczyć twarzy młodej kobiety.

Służący kręcili się po pokoju. Ktoś wychylił się przez balkon i zawołał do stojących w dole. Ochmistrzyni na-dał burczała, ale Helena nie zwracała na nią uwagi. Przesunęła dłonią wzdłuż parapetu, aż trafiła na świecznik.

- Nie wiem, dlaczego upiera się pani spać przy świetle przez całą noc - powiedziała ochmistrzyni, zabierając jej świecę. Ruszyła w stronę kominka. - To tylko strata pieniędzy.

Młoda służąca wcisnęła coś w rękę Heleny.

- Upuściła to pani, milady?

Helena wyczuła aksamit, pióra, zarys twarzy. Domyśliła się, że to maska, ale nie śmiała podnieść jej do oczu, że-by lepiej się przyjrzeć.

- Tak - odparła cicho, słysząc, że nadchodzi pani Green. Pospiesznie schowała zgubę pod

szal.

Kopnięcie w gołęń było mocne i niespodziewane. Pennington zaklął, kiedy nieznajoma wymknęła mu się z rąk i zniknęła w ciemności panującej pod drzewami.

Nie spojrział, w którą stronę pobiegła. Nie interesowała go ta mała diablica. Nie obchodziło go zupełnie, na czym została przyłapana ani skąd znała jego nazwisko. Przypomniało mu się, że kapitan Turner szukał swojej towarzyszki. Jeśli to była ona, to lepiej, że uciekła.

Pierce przywołał ścigających, zamierzał stanąć w obronie uciekinierki, może nawet dać jej alibi. Czas jednak nagiął, a on miał ważniejsze sprawy na głowie.

Gdy słudzy admirała do niego dotarli, wskazał kierunek przeciwny do tego, w którym pobiegła kobieta. Kiedy grupka ruszyła w dalszą pogoń, on sam pomaszerował do stajni.

Wieść o włamaniu już się rozeszła. Stangreci w liberiach skupili się w grupki przy pojazdach zajmujących cały dziedziniec. Pochodnie oświetlały ich twarze. Dwa powozy wysadziły spóźnionych gości pod frontowymi drzwiami i jechały żwirowym podjazdem. Pierce wypatrzył swoją bryczkę w miejscu, gdzie kazał czekać woźnicy. Zobaczył, że Jack odłącza się od kolegów i biegnie mu naprzeciw.

- Ale narobił pan zamieszania - skomentował sługa.

- To nie ja - odparł Pennington.

Pociągnął stangreta w cień, kiedy czterech oficerów jadących konno w stronę rezydencji zatrzymało się pod jabłoniami. Zachowywali się głośno, najwyraźniej byli pijani.

- Dowiedziałeś się czegoś, nim powstał rejdach? - zapytał cicho Pierce.

- Tak, sir. Głównie o regimentach, które rano zebrały się na placu. Słyszałem, że niewielu miejscowych poszło na nie popatrzeć. Nawet ćwiczenia na King Street nie przyciągnęły gapiów.

- Ale widzę, że piwo lało się strumieniami. Mówi się coś o ruchach oddziałów?

Tymczasem oficerowie, wymieniając sprośne dowcipy i rechocząc, wsiedli na konie i pojechali dalej.

- Nie. - Jack ściszył głos. - Ale podobno na nabrzeżu jest zupełnie spokojnie.

- To dobra wiadomość. - Pierce zerknął na oddalającą się grupkę i ruszył do powozu. - Jedźmy, bo się spóźnimy.

- Dotrzemy na czas, sir.

Nagle spomiędzy drzew wypadła zjawą. Pierce patrzył z osłupieniem, jak mija go biegiem i wsiada do jego bryczki.

- Nie, jeśli będziemy musieli iść na piechotę - warknął. Biała wieczorowa suknia, ciemne rozwiane loki... To była ta sama kobieta, która dziesięć minut temu na zawsze uszkodziła jego gołęń.

- Zaczekaj! - krzyknął, kiedy chwyciła wodze. Konie puściły się galopem.

Jack zaklął pod nosem, a Pennington pognał za własnym powozem.

Portia słyszała za sobą gniewne okrzyki. Takie już jej szczęście, że ze wszystkich powozów stojących na dziedzińcu trafiła akurat na ten. Obejrzała się przez ramię. Pennington nadal ją gonił, więc zacięła konie.

Kiedy wróciła spojrzeniem na drogę oświetloną przez pochodnie, zobaczyła, że prosto na nią pędzi inny powóz. Dzielił ich tylko wąski mostek przerzucony nad rowem. Portia oceniła, że dotrą do niego jednocześnie.

- Zatrzymaj się, kobieto! Stój!

Zignorowała wrzaski. Szkot był głuchy na wyjaśnienia, gotów wydać ją w ręce sług admirała, choć nie wiedział, czy rzeczywiście zrobiła coś złego. Teraz pewnie zabiły ją gołymi rękami za kradzież bryczki.

Znajdowała się prawie przy moście, podobnie jak nadjeżdżający pojazd. Portia popędziła konie, skupiając wzrok na otwartej bramie rezydencji.

Drugiemu woźnicy najwyraźniej spieszyło się tak samo jak jej. I nie zamierzał ustąpić jej miejsca. Niestety pierwszy dotarł do mostku.

Portia słyszała za sobą ciężkie kroki. Nie miała wyboru. W ostatniej chwili skręciła w prawo, żeby zjechać trawiastym nasypem. Niestety zwierzęta zaprotestowały przeciwko nagłej zmianie kierunku i stanęły dęba na skraju zwirowego podjazdu.

Portia ledwo zdołała utrzymać się na koźle, kiedy bryczka stanęła raptownie. Stangret i lokajczyk z drugiego powozu krzyknęli triumfalnie, mijając ją w pędzie. Portia ściągnęła wodze i cmoknęła na konie, żeby wycofać się na drogę.

Musiała się stąd wydostać, ale potem znowu wrócić do rezydencji admirała. Zobaczyć się z matką. Dzisiejsze niepowodzenie wcale jej nie zniechęciło.

Lecz zanim dotarła do mostku, dopadł ją wściekły zły i zdyszany właściciel bryczki.

Wskoczył na siedzenie i wyrwał jej wodze.

Pierce najchętniej by ją udusił. Nie omieszkał stosowną miną wyrazić swoich zamiarów. Ale kobieta zamiast uciec przeniosła się w drugi koniec siedzenia i złożyła dłonie na kolanach. Wyglądała, jakby jechała na niedzielną mszę.

Kiedy Pennington szukał odpowiednich słów, żeby ją zbesztać, dogonił ich Jack i od razu podszedł do koni, żeby je uspokoić.

- Nie obchodzi mnie, jaki pani miała powód, żeby się tak zachować - wykrztusił w końcu Pierce. - Proszę natychmiast wysiąść z mojego powozu.

- Obawiam się, że nie mogę - odparła spokojnie kobieta, przysuwając się do niego.

Pennington już miał wybuchnąć, ale w tym momencie zobaczył, że w stronę powozu biegnie wojskowy w czerwonym mundurze i kilku stajennych z lampami.

- Ktoś jest ranny, sir? - zapytał żołnierz, mierząc ich wzrokiem. - Omal nie doszło do wypadku na moście.

Złodziejka przytuliła się do Penningtona, kurczowo obejmując jego ramię.

Pierce'a nadal korciło, żeby oddać ją w ręce ludzi Middletona, ale wyobraził sobie pętlę zaciskającą się na ładnej szyi. Jej szczęście, że on tak łatwo nie ulegał pokusom.

- Nie, nikt nie został ranny - odburknął.

- Widziałem, jak pan biegnie za powozem. Konie się spłoszyły?

Pennington powstrzymał się od uwagi, żeby pilnował swojego nosa.

- Jeśli koniecznie musi pan wiedzieć, moja partnerka obraziła się, kiedy zostawiłem ją w sali balowej o minutę za długo. Postanowiła odjechać beze mnie.

Młody oficer wybuchnął śmiechem i spróbował lepiej przyjrzeć się krewkiej damie.

Pierce poczuł, że nieznajoma tuli się do niego mocniej. Dobrze, że było ciemno.

- Właśnie przybył gubernator Hutchinson, więc bal dopiero się zaczyna - powiedział żołnierz ze znaczącą miną. - Ma pan dużo czasu, żeby odzyskać uczucia swojej towarzyszki.

Pennington poufałym gestem położył dłoń na kolanie kobiety, a gdy poczuł, że jej mięśnie się napinają, uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Nie sądzę. - Przycisnął nogę do jej nogi. - Z doświadczenia wiem, że jest tylko jeden sposób, żeby odzyskać względy tej damy, a do tego potrzeba spokojniejszego miejsca, jeśli pan mnie rozumie. Zatem wybaczy pan, ale już pojedziemy.

Oficer zaśmiał się głośno i cofnął od powozu. Jack zajął swoje miejsce z tyłu, a Pierce ruszył podjazdem.

Myślał o umówionym spotkaniu. Z uwagi na porę odpływu, klient nie mógł długo czekać na niego na nabrzeżu. Możliwe, że przez tę kobietę stracili zbyt dużo czasu.

Gdy tylko minęli bramę, odsunęła się w najdalszy kąt siedzenia.

- Postąpił pan w sposób niegodny dżentelmena, sugerując, że łączy nas intymna zażyłość - rzuciła.
- Przeciwnie, droga pani. Postąpiłem wspaniałomyślnie i po dżentelmeńsku, nie wydając pani w ich ręce.
- Dlaczego pan tego nie zrobił? - spytała zaczepnym tonem.

Pierce zerknął na nią z ukosa. We włosach miała pełno liści i małych gałązek, grzebienie i perłowe spinki ledwo trzymały się na jej czarnych lokach. Duże inteligentne oczy odwzajemniły jego spojrzenie. Pennington przyjrzał się poplamionej i rozdartej sukni, zawiesił wzrok na odkrytym dekolcie.

- Karą za pani dzisiejsze przestępstwa może być nawet szubienica - powiedział w końcu.
- A zważywszy na pani wygląd, strażnicy byłiby szczęśliwi, mogąc zawrzeć z panią bliższą znajomość. Sądzę więc, że z utęsknieniem czekałaby pani na dzień egzekucji.
- Zakłada pan, że popełniłam jakieś przestępstwo. Gdyby pan raczył wysłuchać mnie w ogrodzie, wiedziałby, że padłam ofiarą niefortunnnych okoliczności i jestem... prawie niewinna tego, co wydarzyło się w rezydencji admirała.
- Prawie niewinna. Ciekawe sformułowanie! Kopniak, po którym będę kulał do końca życia, też nazwie pani niefortunną okolicznością? I czy niewinna kobieta biega nocą po cudzym ogrodzie i kradnie powozy?

- Sam pan jest sobie winien, bo musiałam się bronić.
A jeśli chodzi o bryczkę, to zabrałam ją, żeby ratować życie.

Pennington popatrzył z niedowierzaniem na bezczelną osóbkę. Żadnego strachu, żadnych wyrzutów sumienia, żadnych tłumaczeń. Rozparła się na siedzeniu i spojrzała na wysoką iglicę North Church, który właśnie mijali.

- Jeszcze mogę zawrócić - zagroził Pierce.
Kobieta zmierzyła go wzrokiem.

- Oboje wiemy, że pan tego nie zrobi - rzekła z przekonaniem.

•Dlaczego?

Zatoczyła się na niego, gdy powóz podskoczył na wyboju, ale szybko odzyskała równowagę. Misterna konstrukcja z grzebieni i spinek podtrzymująca jej włosy na czubku głowy przekrzywiła się niebezpiecznie.

- Najwyraźniej nudził się pan na przyjęciu admirała - stwierdziła po krótkiej chwili.
- Gwarantuję, że nie byłbym znudzony, gdybyśmy wrócili - zapewnił Pennington.
- Może i tak, ale nuda nie jest dostatecznym powodem, żeby wychodzić do ogrodu w momencie, gdy przybywa gubernator - zauważyła jego towarzyszką.
- Potrzebowałem zaczerpnąć świeżego powietrza.

•Pan i pański stangret kierowaliście się do powozu - przypomniała nieznosna kobieta. -
To dlatego nie wydał mnie pan ludziom admirała. Nie chciał pan tracić czasu.

Zaczęła wyjmować szpilki i grzebienie z włosów. Zdjęła również małą poduszczkę, służącą jako fundament fryzury. Rozczesała palcami ciemne sploty, które opadły jej na ramiona. Pachniała różami i nocnym powietrzem.

- Jestem bliska prawdy? - spytała.

- Wątpię, czy pani kiedykolwiek zbliża się do prawdy - skwitował Pierce.

- Proszę się przyznać, że już pan jest spóźniony na ważne spotkanie i dlatego pan nie zawróci. Mam rację, panie Pennington?

Pierce raptownie ściągnął wodze, zatrzymując powóz. Kobieta spadła z siedzenia, ale szybko wdrapała się na nie z powrotem.

- Skąd pani zna moje nazwisko?

•Już mówiłam, że zostałam zaproszona na bal u admirała Middletona...

- Jak się pani nazywa?

Nieznajoma się zawahała.

- No więc - ponaglił ją Pierce i z satysfakcją zauważył, że lekko drgnęła.
- Portia Edwards, i niech to panu wystarczy. - W jej głosie brzmiał ostrzegawczy ton. -
Przykro mi, że kurczy się panu czas. Nie powinnam oczekiwać, że...
- W jaki sposób najlepiej uwolnić się od pani towarzystwa, panno Edwards? - przerwał jej Pierce; w tej chwili nie obchodziło go, że jest niegrzeczny.
- Mógłby pan wysadzić mnie przy Mill Creek. - Od-garnęła kurtynę włosów z ramienia,

ukazując głęboki dekolt. - Oczywiście na młodą kobietę czyhają różne niebezpieczeństwa, więc gdyby pan jechał w pobliże Dock Square, oszczędziłby mi pan trudu maszerowania po nocy i...

- A zatem Dock Square. - Pennington popędził konie. Wzdłuż ulicy ciągnęły się domy i warsztaty, na wewnętrzne podwórka prowadziły wąskie zaułki. W tę letnią noc ludzie jeszcze nie spali. Stali w drzwiach albo gromadzili się na rogach ulic, dzieci biegały i tańczyły wokół ognisk rozpalonych na placynkach odległych od zabudowań. Gdy przejeżdżali przez krawężnik na jednym ze skrzyżowań, panna Edwards zachwiała się gwałtownie, ale ku rozczarowaniu Pierce'a nie wypadła z bryczki.

- Spotyka się pan dzisiaj z jednym ze swoich przemytników? - zapytała nagle. Pennington posłał jej twarde spojrzenie, a następnie roześmiał się z przymusem.

• Oczywiście, że nie. Co pani o mnie wie?

• Nic. Po prostu jestem ciekawa, czy będzie pan dzisiaj robił jakieś nielegalne interesy.

Pierce przyjrzał się jej uważniej. Podbródek znamionujący upór, myślące czoło, bezpośrednie spojrzenie. Panna Edwards wyglądała na zdrową na umyśle i najwyraźniej czekała na odpowiedź.

• Oskarża mnie pani o to, że jestem przemytnikiem?

• Nie, sir. Ja jedynie powtarzam plotki, które usłyszałam od Turnera. Kapitan sugerował, że brak panu szacunku dla zasad handlu obowiązujących poddanych jego królewskiej wysokości.

Portia Edwards wyjęła liść z włosów i pozwoliła, żeby porwał go wiatr.

• Czy mam rozumieć, że pani przyjaciel oskarżył mnie o łamanie prawa?

• Nie w mojej obecności. Oczywiście nie omawiałam z nim szczegółowo tego tematu ani nie zostałam na balu na tyle długo, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Co nie znaczy, że bym chciała. - Ciemne oczy wpatrywały się w niego z uwagą. - Ale sama też umiem wyciągać wnioski. Czy jest lepsza pora na tego rodzaju działalność niż dzisiejsza noc, kiedy większość żołnierzy świętuje urodziny króla?

• Mogę zapytać, co panią łączy z kapitanem Turnerem, panno Edwards?

• Jest kuzynem mojej przyjaciółki.

- A pani wydaje się jego powierniczką - zauważył Pierce.

Portia z irytacją potrząsnęła głową.

- Z zaskoczeniem dowiedziałam się dzisiaj, że kapitan Turner podziwia we mnie wiele rzeczy, ale jestem pewna, że nie chodzi mu o zwierzanie się i dzielenie własnymi przemyśleniami.

Pennington podążył wzrokiem za jej ręką, gdy wyciągała gałązkę z koronki zdobiącej stanik sukni. Bez wątpienia chodziło jej o zwrócenie jego uwagi na smukłą talię i pełne piersi. Pierce z trudem oderwał oczy od powabów panny Edwards.

Wydawała się zbyt otwarta jak na szpiega. Ale jeśli Turner był przebiegły, dama w kłopotcie, do tego bardzo rozmowna, doskonale nadawałaby się do jego celów.

Jego wspólnik Nathaniel Muir niedawno ostrzegł go, że Turner jest sprytny i ma duże wpływy w sztabie admirała Middletona. Bez wątpienia angielski oficer zrobiłby wszystko, żeby zdemaskować głównego dostawcę broni dla Synów Wolności i zbuntowanych bostończyków, tajemniczego MacHeatha.

- Gdybym był przemytnikiem, powinienem panią zamordować i wrzucić ciało do Mill Pond albo Back Bay. - Pennington wskazał na czarną wodę widoczną po ich prawej stronie.
- Nie znam pana, ale myślę, że ceni pan własny kark i ma dość rozumu, by wiedzieć, do kogo zaprowadziłby ślad.
- Zważywszy na kłopot, jaki już pani mi sprawiła, może warto byłoby zaryzykować.

Panna Edwards posłała mu karcące spojrzenie i odwróciła głowę. Pierce zamilkł.

W ostatnich tygodniach władze brytyjskie prosiły o radę i pomoc w ujęciu MacHeatha wielu ludzi zajmujących się żegluga. Nie zwrócono się jedynie do Penningtona ani do Muira, co było bardzo niepokojące. Właśnie dlatego Pierce szukał okazji, żeby poprawić swoją opinię u brytyjskiej administracji w Bostonie. Ostatnia rzecz, jakiej potrzebował, to stać się obiektem śledztwa.

Zerknął na Portię. Mieszkanki kolonii kierowały się innym kodeksem postępowania niż kobiety w Anglii, ale bezpośredniość i śmiałość tej kobiety były wyraźnym sygnałem, że nie jest niewiniątkiem. Wybrała się na bal z dużo od niej starszym oficerem, a potem bez wahania wsiadła do powozu obcego mężczyzny. Pierce jeszcze raz przesunął po niej wzrokiem.

Nie, Portia Edwards była zbyt atrakcyjna, żeby przepuścić taką okazję.

3

Choć Portia mieszkała w Bostonie dopiero od jesieni, dostatecznie poznała miasto, by się zorientować, że po skręceniu w lewo zmierzają ku Dock Square. Zerknęła na swojego milczącego towarzysza.

- Wolałby pan wysadzić mnie w dogodniejszym miejscu?
- Nie. Zawiozę panią na Dock Square, ale najpierw muszę zatrzymać się w tawernie Czarna Perła i sprawdzić, czy pewna dama, z którą mam się spotkać, już przybyła.

Portia popatrzyła na Penningtona z nowym zainteresowaniem. Był wysoki, miał szerokie bary i wyraziste rysy. Nie chciała przyglądać mu się uważniej, żeby nie uznać go za zbyt atrakcyjnego. Poza tym wolała nie zbliżać się do niego zbyt w obawie, że zostanie pożarty żywcem. Wcześniej zakładała, że jego plany na dzisiejszą noc wiążą się z interesami, a nie ze sprawami osobistej natury.

- Chyba nigdy nie byłam w Czarnej Perle - powiedziała.
 - Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej.
 - Dlaczego? - zainteresowała się Portia.
 - To miejsce przyciąga szczególną klientelę - wyjaśnił Pennington.
 - Tylko mężczyzn?
 - I pewien typ kobiet - uściślił Pierce.
 - Ale spotyka się pan tam z przyjaciółką.
 - Której nigdy nie zabrałbym na bal u admirała Middletona. - Otaksował wzrokiem jej dekolt. - Tego rodzaju kobietę miałem na myśli, rozmawiając z oficerem przy bramie.
- Portia nagle poczuła się nieswojo. Odsunęła się od niego jeszcze dalej. Pastorostwo Higgins byli dobrze znani w mieście i powszechnie szanowani. Jako ich podopieczna i nauczycielka dwojga ich dzieci musiała dbać o reputację.
- Proszę, żeby nie wspominał pan więcej o tamtym incydencie. Nie chciałabym, żeby wyszedł na światło dzienne. I tak miałam dużo szczęścia.
 - Jak pani sobie życzy, panno Edwards - rzekł Pennington
 - ton miłym tonem. - Ale jak pani wyjaśni swoje nagłe zniknięcie kapitanowi Turnerowi?
- Portia spojrzała na ciemne, nieznane ulice.
- Coś wymyślę, zanim znowu się spotkamy, czyli nieprędko.

- Nie sędzę. Nie przepadam za tym człowiekiem, ale uważam za mało prawdopodobne, żeby nie zainteresował się, gdzie pani jest. Przecież był za panią odpowiedzialny. Na pewno odszuka panią jeszcze dzisiaj, żeby się upewnić, że bezpiecznie dotarła pani do domu.

Portia niechętnie przyznała mu rację. Może byłoby lepiej, gdyby pojechała do przyjaciółki zamiast na plebanię. Poprosiłaby stangreta, żeby zawiózł wiadomość kapitanowi. Nie, to zbyt skomplikowane, bo ciekawska Bella zażądałaby wiarygodnego wyjaśnienia, dlaczego jej suknia jest zniszczona. A Portia na razie nie była gotowa wyjawiać prawdy.

Przerwała rozmyślenia, kiedy zobaczyła, że powóz skręca na dziedziniec tawerny połączonej z gospodą. Dostrzegła wyblakły szyld na froncie budynku. Nigdy nie była w tej części Bostonu. Okolica wydawała się słabo zamieszкана. Po drugiej stronie placu stały jakieś rudery i magazyny. Kiedy stangret przywiązał konie do słupa, Portia rozejrzała się z niepokojem, próbując przebić wzrokiem ciemność.

W drugim końcu podwórza znajdowała się na pół zawalona stajnia, przy której sterczał zwęglony kikut dębu. Po prawej stronie z otwartych okien długiego drewnianego budynku wylewało się światło i odgłosy hałaśliwej zabawy. Powietrze przesycił zapach wodorostów. Musieli znajdować się blisko portu.

Dziedziniec był zapuszczony, okiennice wypaczone. Na jednym z parapetów wisiała sprana kobieca bielizna. Nagłe jakiś ruch przy stajni przyciągnął uwagę Portii.

- Może pani tutaj poczekać - rzekł Pennington. - Wrócę za kilka minut.

Portia skinęła głową i odprowadziła go wzrokiem, siedząc bez ruchu. Kiedy przeciął dziedziniec i stanął w progu, na jego powitanie rozbrzmiał chór pijackich okrzyków i śmiech. Drzwi się zamknęły, znowu zrobiło się ciemno. Portia wytarła spocone dłonie w suknię. Żałowała, że nie wzięła szala, zanim ruszyła na poszukiwanie matki.

Akurat tę zgubę łatwo będzie wytłumaczyć. Goście często zostawiają swoje rzeczy na przyjeściach. Ale co z maską? Pamiętała, że położyła ją na balustradzie balkonu. W czasie zamieszkania łatwo mogła spaść w krzewy róż. Niedobrze.

W dodatku suknia Belli była w oplakany stanie, Portia dotknęła rozdarcia w talii i przyrzekła sobie w duchu, że jakoś wynagrodzi przyjaciółce stratę.

Drzwi tawerny nagle stanęły otworem i na podwórze wytoczyli się dwaj pijacy w

towarzystwie rozbawionej kobiety. Jeden z nich chwycił kobietę wpół i pchnął na ścianę. Zadarł jej spódnicę i ukrył twarz w dekolcie. Ona sięgnęła do jego spodni. Drugi mężczyzna chwiał się obok, pokrzykując i domagając się swojej kolejki.

Portia przełknęła ślinę i skuliła się na siedzeniu. To nie był spokojny i bezpieczny Boston, który знаła. Pocieszała ją jedynie świadomość, że stangret Penningtona jest w pobliżu. Ukradkiem wychyliła się z powozu. Gdy zobaczyła, że woźnica zniknął, ogarnął ją strach.

Kobieta oparta o ścianę tawerny wydawała odgłosy, których Portia Edwards nigdy nie słyszała, mężczyzna sapał z wysiłku. Portia nagle poczuła się całkowicie bezbronna. W panice rozejrzała się za czymś, czego mogłaby użyć jako broni, gdyby zaszła taka konieczność. Kiedy pochyliła się, żeby wyjąć bat z uchwytu, jakaś brudna ręka chwyciła za rąbek jej sukni.

Portia krzyknęła cicho i cofnęła się gwałtownie. Zobaczyła pobrużdżoną twarz. Mężczyzna w marynarskim stroju szczyrzył się, pokazując braki w uzębieniu. Dwaj pijacy i kobieta nawet nie spojrzeli w jej stronę.

- No, no, co my tu mamy? - wymamrotał osobnik, zadowolony ze zdobyczy.

- Puść mnie! - krzyknęła Portia, próbując się uwolnić. Upadła do tyłu, kiedy napastnik raptownie puścił jej spódnicę. Z ulgą zobaczyła, że stangret odciąga go od powozu. Dwaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę, jakby zaraz mieli się na siebie rzucić. Na szczęście marynarz odwrócił się i pomaszerował w stronę ulicy.

- Mój pan mówi, że tu jest dla pani niebezpiecznie - powiedział woźnica. - Może pani wejdzie do środka i tam zaczeka.

Nie musiał powtarzać tego dwa razy. Portia szybko wysiadła z bryczki i pośpieszyła razem ze stangretem do tawerny. Kiedy mijali rozochoconą trójkę, odwróciła wzrok i zasłoniła uszy.

W środku nie było dużo lepiej. Kiedy weszli, skrzypek grał skoczną melodię. Czterej pijani marynarze siedzący przy samych drzwiach przekrzykiwali się i śmiali głośno. W powietrzu unosił się smród tytoniu, piwa, uryny oraz inne wonie, których Portia nie umiała zidentyfikować. W dużym otwartym piecu piekł się baran, ale jego zapach nie uratował jej przed mdłościami.

Dwadzieścia kilka stolików było zajętych przez klientów, którzy wyglądali na marynarzy, rzemieślników i kupców. Przy wszystkich grano w karty albo kości, a cztery czy pięć kelnerek podawało gościom piwo i jedzenie. W pewnym momencie jedna z wyzywająco ubranych kobiet zadarła spódnicę i zaczęła tańczyć na środku izby ku radości obecnych.

Portia patrzyła na to wszystko wstrząśnięta. Miała ochotę uciec, zwłaszcza kiedy od pobliskiego stolika wstał żyłasty marynarz o ostrych rysach i chwiejąc się na nogach, zaprosił ją do towarzystwa.

- Nie sądzę, żeby tu było bezpieczniej - szepnęła do stangreta.
- Zaprowadzę panią do izby, w której czeka mój pan -uspokoił ją woźnica.
- Dziękuję.

Gdy ruszyli do drzwi znajdujących się w głębi sali, Portia starała się trzymać jak najbliżej swojego przewodnika.

Jej wielbiciel nie zniechęcił się jednak i kiedy go mijała, zaczął składać nieprzyzwoite propozycje. Zachowanie pi-jaka ośmieliło innych. Jeden z gapiących się na nią mężczyzn chwycił ją za pośladek. Portia zapomniała o strachu i rozgniewana strąsnęła jego rękę. Kompani zarechotali. W pobliżu rozchwierutanych schodów prowadzących na piętro inny podchmielony marynarz złapał ją za ramię i obrócił do siebie.

- Nie tak szybko, ślicznotko...

Portia kopnęła go w goleń. Natręt puścił ją i cofnął się wściekły. Teraz patrzyli na nią wszyscy obecni. Kilku biło jej brawo, inni stanęli w obronie towarzysza. Portia zrozumiała, że jest w dużym kłopotcie, kiedy zobaczyła morderczy wzrok swojego prześladowcy.

- Zaczekaj w środku - rozległ się za nią władczy głos.

W progu stał Pennington bez surduta, z podwiniętymi rękawami koszuli. Bezceremonialnie wepchnął ją do ciemnego pomieszczenia i zamknął za nią drzwi.

Z zewnątrz dobiegały stłumione hałasy, ale Portia nie usłyszała trasku odsuwanych krzeseł ani odgłosów walki. Zacerpnęła kilka głębokich oddechów i rozejrzała się po małym pokoju. Nie było stąd drugiego wyjścia, innej drogi ucieczki. Dwa małe okna z okiennicami znajdowały się zbyt wysoko. Palila się tylko jedna świeca. Portia wcale nie poczuła się lepiej, gdy jej wzrok przywykł do półmroku.

Prawie całą izbę zajmowało wielkie łóże zasłane wykwintną pościelą. Na stoliku stał dzbanek i miska, leżało kilka przedmiotów o dziwnych kształtach. Brakowało krzeseł i innych mebli. Na jednej ze ścian wyłożonych ciemną boazerią wisiał zestaw biczów i kajdanków. Portia gapiała się na nie przez chwilę, po czym z wahaniem zrobiła krok dalej. W pokoju było zbyt mało światła na czytanie, za mało powietrza na jakąkolwiek pracę. Każdy, kto tutaj wchodził, miał na myśli jedną rzecz, i to na pewno nie spanie.

Portia poczuła, że twarz jej płonie, gdy sobie przypomniała, że Pennington umówił się tu z jakąś kobietą. Szybko odpędziła tę myśl i sięgnęła po długi, cylindryczny przedmiot z kości słoniowej, leżący na stoliku obok łóża. Nie miała pojęcia, do czego może służyć, ale sprawdziła jego przydatność, stukając nim o brzeg łóżka. Uznała, że nada się jako broń, po czym odłożyła go na miejsce. Wołała nie dotykać pozostałych rzeczy.

Kiedy spojrzała w górę i zobaczyła na suficie duże owalne lustro, rozdziawiła usta.

Gdy pochyliła się mocno nad łóżkiem i zobaczyła swoje odbicie, ogarnęła ją konsternacja. Włosy miała splątane, suknię podartą i rozchełstaną, piersi niemal na wierzchu. Wyglądała jak kobieta lekkich obyczajów.

Chciała poprawić gorset, ale straciła równowagę i upadła na łóżko. W tym momencie dostrzegła błysk medalionu, z którym nigdy się nie rozstawała. Była to jej jedyna własność na tym świecie, pamiątka, od której wszystko się zaczęło.

Nie musiała otwierać medalionu. Pamiętała najdrobniejszy szczegół miniaturki przedstawiającej twarz pięknej kobiety. Żałowała, że nie jest bardziej podobna do matki. Może Helena Middleton rozpoznałaby ją i nie wpadła w takie przerażenie na jej widok. Portia mogła dzisiaj jej dotknąć. Marzenie się spełniło. Nie miała wątpliwości, że miniaturka przedstawia córkę admirała. Jej matkę.

Teraz czekało Portię kolejne wyzwanie. Musiała tam wrócić, porozmawiać z Heleną chociaż pięć minut, przekonać ją, namówić do ucieczki. Później nadrobią stracone dwadzieścia cztery lata. A ona zatroszczy się o siebie i matkę.

Przeniosła spojrzenie z medalionu na swoje odbicie w lustrze na suficie. Czy ta kobieta leżąca na łóżku to naprawdę ona sama? Jasna skóra, piersi ledwo ukryte pod rozluźnionym gorsetem, stanowczo za duże. Usta zbyt wydatne. Nos prosty, ale za długi. Wielkie oczy w kształcie migdałów, jedyny rys, który odziedziczyła po matce. A niesforne ciemne loki? Uniosła ręce i odgarnęła je z twarzy. Po-myślała o przyszłości

matki i swojej. Przekroczyła już wiek odpowiedni do zamażpójścia, więc w ten sposób nie zapewni im obu utrzymania. Nie bała się ciężkiej pracy, ale nie mogła nadużywać gościnności pastora Higginsa i jego żony. Poszuka innej posady. Znała parę kobiet, które miały sklepy w Bostonie. Siostry Cumings, Betsy Murray. A słynna pani Inmam podobno zbiła fortunę na handlu.

- Co ty sobie myślisz? - zapytała głośno.

Przecież tu nie zostaną. Będą musiały uciekać przed gniewem admirała Middletona. Wrócą do Anglii. Na przykład do Bristolu, gdzie przez siedem lat mieszkała z Higginsami przed wyjazdem do kolonii. Albo pojedą do Walii lub Szkocji.

Nagle otworzyły się drzwi. Portia usiadła.

- Proszę się nie ruszać - rozkazał szeptem Pennington. Ujrzawszy co najmniej tuzin par oczu zerkających na nią z głównej izby, Portia postanowiła go posłuchać.

Patrząc na pannę Edwards, można było uwierzyć w to, co Pennington powiedział bywalcom tawerny, którzy na swój sposób świętowali urodziny króla. To jego kobieta na tę noc i niech nikt nie waży się jej tknąć, ostrzegł ich wszystkich.

Kiedy otworzył drzwi, leżała na plecach, z nogami zwieszonymi przez brzeg łóżka. Gdy usiadła raptownie, Pierce pomyślał, że zaraz pęknie jej stanik sukni. Ogarnęła go silna żądza. Minęła chwila, zanim pozbierał myśli.

Ponaglały go pijackie okrzyki dobiegające z głównej izby. Zjawił się kelner i z szerokim uśmiechem postawił na stoliku dzbanek wina i dwa pucharki.

Gdy wyszedł z pokoju, Pierce zbliżył się do łóżka. Panna Edwards wyglądała jak spłoszona łania, znieruchomiała na chwilę przed ucieczką.

• Proszę się położyć tak jak wcześniej - wyszeptał Pennington.

• Nie - odparła krótko Portia.

- Proszę udawać, bo inaczej nie zdołam ich powstrzymać. Panna Edwards nadal się wahała, ale powędrowała niespokojnym wzrokiem ku drzwiom.

- Nie zrobię pani krzywdy - uspokoił ją Pierce. – To tylko na pokaz.

Powoli rozpiął kilka guzików koszuli.

• Zabiję pana, jeśli mnie pan dotknie - syknęła Portia.

• Proszę się położyć i wyciągnąć do mnie ręce. Oklaski, śpiewy i sprośne okrzyki stawały się coraz głośniejsze.

- Zabiję, słyszy pan? - Oczy Portii płonęły, kiedy otworzyła ramiona.

Pennington odwrócił się ku głównej sali.

- Przykro mi, chłopcy! - zawołał. - Mówiłem wam, że dziś ona jest moja.

Trzasnął drzwiami i zasunął zasuwę.

- Cóż, utknęliśmy tutaj na jakiś czas - stwierdził spokojnie.

Portia zerwała się z łóżka.

- Jestem oburzona, że zrobił pan coś takiego. Zwabił mnie tutaj, zrobił ze mnie widowisko przed tamtymi osobnikami. To zachowanie niegodne dżentelmena.
- Niech pani przestanie narzekać, panno Edwards - rzucił ostro Pennington. - Z własnej winy znalazła się pani w tej sytuacji. Nikt pani nie kazał kraść mojego powozu, nie kazał iść za mną do tawerny. Zważywszy na to, ilu pijakom musiałem stawić czoło, powinna być pani wdzięczna, że tylko na tym się skończyło.
- Oczywiście! - wybuchnęła Portia. - Kto nie byłby wdzięczny za zniszczenie reputacji? - Odsunęła się od łóżka. - Prawdziwy dżentelmen zawiózłby mnie najpierw do domu zamiast zabierać do tej... tej... - Z irytacją potrząsnęła głową.
- Tawerny? - podpowiedział Pennington.
- Wszystko jedno.
- Odwiózłbym panią do domu, gdyby powierzono pa-nią mojej opiece, gdyby znalazła się pani w trudnej sytuacji z powodu nieprzewidzianych wydarzeń albo gdyby pani była godną szacunku młodą damą.

Portia zrobiła krok w jego stronę.

- Jak pan śmie mi zarzucać, że nie jestem godna szacunku?

Pierce stanął z nią twarzą w twarz.

- Szanujące się niezamężne kobiety nie biegają nocą po ogrodach w podartej sukni, ścigane przez armię służących. Nie kradną powozów ani nie jadą w nieznane miejsce z zupełnie obcym mężczyzną.
- Dostałam zaproszenie na bal, podobnie jak pan. Powinien pan wiedzieć, jak starannie admirał dobiera gości.
- Skąd mam wiedzieć, czy pani mówi prawdę? Skąd mam wiedzieć, że nie jest pani złodziejką, która weszła po ogrodowym murze, żeby zakraść się do rezydencji? Albo kobietą lekkich obyczajów polującą na mężczyzn takich jak ja? Może zamierzała mnie

pani obrabować po krótkim sam na sam w arboretum?

Panna Edwards wymierzyła mu silny policzek. Penningtonowi aż zadzwoniło w uszach. Ale kiedy próbowała uderzyć go drugi raz, chwycił jej rękę i wykręcił ją, przyciskając Portię do siebie.

- Proszę nigdy więcej tego nie robić - ostrzegł groźnym tonem.

- Jest pan hańbą dla swojego kraju, sir - wykrztusiła Portia, próbując się uwolnić. - Kapitan Turner nazbyt wspaniałomyślnie określił pana jako szkockiego łotra. Pan jest uwodzicielem, draniem, diabłem, który...

Pierce uciszył ją pocałunkiem. Portia chciała zaprotestować, ale mocno przywarł ustami do jej ust.

Była dzika, piękna, budziła w nim żądzę, a jednocześnie chęć, żeby ją udusić.

Opór nie trwał długo. Po chwili Portia uniosła wolną rękę i położyła ją na piersi Penningtona. Jej usta zmiękły pod jego natarczywymi wargami, z gardła wyrwał się cichy jęk. Pierce wiedział, że to szaleństwo, ale nie mógł się opanować.

W chwili gdy puścił jej nadgarstek, Portia uświadomiła sobie, że może się cofnąć, ale tego nie zrobiła. Słowa pro-testu uwięzły jej w gardle. Pennington wplótł palce w jej włosy, rozchylił usta językiem. Całował ją z pasją, pozbawiając tchu. Portia po raz pierwszy w życiu poczuła w sobie żar i chciała, żeby ten ogień płonął jeszcze mocniej. Nie miała żadnego doświadczenia, a to, co sobie wyobrażała w ciepłe wiosenne wieczory, w niczym nie przypominało gorączki, która teraz ją opanowała. Pierce pchnął ją lekko w stronę łóżka, aż trafiła nogami na twarde kant.

- Nie mogę - wyszeptała Portia.

- Oboje tego pragniemy.

Pennington kreślił ustami ścieżkę na jej szyi, przyprawiając ją o dreszcz. Portia zapomniała swojego imienia, nie opierała się, kiedy mocniej przyciągnął ją do siebie, wsunął kolano między jej uda. Portia nie rozumiała, co się z nią dzieje.

Padła na łóżko, a on wolno się na nią opuszczał. Portia próbowała znaleźć w sobie chęć walki, lecz nie była w stanie odepchnąć Penningtona. Mężczyźni nigdy tak się przy niej nie zachowywali. Już dawno temu pogodziła się ze staropanieństwem, najwłaściwszym stanem dla kobiety bez majątku i rodziny. Pastor Higgins potępiał w kazaniach rozwiązłość, jego żona Mary ostrzegała przed pokusami. Portia sądziła do tej pory, że jej

nie grozi moralny upadek.

Otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale Pierce skorzystał z okazji i pocałował ją namiętnie.

Może to rozpusta, ale Portia odkryła, że pragnie być do-tykana i sama dotykać mężczyzny. Czula jego delikatne wargi, twarde ciało, włosy miękkie jak jedwab; sięgnęła do czarnej wstążki, którą Pennington wiązał je w kucyk.

Wiedziała, że będzie smażyć się w piekle.

- Spójrz na nas - wyszeptał Pierce ochryple. - Zobacz, jaka jesteś piękna.

Musnął ustami jej brodę, potem szyję, aż w końcu pokusa wygrała z silną wolą. Portia nieśmiało zerknęła na odbicie w lustrze.

Zadrżała na widok szerokich ramion Penningtona, czarnych włosów rozsypanych na białej koszuli, smukłego ciała, umięśnionych nóg w czarnych spodniach ze skóry kozłowej i jedwabnych pończochach.

Kobieta leżąca pod nim też była piękna. Twarz miała zarumienioną, oczy błyszczące, usta lekko rozchylone.

- Ci ludzie są grzesznikami - stwierdziła cicho Portia. Pierce przekręcił się na bok i napotkał jej spojrzenie w lustrze.

- Jeszcze nie - rzekł z szelmowskim uśmiechem. Portii zaparło dech, kiedy zobaczyła, że Pennington odsuwa medalion z jej dekoltu, śmiało sięga do sukni, bez słowa ściąga ją z ramion wraz z gorsetem, uwalniając piersi. Ich koniuszki natychmiast stwardniały, kiedy dotknął ich ustami.

Głośne pukanie przywróciło oboje do rzeczywistości. Portia wpadła w panikę i chciała zerwać się z łóżka, ale Pierce przytrzymał ją ramieniem i uniósł głowę.

- Kto tam? - zawołał.

- Kapitan Turner z marynarki jego królewskiej mości. W imieniu króla rozkazuję otworzyć drzwi.

4

Pennington sądził, że panna Edwards będzie próbowała się ukryć, ale ona odwróciła twarz na bok i leżała bez ruchu. Najwyraźniej zastanawiała się gorączkowo, co począć, a Pierce nie miał pojęcia, co za chwilę strzeli jej do głowy.

Zdziwił się bardzo, kiedy zobaczył, że po jej policzkach toczą się łzy. Gdy wstał z łóżka,

naciągnęła suknię na ramiona i usiadła, opierając brodę o kolana. Znowu rozległo się głośnie pukanie.

- W imieniu króla otwierać natychmiast!
- Chwileczkę, kapitanie! - zawołał Pennington i ściszył głos: - Nie jest tak źle, jak pani myśli, panno Edwards. Możemy wyjaśnić całą sytuację. Turner nie będzie długo się na panią gniewał.

Portia potrząsnęła głową.

- Nie obchodzi mnie opinia Turnera.
- Więc w czym rzecz? - zapytał Pierce.
- Kapitan powie, gdzie mnie znalazł i z kim. Ludzie, u których mieszkam, pastor Higgins i jego żona, dowiedzą się prawdy. Przyniosę hańbę ich rodzinie. Pastor będzie skompromitowany przed całą kongregacją. Na pewno już nigdy się do mnie nie odezwie. Mary nie dopuści mnie do swoich dzieci. Odeślą mnie z powrotem do Walii. Nie mogę znieść myśli, że rozczaruję moją dobrodziejkę, lady Primrose. Ale najgorsze jest to, że będę musiała wyjechać z Bostonu i nigdy więcej nie zobaczę matki. - Łzy popłynęły obficie, Portia ukryła twarz na kolanach.

Bębnienie było tak mocne, że zatrzęsły się drzwi.

- Otwieraj drzwi, Pennington.

Pytania, które nasuwały się Pierce'owi, musiały poczekać.

- Idę! - krzyknął i dodał ciszej: - Proszę schować się pod kołdrą.

Panna Edwards spojrzała na niego oczami czerwonymi od płaczu.

- Dziękuję, ale nie jest mi zimno.

Pierce chwycił koc i narzucił go na Portię.

- Proszę nie mówić - przykazał. - I nie ruszać się.

Ja zajmę się wszystkim.

Mówił sobie, że nie powinien czuć się jak podlec, wykorzystując obecność Portii do własnych interesów, ale niewiele to pomogło. Uznał bowiem, że skoro spaliły na panewce plany bardzo ważnej transakcji, dobrze będzie, jeśli Turner przyłapie go tutaj z panną Edwards. Tej nocy, kiedy połowa oficerów z brytyjskich wojsk kolonialnych znajdowała się w sali balowej na Copp Hill, Pennington miał doskonałą okazję udowodnić kapitanowi, że nie interesuje się polityką. Odeślał nawet stangreta z

powrotem do rezydencji admirała, żeby ten rozniósł wieść, iż jego pan ma schadzkę z pewną młodą kobietą.

Turner nie tracił czasu.

Pennington rozpiął koszulę i spodnie, zdmuchnął świecę i otworzył drzwi. Wyszędłszy z pokoju, przytknął je trochę. Oficer czekał na niego w towarzystwie czterech żołnierzy. Klienci tawerny siedzieli w milczeniu i obserwowali ich z otwartą wrogością. Pierce dostrzegł przy głównym wejściu Jacka.

- Jestem zaskoczony, że pana tutaj widzę, kapitanie. Przyjęcie u admirała okazało się nudne?
- Nie, panie Pennington. - Spojrzenie Turnera było chłodne, ale w głosie brzmiał gniew. - Ja również jestem zdziwiony, że pana tutaj znalazłem. Admirał Middleton będzie rozczarowany, kiedy usłyszy, że tak wcześnie i do tego w pośpiechu opuścił pan bal z okazji urodzin króla.

Kapitan z odrazą rozejrzał się po sali i jej bywalcach, a następnie utkwiał wzrok w uchylonych drzwiach drugiej izby.

- Gdyby admirał nie był tak wybredny w doborze gości i zaprosił więcej atrakcyjnych młodych dam, może zostałbym dłużej. - Pierce kazał szynkarzowi przynieść kolejny dzbanek wina do pokoju. - Ale co pana tutaj sprowadza, kapitanie?
- Powiedziano mi, że panna Portia Edwards opuściła rezydencję w pańskim powozie.
- Dama, którą zamierzał mi pan przedstawić?
- Moja partnerka - odparł Turner, czerwieniąc się lekko.
- Bardzo piękna młoda kobieta, naprawdę. Chętnie po-znałbym ją lepiej, spędzając więcej czasu w jej towarzystwie, gdyby nie czuła się źle.
- Źle? - Kapitan rozejrzał się, po czym nachylił ku Penningtonowi i rzucił ściszym głosem: - Czuła się dobrze, kiedy ją zostawiałem.
- Nic mi o tym nie wiadomo - odszepnął Pierce, patrząc na oficera z wyraźnym powątpiewaniem. - Ale rzeczywiście może pan czuć się winny, że nie poświęcił jej dostatecznej uwagi. Kiedy natknąłem się na pannę Edwards w ogrodzie, miała mdłości i gorączkę. Poprosiła mnie, żebym odwiózł ją do domu.
- Powinien pan mnie zawiadomić - warknął Turner. - Widział pan, jak się denerwowałem, że nie mogę jej znaleźć w sali balowej.

- Młoda dama, którą przypadkiem spotkałem, była zbyt chora, żebym prosił ją o wyjaśnienia. Zrobiłem to, co powinien zrobić dżentelmen. Nie wiedziałem, że to pana towarzyszka. Ale nawet gdybym wiedział, nie traciłbym czasu na szukanie pana. Jako prawa ręka admirała na pewno miał pan dużo zajęć w związku z obchodami królewskich urodzin.
- To ja przyprowadziłem ją na bal i byłem za nią odpowiedzialny. Powinna wyjść ze mną...
- Kapitanie Turner - przerwał mu Pierce. - Moja reputacja mówi sama za siebie. Jeszcze nigdy nie zawiodłem żadnej damy w potrzebie.
- Istotnie, sir. - Oficer przez dłuższą chwilę mierzył go wzrokiem. - Zwłaszcza że i tak wybierał się pan do tego obskurnego burdelu na schadzki z jedną z tutejszych dziwek.

Pierce przysunął się do niego o krok.

- To, że moja wybranka nie należy do sfer, w których się pan zwykle obraca, nie oznacza, że zasługuje na pańską pogardę. To samo dotyczy pozostałych gości obecnych w tawernie. Myśli pan, że jest od nich lepszy, a ja piję z nimi wino i lubię ich towarzystwo, ponieważ rozumiem, że to nie Bath, Bristol ani ogrody Vauxhall. Wszystko to są uczciwi poddani Korony, sir.

W izbie zapadła śmiertelna cisza. Turner odwrócił się i rozejrzał. Zobaczył nieprzyjazne twarze i wrogie spojrzenia.

- Oczywiście. - Odchrząknął. - Pomyliłem się. Sądziłem, że panna Edwards mogła... że jest tu z panem.
- Tutaj? - powtórzył Pierce ze zdziwieniem. - Jak w ogóle mogła panu przyjść do głowy taka myśl? Sądzi pan, że naraziłbym pannę Edwards na utratę reputacji? Najwyraźniej nie jest pan o niej dobrego mniemania. Naprawdę pan uważa, że szanująca się młoda dama weszła-by do takiej spelunki?
- Ma pan rację. Proszę mi wybaczyć. - Kapitan cofnął się i zwrócił do obecnych: - Świątujcie dalej urodziny jego królewskiej mości.

Uklonił się sztywno i ruszył do wyjścia. Pennington został na miejscu, póki drzwi nie zamknęły się za żołnierzami.

- Dobra robota, chłopcy! - powiedział wesoło. - Wypędziliście ich bez jednego strzału. W tawernie zagrzemiał śmiech. Pierce skinął głową stangretowi, a kiedy Jack wyszedł, on

zamówił kolejkę dla wszystkich. Bywalcy wznieśli okrzyki na jego cześć, skrzypek zaczął grać żywą melodię. Pennington poszedł do paleniska, zapalił świecę od ognia i wrócił do ciemnej izby. Gdy zamknął drzwi na zasuwę, spostrzegł, że łóżko jest puste. Portia stała w kącie.

- Jestem panu wdzięczna za to, co pan zrobił - powiedziała cicho.

- Nie oczekuję wdzięczności, madam - odparł Pennington. Ubrał się szybko, poszedł do ściany w rogu izby i odsunął część boazerii. Portia zobaczyła ciemną niszę i drabinę prowadzącą w dół.

- Na dole jest tunel, który biegnie do sąsiedniego budynku. Mój stangret Jack spotka się tam z panią za kilka minut. Powie mu pani, gdzie chce jechać, a on panią bezpiecznie zawiezie na miejsce, choć wątpię, czy dotrze tam pani przed kapitanem Turnerem. Tak więc radzę się za- stanowić, co mu pani powie.

- Nie wiem, jak się panu odwdzięczę, panie Pennington.

- Nie musi pani, panno Edwards. Chciałbym jedynie, żeby dotarła pani do domu i żeby nasze ścieżki nigdy więcej się nie przecięły.

Letnia noc była ciepła, pora jeszcze dość wczesna, tak że po Sudbury Street nadal kręcili się ludzie. Portia nie rozglądała się na boki. Kiedy Jack zatrzymał się przed plebanią, podziękowała mu i pospieszyła do frontowych drzwi.

Zapukała cicho, mając nadzieję, że wpuści ją nie pastor Higgins czy Mary, tylko któreś z dwojga służących. Potargane włosy i podartą suknię jakoś zdołałaby wytłumaczyć, ale bała się, że zdradzi ją wyraz twarzy.

Na szczęście drzwi otworzył Jozjasz. Na jej widok wytrzeszczył oczy.

- Na niebios! Co się pani stało, panienko Portio?

- Nic strasznego. To wszystko przez moją głupotę. -Uspokajającym gestem dotknęła ramienia starego sługi i minęła go, idąc do schodów.

- Zawołać panią? Pani Higgins i pastor są w bibliotece.

- Nie. Nie chcę ich niepokoić. Zejdę, jak tylko się przebiorę.

Nie czekając na odpowiedź, popędziła do swojej sypialni na poddaszu.

Wieczorami, zaraz po położeniu dzieci spać, Mary siadała w bibliotece z robótką i opowiadała mężowi o tym, jak spędziła dzień, kogo z parafian odwiedziła. Pastor Higgins natomiast mówił o politycznym klimacie panującym w Bostonie, omawiał

niektóre artykuły z gazet oraz broszury krążące między miastami kolonii. Gdy towarzyszyła im Portia, na koniec zwykle czytał fragmenty Objawienia św. Jana, a czasami, zależnie od nastroju, również psalmy.

Portia szybko zdjęła zniszczoną suknię. Wątpiła, czy będzie miała dzisiaj siłę słuchać o grzechu i potępieniu.

Gdy rozległo się ciche pukanie, owinęła się szalem, zanim otworzyła drzwi. Na korytarzu stała mała Ann.

- Dlaczego nie jesteś w łóżku, cherubinku? – zapytała Portia, kucając z wyciągniętymi ramionami.

Dziewczynka ją uściskała.

- Nie przysłaś dzisiaj opowiedzieć mi bajki - odparła z wyrzutem. - Nie pocałowałaś mnie na dobranoc.
- Mówiłam ci, że późno wrócę z przyjęcia, nie pamiętasz? Pocałowałam cię, zanim wyszłam. - Portia cmoknęła Ann w okrągły policzek. - A teraz wracaj do łóżka, zanim twoja mama się na mnie rozgniewa, że zatrzymuję cię tak długo.
- Wcale mnie nie zatrzymujesz. Sama to robię. Walter też nie śpi, ale bał się, że mama przyłapie nas na schodach, dlatego został w pokoju.

Kiedy Portia zjawiała się w rodzinie pastora, Ann właśnie się urodziła, a Walter miał dwa latka. Przez następne miesiące i lata była częścią ich życia na równi z rodzicami. Później wzięła na siebie również inne obowiązki. Nauczyła dzieci czytania i pisanie oraz podstaw francuskiego, który znała ze szkoły lady Primrose, została ich powierniczką i przyjaciółką. Wiedziała, że rozstanie z nimi będzie dla niej bardzo trudne.

- Jutro opowiem wam dwie bajki - obiecała.

Wstała, żeby zaprowadzić małą na dół, ale psotna dziewczynka wykorzystała tę chwilę i szybko wskoczyła do jej łóżka.

- Za późno na zabawę, Ann - skarciła ją Portia.

- Chcę posłuchać o wielkim balu.
- Jutro. A ty opowiesz mi, co się tutaj działo. Ośmiolatka przesunęła się na drugą stronę łóżka.
- Twój karnecik był pełny? - zapytała.
- Wcale nie tańczyłam, ty głuptasie.

•Dlaczego? - zdziwiła się Ann i uciekła pod wezglowie.

- Bo wyszłam, zanim zaczęły się tańce – powiedziała Portia.

Dziewczynka usadowiła się na poduszce.

•Walter i ja patrzyliśmy przez okno, kiedy wsiadałaś do powozu z tym oficerem. Na pewno byłaś najładniejszą dziewczyną na balu.

•Ależ skąd. - Portia chwyciła małą za kostkę i przyciągnęła ją do siebie.

Ann przestała chichotać i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

•To niemożliwe. Jesteś piękna. Nawet ładniejsza niż mama.

•Ann Katherine! - dobiegł od drzwi surowy głos Mary Higgins.

Ostry ton i karcące spojrzenie pastarowej wystarczyły, żeby córka spoważniała. Jej dolna warga zadrzała.

- Do łóżka! Natychmiast! - poleciała matka.

Dziewczynka chwyciła rękę Portii i ze zwieszoną głową skierowała się do wyjścia.

- Nie! Pójdiesz sama, młoda damo.

Ann bez protestu puściła dłoń nauczycielki i posłusznie podreptała do drzwi. W progu zatrzymała się i cmoknęła nadstawiony policzek matki, po czym ruszyła w dół po schodach.

Pani Higgins wymagała, żeby wszyscy domownicy podporządkowali się ustalonym przez nią regułom. Jej władza budziła ogólny podziw, ale Portia uważała, że Mary jest czasami zbyt szorstka i nieugięta. Dla niej istniało tylko dobro i zło, dlatego nie tolerowała najmniejszych odstępstw od zasad.

Dzięki niej w domu panował porządek. Młoda pastarowa, choć wymagająca, potrafiła również być ciepłą, kochającą i oddaną matką oraz wzorową żoną.

- Przekupiłam Ann, żeby to powiedziała - odezwała się Portia, licząc na uśmiech.

I rzeczywiście, kiedy Mary zamknęła drzwi za córką, surowa mina zniknęła z jej twarzy.

- Naprawdę wyglądałaś pięknie, kiedy wybierałaś się na bal, ale Jozjasz przed chwilą stwierdził, że chyba przegalopował po tobie zaprzęg koni. Widzę, że nie przesądził. - Mary z troską dotknęła zadrapania na policzku przyjaciółki. - I wróciłaś wcześniej, niż się spodziewaliśmy. Co się stało?

Portia tylko potrząsnęła głową i przycupnęła na brzegu łóżka. Mary usiadła obok niej i ujęła jej dłoń.

- Opowiedz mi wszystko. Byłaś taka szczęśliwa, gdy wychodziłaś.

Portia nie mogła dłużej kłamać. Higginsowie stanowili jej najbliższą rodzinę. W zamian za dobroć była im przy-najmniej winna prawdę. Gdyby udało się jej przekonać dzisiaj matkę do ucieczki, i tak musiałaby wyjaśnić swym dobroczyńcom całą sytuację. Tylko do ich domu mogła przyprowadzić Helenę i liczyć na ich współczucie.

Spojrzała w łagodne oczy Mary. Żona pastora miała gładkie, jasne włosy, odgarnięte z twarzy i upięte w kok. Choć była tylko sześć lat starsza od Portii, wydawała się dużo rozsądniejsza. Zawsze dokładnie wiedziała, co należy zrobić.

- Nie byłam z tobą szczerą, kiedy wyrażałam radość, że idę na bal u admirała Middletona.
- Masz na myśli, że nie podobało ci się towarzystwo kapitana Turnera?

Portia poczuła się lepiej, słysząc żartobliwą nutę w głosie Mary.

- Właśnie. I nie podobała mi się również suknia, którą pożyczyłam od Belli. Zresztą całkiem ją zniszczyłam.
- Możemy porozmawiać o tym później. - Mary ścisnęła jej dłoń. - Dlaczego tak bardzo chciałaś iść na bal?
- Żeby poznać matkę - odparła cicho.

Pastorowa zmarszczyła brwi. W jej oczach malowało się zaskoczenie. Portia zdjęła medalionik z szyi i otworzyła go, a następnie opowiedziała przyjaciółce o wszystkim. O odkryciu doktora Demingsa i jej własnych staraniach, żeby poznać historię Heleny Middleton.

- Ale to jeszcze żaden dowód - stwierdziła Mary rzeczowym tonem. - Pewne podobieństwo do kobiety z portretu nie oznacza, że panna Middleton jest twoją matką.

Portia zamknęła medalion.

- Lady Primrose powiedziała, że należał do kobiety, która wydała mnie na świat. A od ludzi, którzy znali córkę admirała, dowiedziałam się, że Helena nie zawsze była obłąkana. Choroba zaczęła się wkrótce po jej rzekomym nieszczęśliwym romansie z tajemniczym mężczyzną. Niestety nikt nie chciał o nim mówić.
- Żadna rodzina nie chce, żeby skandal zniszczył jej reputację - skomentowała pani Higgins.

To prawda. - Portia dobrze pamiętała historię młodszej siostry Mary. Ale ta sytuacja była zupełnie inna. - Podobno mój ojciec walczył na wrzosowiskach Culloden* po stronie

Bonniego Prince'a Charliego. Middleton pomagał negocjować traktat, w wyniku którego Stuart stracił swoich francuskich sojuszników. Romans chyba miał miejsce we Francji. Wyobrażasz sobie hańbę admirała, gdyby wyszło na jaw, że jego córka związała się z wrogiem?

*Culloden - miejsce ostatecznej klęski (1746) jakobitów, czyli stronników Jakuba II i jego syna Jakuba III, tzw. Starszego Pretendent. Młodszy Pretendent - Karol Edward Stuart, Bonnie Prince Charlie (1720-88). W roku 1772 królem Anglii był Jerzy III z dynastii hanowerskiej (przyp. red.).

- Ponosi cię wyobraźnia. - Mary wstała z łóżka. - Nawet jeśli jest w tych plotkach ziarno prawdy, nie ma dowodu, że owocem romansu było dziecko, a już zwłaszcza, że ty nim jesteś.

Portia uniosła medalionik.

- Spójrz na inicjały wygrawerowane na odwrocie. Poza tym widziałam ją dzisiaj. Mamy takie same oczy, taki sam zarys twarzy. Lady Primrose na pewno by to potwierdziła. Ja po prostu wiem, że odnalazłam matkę. Gdybym tylko mogła z nią porozmawiać...

Pastorowa niechętnie wzięła od niej medalion, przysunęła go do świecy i przyjrzała się miniaturce, a potem ledwo widocznemu napisowi na kopercie.

Portia nie chciała, żeby Mary uznała ją za niewdzięcznicę. Nie mogła powiedzieć jej o skrywanej tęsknocie za rodziną, której nigdy nie miała.

- Załóżmy, że to istotnie twoja matka - rzekła w końcu przyjaciółka. - Słyszałam, że cały czas spędza w odosobnieniu. Nie chodzi na bale. Co zamierzałaś dzisiaj zrobić?

Portia wzięła od niej medalionik.

- Uwolnić ją. Poprosić, żeby ze mną wyjechała. Mary usiadła obok niej. Na jej twarzy malowało się niedowierzenie.

• Nie możesz odejść - powiedziała, kładąc rękę na kolanie Portii. - Mieszkasz z nami od ośmiu lat. Kocham cię jak siostrę. Ale wiem, że zawsze miałaś skłonność do podejmowania pochopnych decyzji.

• Ta decyzja nie była pochopna... w każdym razie niezupełnie - zaprotestowała Portia. - Cel jest na tyle ważny, że musiałam zaryzykować.

Pastorowa potrząsnęła głową.

- Skoro admirał całymi latami ukrywał skandaliczny sekret, teraz nie dopuści do tego, żeby tajemnica wyszła na jaw - stwierdziła rzeczowym tonem. - I nie uwolni córki.

- Decyzja nie będzie należała do niego! - wykrzyknęła Portia. - Zresztą po co miałby robić publiczny spektakl. Nie chcę go zniszczyć. Nikt oprócz domowników się nie dowie. Helena ma prawo do wolności, Middleton nie może wiecznie trzymać jej pod kluczem.

- Ojciec nie ma prawa chronić chorej córki przed światem? - Mary machnięciem ręki ucięła protest Portii. - Mniejsza o to. Powiedz mi, jak zamierzałaś uwolnić Helenę Middleton? Dać jej to, czego podobno brakowało jej przez lata? I co dalej?

Portia popatrzyła na nią ze skruchą.

- Planowałam sprowadzić ją tutaj na dzień albo dwa, a potem znaleźć jakieś mieszkanie, zanim wrócimy do Walii. Mam trochę oszczędności. Pomyślałam, że przeznaczę je na utrzymanie nas obu do czasu wyjazdu. Lady Primrose jest wspaniałomyślna, więc na początek zatrzymałybyśmy się w szkole. - Kiedy Mary z dezaprobatą pokręciła głową, Portia chwyciła ją za rękę. - Byliście dla mnie tacy dobrzy. Kocham dzieci i ciężko będzie mi je opuścić, ale chciałabym odzyskać marzenia, które zabrano mi tuż po urodzeniu.

Pani Higgins wstała z łóżka i w milczeniu zaczęła chodzić po pokoju. Portia ją obserwowała. Mary była kochaną żoną i matką dwójki pięknych dzieci, kobietą ogólnie szanowaną. Miała ośmioro braci i siostr rozrzuconych po całej Anglii i Szkocji. Teraz próbowała zrozumieć przyjaciółkę.

W końcu pastorowa zatrzymała się przed Portią.

- Nie można żyć w przeszłości - powiedziała. - Nie można zmienić faktów, które już się dokonały.

- Zgoda - przyznała Portia. - Dlatego chciałabym przeprowadzić wszystko jak najdyskretniej. Nie zamierzam nikomu sprawiać nieprzyjemności. Lecz matka i ja zostałyśmy skrzywdzone. Muszę to naprawić. Pomogę jej, stworzę nam obu przyszłość.

- Ty, która tak mało wiesz o świecie? - zdziwiła się pastorowa.

- Tak - odparła Portia z przekonaniem.

- I uważasz, że panna Middleton pragnie tego samego co ty? - spytała Mary.

- Jak mogłoby być inaczej?

- Nie dasz jej wygodnego, uporządkowanego życia, do którego jest przyzwyczajona - uświadomiła jej pani Higgins. - Może wydała cię na świat, ale nie ma pojęcia o twojej impulsywnej naturze i duchowej niezależności. Nie wie, jakie niebezpieczeństwa ściągasz na siebie za każdym razem, kiedy postanawiasz zmienić wszystko dokoła.

Portia zamknęła medalionik i powiesiła go na szyi.

- Nie chciałam zachować się bezmyślnie.
- Doprawdy? - Mary usiadła na łóżku.
- No, może tak. - Portia się zarumieniła. - Dzisiaj powinnam tylko się jej przedstawić. - Jej ramiona opadły. - Masz rację. Nie zaplanowałam wszystkiego tak, jak należało. Gdyby Helena ze mną poszła, nie czekał na nas żaden powóz. Nie przygotowałam również ciebie i Williama na nasze pojawienie się. Nie zadbałam o przejazd do Anglii. Nie jestem nawet pewna, czy mam dość pieniędzy na bilety. - Potarła skronie, zrezygnowana. - Jak zawsze skupiałam się tylko na celu, który chciałam osiągnąć, a nie po-myślałam o konsekwencjach. Wszystko zepsułam i teraz mogę nie mieć następnej okazji, żeby to naprawić.

Mary delikatnie pogłaskała ją po włosach.

- Opowiedz mi, co się wydarzyło na balu u admirała - poprosiła łagodnym tonem.

Portia niechętnie opisała jej wydarzenia w rezydencji, łącznie ze schodzeniem po kracie na róże i ucieczką przed sługami admirała. Tylko pierwsze spotkanie z Piercem postanowiła zrelacjonować w złagodzonej wersji.

- Pan Pennington okazał się wyrozumiały - dokończyła. - Kazał nawet swojemu stangretowi odwieźć mnie do domu.

Wiedziała, że w oczach pastorowej wspinanie się po murach i bieganie nocą po ogrodzie nie jest nawet w połowie tak naganne jak to, co robiła później ze Szkotem.

- Nie do wiary, że nic ci się nie stało - powiedziała Mary z troską.
- Dobrze, że nie zostałam przyłapana przez samego admirała - stwierdziła Portia. - Na wszelki wypadek przygotowałam wiarygodną historyjkę na swoją obronę.

Pani Higgins westchnęła ze znużeniem.

- Raczej nie chcę jej usłyszeć. Obiecuj, że nigdy więcej nie postąpisz tak lekkomyślnie. W pokoju zapadła cisza. Ciepłe powietrze napływające przez otwarte okna niesło woń kwiatów. Portia pomyślała o różanym ogrodzie Middletonów.

- Nadal jestem zdecydowana spotkać się z Heleną -oświadczyła. - Nie mogę zatrzymać się w pół drogi.
- Spotkać się z panną Middleton czy ją porwać? – za pytała Mary z lekkim sarkazmem.
- Wiem, że ją przeraziłam, pukając w okno, kiedy spała - powiedziała Portia. - Następnym razem wymyślę lepszy sposób.

Pastorowa wstała i podeszła do okna. Otworzyła je szerzej. Gdy się odwróciła, na jej inteligentnej twarzy malowało się skupienie.

- Admirał nie jest człowiekiem lubianym przez Synów Wolności - przypomniała. - Jego dom na pewno jest dobrze strzeżony. Trzeba dostać się do niego w cywilizowany sposób.
- Pomożesz mi? - zapytała Portia z nadzieją.

Pomogę ci znaleźć odpowiedź na pytanie, czy Helena Middleton naprawdę jest twoją matką - obiecała Mary. - Masz prawo wiedzieć. Ale jeśli chodzi o resztę twoich planów, nie chcę brać w nich udziału.

- Będę ci bardzo wdzięczna - ucieszyła się Portia. Zainteresowanie i wsparcie przyjaciółki rozpraszały jej wątpliwości.
- Mogłybyśmy poprosić doktora Deminga, żeby cię tam wprowadził - podsunęła pani Higgins.

Portia potrzasnęła głową.

- Poprosiłam go o to, kiedy mi wyjawiał, czyj portret jest w medalionie. Odrzekł wtedy, że nie może mi pomóc, bo rzadko bywa na Copp Hill. Opiekuje się Heleną tylko wtedy, gdy osobisty lekarz admirała wyjeżdża do Newport.
- Więc to będzie jeszcze trudniejsze, niż myślałam - stwierdziła Mary z rozczarowaniem. - Niestety oprócz ojca Belli William nie ma innych znajomości w otoczeniu admirała.
- Zwrócenie się o pomoc do kapitana Turnera również nie wchodzi w grę - dodała szybko Portia. - Wątpię, czy w najbliższym czasie złoży mi wizytę, po tym jak wyszłam dzisiaj bez uprzedzenia. Co nie znaczy, że bym te-go chciała. Pójście z nim na bal okazało się dużym błędem. Jego zamiary są... zbyt oczywiste.
- Ale nie będziesz więcej wspinać się po murach - zastrzegła Mary.
- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

- A co z tym dżentelmenem, który kazał odwieźć cię do domu? - zainteresowała się przyjaciółka.

- Pan Pennington podobno jest Szkotem - odparła Portia.

- Istotnie. Pochodzi z bardzo wpływowej i bogatej rodziny. Jego brat jest hrabią. On sam zajmuje się żeglugą. Pewnie zapraszają go na najważniejsze przyjęcia. - Pastorowa spojrzała na nią w zamyśleniu. - Przypuszczam, że zrobiłaś na nim dobre wrażenie.

Portia stwierdziła, że ma pustkę w głowie. Wątpiła, czy Mary uzna kopniak w goleń i kradzież powozu za zachęcający początek znajomości.

- Jesteś bardzo blada, kochanie. Źle się czujesz?

- Nie, nie. Tak tylko wyglądam w blasku świecy. - Portia zerwała się z łóżka. - Jego stangret odwiózł mnie do domu. Dlaczego to takie ważne, czy zrobiłam dobre wrażenie na panu Penningtonie?

Mary się uśmiechnęła.

- Nie potłukłaś się za bardzo, spadając z kraty? On mógłby ci pomóc.

- Jak? - spytała Portia.

- Ma rozległe koneksje. W dodatku jest Szkotem. Dostał zaproszenie na bal z okazji urodzin króla. Niewykluczone, że częściej bywa u admirała. Mógłby kiedyś cię tam zabrać i przedstawić. - Mary ściszyła głos. - Jeśli panna Middleton Zgodzi się pojechać z tobą do Walii, Pennington może załatwić wam miejsce na jednym ze swoich statków.

Portia wróciła myślami do jego pożegnalnych słów. Nie chciał więcej jej widzieć. Nigdy nie zgodzi się jej pomóc.

- Musiałabym wyrzucić na nim piorunujące wrażenie, żeby poprosić o tak wielkie przysługi - stwierdziła cierpko.

- Owszem - przyznała Mary. - Myślę, że warto spróbować.

- Tak - bąknęła Portia.

Nie miała najmniejszej szansy.

5

- Nie doszło do spotkania - powiedział cicho Nathaniel Muir, kiedy jechali konno King Street w stronę portu. - Muszkiety i proch nie zostały przekazane. Ale dzięki temu trzy karki, łącznie z twoim, przyjacielu, uratowały się od stryczka.

- Co masz na myśli? - zapytał Pierce.
- To była pułapka - odparł Muir. - Wielu oficerów uczestniczyło w balu admirała Middletona, ale dwa razy tylu czaiło się na nabrzeżu.
- Skąd wiesz?

Nathaniel wrócił z Newport o północy.

- Powinieneś wcześniej wstawać - stwierdził. - W mieście mówi się o tym od rana.
- Jeśli cenisz swoją paskudną gębę, lepiej wszystko mi opowiedz - zażądał Pierce.
- Dobrze, dobrze, mój niecierpliwy przyjacielu. Ebenezer przysłał mi dziś rano wiadomość, że kilku żołnierzy wychodzących zeszłej nocy z piwiarni przy Queen Street wdało się w bójkę z naszymi chłopcami. Wkrótce dołączyli do nich czeladnicy od powoźnika. Narobili takiej wrzawy, że przybiegł cały oddział żołnierzy, którzy niedaleko zasadzili się na przemytników. Wybuchło piekło. Prawdziwe szczęście, że nie doszło do masakry.
- Chłopcy uciekli? - Tak.
- To dobrze.

Dotarli do szerokiej ulicy ciągnącej się wzdłuż całego Long Wharf.

Pierce spojrział na największy w Bostonie, tłoczny pirs, wchodzący w głąb basenu portowego na odległość ponad ośmuset stóp. W ciągu roku cumowały przy nim tysiące statków, opróżniały ładownie i napełniały je przed drogą powrotną do ruchliwych angielskich portów. Nawet teraz, mimo nacisków bostońskich ugrupowań politycznych, żeby nie sprowadzać brytyjskich towarów, wokół dziesiątków żaglowców kręciły się setki tragarzy.

Woń smoły i dymu drzewnego mieszała się z zapachami portu. Pierce wciągnął je głęboko. Dla niego powietrze pachniało niezależnością i prosperity.

Zatrzymali się przy jednym z budynków stojących po północnej stronie szerokiego nabrzeża. Na piętrze, nad sklepami i kantorami, obok magazynu, z którego korzystali, mieli swoje biuro. Nad gontowym dachem sterczały maszty dwóch szybkich żaglowców. Oba należały do nich. Razem mieli sześć statków. Kolejny zrobił w drodze powrotnej nieudokumentowany postój w wolnym holenderskim porcie St. Eustatius i czekał teraz przy mniejszym nabrzeżu Griffin, aż tutaj zwolni się miejsce.

Kiedy zsiadli z koni, podbiegł do nich masztalerz ze stajni znajdującej się obok

magazynu.

- Najważniejsze pytanie brzmi, komu mam być wdzięczny za uratowanie ci wczoraj skóry? - spytał wesoło Nathaniel, idąc do drzwi.

Pierce nic nie odpowiedział.

- No, Pennington - ponaglił go współnik. - Ona musi mieć jakieś imię.
- Dlaczego sądzisz, że jest w to zamieszana jakaś kobieta?

Muir prychnął.

- Bo choć pod wieloma względami jesteś draniem bez serca, nigdy się nie spóźniasz, dotrzymujesz obietnic i troszczysz się o przyjaciół. Krótko mówiąc, przez dziesięć lat, odkąd cię znam...

- Jedenaście długich lat - poprawił go Pierce.

- Dobrze, jedenaście. Mogę policzyć na palcach jednej ręki, ile razy w ciągu tych lat nie stawiałeś się na spotkanie. - Nathaniel zatrzymał się u stóp schodów. - I za każdym razem powodem były kobiety.

- Kobieta - sprostował Pennington, ruszając w górę. - Jedna. Emma. Jej dzika natura, upór, determinacja, żeby zawsze dostać to, czego pragnęła. Jej skłonność do zjawiania się wszędzie tam, gdzie nie powinna się znaleźć. Zamiłowanie do kłótni, kiedy wszyscy inni mądrze wybraliby milczenie. Emma, jej uroda i niewinność. I jego postanowienie, by chronić ją przed nią samą. Jego miłość. Emma, żona jego brata Lyona.

- Istotnie - przyznał Nathaniel, idąc za nim. - Ale ta kobieta nie żyje, a ty często mi powtarzałeś, że nie jestem godzien wspominać nawet jej imienia. Tak więc musi chodzić o inną. No dalej, łotrze, mów.

- Jesteś gorszy niż żona rybaka, Muir. - Pierce potrząsnął głową.

To prawda, że w końcu zniechęcił przyjaciela do rozmów o Emmie. Nie lubił roztrząsać spraw rodzinnych z Nathanielem.

Na ten temat nie tylko nie chciał rozmawiać, ale w ogóle myśleć. Zignorował list, który miesiąc temu dostał od Lyona. Położył go bez otwierania na półce z książkami w swoim gabinecie przy King's Chapel. Napisał go zapewne sir Richard Maitland, rodzinny prawnik, a nie brat, którego Pierce ostatni raz widział przed dziesięcioma miesiącami w rodowej siedzibie w szkockim Baronsford. Nie był w stanie zniszczyć listu, ale nie potrafił również go przeczytać. Jeśli Lyon jednak umarł w wyniku upadku z tego samego

urwiska, u stóp którego straciła życie Emma, Pierce wolał o tym nie wiedzieć.

Tego jednak ranka długo stał przed półką i patrzył na list, czując wielką pokusę, żeby go otworzyć.

A do jego rozterki przyczyniła się niejaka panna Portia Edwards.

Ona i Emma odznaczały się podobnymi cechami, które czyniły je wyjątkowymi wśród kobiet. Pierce był dostatecznie uczciwy wobec siebie, by przyznać, że właśnie dlatego Portia pociągała go od pierwszej chwili.

Z wyglądu całkiem różne - wysoka, smukła blondynka Emma, gibka i stylowa, oraz niższa od niej brunetka o rozkosznych krągłościach i sporej sile fizycznej - były niczym lustrzane odbicia, jeśli chodzi o brak rozwagi, ostry język i impulsywny temperament.

Oczywiście wobec Emmy nigdy nie pozwoliłby sobie na takie zachowanie jak wobec Portii. Gdyby nie przybycie Turnera, najprawdopodobniej kochałby się z zuchwałą panną Edwards. Co zapewne położyłoby kres porównaniom. I może trochę by go otrzeźwiło.

W głębi serca pragnął zapomnieć o Emmie. Uciekł z rodzinnego domu, z kraju, przejechał pół świata, żeby uwolnić się od koszmaru, ale nadal dręczył go żal.

Zeszłej nocy, po odjeździe Portii, długo nie mógł dojść do siebie. Picie w towarzystwie marynarzy w Czarnej Perle nie pomogło. Żadna ilość piwa nie mogła zagłuszyć wyrzutów sumienia.

- Przynajmniej się przyznaj, że chodzi o kobietę - naciskał Nathaniel, zatrzymując się na podeście.
- Zależy ci, żeby ją poznać, Muir? - spytał Pennington.
- Czemu nie?

Pierce łypnął na niego przez ramię.

- Pamiętam, że ostatnio co najmniej kilka młodych żon nieobecnych kapitanów rywalizowało o twoje względy. Odkąd to musisz zbierać okruszki z mojego stołu?

Otworzył drzwi biura i pokazał przyjacielowi, żeby wszedł pierwszy.

- Kieruje mną zwykła ciekawość, a nie... - Nathaniel zatrzymał się w pół kroku, tak że Pierce omal na niego nie wpadł.

Przy wysokim biurku kancelisty stało dwóch uzbrojonych żołnierzy.

Penningtonowi przyszło do głowy co najmniej dwanaście powodów niespodziewanej wizyty. Jednym z nich była Portia Edwards.

- Admirał Middleton przysłał panom pozdrowienie - odezwał się wyższy z żołnierzy i podał każdemu z nich po zapieczętowanej kopercie.

Pierce zerknął na swojego pracownika. Sean był wyraźnie zakłopotany; wciąż rzucał ukradkowe spojrzenia na uchylone drzwi gabinetu.

- Zaproszenie na herbatę - oznajmił wesoło Nathaniel, który pierwszy otworzył list. - To miłe ze strony admirała, jako że ominął mnie wczorajszy bal.

Pierce rozerwał kopertę.

- Zostało nam mało czasu - skomentował. Sprawdził godzinę na zegarku kieszonkowym. Oczekiwano ich w rezydencji Middletona jeszcze tego dnia w południe.

- Proszę przekazać admirałowi nasze uszanowanie i powiedzieć, że obaj przyjedziemy - rzekł Nathaniel.

Żołnierze uklonili się sztywno, a odprowadzenie ich do drzwi wziął na siebie Muir. Tymczasem Pierce dostrzegł cień przesuwający się za drzwiami gabinetu. Zerknął pytająco na kancelistę. Sean odpowiedział skinieniem głowy.

- Kto tam czeka? - spytał Pennington, gdy zostali sami.

- Młoda dama. Nie dała wizytówki, sir, ale twierdzi, że jest pańską znajomą. Przedstawiła się jako panna Portia Edwards. Czeką na pana co najmniej pół godziny.

- Nie chcę, żeby mi przeszkadzano - rzucił Pierce, idąc do gabinetu.

Stała przy oknie i wyglądała na ruchliwe nabrzeże. Pennington z trzaskiem zamknął drzwi.

- Panno Edwards, myślałem, że wczoraj wyraziłem się jasno...

- Dzień dobry, panie Pennington.

Gdy się odwróciła, Pierce przez kilka sekund myślał, że to obca kobieta podszywająca się pod jego znajomą. Szara suknia i prosty biały szal czyniły z niej zupełnie inną osobę niż piękność, którą całował zeszłej nocy. Gładko zaczesane do tyłu włosy niekorzystnie podkreślały zaokrągloną twarz, mały słomkowy kapelusik przypięty do nich szpilkami wyglądał niedorzecznie. W dodatku Portia Edwards była tego ranka bardzo blada i sprawiała wrażenie starszej. W niczym nie przypominała nimfy, która biegła przez obłany blaskiem księżyca ogród na Copp Hill, ani dzikiego stworzenia w podartej sukni balowej, które najpierw kopnęło go w goleń, a potem ukradło mu powóz.

- Co się pani stało? - wyrwało mu się niechcący.

- Słucham?

Pierce podszedł bliżej. Nie dostrzegł śladu jedwabistych loków, których dotykał poprzedniej nocy, a i strój pochwaliby nawet Oliver Cromwell. Skromna muślinowa suknia z wysokim, sztywnym kołnierzykiem skutecznie maskowała bujne piersi i krągłe kształty. Sztywna postawa i chłód potęgowały wrażenie niedostępności. Pierce z zaskoczeniem uświadomił sobie, że czekał niecierpliwie na to spotkanie. Niestety teraz przeżył rozczarowanie. Pamiętał zupełnie inną kobietę.

Lekkie zadrapanie na twarzy było jedynym śladem nocnych przygód.

- Jaki jest cel tego przebrania? - zapytał.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Powiedziano mi, że czeka na mnie panna Portia Edwards - wyjaśnił Pierce.

- Nadal nie rozumiem. To ja jestem Portią Edwards.
Pennington podszedł do biurka.

- Co zatem zrobiła pani z kobietą, którą miałem przyjemność wczoraj poznać? - zapytał.

Portia zeszywniała jeszcze bardziej, uniosła brodę, zacisnęła usta i zmierzyła go chłodnym wzrokiem.

- Tamta kobieta została skarcona i odprawiona - odrzekła spokojnie, choć na jej policzkach wykwitł delikatny rumieniec.

- Odprawiona, mówi pani? - Pierce usiadł na skraju biurka. - Proszę mi powiedzieć, jak to się robi.

Panna Edwards zaczęła się bawić rączką małej torebki.

- Na początek trzeba się przyznać do niewłaściwego postępowania. Uświadomić sobie, że pewne zachowania stanowią zagrożenie dla reputacji danej osoby.

- Czy to jakaś aluzja? - wtrącił Pennington.

- Nieporozumienie również może być niebezpieczne - ciągnęła Portia, ignorując pytanie.

- Ale jeśli nie stało się nic złego, człowiek obiecuje sobie już nigdy nie wplątywać się w dwuznaczne sytuacje.

- Chwalebne postanowienie, o ile ta osoba zdoła go dotrzymać - wtrącił Pennington.

- Pozwoli mi pan dokończyć? Następnym krokiem są oczywiście stosowne przeprosiny.

Pierce wyciągnął przed siebie nogi, obserwując uważnie swojego gościa.

- Więc przyszła pani przeprosić za wczorajsze postępowanie?
- Właśnie, panie Pennington - odparła Portia cicho, nie patrząc mu w oczy.
- Niestety nie mogę przyjąć pani przeprosin - oświadczył Pierce, krzyżując ramiona na piersi.

Panna Edwards podniosła wzrok na jego twarz.

- Dlaczego?
 - Nie uznaję załatwiania spraw przez pośredników - wyjaśnił Pennington.
 - Ale nie ma tu żadnych pośredników.
 - Chwilę temu sama pani powiedziała, że odprawiła Portię Edwards - przypomniał Pierce.
- Portia zrobiła krok w jego stronę.
- Droczy się pan ze mną - rzuciła oskarżycielskim tonem.
 - Próbuje pani podszyć się pod wypędzoną pannę Edwards?
 - Jestem sobą. - W jej oczach zapłonął ogień.
 - Obawiam się, że musi pani przedstawić mi jakiś dowód - rzekł Pennington.

Choć Portia starała się zachować powagę, kąćki jej ust wykrzywił lekki uśmiech, łagodząc surowy wyraz twarzy.

- Żartuje pan sobie ze mnie, panie Pennington - stwierdziła.
- Z pani? Nigdy. - Pierce wstał z biurka i ruszył w jej stronę. - Jest pani zbyt poważna, zbyt sztywna. Chyba nic pani nie bawi... a szczególnie ja. - Zatrzymał się w odległości pół kroku, uniósł jej brodę i spojrzał w ciemnobrązowe oczy. Portia nie cofnęła się, nie odepchnęła jego ręki. Pierce'owi stanął przed oczami obraz ich dwojga leżących na łóżku w tawernie. Jego ciało zareagowało natychmiast. - Z drugiej strony, jak najbardziej mógłbym żartować z kobietą, którą poznałem zeszłej nocy. Była bystra i uszczypliwa, a jednocześnie godna pożądania i namiętna. Zrozumiałaby, że mam prawo dowiedzieć się o niej przynajmniej tyle, ile ona o mnie wie, nie unikałaby szczerej rozmowy. Tylko w ten sposób mogłaby ponownie się do mnie zbliżyć.
- Oświadczył pan, że nigdy więcej nie chce pan jej widzieć - przypomniała Portia.
- Istotnie. Uznałem jednak, że jest kobietą, która nigdy nie słucha cudzych poleceń.

Pierce dotknął jedwabistych kosmyków nad jej uchem.

- Poznał mnie pan zaledwie wczoraj, a już zna wszystkie moje wady - zauważyła panna Edwards.

- Na pewno nie wszystkie. Za wysoko mnie pani ocenia. - Gdy musnął płatek ucha, jej rumieniec się pogłębił, dłoń mocniej zacisnęła na torebce. - Po co pani tutaj przysła, Portio?

- Chciałam naprawić niekorzystne wrażenie, które na panu zrobiłam.

Pierce powiódł opuszkami po jej szyi.

- Twierdzi pani, że zwykle nie ucieka po nocy przed gromadą sług?

- Zdarzyło się to pierwszy raz - zapewniła panna Edwards.

- I nie kradnie pani powozów obcym mężczyznom? -Pennington przysunął usta do jej warg.

- To też zrobiłam po raz pierwszy - wyszeptała Portia, cofając się o krok.

Pierce chwycił ją za nadgarstek. Nie wyrwała ręki, tylko wolno przeniosła wzrok z torebki na jego pierś, a potem na usta. Na koniec spojrzała mu w oczy.

- Co pan robi?

- Rozmawiam o zeszłej nocy. - Wyjął torebkę z jej ręki i opuścił ją na podłogę. - A jak pani myśli?

- Nie wiem - bąknęła Portia. - Nie spodziewałam się, Że pan... że pan...

Pennington objął ją w talii i przyciągnął do siebie. Zamiast go odepchnąć, położyła dłonie na jego piersi. Była onieśmielona, a to potęgowało jej uwodzicielski czar. Pierce wyjął szpilki ze śmiesznego kapelusika. Portia sama go zdjęła. Ciemne loki rozsypały się po jej ramionach.

- Może powie mi pani, co jeszcze robiła wczoraj po raz pierwszy.

- Poszłam do podejrzonej tawerny.

Pierce wpił spojrzenie w jej wilgotne, rozchylone usta i pocałował je bez pytania. Ich smak był równie upojny, jak zapamiętał. Wiedział, czego pragnie. Wziął jej rękę i założył je sobie na szyję, usuwając ostatnią przeszkodę.

Portia odsunęła się po dłuższej chwili.

- Po raz pierwszy jestem sam na sam w pokoju z mężczyzną - wyznała.

Pierce pocałował ją znowu, tym razem mocniej. Przesunął dłonie w dół jej pleców.

Panna Edwards znowu oderwała usta od jego ust.

- To, co zrobiliśmy, też było pierwszy raz.
- Czego omal nie zrobiliśmy - poprawił ją Pennington. Portia była gotowa mu się oddać zeszłej nocy. Przeszkadzono im, ale teraz pragnęła tego samego. Pierce pociągnął ją za sobą do biurka. Nie miał wyrzutów sumienia. Nie obchodziło go, że to niewłaściwa pora i miejsce.
- Nigdy przedtem tego nie robiłam - wyszeptała panna Edwards.
- Ani ja. W miejscu pracy.

Niecierpliwym gestem zgarnął wszystkie rzeczy z biurka i posadził Portię na jego brzegu. Księga rachunkowa upadła z trzaskiem na podłogę, za nią pofrunęły mapy i dokumenty.

- Ja... Miałam nadzieję...

Pierce uciszył ją pocałunkiem, a ona odwzajemniła go z żarem. Takiej właśnie zachęty potrzebował. Rozsunął jej kolana i stanął między nimi, a następnie otoczył się w pasie jej nogami.

W tym momencie rozległo się ciche stukanie do drzwi. Pennington je zignorował, ale Portia wykrztusiła zdyszana i zarumieniona:

- Ktoś puka.
- Nie szkodzi. Odejdzie.

Przesunął dłonią po jej gładkim udzie, lecz panna Edwards odepchnęła go i wstała z biurka. Ledwo zdążyła poprawić spódnice, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wsadził głowę Nathaniel Muir.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się szeroko na widok rozpuszczonych włosów gościa i morderczego wzroku przyjaciela. - Pani Higgins, żona wielbnego Williama Higginsa, pragnie się z tobą zobaczyć. Próbowałem jak najdłużej zatrzymać ją w swoim gabinecie, ale w końcu zaniepokoiła się dochodzącymi stąd odgłosami, zwłaszcza gdy Sean napomknął, że konferujesz z panną Edwards, jej podopieczną.

- Proszę wprowadzić panią Higgins - polecił spokojnie Pennington.

Nathaniel mrugnął do panny Edwards, a następnie wycofał się i zamknął drzwi.

- Postradał pan rozum? - wybuchnęła Portia. Szybko pozbierała z podłogi dokumenty i położyła je na blacie. Zwiniętą mapę wepchnęła pod biurko i zaczęła szukać kapelusza i torebki. - Mógł pan przynajmniej powiedzieć współnikowi, żeby dał nam trochę czasu.

- Nathaniel wie, co robić.

Portia znalazła kapelusz i włożyła go na głowę. Niestety w pokoju nie było lustro, więc rzuciła się do otwartego okna. Pierce chwycił ją za ramię.

- Chyba nie chce pani wyskoczyć?

Panna Edwards spojrzała dwa piętra w dół na ruchliwą ulicę.

- Nawet mi do głowy nie przyszło coś tak głupiego.

- Z pewnością. - W głosie Penningtona brzmiała ironia. Portia zmierzyła go wzrokiem, po czym ustawiła szybę pod odpowiednim kątem i spojrzała na swoje odbicie.

- Nie zdążę - stwierdziła w panice.

Połowa jej włosów leżała luźnymi splotami na ramieniu, druga połowa ledwo trzymała się na czubku głowy dzięki kilku szpilkom. Portia zaczęła przypinać kapelusz, ale Pennington zdjął go i wyrzucił przez okno.

- Jak pan mógł? - krzyknęła oburzona właścicielka.

Niesiony wiatrem kapelusik pofrunął prosto pod koła nadjeżdżającego wozu. Portia obejrzała się na drzwi, za którymi było słychać głosy. - Mary się zorientuje, co robiliśmy. Nie mogę...

Pierce wziął ją za rękę i bezceremonialnie posadził na krześle między dwoma oknami. Wyjął z jej włosów resztę szpilek i rzucił je na kolana.

- Pogarsza pan sprawę - skarciła go Portia. Odepchnęła jego rękę i zaczęła gorączkowo ratować fryzurę.

- Powinienem był zapamiętać wczorajszą lekcję. Jest pani nieznośna, panno Edwards.

- Dziękuję za miłe słowa, panie Pennington.

Pierce szybko ruszył za biurko i opadł na fotel w chwili, kiedy drzwi się otworzyły. Jego wspólnik wprowadził żonę pastora do gabinetu. Pennington zerwał się, żeby przywitać gościa, ale pani Higgins pobiegła wzrokiem ku przyjaciółce.

Portia też wstała, ale nie odzywała się słowem w czasie wymiany zwykłych uprzejmości. Po wyrazie twarzy poznała, że Mary odgaduje, co tu się dzieje.

- Przepraszam, panie Pennington, że zakłóciłam panu pracę - rzekła pastorowa. - Nie wiedziałam o wizycie panny Edwards. Zajrzałam tutaj, żeby podziękować panu za

pomoc, której udzielił jej pan zeszłej nocy, odwożąc ją bezpiecznie do domu.

- Zechciałaby pani usiąść, pani Higgins? - zapytał uprzejmie Pierce.
- Nie. Widzę, że panna Edwards sama postanowiła wyrazić wdzięczność. - Mary przeszła ją wzrokiem. - Niestety muszę już iść. Taki piękny dzień, więc kiedy dzieci skończą lekcje, wybierzemy się na spacer.

Portia doskonale wiedziała, że Mary wcale nie spieszy się do dzieci, tylko zamierza wygłosić jej kazanie na temat wstrzemięźliwości, przyzwoitego zachowania i skutków grzechu.

- Wybacz, Pennington, ale nie przedstawiłeś mnie tej młodej damie - poskarżył się nagle współnik.

Pierce łypnął na niego groźnie, ale dokonał prezentacji. Nathaniel Muir od razu zarzucił pannę Edwards mnóstwem pytań. Podczas gdy ona odpowiadała, pani Higgins stała sztywno na środku pokoju.

- Robi się późno - stwierdziła w końcu, patrząc na Portię znacząco.

Portia wpadła na pewien pomysł.

- Przepraszam, ale niechcący podsłuchałam pańską rozmowę z ludźmi admirała Middletona - powiedziała, zwracając się do Muira. - Wczoraj na balu zostawiłam szal i maskę, a ponieważ wiem, że wybiera się pan tam dzisiaj, pomyślałam, że mogłabym panu towarzyszyć i odzyskać swoje rzeczy. - Zobaczyła, że Pennington chce coś wtrącić, ale nie dopuściła go do głosu. - Wartownicy admirała są bardzo ostrożni i niechętnie wpuszczają niezapowiedzianych gości, więc gdyby pan był taki łaskawy i zabrał mnie ze sobą, obiecuję, że szybko odbiorę zgubę i zaczekam spokojnie w pańskim powozie, póki nie załatwi pan swoich spraw. Oczywiście mogę również pójść tam na piechotę i...

Muir przerwał ten potok słów:

- Mam lepszy pomysł, oczywiście jeśli to nie przeszkodzi pani w obowiązkach. Na Copp Hill pojedziemy bryczką mojego przyjaciela, a kiedy pani odbierze swoje rzeczy, woźnica zawiezie panią do domu i wróci po nas.
- To bardzo miłe z pana strony - powiedziała Portia z wdzięcznością.

Mary krótko skinęła głową.

Nathaniel zapytał o adres plebanii i obiecał, że zajędzie po pannę Edwards za dwie godziny. Pennington milczał, więc Portia poczuła ulgę, że ani on, ani Mary nie

sprzeciwiają się jej planom.

Chwilę później schodziły razem po schodach, ale przyjaciółka odezwała się dopiero na ulicy:

- Byłam bardzo naiwna, myśląc, że w dojrzałym wieku dwudziestu czterech lat wiesz, czego powinnaś się wystrzegać. - Pastorowa ruszyła szybko przez Dock Square. Portia dotrzymywała jej kroku. - Nie mogę uwierzyć, że muszę nadal wyjaśniać ci różnicę między dobrem a złem, skromnością a rozwiązłością. Co mężczyzna pomyśli sobie o kobiecie, która rzuca się...
- Nie podoba mi się twój ton, Mary Higgins - przerwała jej Portia. - Mówisz, jakbym popełniła najokropniejszą zbrodnię.
- Bo tak jest. Wybrałaś się do niego bez przyzwoitki.
- Sama podkreślałaś, jakie ważne jest wywarcie dobrego wrażenia. Nie miałam okazji podziękować temu dżentelmenowi za jego uprzejmość. Z kapitanem Turnerem poszłam na bal bez przyzwoitki, więc tak samo nie potrzebowałam jej, idąc dzisiaj do pana Penningtona.

Mary zatrzymała się i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Naprawdę nie widzisz różnicy między tymi dwoma sytuacjami? Zamiary kapitana Turnera są uczciwe i jasne dla wszystkich. Sam wyjawiał je pastorowi. Pan Pennington nawet nie został ci właściwie przedstawiony.
- Kapitan zamierzał to zrobić.

Pastorowa zignorowała jej słowa i jeszcze przyspieszyła kroku.

- Dziś rano dowiedziałam się o panu Penningtonie paru rzeczy. Bogactwo i koneksje czynią go jednym z najbardziej pożądanym kawalerów w Bostonie. Spotkania z kobietą w twoim wieku, bez pieniędzy, mogą mieć na celu tylko jedno.

Portia zatrzymała się raptownie.

- Posłuchaj samej siebie, Mary. Wczoraj twierdziłaś, że wyłącznie on jest w stanie mi pomóc. Dzisiaj zachowujesz się, jakby...

- Radziłam ci, żebyś zwróciła się do niego o pomoc. Uświadomiła mu, jak to jest wychowywać się bez rodziców, zaapelowała do jego uczuć.

Nie mówiłam, żebyś zapomniała o przyzwoitości i... - Mary potrząsnęła głową i ruszyła dalej.

Portia pobiegła za nią, nie zważając za zaciekawione spojrzenia przechodniów.

- Nikogo nie skrzywdziłam. Nie wywołałam skandalu.

Uspokoisz się wreszcie i pozwolisz mi przynajmniej się wytłumaczyć?

Pastorowa odwróciła głowę.

- Dobrze, opowiedz mi, co dokładnie wydarzyło się między tobą a panem Penningtonem - zażądała.

Portia zdecydowała się wyznać prawdę.

• Pocałował mnie.

• On... on... - Na policzki i szyję Mary wypełzły ciemnoczerwone rumieńce. Morderstwo wzbudziłoby w niej mniejszą konsternację. - Ty...

• Mów, co chcesz, ale Pierce Pennington jest pierwszym mężczyzną, który mnie pocałował... i nikomu nie stała się przez to krzywda. Zdaję sobie sprawę, że źle postąpiłam. Pan Pennington również. Ale ziemia nie musi się zatrzymać z tego powodu. Nie będzie skandalu. Nikt nie wie oprócz ciebie, Mary.

• Bóg wie - syknęła pastorowa. - I zanim dzień się skończy, pastor też pozna prawdę.

• Rób, co uważasz za stosowne - odparła Portia.

• Zrobię. Twoje postępowanie jest naganne. Mieszkałaś z nami przez osiem lat. Widziałaś, że staraliśmy się dawać przykład naszej kongregacji i innym ludziom, którzy na nas patrzą. Nigdy nie zbaczamy z właściwej drogi. Nie tolerujemy żadnych błędów, nawet tych niezamierzonych i wynikających z emocji. Zachowanie takie jak twoje może w jednej chwili zniszczyć wielomiesięczną pracę mojego męża. Postępujesz tak samo jak moja siostra Ellie. Ona wywołała skandal, przekreśliła szanse Williama w Anglii. Ty przekreślisz je tutaj.

• Nie jestem Ellie! - krzyknęła Portia. Swoim zachowaniem niechcący przypomniała Mary najgorszy okres w życiu. Po przepracowaniu siedmiu lat w Bristolu William stracił widoki na awans, kiedy najmłodsza siostra pastorowej przyczyniła się do rozwodu pewnego młodego arystokraty. O skandalu rozpisywały się wszystkie gazety od Bristolu po Edynburg. A był to tylko jeden z grzechów Ellie. - Nigdy nie zraniłabym ciebie, Williama ani dzieci.

• Tak, bo ci na to nie pozwolę - odparowała przyjaciółka. - Od tej chwili zabraniam ci kontaktów z panem Penningtonem, jego współnikiem... i Heleną Middleton.

Natychmiast zapomnisz o swoich szalonych planach.

- Nie mogę - zaprotestowała Portia.
- Owszem, możesz.
- Prosisz mnie, żebym zrezygnowała z ratowania własnej matki.
- Dbam o swoją rodzinę - oświadczyła Mary. - O rodzinę, której częścią byłaś przez osiem lat.
- Doceniam wszystko, co ty i William dla mnie zrobiliście, ale nie mogę wybierać między wami i matką - powiedziała Portia zdławionym głosem.
- Musisz. Istnieje wyłącznie dobro albo zło. Musisz dokonać wyboru między rodziną, którą masz teraz, a wyimaginowaną, która istnieje tylko w twojej głowie - stwierdziła rzeczowo Mary. - Mam zbyt wiele do stracenia, żeby pozwolić ci wkroczyć na niebezpieczny grunt. Ryzyko jest zbyt duże.
- Będę ostrożniejsza - zapewniła cicho Portia. - Masz prawo się na mnie gniewać za to, że poszłam do biura Penningtona. Obiecuję, że nigdy więcej się z nim nie zobaczę, jeśli chcesz. Natomiast Helena Middleton...
- Przestań! - Mary potrząsnęła głową. - Rozmawiałam wczoraj z Williamem. Jest pewien, że admirał Middleton zemści się na każdym, kto wykradnie mu córkę. Uważa, że twój plan to szaleństwo. Zaproponował nawet, żebyśmy wysłali cię do Nowej Szkocji. Przez jakiś rok pomieszkałabyś z jego rodzicami i zapomniała o wszystkim.
- Wysłuchaj mnie, proszę. Nie możesz mnie odesłać.
- Decyzja nie należy do ciebie. Po tym, czego byłam dziś świadkiem, muszę przyznać mężowi rację.

Przyjaciółki przez dłuższą chwilę mierzyły się wzrokiem. Nie słuchały się nawzajem ani nie potrafiły zrozumieć. Zegar na Old South wybił godzinę. Long Wharf i reszta portu tętniły życiem. Statek handlowy właśnie mijał Castle Island. Za wyspą zaczynał się wielki nieznany świat.

Ruch uliczny, ludzie, nawet twarz Mary zniknęły, kiedy Portia pomyślała o tym, co ją czekało. Mimo sieroctwa nigdy nie groziło jej prawdziwe niebezpieczeństwo. Od opuszczenia szkoły lady Primrose należała do rodziny, w której o nią dbano i doceniano jej wysiłki. Teraz w jej serce wkradł się strach.

Zastanawiała się, czy ma dość siły, żeby porzucić dotychczasowe życie. Gdyby jej się nie

udało...

Minęła je jakaś kobieta. Jej spódnicy trzymała się dziewczynka. Spojrzenie małej pomogło Portii w powzięciu decyzji.

- Zamierzam skorzystać z nadarzającej się okazji i dziś w południe spotkać się z Heleną - oznajmiła.

Na twarzy Mary odmalowało się rozczarowanie. Jej rysy stwardniały.

- Zabraniam ci - wykrztusiła.

Portia mruganiem odpędziła łzy.

- Mam zabrać swoje rzeczy przed wizytą na Copp Hill czy po powrocie? - spytała.

- Wołałabym, żebyś opuściła mój dom, zanim pojedziesz na North End.

Po tych słowach Mary odwróciła się i poszła dalej sama.

Po zamknięciu drzwi Pierce wyjął mapy i księgi okrętowe z tajnego schowka w ścianie i rozłożył je na biurku. Seanowi kazał odprawiać niezapowiedzianych gości i przystąpił do narady z Muirem. Nie chcieli, żeby spotkanie z admirałem Middletonem pokrzyżowało ich plany na nadchodzące dwa tygodnie.

Trzy miesiące wcześniej na Narragansett Bay pojawił się brytyjski kuter celniczy *Gaspee*. Jego obecność okazała się bardzo uciążliwa dla mieszkańców kolonii, niemal bez wyjątku zamieszanych w przemyt, zwłaszcza że kapitan budził ogólną niechęć gorliwym wykonywaniem obowiązków.

Przez dwie ostatnie noce Nathaniel zajmował się przygotowaniem na Rhode Island. W następnym tygodniu osławiony MacHeath miał zwabić *Gaspee* na mieliznę na Narragansett Bay. Dokończenia dzieła podjęła się grupa prominentnych obywateli Providence, z którymi od dłuższego czasu przygotowywano tę akcję.

Minęła godzina, zanim Pierce uznał, że dopracowali wszystkie szczegóły, i złożył mapy.

• Jakie alibi zapewniłeś sobie na wczorajszą noc? - spytał.

• Byłem gościem na balu wydanym przez gubernatora Rhode Island - odparł Nathaniel.

Pennington uniósł brew.

- Świątowałem urodziny króla z takim samym zapałem jak ty - oświadczył Muir. - I założę się, że zostałem na balu dużej niż ty u admirała. Ważne, że gubernator i ja odbyliśmy miłą pogawędkę o zaletach dobrej whisky. W razie potrzeby Wanton potwierdzi, że ze mną rozmawiał. Napomknąłem również, że jeszcze tej samej nocy jadę

do Bostonu, więc moje wcześniejsze wyjście jest usprawiedliwione.

Pierce schował mapy i książki do kryjówki w ścianie.

- Spodziewam się, że Middleton poruszy z nami te same kwestie co z innymi zaproszonymi.
- Mam złe przeczucia - wyznał Muir.
- Dlaczego?
- Sam nie wiem. Chodzi o moment. Nasz statek czeka na redzie na miejsce przy nabrzeżu. Oslawiony łotr MacHeath był bardziej aktywny przez ostatnie dwa tygodnie niż przez cały zeszły rok. - Nathaniel podniósł z dywanu jakiś mały przedmiot i obejrzał go z bliska. - Może to tylko wyobraźnia, ale coś mnie niepokoi.
- Zaprosił nas obu, co uważam za dobry znak - stwierdził Pennington. - Najwyraźniej chodzi mu o interesy, a nie o konkretne osoby. Tak samo potraktował innych właścicieli statków.
- Czas pokaże, przyjacielu. W każdym razie musimy być ostrożni.

Zainteresowanie Nathaniela znalezionym drobiazgiem wzbudziło ciekawość Pierce'a. Zirytował się jednak, kiedy zobaczył, że to szpilka do kapelusza.

- Oto kolejny powód, żeby już wyruszyć na Copp Hill -powiedział Nathaniel, zerkając na zegarek kieszonkowy. -Myślisz, że panna Edwards będzie miała coś przeciwko temu, jeśli zajadę po nią wcześniej, niż się umówiliśmy?
- Myślę, że tak - odparł Pennington, wyjmując szpilkę z ręki przyjaciela. Gdy się ukłął, Muir nie zdołał ukryć złośliwego uśmiechu. - Ale nie musisz po nią zajeżdżać. Ja to zrobię.
- Doprawdy, Pierce, nalegam.
- Zapewniam cię, że wolałbyś nie przekonać się na własnej skórze, w jakie kłopoty zdolna jest wpędzić człowieka panna Edwards. I zdecydowanie nie chciał byś wiedzieć, dlaczego tak jej zależy na powrocie do rezydencji, z której zeszłej nocy uciekła ścigana przez służących. Lepiej ja się nią zajmę.

Nathaniel odchylił się na oparcie krzesła i uśmiechnął szeroko.

- Jestem nią zafascynowany.
- Dla własnego dobra postaraj się Zapanować nad tą fascynacją - poradził Pierce. Wziął surdut z poręczy krzesła i ruszył do drzwi. - Spotkamy się na North End. Tylko się nie

spóźnij.

7

Portia nie miała czasu zastanawiać się nad tym, co dalej począć. Możliwości zresztą było niewiele. Ostatecznie zdecydowała się mieszkać nad apteką z czerwonej cegły przy School Street. Doktor Crease Młodszy, jak go nazywano - choć niewiele brakowało mu do siedemdziesiątki - wspomniał, że szuka lokatora, gdy Portia zaszła do niego po lekarstwo dla Mary. Na szczęście okazało się, że pokój nadal jest wolny. Doktor i jego żona byli zachwyceni, że to panna Edwards go wynajmie.

Wracając do domu przy Sudbury Street, Portia przygotowała się na gniew, łzy i emocje. Kiedy przywitała ją cisza, nie bardzo wiedziała, co robić. Zastała tylko Jozjasza. Staruszek wyglądał na szczerze zmartwionego.

- Pani Higgins poszła na spotkanie kółka dobroczynnego, a dzieci...
- Nie musisz nic mówić, Jozjaszu. Rozumiem. Ja tylko na chwilę.

Nogi miała jak z ołowiu, kiedy ruszyła w górę po wąskich, stromych schodach. Po raz pierwszy na myśl, że już nigdy nie zobaczy uśmiechniętych twarzy Ann i Waltera, że już nie będzie należeć do rodziny, że zostanie całkiem sama, zaczęła tracić odwagę. Dostrzegła mądrość w słowach Mary. Dla jakiejś mrzonki odwracała się plecami do ludzi, których kochała.

Mimo to szła dalej. Dotarłszy do swojego pokoju, położyła kuferek na łóżku i zaczęła się pakować. Niewiele te-go było: trzy suknie, płaszcz, trochę bielizny, parę książek, przybory do pisania i kilka pamiątek z lat spędzonych z dziećmi. Spojrzała na serduszko, które wyhaftowała dla niej mała Ann, i na muszelkę, którą Walter znalazł w porcie, kiedy opuszczali Anglię. Nie wiedziała, dokąd zmierza i co będzie robić, więc tych kilka cennych drobiazgów musiało wystarczyć, żeby podnosić ją na duchu.

W ostatniej chwili spakowała również rzeczy, które pożyczyła od Belli. Musiała je naprawić i oddać.

Udało się jej samodzielnie staszczyć kuferek na dół. Jozjasz sprawiał wrażenie zakłopotanego, kiedy dogonił ją przy drzwiach.

- Nie myślałem, że tak szybko panienka się uwinie, bo inaczej sam zniósłbym bagaże na dół.
- Lepiej, że ja to zrobiłam.

Staruszek popatrzył ze smutkiem na jej skromny dobytek.

- Mam trochę oszczędności. Jestem stary, już mi się nie przydadzą - powiedział cicho. - Byłbym szczęśliwy, gdyby...
- Dziękuję, Jozjaszu, poradzę sobie - zapewniła go Portia. - Udało mi się co nieco odłożyć przez te lata, a wiesz, że nie boję się pracy. Na pewno znajdę sobie jakąś posesję. - Podała mu nowy adres. - Pewien dżentelmen, pan Muir, ma przyjechać po mnie koło południa. Zaniosę walizkę do apteki i wrócę, ale jeśli zjawi się wcześniej, nie mów mu nic o zmianie mieszkania.
- Nigdy bym tego nie zrobił, panienko - uspokoił ją Jozjasz. Wyrzwał na ulicę. - Pozwoliłem sobie sprowadzić dorożkę. O, już jest. Pomogę panience.

Gdy chwilę później pojazd ruszył, Portia odwróciła się i spojrzała na plebanię. Stary sługa właśnie zamykał drzwi.

Pierce czekał w ciepłym słońcu, aż dwaj umorusani chłopcy zgonią stado krów z ulicy, przy której mieściła się plebania. Stangret Jack próbował ich popędzać, ale bezczelnie smarkacze tylko go wygwizdali i nadal spokojnie szli w stronę Common.

Gdy dotarli na miejsce, Portia właśnie pomagała staremu słudze wnieść walizkę do dorożki. Pennington natychmiast się zatrzymał. Panna Edwards nie zadała sobie trudu poprawienia fryzury. Jej ciemne loki lśniły w słońcu, tańczyły na lekkim wietrze. Przez chwilę Pierce tylko się na nią gapił. Doszedł do wniosku, że w prostym stroju, co do którego miał rano pewne obiekcje, Portia wygląda delikatnie i ładnie. Otrząsnął się, kiedy panna Edwards wsiadła do dorożki.

Przyjechał za wcześnie, choć sam odradzał to Nathanielowi. Wmówił sobie, że ma ważny powód. Zdążył trochę poznać Portię, dlatego wyczuł, że zanosi się na burzliwą rozmowę z żoną pastora. Przez niego. Postanowił więc to naprawić.

Patrząc, jak dorożka oddala się Sudbury Street, pogodził się z tym, że drogi jego i Portii będą się przecinać. Trudno. Panna Edwards interesowała go i jednocześnie irytowała. Był również piekielnie ciekawy, czego ta diablica szuka w rezydencji admirała.

Ruszył za nią, zachowując pewną odległość. Portia mogła ze stu powodów opuszczać dom Higginsów z walizką, ale nie chciał się ich domyślać. Miał jedynie nadzieję, że to nie on zawinił.

Budynek z czerwonej cegły na rogu School Street, przed którym zatrzymała się dorożka,

Pierce mijał dziesiątki razy. Teraz stanął kilka domów dalej. Na ulicy i chodnikach panował ożywiony ruch, więc Portia go nie zauważyła. Podziękowała woźnicy i skierowała się do apteki, taszcząc kuferek i nie zwracając uwagi na otoczenie. Otworzyła drzwi bez pukania. Wtedy Pierce poszedł za nią, zostawiając Jacka przy koniach. Panna Edwards zniknęła w środku.

Pennington czekał pod apteką przez kilka minut, niepewny, co robić. Zastanawiał się, czy nie wejść, ale nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Portia, już bez walizki. Zaskoczona jego widokiem pospiesznie wytarła zaczerwienione oczy i mokre policzki. Płakała.

- Co się stało?

Panna Edwards zlekceważyła pytanie.

- Co pan tutaj robi, panie Pennington?
- Mógłbym o to samo zapytać panią.
- Ja... - Zająknęła się. - Mieszkam tutaj. Pierce spojrział na budynek.
- Nie ten adres podała pani Nathanielowi. I to nie jest dom, pod który wczoraj zawiózł panią mój stangret.
- Ludzie się przeprowadzają, sytuacje zmieniają. - Portia nadal unikała jego wzroku. Patrzyła na ulicę. - Przepraszam, ale muszę dotrzeć na plebanię w ciągu piętnastu minut, bo tam się umówiłam z pańskim przyjacielem. - Ukłoniła się i pomaszerowała przed siebie.

Pennington ją dogonił.

- Czyżby sytuacja się zmieniła, odkąd pani wyszła z mojego biura?
- Nie sądzę, żeby to była pańska sprawa - rzuciła panna Edwards.
- Odniosłem wrażenie, że pani Higgins była wzburzona pani wizytą w moim gabinecie. Stąd przeprowadzka?
- Proszę wybaczyć, ale muszę...
- Moja bryczka czeka - przerwał jej Pierce. - Zawiozę panią wszędzie, gdzie pani sobie życzy.

Portia się zawahała, ale Pennington wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę pojazdu.

- Pan wydaje polecenia, zamiast uprzejmie składać propozycje - stwierdziła panna Edwards krytycznym tonem.

- Nigdy nie siłę się na kurtuazję wobec osób, które mówią nieprawdę - odparował Pierce.
- Zarzuca mi pan kłamstwo?
- Raczej ukrywanie prawdy.

Portia grzecznie skinęła głową Jackowi, ale gdy tylko wsiadła do powozu, spojrzała na Penningtona z marsową miną.

- Skoro ma pan o mnie taką złą opinię, nie rozumiem, dlaczego upiera się pan, żeby mnie podwieźć. I nie wiem, dlaczego pan mnie śledzi, bo inaczej nie można wyjaśnić pańskiej obecności pod apteką.
- Może chciałem kupić lekarstwa. - Pierce ujął wodze i popędził konie.
- Doprawdy? Nie sądzę, żeby istniał lek na pańską chorobę.

- Chorobę? - Pennington się uśmiechnął. - Jaka?

Portia obejrzała się przez ramię.

- Jedzie pan w złą stronę. Powinien pan skręcić w lewo na ostatnim skrzyżowaniu.
- Zawiozę panią na Copp Hill - uspokoił ją Pierce.
- A co z pańskim przyjacielem?
- Został uprzedzony. Ja go zastępuję. No więc, co z tą moją chorobą, panno Edwards?

Portia rozejrzała się niepewnie.

- Nie jestem lekarzem - bąknęła.
- Mimo to ciekawi mnie pani opinia.
- Nie sądzę, żeby zdołał pan ją znieść - ostrzegła panna Edwards.

Jestem silniejszy, niż się pani wydaje. - Pierce z zadowoleniem stwierdził, że jej oczy odzyskały blask. Wiatr rozwiewał czarne włosy. Wyglądała bardzo kusząco. - To może być dla pani jedyna szansa, żeby bezkarnie mnie znieważyć,

- Dobrze. - Portia odsunęła się od niego jak najdalej i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. - Pański problem to nieufność.

- Istotnie, ale ta cecha ujawnia się tylko w stosunkach z obcymi ludźmi - rzekł Pennington. - Szczerze mówiąc, uważam ostrożność za przejaw rozsądku.
- Jest pan również tyranem - zarzuciła panna Edwards.
- Kolejna pozytywna cecha - skwitował Pierce. - Rządy łaskawego despoty są najskuteczniejsze.

- Na gwałtowny charakter też zapewne pan ma jakieś usprawiedliwienie.
- Jack chyba by się z panią zgodził w kwestii mojego charakteru - przyznał Pennington i odgarnął z jej oczu niesforny kosmyk, miękki jak jedwab. Niechętnie zabrał rękę. - Ale wtedy sama mnie pani sprowokowała.

Portia zerknęła na niego z ukosa.

- Do tego wszystkiego dochodzi pański brak zdecydowania.
- Jak to? - zdziwił się Pierce.
- Mówi pan, że więcej nie chce mnie widzieć, a kiedy znowu się spotykamy, traktuje mnie pan jak dawno nie-widziany przyjaciel. Najpierw robi pan gniewne miny, łypie na mnie groźnie, twierdzi, że sprawiam kłopoty, a kilka godzin później czeka pan pod moimi drzwiami i jest całkiem miły. - Nachyliła się i położyła dłoń na rękawie jego surduta. - Więc jak to jest, panie Pennington? Zdecyduje się pan wreszcie?

Pierce zmierzył ją wzrokiem. Nie była próżna ani wyzywająca jak wiele kobiet, które uganiały się za nim, odkąd przybył do Bostonu. Nie była pretensjonalna ani dziecinna jak te, które szukały mężów. Nie należała do skończonych piękności ani nie ubierała się modnie. Nie interesowała jej przynależność do bostońskiego *beau monde*, odpowiednika londyńskiego, w którym obracała się Emma.

Z pewnością nie była ulepiona z tej samej gliny co kobiety, z którymi do tej pory miał do czynienia. Mimo to budziła w nim wyjątkowo silne emocje. Pragnął jej jak żadnej innej. Fizyczna reakcja na jej bliskość wprawiała go w zakłopotanie.

- Widziałem, do czego jest pani zdolna, ale mimo to pani mnie fascynuje - rzekł w końcu. - Zaryzykuję więc opinię niezdecydowanego i wyznam szczerze, że nie wiem, co o pani sądzić... Na razie.

Nie wydeła ust ani nie zrobiła rozczarowanej miny. Po prawdzie, niezbyt się przejęła jego słowami. Wzruszyła ramionami i rozejrzała się po okolicy.

- Chce pan mi pokazać kolejną część Bostonu, której jeszcze nie widziałam? - spytała.
- Nie. Następną wycieczkę zachowam na ciemne godziny nocy, kiedy jest pani bezradna i mogę panią wykorzystać.
- Nigdy więcej nie dopuszczę do takiej sytuacji jak wczorajsza - zapowiedziała Portia, niespokojnie poprawiając się na siedzeniu.

Pierce zauważył, że nie wspomniała o dzisiejszej, kiedy omal nie posiadł jej na biurku.

Dobrze wiedzieć, czego panna Edwards się boi, a czego nie.

- Zabieram panią na North End, choć nie ma pewności, czy któryś ze sług admirała nie rozpozna pani jako włamywaczki, która wczoraj im uciekła.
- Nadal uważa mnie pan za przestępczynię - stwierdziła Portia. - W takim razie dlaczego, według pana, ryzykuję zdemaskowanie?
- Może nie znalazła pani tego, czego szukała.

- Znalazłam ją - wyszeptała panna Edwards.
Pierce spojrział na nią zaintrygowany.

- Przyczyną całego zamieszania jest kobieta? - spytał.
Portia zaniemówiła po raz pierwszy, odkąd ją poznał. Odwróciła głowę i całą uwagę skupiła na mijanych widokach.

- Kim ona jest? - ponaglił ją Pennington.
- Już za dużo powiedziałam. Proszę o tym zapomnieć. Pierce'owi przyszło do głowy wiele możliwości, a każda bardziej szalona. Zatrzymał bryczkę na małym wzniesieniu. W dole po prawej stronie płynął Mill Creek.
- Nie pojedziemy dalej, póki pani mi nie wyjaśni, o co tu chodzi.
- Więc wysiądę.

Pennington chwycił ją za ramię i zatrzymał.

- Dlaczego nie może być pani ze mną szczerą?
Panna Edwards spojrziała na niego dopiero po dłuższej chwili.

- Mary... pani Higgins radziła mi wczoraj, żebym wyznała panu prawdę i poprosiła o pomoc. Właśnie to zamierzałam zrobić dziś rano, ale wszystko zepsułam i na dodatek straciłam jej zaufanie.

Pierce nie przerywał Portii, obserwował ją tylko w milczeniu.

- Wczoraj uciekałam, bo niechący przeraziłam córkę admirała. Postanowiłam wrócić tam dzisiaj, żeby się z nią spotkać. Mam nadzieję, że za dnia będzie mi łatwiej z nią porozmawiać.

Pennington wiedział o córce admirała tylko dwie rzeczy: że jest obłąkana i od dłuższego czasu przebywa w zamknięciu.

- Dlaczego tak bardzo pani zależy na tym spotkaniu?
- Bo podejrzewam, że Helena Middleton jest moją matką - wyszeptała Portia.

• Czyli pani byłaby wnuczką Middletona?

On nigdy się do tego nie przyzna. Jestem nieślubnym dzieckiem. Lepiej, żeby nie dowiedział się o moim istnieniu. Sądzę, że gdyby odkrył, co zamierzam zrobić, wysłałby mnie na koniec świata, żeby zapobiec skandalowi.

I panna Edwards opowiedziała mu o swoim dotychczasowym życiu, o lady Primrose i rodzinie Higginsów, Pierce słuchał jej uważnie.

- Pokrewieństwo z Heleną Middleton to oczywiście tylko mój domysł, ale nigdy nie poznam prawdy, jeśli nie spróbuję porozmawiać z nią osobiście. Dlatego przyjąłem zaproszenie kapitana Turnera na wczorajszy bal. I dlatego przyszedłem dziś rano do pańskiego biura. Miałam nadzieję, że pomoże mi pan dostać się do domu admirała.

Pennington pomyślał o konsekwencjach takiego postępowania i wcale mu się one nie spodobały. Nie mógł ściągać na siebie uwagi. Nie chciał z powodu błahej w jego przekonaniu sprawy robić sobie wroga z człowieka tak potężnego jak Middleton.

- Zona pastora Higginsa uznała, że mogę pani pomóc? - spytał.

Portia pokiwała głową.

• Doszła do wniosku, że pańskie koneksje otworzą każ-de drzwi. I miała rację. Nie liczyłam na taką gratkę jak dzisiejsze zaproszenie.

• Więc niczego pani nie zostawiła na Copp Hill?

• Oczywiście, że zostawiłam. Mam powody, żeby tam wrócić. Proszę, panie Pennington.

- Panna Edwards położyła dłoń na jego ręce. - Nie zamierzam nikogo skrzywdzić. Nie będę stawiać żądań. Nie zrobię sceny. Nikogo nie zdenerwuję. Chcę jedynie poznać prawdę o moim pochodzeniu. Czy mógłby pan zdobyć się na to, żeby mi pomóc?

Pierce spojrział na Mill Creek, a potem na maszty statków widoczne na wschodzie.

Następnie przeniósł wzrok na most prowadzący do North End.

- Zdecydowanie nie, panno Edwards.

8

W rezydencji Middletona nie czekała na nią gromada sług, wartownicy przy bramie też jej nie zatrzymali. Najwyraźniej Pennington i Muir byli jedynymi gośćmi admirała; chłopiec stajenny właśnie prowadził do stajni wspaniałego wierzchowca Nathaniela. Portia miałaby doskonałą okazję, żeby przeprowadzić swój plan, gdyby nie siedzący obok niej potwór w przebraniu dżentelmena.

- To naprawdę śmieszne, panie Pennington. Admirał Middleton na pewno się dziwi, że nie wysiada pan z powozu. - Mówiła całkiem spokojnie. - Powiedziałam, że zgadzam się z pańską decyzją. Zaczekam tutaj, aż Jack wróci z moim szalem. Potem odwiezie mnie do domu.

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. W czasie jazdy Pennington był tak samo głuchy na wszelkie jej prośby. Osiągnęła jedynie tyle, że pozwolił jej odzyskać pożyczony szal.

Teraz siedział z poirytowaną miną i patrzył na drzwi, za którymi kilka minut temu zniknął jego stangret.

- Mniejsza o śmieszność - ciągnęła Portia, patrząc na jego zaciśnięte szczęki. - Gospodarz może uznać pańskie zachowanie za niegrzeczne, co zaszkodzi pańskim stosunkom z przedstawicielem Korony. A pan Muir czeka w środku i się zamartwia. Pewnie nawet nie wie, że pan już przyjechał. Powinien pan nauczyć się ufać ludziom, panie Pennington. Nie rozumiem, dlaczego pan myśli, że zrobię coś, co panu zaszkodzi. Pennington łypnął na nią z taką marsową miną, że Portia niespokojnie poprawiła się na siedzeniu. Jego palce zacisnęły się na jej nadgarstku jak imadło.

- Jest Jack - powiedział.

Portia doznała rozczarowania, kiedy zobaczyła szal Belli przewieszony przez ramię stangreta.

- Teraz proszę, żeby okazała mi pani wdzięczność, nie sprawiając kłopotów mojemu słudze.

A czy miała wybór?

- Oczywiście - zapewniła miłym tonem i odetchnęła z ulgą, kiedy puścił jej rękę i wysiadł z powozu.

Kiedy Jack zajął miejsce obok niej, Portia podziękowała mu za przyniesienie zguby i starannie złożyła szal.

Pennington nie pożegnał jej, tylko udzielił słudze szczegółowych wskazówek, gdzie ma ją zawieźć.

Portia pomachała mu z uśmiechem, ale on w odpowiedzi jedynie potrząsnął głową. Gdy powóz ruszył, obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Pennington stoi w miejscu i odprowadza ich wzrokiem.

Kiedy przesłonił go żywopłot, Portia spojrzała na mostek, przy którym zeszłej nocy

przegrała wyścig. Brama rezydencji znajdowała się daleko.

Jeszcze nie wszystko było stracone.

- Działalność kolonistów w Bostonie i okolicy przekroczyła granice protestu zgodnego z prawem, panie Pennington. Milicje z Quincy, Milton, Lexington, Concord, Salem, Cambridge i kilkunastu pobliskich wsi ćwiczą na błoniach, otwarcie mówi się o zbrojnym konflikcie z armią jego królewskiej mości.

Pierce odsunął herbatę i spojrzał na pomarszczoną twarz Middletona, który nadal mówił o groźbie i konsekwencjach buntu. Nie usłyszał nic nowego. Po prawdzie, jego wiedza była bardziej szczegółowa i dokładna niż ogólniki, którymi dzielił się z nimi admirał.

Wysokie okna były otwarte. Z ogrodu różanego napływało ciepłe powietrze i woń kwiatów. Widok soczystych trawników rozpraszał. Pierce zerknął na przyjaciela. Nathaniel również sprawiał wrażenie znudzonego. Przyglądał się wzorowi na filiżance z chińskiej porcelany, którą trzymał w ręce. Kapitan Turner siedzący po prawej stronie admirała, plecami do okien, milczał i tylko czasami posłusznie kiwał głową, kiedy zwierzchnik na niego patrzył.

- Wiemy dużo o ugrupowaniach buntowników z South End i North End. Znamy ich przywódców. Łudzą się, że wzniecając zamieszki, skłonią gubernatora Hutchinsona, żeby przestał egzekwować prawo ustanowione przez parlament. Myślą, że nie kupując herbaty czy innych brytyjskich towarów i maszerując po błoniach, zmuszą nas do spełnienia ich żądań. Cóż, wojsko jego królewskiej mości nie odwróci się plecami do wiernych poddanych z Bostonu. Przyrzekliśmy chronić Koronę i Brytyjczyków, więc dotrzymamy przysięgi.

Pierce skrzyżował ramiona na piersi.

- Dlaczego nie zrobicie oblawy na tych przywódców, admirał? - zapytał.
- Zrobimy, kiedy przyjdzie pora, bo wiemy, kim są. -Middleton odchrząknął. - Ten drań Samuel Adams i jego brat John, James Otis, Warren, Quincy i reszta wywrotowców z klubu Long Room podburzają motłoch. I przy-sięgam, że powieszę tego psa Ebenezera Mackintosha.
- Ebenezer, mówi pan? - włączył się Nathaniel z nagłym zainteresowaniem.
- Zna go pan? - spytał czujnie kapitan Turner, po raz pierwszy zabierając głos.
- Owszem. Ten człowiek szyje mi buty - odparł Muir, wstając od stołu i pokazując buty

do konnej jazdy. - Cholernie dobry szewc. Nie wiem, co z pozostałymi, admirale, ale nie chciałbym, żeby powiesił pan dobrego fachowca.

- Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż pańskie bu-ty, panie Muir - zirytował się Middleton. - A kiedy zbierzemy potrzebne dowody, pański szewc zapłaci za swoje zdradzieckie działania.

- Nic nie wiem o żadnej zdradzie, sir - odrzekł Nathaniel. - Te sprawy niewiele mnie obchodzą... chyba że w grę wchodzi moje interesy. Ale muszę panu powiedzieć, że piekielnie trudno jest znaleźć dobre buty w Bostonie.

- Panie Muir...

- Jak pan widzi, admirale, mój wspólnik niezbyt interesuje się polityką - wtrącił Pierce. - Lecz jako kupcy i właściciele statków doceniamy pańskie wysiłki, żeby utrzymać spokój w Bostonie. A teraz przejdźmy do rzeczy. Dlaczego pan nas tutaj zaprosił?

Gospodarz nachylił się i położył pięści na stole.

- Z powodu tego typu MacHeatha.

- MacHeatha? - powtórzył Nathaniel. - To postać ze sztuki.

- Istotnie, panie Muir - zgodził się admirał. - Ale również lajdak z krwi i kości, najemnik i zdrajca Korony.

- Co pan ma na myśli?

- Osobnik używający pseudonimu MacHeath dostarcza za pośrednictwem tak zwanych Synów Wolności broń i amunicję tutejszym milicjom. Szmugluje ją do...

Pierce nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wstał z krzesła. Przez ogród, między krzewami róż, biegła pan-na Edwards. Za nią pędził Jack.

- Chce pan coś powiedzieć, panie Pennington? - spytał kapitan Turner.

Pierce zignorował go i spojrzał na Middletona. Na twarzy gospodarza malowało się zaniepokojenie.

- Przepraszam, sir, ale odezwała się stara rana. Nie mogę zbyt długo siedzieć w jednej pozycji. Ma pan coś przeciwko temu, żeby się rozruszał?

- Oczywiście, że nie.

- Proszę mówić dalej - rzekł Pierce, podchodząc do ko-minka i opierając się o marmurowy gzyms.

Z tego miejsca doskonale widział, co dzieje się w ogrodzie. Jack był bez szans. Portia właśnie ukryła się za altanką, a stangret minął ją biegiem.

- Ta historia z MacHeathem to prawda czy legendy wymyślane przez bostończyków? - zapytał Nathaniel.

- To są fakty, sir - odparł admirał. - MacHeath od miesięcy szmugluje broń. Uważamy, że sprowadza ją z Francji przez holenderską wyspę St. Eustatius na Karaibach i rozdaje milicjom w całym kraju.

Pierce zobaczył, że Jack skręca w złym kierunku i znika za drzewami, a Portia wychodzi z kryjówki i biegnie szybko w stronę domu.

- Ale co to ma wspólnego z nami, admirale? - zainteresował się Muir.
- Muszę znaleźć tego MacHeatha i powstrzymać napływ broni do... do ludzi, którzy mogliby zbuntować się przeciwko władzom w Bostonie.

Pierce podchwycił spojrzenie przyjaciela i niechętnie włączył się do rozmowy.

- I zależy panu na naszej pomocy?
- Właśnie, panie Pennington - potwierdził gospodarz. - Imponująca służba wojskowa pańskiego brata świadczy o wierności całej rodziny wobec Korony. Istotne są również pańskie koneksje i rodzaj interesów, które pan prowadzi. Już od jakiegoś czasu zamierzałem zwrócić się do pana o pomoc, ale gubernator Hutchinson uznał, że trzeba poczekać na ostateczne decyzje w związku z pańskim bratem.
- Moim bratem? - zdziwił się Pierce.
- Tak. Kapitanem Penningtonem.

Przez ostatni rok Pierce korespondował z Davidem jeszcze rzadziej niż z Lyonem, a właściwie wcale. Nie zamierzał jednak przyznać się do tego przy obcych.

- Kapitan Pennington został przeniesiony z Irlandii do Bostonu i wkrótce tu przybędzie - poinformował go admirał. - Przy współpracy panów, i oczywiście pana Muira, z pewnością szybko dopadniemy tego MacHeatha.

Pierce nie chciał teraz myśleć o komplikacjach, które niewątpliwie spowoduje przyjazd Davida.

- Nie widzę potrzeby, żeby czekać na mojego brata, admirale - oświadczył. - Co możemy zrobić teraz?
- Świetnie - rzekł Middleton z wyraźnym zadowoleniem. - Musimy zebrać jak najwięcej

informacji. Sądzymy, że łotr sprowadza broń bezpośrednio do Bostonu, bo obserwujemy wszystkie statki i łodzie od Plymouth do Salem. Chcemy się dowiedzieć, jak MacHeath szmugluje ładunki i jak dostarcza je w głąb kraju. Nasi strażnicy sprawdzają każdy wóz i furę opuszczające miasto. Obaj panowie znacie tutejszych kupców i przewoźników.

- Więc interesuje was jedynie widmowy MacHeath, a nie planowane demonstracje czy to, co się dzieje w New-port albo w Nowym Jorku? - zapytał Nathaniel.
- Oczywiście przyda się nam wszystko, czego panowie zdołacie się dowiedzieć...

Podczas gdy admirał mówił dalej, Pierce odszedł od kominka i stanął przy swoim krześle, patrząc za okno. Frustracja, która go ogarnęła, nie miała nic wspólnego z przyjazdem Davida ani z przeświadczeniem Middletona, że obaj z Nathanielem są dostatecznie podli, by zostać informatorami i szpiegami.

Jego frustracja wynikała z tego, że panna Edwards w biały dzień wdrapywała się na drzewo.

Z konaru gruszy Portia zajrzała do sypialni matki. Okna były otwarte, zasłony rozsunięte, lecz nie zobaczyła Heleny w środku. Może leżała w łóżku albo siedziała w fotelu. Możliwe również, że opuściła pokój. Albo po ostatnim incydencie przeniesiono ją do innego. Portia nie Znała rozkładu całego domu. Sprzątaczką, której zapłaciła za informacje, pracowała w innym skrzydle rezydencji.

Ale Portia musiała jakoś dostać się do środka, i to dzisiaj. Lepsza okazja mogła się jej nie trafić.

Nagle ze żwirowej ścieżki prowadzącej z innej części ogrodu dobiegły głosy. Częściowo zakryta przez listowie Portia rozejrzała się za Jackiem. Nie chciała, żeby przez nią wpadł w tarapaty. I tak miała wyrzuty sumienia, że go przeraziła, wyskakując z powozu, kiedy zwolnił przed mostem. Na szczęście nigdzie nie było go widać. Dwie służące szły wolno w stronę domu.

- Nigdy jej takiej nie widziałam. Nie przyjęła lekarstwa, wydawała polecenia.

Portia wstrzymała oddech, gdy kobiety przechodziły pod drzewem.

- Właśnie tak powinna się zachowywać dama. Ci szarlatani wlewają w biedaczkę Bóg wie co, więc trudno ją winić za różne dziwactwa.
- Pani Green zdrowo nas zbeszta, kiedy się dowie, że zostawiłyśmy pannę Helenę samą w ogrodzie - powiedziała z niepokojem pierwsza służąca, oglądając się za siebie.

- Trudno. Przecież biedaczka nigdzie nie pójdzie. Przynajmniej będzie szczęśliwa, że przez chwilę jest sama. A jęcza...

Kiedy głosy ucichły w oddali, Portia zeszła z drzewa. Ubranie miała pokryte korą i gałązkami, włosy splecione, ale nie martwiła się, co matka pomyśli o jej wyglądzie. Pospieszyła ścieżką.

Słońce świeciło jasno, dzień był ciepły i piękny. Portia zatrzymała się u wejścia do zamkniętego ogrodu, chłonąc sielski widok.

Helena miała na sobie białą suknię i szal błękitny jak niebo. Jej złote włosy były zebrane do góry. Siedziała na kamiennej ławce pod żywopłotem. Wokół niej pyszniły się kolorami fioletowe, czerwone i żółte kwiaty. Nie czytała, nie malowała ani nie szkicowała, tylko patrzyła na białe chmury znaczące horyzont.

Portia stała jak wmurowana. Na dłuższą chwilę zapomniała o swoich planach. Przez całe lata oglądała miniaturową podobiznę w medalionie. Teraz, mając przed sobą żywą osobę, nie wiedziała, od czego zacząć, jak wyrazić uczucia, co zrobić.

Gdy Helena odwróciła twarz, Portia stwierdziła, że dzisiaj bardziej przypomina kobietę z portretu niż wczorajszej nocy. Ze zdumieniem rozpoznała przedmiot, który matka trzymała na kolanach. To była jej maska.

Myśl, że czas nagli, pchnęła Portię do działania.

- Dzień dobry - powiedziała cicho, wchodząc do ogrodu. Helena drgnęła gwałtownie, ale tym razem nie krzyknęła. Maska spadła na ziemię u jej stóp.

- Nie chciałam pani przestraszyć. Nazywam się Portia Edwards. - Nie zrobiła kroku w jej stronę.

Helena zaczęła drżącymi rękami szukać czegoś na kamiennej ławce. Portia zrozumiała, że matka nie widzi.

- Mogę pani pomóc?

• Tak - wyszeptwała w końcu Helena. - Zgubiłam coś ważnego... maskę.

Żaden z rozmówców nie wspomniał o ślepcie córki admirała. Nawet doktor Deming. Minęła chwila, nim Portia otrząsnęła się z zaskoczenia.

Jej serce waliło tak szybko, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Gardło było ściśnięte.

- Jest pani ze służby?

- Nie, milady - wykrztusiła Portia.

- Więc co pani tutaj robi?

- Przyszłam po zgubę.

Pokonanie krótkiego dystansu zabrało jej wieki. Portia uklękła przy ławce, podniosła maskę i oddała ją matce. Helena chwyciła ją za rękę.

- Była pani tutaj wczoraj w nocy? - spytała. - Tak. Helena przysunęła do niej twarz.

- To pani pukała do mojego okna?

- Tak. - Głos Portii brzmiał tak, jakby wydobywał się z głębokiej studni.

- Dlaczego pani to zrobiła?

Miały takie same oczy. O identycznym kolorze i kształcie.

- Musiałam panią poznać.

- Dlaczego?

Portia sięgnęła po medalionik zawieszony na szyi i dotknęła zimnym łańcuszkiem ręki matki.

- Noszę go przez całe życie. Podobno należał do mojej matki. To jedyny ślad mojego pochodzenia.

- Powiedziała pani, że nazywa się Edwards?

- Takie nazwisko mi dano.

Helena puściła jej rękę i dotknęła medalionu. Portia zdjęła go z szyi i podała matce. Helena obróciła go w dłoni, przesunęła palcem po wygrawerowanym napisie, otworzyła wieczko, namacała miniaturkę. Portia, która przez cały czas klęczała, nagle się przeraziła, że to wszystko może być wielką pomyłką.

- Ile pani ma lat? Portia podała swój wiek.

- Gdzie się pani wychowała?

- W Walii.

W kilku zdaniach opowiedziała historię swojego życia: dzieciństwo pod opieką lady Primrose, czas spędzony w rodzinie pastora Higginsa, przyjazd do Bostonu zeszłej jesieni. Na koniec wyjaśniła, jak dowiedziała się o Middletonach, i zrelacjonowała wydarzenia ostatniej nocy.

Helena zamknęła medalion, oddała go Portii i pociągnęła ją na ławkę obok siebie. Obie

przez dłuższą chwilę siedziały w milczeniu. W głowie Portii rodziły się wątpliwości, ale nie chciała dopuścić do siebie myśli, że padła ofiarą złudzeń, kłamstw albo zbiegów okoliczności. Gdy już sądziła, że dłużej nie wytrzyma napięcia, Helena przemówiła:

- Zgubiłam medalion tego samego dnia, kiedy zabrano mi dziecko - wyszeptała. - Nie dano mi nawet potrzymać jej na rękach ani wybrać imienia. Powiedziano, że umarła tuż po urodzeniu.

Kiedy Portia ujrzała łzy w jej oczach, nie zdołała zapanować nad emocjami. Z jej gardła wyrwał się szloch. Matka wzięła ją w ramiona.

- Czy istnieje szansa, że to wszystko nie jest jakąś głupią mrzonką? - zapytała Portia urywanym głosem. - Czy to możliwe, że ja byłam tym dzieckiem?

Helena dotknęła jej twarzy, włosów, dłoni. Z bliska chyba trochę widziała.

- Zawsze marzyłam, że kiedyś wezmę cię w objęcia, ale nie sądziłam, że jeszcze w tym życiu.

Portia nie zdołała powstrzymać łez. Kiedy płakała, Helena znowu musnęła palcami jej twarz, jakby starała się zapamiętać to, czego nie mogły zobaczyć oczy.

•Tyle chciałabym ci powiedzieć, Portio, - Zawahała się. -Moja Portia! Wczoraj zawołałaś do mnie: „mamo”.

•Mamo.

Tuliły się przez jakiś czas, czerpiąc z siebie nawzajem siłę, tworząc nowy świat. Jedna odzyskała matkę, druga córkę. Nagle Helena się odsunęła.

•On znowu mi ciebie zabierze - szepnęła ze strachem. -Nie mogę dopuścić do tego, żeby poznali prawdę.

•Nikt nie widział, jak tutaj szłam. Admirał nie wie, kim jestem. Musimy zobaczyć się znowu.

Helena drgnęła na dźwięk kobiecego śmiechu, który dobiegł od strony alejki. Portia domyśliła się, że to wracają dwie służące, które niedawno przechodziły pod drzewem.

- Nie pozwalają mi opuszczać terenu posiadłości. - Matka ścisnęła jej dłoń. - Ale będę codziennie tutaj czekać, w tym samym miejscu. Musisz jeszcze mnie odwiedzić.

- To będzie trudne. Admirał nie przyjmuje zbyt wielu gości. Jeśli ktoś nie jest zaproszony, strażnicy przy bramie go nie wpuszczą. Spróbuję, ale nie wiem, kiedy uda mi się przyjść.

Helena wstała z ławki i pociągnęła Portię ze sobą.

- Zaczekaj! - wykrzyknęła nagle. - Mówisz po francusku?

- *Qui.*

- Doskonale. Poproszę o damę do towarzystwa, która mogłaby czytać mi francuską poezję. Zrobię to jeszcze dzisiaj. Zgłoś się po tę posadę. - Wcisnęła medalionik w rękę córki. - Idź już. Szybko, zanim cię tu znajdą.

Portia nie chciała puścić dłoni matki, przerażona, że jeśli teraz odejdzie, już nigdy jej nie zobaczy. Jak mogła się pożegnać, skoro dopiero ją odnalazła?

- A jeśli wybiorą kogoś innego? - spytała.

- Będę obrzydzała im życie, póki nie przyjmą osoby, której ja sobie zażyczę - oświadczyła Helena.

Kobiece głosy się zbliżały.

- Idź już, moje dziecko.

Portia po raz ostatni uścisnęła matkę i pobiegła zwirową ścieżką, zanim służące zjawily się po swoją panią.

9

Wydostanie się z rezydencji admirała Middletona okazało się łatwiejsze, niż Portia przypuszczała, bo Jack, prawdziwy dżentelmen, czekał na podjeździe. Łypnął na nią groźnie, ale zawiózł ją z powrotem na School Street. Podróż minęła szybko. Portia czuła ulgę, że Pennington jeszcze został u Middletona. Przez całą drogę milczała, rozmyślając o ostatnich wydarzeniach. Była bardzo podekscytowana.

Miała teraz misję do spełnienia. Zamierzała zrobić wszystko, żeby częściej widywać się z matką. Wykorzystać każdego, kto pomoże jej zdobyć posadę w domu admirała.

W swoim nowym mieszkaniu otworzyła walizkę i wzięła się do naprawiania pożyczonej sukni. Godzinę później dzwoniła do domu przyjaciółki. Bella przywitała ją z wielką radością. Niedawno była na plebanii i dowiedziała się o wyprowadzce Portii.

- Próbowałam wszelkich sposobów, ale Jozjasz, ten stary Cerber, nie chciał zdradzić mi ani słowem, gdzie się przeniósł. Długo czekałam na powrót pastora albo pani Higgins, ale w końcu musiałam wyjść.

Bella zaprowadziła Portię do salonu. Zabroniła służącej mówić komukolwiek o tej wizycie i dodała, że nie musi przynosić herbaty ani ciasteczek. Nie chciała, żeby im przeszkadzano.

Dwie młode kobiety poznały się jesienią, kiedy Higginsowie przybyli do Bostonu. Ojciec Belli, znany prawnik wykształcony na Harvardzie, był kuzynem ojca kapitana Turnera. Rodziny nie utrzymywały bliskich kontaktów, póki oficer nie zjawił się w mieście wraz ze sztabem admirała Middletona. Turnerowie należeli do parafii wielebnego Higginsa i właśnie w ten sposób zaczęła się znajomość. Choć Bella była jedynym, rozpieszczanym dzieckiem bogatych rodziców, Portia przekonała się, że dziewczyna nie ma w sobie ani krzty snobizmu. Mogła w niej jedynie drażnić młodzieńcza egzaltacja.

Opowiedz mi wszystko, Portio - zażądała, sadzając przyjaciółkę obok siebie. - Miałam nadzieję, że zjawisz się wczoraj, ale tego nie zrobiłaś, ty paskudna istoto. A dziś rano przyszedł do ojca mój okropny kuzyn. Naturalnie zarzuciłam go pytaniami. Powinnaś słyszeć, jak narzekał, że los jest zawsze przeciwko niemu. Podobno źle się poczułaś i wcześniej wyszłaś z balu. W południe wstąpiłam na plebanię, ale cię nie zastałam. Mów natychmiast, co się stało. Ciekawość mnie zabija.

Bella dopiero za miesiąc kończyła osiemnaście lat, dlatego rodzice nie pozwolili jej iść na bal u admirała. Była tym bardzo rozczarowana i uprzedziła Portię, że oczekuje od niej szczegółowej relacji o gościach, strojach i tańcach oraz najświeższych plotek, które mogą zainteresować debutantkę. Przykro mi, Bello, ale zgubiłam twoją maskę - oznajmiła Portia. - Suknia też ucierpiała, ale naprawiłam ją z grubsza. Gospodyni posłała jej mordercze spojrzenie.

- Nie obchodzi mnie suknia ani maska, ale zaraz cię uduszę, jeśli w tej chwili mi nie opowiesz, co się stało.
- Opuściłam plebanię i wynajęłam pokój nad apteką doktora Crease'a. Mam nadzieję, że wkrótce dostanę inną posadę.
- Ale to nie ma sensu! - wybuchnęła Bella. - Higginsowie zawsze uważali cię za członka rodziny. Jak przez jedną noc wszystko mogło się zmienić? Mów, Portio Edwards.

Zważywszy na to, że Portia zamierzała prosić przyjaciółkę o przysługę, nie miała innego wyjścia, jak spełnić jej życzenie.

- Ale tyle się wydarzyło.
- Zaczynj od początku. - Bella oparła się o poduszki.
- Poszłam na bal...
- To już wiem - przerwała jej gospodyni. - I jak było?
- Rezydencja admirała jest wspaniała. Na celebrowanie urodzin króla zaproszono co najmniej dwustu gości.

Portia opowiedziała o pięknych ogrodach i wielkiej sali balowej, o jedzeniu i napojach, o muzyce i wspaniałych sukniach. Nie omieszkała wspomnieć, że oficerowie w mundurach wyglądali imponująco. Ubarwiła relację, starając się zaspokoić ciekawość Belli.

Dziewczyna słuchała jej uważnie, z rozmarzonym uśmiechem na twarzy. Nagle spoważniała.

- Dlaczego źle się poczułaś? - zapytała.
- Cóż... ja... ja... - zaczęła się jąkać Portia. - Może przez poncz lub jakąś potrawę. Albo z podniecenia. W każdym razie w jednej chwili stałam w sali balowej, a w następnej

biegłam przez ogród...

- Kapitan Turner powiedział, że ktoś inny odwiózł cię do domu. - Bellę wyraźnie interesowała ta część wieczoru. - Ale nie zdradził, kim był ten tajemniczy rycerz. Niemal się zirytował, kiedy próbowałam go naciskać, co świadczy o tym, że twój adorator jest wyższy rangą od mojego kuzyna... i przystojniejszy.

Kiedy Portia wybuchnęła śmiechem, Bella nachyliła się do niej i szepnęła:

- Kim był ten dżentelmen i czego chciał w zamian? - Jej oczy się iskrzyły.
- Ależ, Bello! Czego ty się naczytałaś? Po prostu na niego wpadłam, dosłownie, a on z czystej życzliwości zaproponował, że odwiezie mnie do domu. Nic więcej.
- Nazwisko!

- Nie jest wojskowym, tylko właścicielem statków. To Szkot.

Bella niecierpliwie pociągnęła ją za ramię.

- Nazwisko! - powtórzyła.
- Pierce Pennington...
- Ach... On!

Westchnienie było długie i głębokie. Portia z rozbawieniem obserwowała przyjaciółkę. Nie pamiętała, żeby sama kiedykolwiek tak się zachowała na wzmiankę o mężczyźnie... nawet tak przystojnym. Ale potrafiła zrozumieć reakcję młodej dziewczyny.

- Widziałam go trzy razy - powiedziała Bella. - Niestety tylko z daleka. Pokazano mi go, kiedy przejeżdżałam obok Christ Church. A dwa razy jechał konno King Street. Czy jest z bliska równie przystojny?
- Nie wiem. Wczoraj zobaczyłam go po raz pierwszy.
- Ale jest przystojny - naciskała przyjaciółka.
- Istotnie można go tak określić - zgodziła się Portia.
- Wysoki?
- Owszem.
- Zachował się wobec ciebie jak dżentelmenem? - indagowała Bella.

Portia mogłaby wyprowadzić ją z błędu, ale powiedziała krótko:

- Oczywiście.

Po twarzy gospodyni przemknął marzycielski wyraz.

- Myślę, że jest cudowny. Podobno żadne przyjęcie w koloniach nie może się bez niego obejść. I nie ma dziewczyny w wieku odpowiednim do zamążpójścia, która nie marzyłaby o usidleniu pana Penningtona.

Portia zmierzyła ją wzrokiem.

- Skąd wiesz? I dlaczego aż do wczoraj nic o nim nie słyszałam?

Bella się roześmiała.

- Bo nie jesteś na rynku małżeńskim. A odkąd tu przyjechałaś, widzisz się tylko z Mary Higgins, małą Ann i ze mną. - Jej ton stał się poufały. - Gdybyś spotykała się z innymi młodymi kobietami, poznałabyś wiele opowieści o mężczyznach z Bostonu. Z doświadczenia wiem, że głównym tematem ich rozmów jest pan Pennington.

Portii nie obchodziły babskie pogaduszki. Nie zdołała się jednak powstrzymać.

• Jakich opowieści? - spytała.

• Chodzą słuchy, że pan Pennington nie szuka żony, o czym przekonały się kobiety, które próbowały go zdobyć. - Bella zerknęła na drzwi, by się upewnić, że są zamknięte. Następnie przysunęła się do Portii i ściszyła głos: - I niejedna przyznała się, że dzieliła z nim łóżko.

• Bello!

• Dodając, że chętnie zrobiłaby to jeszcze raz.

• Ależ, Bello!

- To było tak niebiańskie przeżycie, że...

Portia zerwała się z kanapy.

• Twoja matka obdarłaby cię ze skóry, gdyby usłyszała, co wygadujesz - rzuciła z oburzeniem.

• O ile pamiętam, słyszałam te zwierzenia w gronie jej znajomych - powiedziała Bella, chichocząc. - Dlatego zapytałam, czy traktował cię jak dżentelmen. Z drugiej strony, czy dla starej panny nie byłoby to cenne doświadczenie, gdyby okazał się zbyt zuchwały?

• Nawet stare panny muszą dbać o reputację, młoda damo - rzuciła Portia mentorskim tonem.

• Do diabła z reputacją.

Portia poczuła, że płoną jej uszy, gdy sobie uświadomiła, jak niewiele brakowało zeszłej

nocy, żeby miała co wspominać. Stałaby się kolejną chętną ofiarą uwodziciela, i to w pokoju z lustrem na suficie i kajdankami zawieszonymi na ścianie.

Podeszła do okna, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Sama nie wiesz, co mówisz. Ale teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego Mary tak się zdenerwowała dziś rano, kiedy zastała mnie w biurze pana Penningtona bez przyzwoitki.
- Poszłaś do jego biura? - Bella aż podskoczyła na kanapie.
- Tak. Żeby podziękować mu za uprzejmość - skłamała Portia. - Nie pomyślałam, że przebywanie przez kilka minut sam na sam z mężczyzną zostanie uznane za skandal. Mary była bardzo wzburzona.
- A co ona tam robiła? - zainteresowała się przyjaciółka.
- Chciała podziękować mu w moim imieniu - wyjaśniła Portia.
- Oczywiście wzięła ze sobą przyzwoitkę? - spytała Bella złośliwym tonem.
- Nie, ale nie było takiej potrzeby. Przecież jest mężatką.
- Sama mówiłaś, że w twoim wieku nie możesz liczyć na znalezienie męża. Ona również postąpiła niestosownie. Ale chyba nie kazała ci się wyprowadzić z tego powodu?

Portia wzruszyła ramionami.

- Nie ma znaczenia, jak to się stało. Zanosilo się na coś takiego od pewnego czasu. W miarę jak jej mąż stawał się znany w Bostonie, Mary coraz bardziej dbała o dobre imię rodziny. Moja impulsywna natura mogła zagrozić wiarygodności pastora. Dla dobra Higginsów powinnam pójść własną drogą.
- To tchórzliwe postępowanie - stwierdziła Bella. - Prawda, że jesteś spontaniczna i impulsywna, ale taką Portię wszyscy znają i kochają. A Mary Higgins jest sztywna, o czym wszyscy wiedzą. Lecz mimo różnicy charakterów przez wiele lat byłyście przyjaciółkami, niemal siostrami. W rodzinach rozmawia się o kłopotach i wspólnie się je rozwiązuje. Nie można zrywać więzów tylko z powodu jakiegoś nieporozumienia albo kłótni.

Portia usiadła na krześle. Nie mogła zdradzić Belli, że przedmiotem sporu były jej prawdziwe rodzinne więzi.

- Cóż, pozostałyśmy przy swoich decyzjach. Wiem, że Mary sama doskonale sobie poradzi z nauczaniem swoich dzieci. Albo znajdzie zastępstwo na moje miejsce. A pastor

Higgins jest tak zajęty, że nawet nie zauważył mojej nieobecności.

Bella zajęła krzesło naprzeciwko Portii.

- Nie mówię o posadach ani o obowiązkach. Jak Walter i Ann poradzą sobie bez ciebie? Jak ty będziesz się czuła sama na świecie?
- Będę strasznie tęsknić za Walterem i Ann - wyznała Portia. - Już za nimi tęsknię. Ale to nie ja dokonałam wyboru. Dzieci mają matkę i to jest dla nich najważniejsza więź na świecie. - Potrząsnęła głową, kiedy Bella chciała jej przerwać. - Dam sobie radę. Już wynajęłam pokój, a wkrótce znajdę posadę. Na pewno z czasem zostanę przyjęta z powrotem do rodziny, ale Mary i ja potrzebujemy separacji, żeby zmienić charakter naszych stosunków. Dzieli nas nie-wielka różnica wieku. Czas, żeby przestała odgrywać rolę mojej matki, podejmować za mnie wszystkie decyzje. Czas, żebym opuściła gniazdo, podążyła własną drogą.
- Ale dlaczego to musiało stać się tak nagle? Portia pokręciła głową.
- Kości zostały rzucone.
- Martwię się o ciebie - powiedziała Bella łagodnie.

- Niepotrzebnie. - Portia uśmiechnęła się z pewnością siebie. - Jeśli udowodnię, że potrafię być samodzielna, zyskam szacunek Mary. Zostaniemy przyjaciółkami. Może to wszystko wyjdzie nam na dobre.

Mówiła z przekonaniem. Od dnia kiedy pojawiła się u Higginsów, nie bardzo było wiadomo, jakie miejsce ma zająć w ich domu. Nie traktowano jej ani jak służącej, ani jak prawdziwego członka rodziny. Mary wzięła na siebie rolę opiekunki Portii, jakby dziewczyna nie była w stanie sama podejmować decyzji. Przez jej nadmierną troskliwość Portia straciła kilku adoratorów. Wszyscy byli ucziwie pracującymi mężczyznami, ale pastorka szybko ich zniechęciła. Uważała, że decyzji w sprawie tak ważnej jak małżeństwo nie można oddać w ręce osoby kierującej się młodzieńczymi impulsami. A taka była Portia. I choć dziewczyny tak naprawdę nie interesował żaden z zalotników, nie pozwolono jej wypowiedzieć się w tej kwestii. Nie miała o to żalu, bo zawsze była lojalna wobec przybranej rodziny i słuchała Mary.

Ciekawe, że nie ona najbardziej zaszkodziła Higginsom, tylko młodsza siostra Mary, Ellie. Szkody rzeczywiście były ogromne.

Teraz jednak Portia nie chciała płacić za błąd Ellie. Nie zrobiła nic złego. Jeśli Mary tego

nie rozumiała, jej strata.

Poza tym, znajdując Helenę, Portia określiła swoją przyszłość.

- Pozwolisz przynajmniej, żebym ci pomogła? - Pytanie Belli wyrwało ją z zamyślenia. -
Może zamieszkas u nas? Wiem, że mama i tata byliby zachwyceni...
- Naprawdę doceniam twoją propozycję, ale nie. - Portia potrząsnęła głową. - Mieszkanie nad apteką bardzo mi odpowiada. Mam ładny pokój, mogę korzystać z salonu i jeść posiłki z gospodarzami. Ale jest coś jeszcze...
- Co? Co?

Portia stłumiła wyrzuty sumienia, że wykorzystuje przyjaciółkę. Nie miała innego wyjścia.

- Słyszałam, że u Middletonów jest wolna posada. Szukają osoby biegłej we francuskim. Damy do towarzystwa, która będzie czytać poezje córce admirała.
- Szalonej Helenie? - zdziwiła się Bella. - Myślisz, że to bezpieczne?

Portia z trudem zwalczyła impuls, żeby stanąć w obronie matki.

- Chyba tak - powiedziała. - Ważne, że zarobiłabym na utrzymanie, a sama praca nie zapowiada się na uciążliwą i czasochłonną.

- I Mary ją pochwali - dodała przyjaciółka. Portia kiwnęła głową.
- Oczywiście to mogą być tylko plotki.
- Istnieje jeden sposób, żeby się przekonać. - Bella poklepała ją po kolanie. - Napiszę do kapitana Turnera liścik z prośbą, żeby przy najbliższej okazji zbadał sprawę. O ile wiem, jeździ na Copp Hill prawie codziennie. - Na twarzy dziewczyny pojawił się szelmowski uśmiech.
- Czemu się uśmiechasz? - zapytała Portia.
- Mój kuzyn będzie zachwycony, jeśli się okaże, że masz rację. Mógłby cię tam zawozić każdego dnia, na miejscu składać ci wizyty, kiedy tylko przyjdzie mu ochota, a potem wracać razem z tobą do domu.

-Och!

Perspektywa była na tyle przerażająca, że Portia zaczęła się wahać, czy skorzystać z pomocy przyjaciółki.

- Zdaj się na mnie - powiedziała Bella, ujmując jej dłonie. - Nawet jeśli to tylko plotki, może dzięki zainteresowaniu kapitana Turnera twoją osobą znajdzie się tam dla ciebie

inna posada.

10

MacHeath czekał godzinę, zanim krępy rudowłosy mężczyzna zjawił się w tawernie Pod Kotwicą. Właśnie minęła dziesiąta. Nowo przybyły obrzucił izbę szybkim spojrzeniem, po czym ruszył prosto do stolika w ciemnym kącie. Mimo późnej pory w tawernie było jeszcze wielu gości. Kilkunastu podochoconych marynarzy głośno śpiewało szanty. Wkrótce jednak rzemieślnicy i czeladnicy mieli rozejść się do domów, a za jakąś godzinę reszta klientów.

MacHeath miał na sobie strój robotnika portowego. Szerokie rondo zniszczonego kapelusza zasłaniało jego twarz. Kiedy karczmarz postawił przed rudowłosym kufel piwa, MacHeath wyjrzał przez małe okno na brukowaną ulicę prowadzącą na Griffin Wharf. Noc była ciemna, księżyc przesłaniały chmury.

- Jak poszło? - zapytał, gdy karczmarz się oddalił.
- Towar wyładowany. Chłopcy wiozą go teraz na drugą stronę Back Bay. Mają jeszcze dużo czasu do odpływu. Do rana ładunek będzie daleko od Bostonu.
- Przekaż dalej moje przeprosiny za dzień opóźnienia, Ebenezer.
- Dzień czy dwa nie robi różnicy. Chłopcy są gotowi. - Krępy mężczyzna oparł się na łokciu. - Celnicy patrolują wzdłuż Charles i przeszukują każdy nowy statek w porcie, a pan jest jedynym, który ma odwagę przywozić nam towar. Nasz wspólny przyjaciel śle panu podziękowania za to, co pan robi. Mówi, że pieniądze przyjdą zwykłą drogą.
- Nie martwię się o pieniądze, przyjacielu. - MacHeath znowu zerknął przez okno. Ulicą przejechała dorożka. - Następny statek przyplynie z Karaibów za tydzień albo dwa. Zawiadomię cię, kiedy tu dotrze.

Ebenezer Mackintosh, prawa ręka Sama Adamsa, po-kiwał głową. Następnie wychylił kufel do dna, wstał bez słowa i opuścił tawernę. MacHeath odczekał jakiś czas, po czym rzucił na stół kilka monet. Pożegnał karczmarza skinieniem głowy i wyszedł tylnymi drzwiami.

Na dworze było zupełnie ciemno, ale MacHeath znał drogę. Ruszył pewnym krokiem przez labirynt cuchnących zaułków. Gdy dotarł do wąskiej ulicy biegnącej z portu, zobaczył, że na rogu stoi dorożka. Woźnica najwyraźniej na kogoś czekał, paląc fajkę.

Kiedy MacHeath przeciął jezdnię, dostrzegł mały oddział żołnierzy kierujący się do

tawerny Pod Kotwicą. Korzystając z ciemności, szybko wśliznął się w najbliższy zaułek. W połowie drogi odwrócił się, słysząc kroki żołnierzy. Przywarł do pierwszych drzwi, na które trafił. Oślupiał, kiedy nagle się otworzyły i wpadła na niego jakaś kobieta. Wydała stłumiony okrzyk.

MacHeath natychmiast zakrył dłonią jej usta i we-pchnął ją z powrotem do sieni. Głęboki mrok skrywał ich przed wzrokiem dwóch żołnierzy, którzy z ulicy zaglądali w zaułek. Poczul ulgę, kiedy po pierwszym szoku kobieta nie podjęła walki, tylko stała bez ruchu, póki żołnierze nie ruszyli dalej.

Jego serce podskoczyło gwałtownie, kiedy wreszcie zobaczył jej twarz. Natychmiast zabrał rękę z jej ust.

- Pan Pennington - wyszeptala Portia, mierząc wzrokiem jego strój. - Co pan tutaj robi?
- O to samo mógłbym zapytać panią.
- Dostarczałam lekarstwo od doktora Crease. Na górze jest chore dziecko. Ma wysoką gorączkę i mocno kaszle. Było za późno, żeby doktor wysłał tu swojego pracownika, a potrzebował kogoś, kto wytłumaczy, jak stosować lek, więc poprosił mnie.
- Przyszła pani na piechotę? - spytał Pennington podejrzliwie.
- Oczywiście, że nie. Doktor Crease wezwał dorożkę. Woźnica czeka na końcu przecznicy. - Panna Edwards wskazała kierunek, z którego przyszedł.

Pierce przypomniał sobie powóz stojący na rogu.

- A pan? - spytała Portia. - Czy ci żołnierze szukają pana? Co pan tutaj robi w tym przebraniu?

Pennington znowu zamknął dłonią jej usta, ale tym razem delikatniej. Jej wargi były miękkie, oczy szeroko otwarte.

- Tyle pytań. Ja nie mogłem zadać ani jednego, kiedy mój stangret ścigał panią przez ogrody admirała.

Portia odepchnęła jego rękę.

- Mogę wszystko wyjaśnić.
- A chodzenie po drzewach? - rzucił Pierce z ironią.
- To również.

- A ja mam swoje powody, żeby tutaj być. Spojrzeli w koniec zaułka. Oddział żołnierzy z pochodniami biegł w stronę portu... i

tawerny.

- Jestem panu wdzięczna, że pan mnie dzisiaj nie wydał przed admirałem - wyszeptała Portia. - Może pan oczekiwać ode mnie tego samego. Ale powinien pan już iść, bo mam przecucie, że ci żołnierze mogą pana mylnie wziąć za człowieka, którego szukają.

Pierce musnął kciukiem jej policzek i odszedł pospiesznie.

Portia przez dłuższą chwilę stała w bramie. Patrzyła za Penningtonem, wyężając wzrok w ciemnościach. Powoli odzyskiwała spokój. Ten mężczyzna działał na nią coraz mocniej. No i ta jego tajemniczość...

Kiedy Portia dotarła do rogu ulicy, dorożka nadal na nią czekała. Kilka domów dalej, przy tawernie, z której wcześniej dobiegały śpiewy, panowało zamieszanie. Portia dostrzegła kotwicę na zniszczonym szyldzie wiszącym nad drzwiami. Skinąwszy głową dorożkarzowi, ruszyła w jego stronę. Tymczasem z tawerny, przed którą ustawili się żołnierze z bagnetami nasadzonymi na karabiny, wyprowadzano oburzonych klientów.

Portia naciągnęła szal na głowę i przyspieszyła kroku.

- Panno Edwards!

Akurat wsiadała do dorożki, kiedy usłyszała głos kapitana Turnera. Powściągnęła grymas zniecierpliwienia i zaczęła, aż oficer do niej podejdzie.

- Co panią tutaj sprowadza, na niebiosa?

Portia w kilku słowach wyjaśniła mu sytuację.

- Proszę mi wybaczyć, ale doktor Crease i jego żona na pewno będą się martwić, jeśli zaraz nie wrócę.
- Oczywiście, oczywiście. Wiem, jakie ma pani teraz kłopoty. Jadłem dzisiaj kolację u mojej kuzynki. Muszę się jednak przyznać, że wielu rzeczy nie rozumiem.
- To nie jest odpowiednia pora na rozmowę, kapitanie - powiedziała szybko Portia, wskazując na tawernę, z której właśnie wyciągnięto głośno protestującego właściciela.
- Istotnie. Natychmiast zorganizuję pani eskortę.
- Nie trzeba - zaprotestowała Portia. - Pan Jeremy doskonale się sprawił, przywożąc mnie tutaj, więc na pewno bezpiecznie odwiezie mnie do domu.

Turner zignorował jej zapewnienia i wezwał jednego z młodszych oficerów. Poleciał mu wziąć dwóch żołnierzy i dopilnować, żeby panna Edwards bez przygód dotarła na School Street.

Portia ustąpiła dla świętego spokoju, a czekając na eskortę, obserwowała nocną akcję. Turner najwyraźniej nie znalazł w tawernie Pod Kotwicą tego, kogo szukał, więc wysłał żołnierzy z pochodniami, żeby przetrząsnęli okoliczne domy i zaułki.

Portia nie mogła odegnąć przed oczu obrazu Pierce'a ubranego w strój robotnika portowego. Bała się o niego.

- Miejscowi rzemieślnicy znowu sprawiają kłopoty? -zapytała.
- Rzemieślnicy? Nie, skarbie. - Turner wydał jednemu z oficerów rozkaz, żeby zabrać kilku bywalców tawerny na przesłuchanie do zamku, w którym kwaterowała główna część brytyjskiego garnizonu. Potem odwrócił się do Portii. - Ale wkrótce go złapiemy.
- Kogo, kapitanie?
- MacHeatha. - Wymówił to nazwisko jak przekleństwo. - Dostaliśmy wiadomość, że jest tutaj.

Portii krew zastygła w żyłach. Przypomniały się jej opowieści o tajemniczym przemytniku, który podobno szmuglował wszystko, od dział po holenderską herbatę, i chełpił się swoimi sukcesami, kpiąc w żywe oczy z brytyjskich urzędników. Nikt nie wiedział, kto to jest ani skąd pochodzi. Ludzie, którzy popierali Adamsa i jego buntowników, uważali go za bohatera, feniksa, który wstał z popiołów i przywrócił im nadzieję pogrzebaną po masakrze bostońskiej. Natomiast dla tych, którzy pozostali wierni królowi, był zwykłym piratem, złodziejem i tchórzem. Tak czy inaczej nad jego głową zbierały się chmury.

Oczywiście wielu mieszkańców kolonii, na przykład rodzina Higginsów, wołało myśleć, że osławiony MacHeath to tylko legenda. Tak było im łatwiej, bo nikt nie chciał określić jawnie swego stanowiska wobec tego człowieka.

Po przybyciu do Bostonu Portia nie mogła nie zauważyć, że w mieście wrze. Chodziła na niektóre spotkania i wiece. Słyszała przemówienia Sama Adamsa, Jamesa Otisa i Quincy'ego oraz przywódców ugrupowań politycznych z North End i South End. Znała opowieści o okrucieństwach popełnianych w koloniach przez wojska króla Jerzego. Zgadzała się, że bostończycy mają prawo rządzić się sami.

Oczywiście tego rodzaju opinie przysparzały jej kłopotów. Otwarte wyrażanie poglądów doprowadziło do ostrego sporu z żoną jednego ze starszych kościoła. Wtedy Mary zażądała, żeby Portia, ze względu na pozycję pa-stora, nigdy więcej nie dyskutowała o

polityce, nawet w gronie rodzinnym.

Przed jej oczami znowu stanął Pierce. Nie, to niemożliwe, żeby on był MacHeathem. Ponosiła ją wyobraźnia.

Gdy zjawił się oficer z dwoma żołnierzami, kapitan Turner mocno ujął dłonie Portii i nachylił się do niej.

- To przykre, że została pani zmuszona do tak dużej zmiany w swoim życiu. Oczywiście doskonale rozumiem panią Higgins. Powinna była pani mnie poszukać, kiedy poczuła się pani źle. Gdybym nie mógł odwiedzić pani do domu, zapewniłbym stosowną eskortę, tak jak teraz. A jeśli chodzi o dzisiejszy ranek, list z podziękowaniami wysłany do pana Penningtona w zupełności by wystarczył.

Portia przez chwilę myślała o zamordowaniu Belli za to, że opowiedziała kuzynowi wszystko z najdrobniejszych szczegółami.

- Tak czy inaczej, wina leży po stronie Penningtona, zarówno jeśli chodzi o bal, jak i dzisiejszy ranek - skwitował Turner. - Ten człowiek naraża panią na kompromitację przy każdej okazji. Zupełnie nie jak dżentelmen. A pani reputacja jest cenna, moja droga.

Znacząco ścisnął jej dłoń i zbliżył się tak, że Portia musiała usunąć kolana, żeby ich nie dotknął.

- Cieszę się jednak, że pomyślała pani o mnie w potrzebie. Obiecuję, że będę panią wychwalać, kiedy spotkam się jutro z admirałem Middletonem. Jeśli to prawda, że szuka lektorki dla swojej córki, zapewnię pani tę posadę, skarbie.
- Jestem panu bardzo wdzięczna, kapitanie - wykrztusiła Portia.
- Po rozmowie z admirałem osobiście przywiozę pani dobrą nowinę. Ruszaj - rzucił rozkazująco woźnicy i odsunął się od dorożki.

Portia posłała mu wymuszony uśmiech, a kapitan uklonił się sztywno na pożegnanie.

Pierce chciał wierzyć, że kobiety potrafią dotrzymać słowa i są tak niewinne, jak udają. W rzeczywistości nie mógł ufać Portii i jej obietnicy, że dochowa sekretu. Nauczyło go tego doświadczenie. Panna Edwards była taka sama jak Emma.

Na szczęście Nathaniel Muir, wierny przyjaciel i finansowy geniusz, utrzymywał kontakty z ludźmi wszystkich klas, w koloniach i w Europie. Nie było informacji, której nie potrafiłby zdobyć. Jeśli szukało się jakiejś osoby, Nate wiedział, jak ją znaleźć. I

właśnie tej umiejętności potrzebował teraz Pennington.

- Nie wiesz, jaki niezręczny moment wybrałeś, przyjacielu - rzucił cierpko Nathaniel, wchodząc do swojego gabinetu w szlafroku z niebieskiego jedwabiu.

Pierce spojrział na jego zmierzwione jasne włosy, na białe jedwabne pończochy i czarne pantofle.

- Jeśli twoja towarzyska nie zrobiła większych postępów w rozbieraniu niż ty, nie masz na co się skarżyć.
- Najpierw nią się zajęliśmy, rozumiesz. - Muir podszedł do stolika, sięgnął po karafkę i nalał wina do dwóch kieliszków. - Wiesz, ile jest pracy z sukniami, które noszą kobiety w dzisiejszych czasach.
- Domyślam się jednak, że twoja dama będzie czekać w łóżku na twój powrót. Kogo gościsz tym razem?
- Dużo się od ciebie nauczyłem, więc nic nie powiem. - Gospodarz z uśmiechem wskazał fotel. - Już po północy, a nie towarzyszy ci uzbrojona straż, przypuszczam więc, że nie napotkałeś dzisiaj żadnych przeszkód.
- Zrobiłem to, co miałem zrobić. - Pierce wziął kieliszek od gospodarza i usiadł. - Pojawił się jednak jeden kłopot, kiedy opuściłem tawernę Pod Kotwicą. I dlatego potrzebuję twojej pomocy.

Przyjaciel natychmiast spoważniał. Podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na korytarz.

Potem starannie zamknął gabinet i zajął fotel naprzeciwko Pierce'a.

- Ktoś cię zobaczył i rozpoznał - stwierdził raczej, niż zapytał.

- To zdumiewające, z jaką łatwością czytasz w moich myślach - skomentował Pennington.

-Kto?

Pierce pociągnął łyk wina i odchylił się na oparcie fotela.

- Panna Portia Edwards.

Minęło kilka sekund, zanim Nathaniel skojarzył nazwisko z osobą.

- Ta sama, która przyszła dzisiaj do biura?
Pennington kiwnął głową.

- Ale to przez nią wczoraj się spóźniłeś - przypomniał Muir. - I mówisz, że dzisiaj znowu na ciebie wpadła? Cholera jasna, ta kobieta jest wszędzie.

- Właśnie.
- A myślałem, że ją polubię - rzucił Nathaniel.
- Nadal możesz. - Pierce odstawił kieliszek na stolik. - Rozpoznała mnie, a mimo to w domu nie czekali żołnierze, żeby mnie aresztować. A godzinę później, idąc tutaj, nie słyszałem za sobą brzęku kajdanków.

Muir uspokoił się trochę.

- Chyba jednak ją lubię.
- Jeszcze za wcześnie na takie deklaracje - ostudził go przyjaciel. - Może nie miała okazji skontaktować się ze swoimi przyjaciółmi ze sztabu admirała Middletona.

Gospodarz też odstawił kieliszek i nachylił się do Pierce'a.

- Czy ta kobieta zorientowała się, że jesteś MacHeathem? - zapytał z powagą. - Groziła, że cię wyda? Podaj mi szczegóły, póki jest czas, żeby coś zrobić.
- Widziała mnie w przebraniu dokera. Jeśli nie od razu domyśliła się prawdy, jestem pewien, że zrobiła to, zanim dotarła do dorożki, która ją przywiozła. Oddział żołnierzy wpadł do Kotwicy kilka minut po moim wyjściu. - Dobrze, że Ebenezer zdążył zniknąć. - Obiecała, że do-trzyma sekretu.

Muir zastanawiał się przez chwilę.

- Gdyby była moją kochanką, zaufałbym jej - oświadczył w końcu.
- Nie jest moją kochanką - sprostował Pennington.
- Szkoda. Lecz z drugiej strony, ja jestem zbyt ufny, a ty nawet nie wiesz, co znaczy to słowo.
- Cieszę się, że uznajesz moją wyższość w ocenianiu sytuacji - skwitował Pierce. - Niestety to nam teraz nie pomoże. Nie jestem pewien, co zrobić z panną Edwards.

Nathaniel spochmurniał.

- Chyba nie zastanawiasz się, czy nie nasłać na nią któregoś z Synów Wolności, co?
- Owszem. Gdybyśmy w ten sposób działali.
- Do diaska, Pierce! - wybuchnął Muir. - Nie można tak po prostu mordować ludzi.

Widząc wyraz twarzy przyjaciela, Pennington kopnął w jego fotel.

- Oczywiście, że nie, głupcze. Gdybyś był trzeźwiejszy, zauważyłbyś, że żartuję.
- Cóż, wcale nie udaję trzeźwego. I chętnie wróciłbym już do sypialni, zanim pewna

młoda kobieta zdenerwuje się i opuści moje łóżce. Więc jeśli przyszedłeś zapytać mnie o zdanie, powiem ci, że choć nie znam dobrze panny Edwards, wygląda mi na uczciwą. Myślę, że możesz jej zaufać.

- Już ustaliliśmy, ile warta jest twoja opinia - skomentował Pierce.
- Więc czego chcesz ode mnie? - zirytował się Nathaniel. - Wynocha!
- Chcę, żebyś się dowiedział o niej jak najwięcej.
- Dowiedział? - Muir uśmiechnął się szeroko. - Widzę, że nareszcie jesteś gotowy się oświadczyć.

Zasłonił się rękami, kiedy przyjaciel spiorunował go wzrokiem.

- Portia na swoje sekrety - powiedział Pennington. - Nie które z nich już znam, resztę ty odkryjesz. Muszę się z nią spotkać na równych warunkach.

- Zdobędę potrzebne informacje - obiecał Nathaniel. - Ale jeśli chcesz ją pokonać, pamiętaj, że jest kobietą, i do tego starą panną. Podejrzewam, że brak jej wyrafinowania dam z towarzystwa i majątku. Więc zrób to, co robisz najlepiej. Uwiedz ją. Wtedy będzie ci oddana tak długo, jak długo będziesz potrzebował.

11

Pani Green poczuła niepokój, kiedy poproszono ją do biblioteki. Wiedziała, że admirał od śniadania spotyka się z podwładnymi, dlatego zdziwiło ją nagłe wezwanie. Na miejscu stwierdziła, że został już tylko kapitan Turner. Nie spodziewała się uprzejmości ani miłych pogawędek i rzeczywiście gospodarz od razu przeszedł do rzeczy.

- Szukamy dla mojej córki damy do towarzystwa znającej francuski? - zapytał bez wstępów.

Ochmistrzyni splotła kościste palce.

- Nie, sir.
- Za pozwoleniem, sir, czy mogę zająć się tą sprawą? - odezwał się Turner.

Middleton obojętnie skinął głową i sięgnął po raport leżący na biurku. Tymczasem oficer podszedł do gospodyni.

- Pani Green, jest pani pewna, że panna Middleton nie wyraziła chęci zatrudnienia osoby o takich kwalifikacjach?

Panna Middleton wyraża zainteresowanie wieloma rzeczami. Poprzedniej zimy zażyczyła sobie, żeby posadzić jabłoń pod jej oknem. Tej wiosny chciała zastąpić sokołem kanarka,

który zdechł. W zeszłym miesiącu domagała się zgody na spanie w nocy na ławce w ogrodzie i chodzenie boso po rezydencji. - Ochmistrzyni przeniosła wzrok z kapitana, który pochylał się ku niej, na admirała, który czytał jakiś dokument. - To tylko kilka jej dziwactw.

- Choć niektóre prośby panny Middleton mogą wydawać się osobliwe, nie sądzi pani, że inne mogą być uzasadnione? Czy nie należy popierać zajęć angażujących umysł, takich jak słuchanie poezji francuskiej?

Pani Green najwyraźniej nie onieśmiewała bliskość oficera, który stał nad nią z surową miną.

- Panna Middleton jest moją podopieczną od kilku lat, kapitanie, i dobrze wiem, że szybko zapomina o swoich prośbach. Poza tym ma czym zajmować umysł... jeśli chce.
- Widzę, że muszę zapytać wprost - odezwał się Middleton, podnosząc wzrok znad dokumentów. - Czy moja córka prosiła o nauczycielkę francuskiego?

Ochmistrzyni zbyt dobrze znała gwałtowny temperament admirała, żeby nadal unikać odpowiedzi.

- Tak, sir. Wspomniała o tym wczoraj rano. Nie przekazałam jej prośby, bo jedna z pokojówek mówi trochę po francusku. Uznałam, że to wystarczy i że zatrudnianie kogoś byłoby stratą pieniędzy...
- Pani uznała - warknął Middleton i zwrócił się do podwładnego: - Kapitanie, niech pan poprosi swoją znajomą, pannę Edwards, żeby zjawiała się tutaj w najbliższym czasie. Pani Green zajmie się resztą.

Upokorzona i rozgniewana takim potraktowaniem ochmistrzyni dygnęła bez słowa i wycofała się z biblioteki. Cóż, pomyślała, spiesząc korytarzem, tydzień wystarczy, żeby jej królewska wysokość znudziła się kolejną rozrywką.

Jako że na plebanii pracowały na stałe tylko dwie służące, na Clarę spadało wiele różnych obowiązków. Była ochmistrzynią, osobistą pokojówką Mary Higgins, zajmowała się dziećmi, a czasami nawet zastępowała kucharkę Molly, kiedy jej mąż, marynarz na statku pocztowym kursującym z Bostonu do Newport i Nowego Jorku, miał wolne. Ni-gdy natomiast do jej zadań nie należało opiekowanie się panną Portią, ale Clara polubiła ją od pierwszej chwili.

I właśnie z powodu słabości do młodej nauczycielki wysłała jej rano wiadomość, a potem

zaprowadziła dzieci na Wind Mill Point. Portia już tam na nich czekała, wdzięczna gospodyni, że będzie mogła pożegnać się z Walterem i Ann.

Z trawiastego cypla, wznoszącego się jakieś trzydzieści stóp nad szarzielonymi wodami zatoki, rozciągał się widok na cały Boston. Clara wiedziała, że panna Edwards lubiła przyprowadzać tutaj dzieci przy sprzyjającej pogodzie, a dzisiejszy dzień nie mógł być piękniejszy. Oddychając głęboko świeżym powietrzem, przeniosła wzrok ze skupiska ceglanych domów na maszty statków kołyszących się łagodnie w porcie, który otaczał miasto z trzech stron, a następnie na półwysep zwężający się ku południu. To było również jej ulubione miejsce.

Po godzinie zeszła leniwie po zboczu do trójki stojącej na urwisku. Na razie szczęśliwie obyło się bez łez. Panna Portia zajęła dzieci zabawą. Kiedy odpoczywali, pokazała im Faneuil Hall, Old South Meeting House, wysoką iglicę kościoła Old North, statki przy Long Wharf. Kolejno podawała im lornetkę, którą pożyczyła od doktora Crease.

Waltera najbardziej interesował ruch na wąskich, krętych ulicach miasta. Jego siostrę fascynowały białe żaglowce opuszczające port.

- Zabierzesz nas ze sobą, jak będziesz wyjeżdżać z Bostonu?

Obie kobiety ze zdziwieniem spojrzały na Ann.

- Dlaczego myślisz, że wyjadę? - zapytała Portia.
Dziewczynka wzruszyła ramionami.

- Mama nie powie nam, dlaczego odeszłaś, a tacie nie wolno przeszkadzać. Walter i ja wiemy, że kochasz nas za bardzo, żeby znaleźć sobie inną posadę. Pomyślałam więc, że pewnie chcesz wyjechać z Bostonu na wielkim statku z żaglami jak skrzydła wielkiego łabędzia. - Ann objęła ją w tali. - Tylko to by mnie przekonało, żeby cię puścić.

Wiatr cisnął włosy na twarz Portii. Była z tego zadowolona, bo w jej oczach pokazały się łzy. Mocno przytuliła podopieczną.

- Daj mi lornetkę, Ann - zażądał Walter. - Myślę, że można stąd zobaczyć nasz dom.
- Mam dość patrzenia na te głupie budynki i ulice. - Ann wyładowała gniew na starszym bracie. - Powiedz Portii, jak bardzo za nią tęsknimy. Może wróci i znowu będzie nas kochać.

Portia ukucnęła i wzięła w dłonie jej twarz.

- Posłuchaj mnie, cherubinku. Nie mieszkam już z wami, ale to nie oznacza, że kocham

was mniej.

- Ludzie nie zostawiają tych, których kochają. Mama nigdzie nie odchodzi. Ani tata. Musisz wrócić. - Ann zaczęła płakać.
- Oni są waszymi rodzicami, skarbie. Są odpowiedzialni za ciebie i Waltera. - Portia wytarła jej łzy. - Nawet gdybyście byli moimi dziećmi, nie mogłabym was bardziej kochać. Ale czasami trzeba odejść, założyć własną rodzinę. Pewnego dnia ty i Walter też wyprowadzicie się od rodziców.
- Nigdy się nie ożenię - burknął chłopiec.

Portia uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego ręce, a kiedy się zbliżył, przygarnęła do siebie.

- Odchodząc z domu, nic nie straciecie. Przeciwnie, to będzie szansa, żeby zyskać więcej.

Ann uścisnęła jej dłoń.

- Ale nie będziemy mieć ciebie.
- Pozostanę w waszych sercach. Muszę odnaleźć własną rodzinę.
- Wychodzisz za kapitana Turnera - stwierdził Walter. - Mówiłem Ann, że dlatego się wyprowadziłaś.
- Nie wychodzę za kapitana Turnera.
- To dobrze, bo go nie lubię - powiedziała Ann z rozdrażnieniem. - Zawsze jest zagniewany i pochyla się, kiedy mówi. Wygląda jak wypchany w tym swoim mundurze.
- Kapitan musi nosić mundur.
- Nic mnie to nie obchodzi. - Dziewczynka tupnęła nogą. - I tak go nie lubię.
- Więc za kogo wychodzisz? - spytał Walter.
- Za nikogo - odparła Portia.

Wszystko wydarzyło się tak nagle, że sprawdziły się jej największe obawy. Dzieci najbardziej ucierpiały na jej wyprowadzce.

- Walter się z tobą ożeni, kiedy dorośnie - wypaliła Ann.
- Nie! - zaprotestował brat.

-Ja cię zmuszę - zapowiedziała dziewczynka. - Jeśli ożenisz się z Portią, zostanie w

naszej rodzinie i nigdy nie odejdzie.

- Przysuwasz się jak kapitan Turner - stwierdził chłopiec, odpychając siostrę.
- Powiedz, że się z nią ożenisz, żeby nie wybrała kogoś innego. To byłoby straszne, gdyby poślubiła kapitana Turnera. Ich dzieci byłyby tłuste, zadzierałyby nosa i pochylały się, o tak. - Ann przybrała stosowną pozę. - Nawet nie chcę o tym myśleć. Portia musiałaby ubierać je w małe mundurki i słuchać, jak maszerują po ulicy i wykrzykują rozkazy.

Portia się roześmiała. Pokręciła głową i spojrzała na Clarę, która również wyglądała na rozbawioną.

- Ale mogą być podobne do Portii i wtedy będą piękne - orzekł Walter. - Oczywiście jeśli urodzą się córki.

- Ha! - wykrzyknęła triumfalnie Ann, trącając brata w ramię. - Powiedziałeś, że jest piękna. Dlaczego się z nią nie ożenisz?

Portia i Clara rozdzieliły dzieci, zanim chłopiec zdążył oddać cios.

- Jeśli zniszczycie ubrania, urwisy, nigdy więcej nie będę mogła was tutaj przyprowadzić – ostrzegła gospodyni.

Dzieci natychmiast się uspokoily.

- Możemy znowu spotkać się z Portią? - zapytała Ann z nadzieją w głosie.
- Tylko jeśli dochowamy sekretu - pouczył ją Walter. - Mama nie wiedziała, gdzie idziemy, bo inaczej nie pozwoliłaby nam tu przyjść.
- Ja umiem dochować sekretu - oświadczyła siostra.

Portia ukucnęła między nimi.

- Dzisiaj była szczególna okazja. Musieliśmy się zobaczyć i pożegnać jak należy. Clara miała na myśli to, że jeśli nie będziecie grzeczni, nie przyprowadzi was więcej na Wind Mill Point, niezależnie od tego, czy ja tutaj będę, czy nie.

Dzieci spochmurniały.

- Odwiedzisz nas kiedyś? - spytała dziewczynka.
- Jeśli mama pozwoli.
- Ale dlaczego musimy ją pytać? Wiesz, że ona nigdy się nie zgadza na żadną zabawę.
- Daj jej szansę, cherubinku. Może was zaskoczy. Choć już z wami nie mieszkam, nadał szanuję waszych rodziców. I wy też powinniście. Wierzę, że podejmują najlepsze

decyzje.

Ona sama wprawdzie nie chciała, żeby Mary i jej mąż wciąż za nią decydowali, ale miała nadzieję, że któregoś dnia odzyska ich zaufanie. Walter i Ann byli uroczymi dziećmi, głównie dzięki rodzicom. Portia nie zamierzała podważać autorytetu pastorostwa.

- Może wrócę... pewnego dnia. - Przytuliła oboje. - A teraz chodźmy na brzeg i poszukajmy muszli.

Godzinę później próbowała się uśmiechać, kiedy jej aniołki oddalały się po trawiastym stoku. Gdy cała trójka zniknęła za drzewami porastającymi cypel, usiadła na skraju urwiska i pozwoliła sobie na płacz.

Wszystko zdawało się zmierzać we właściwym kierunku, ale ją opadły czarne myśli. Musiała rozstać się z tymi, których kochała. Zyskała niezależność, lecz czaił się w niej strach. Zaczynała wątpić w trafność swoich decyzji, traciła pewność siebie, i nie bez powodu. Nie czuła się już bezpieczna. A najgorsze, że była sama.

W końcu stwierdziła, że już późno, wstała z ziemi i otrzepała się z piasku. Przyłożyła lornetkę do oczu, po raz ostatni spojrzała na port, a następnie ruszyła w dół zbocza. Nawet w najlepszych czasach wpadała w skrajne nastroje. Teraz nie miała przy sobie Mary, która przemówiłaby jej do rozsądku. Lecz jakoś otrząsnęła się ze smutku. Musiała skupić się na dobrych rzeczach, które ją czekały.

Turner obiecał przynieść pomyślną odpowiedź. To oznaczało, że Portia spotka się z matką jeszcze w tym tygodniu. Na myśl, że kapitan może na nią czeka, przyspieszyła kroku. Wkrótce biegła wąskimi, krętymi ulicami Bostonu. Gdy po półgodzinie dotarła do School Street, pani Crease stała pod domem i plotkowała z sąsiadką, trzymając na rękach dużego szarego kocura.

- Dobrze, że pani już jest, panno Edwards. Jakąś godzinę temu szukał pani pewien dżentelmen. Nie dał mi wizytówki. Kiedy nie zastałam pani w pokoju, poprosiłam, żeby zaczekał w salonie. – Kobieta przepraszającym gestem dotknęła jej ramienia. - Nie wiem, czy jeszcze tam jest.

- Dziękuję - powiedziała Portia uprzejmie. - Pójdę na górę i zobaczę.

Mam nadzieję, że ten dżentelmen nie poczuł się obrażony - zawołała za nią gospodyni. - Niech pani przeprosi go ode mnie, jeśli jeszcze czeka.

Portia pomachała jej przyjaźnie i ruszyła po schodach. Wiedziała, że tylko jeden

mężczyzna mógł zrobić takie wrażenie na pani Crease.

- Pani Pennington - powitała go miłym tonem, wchodząc do salonu.

Pierce wstał na jej widok.

- Panno Edwards.

Miał na sobie płowożółte bryczesy, wysokie buty do konnej jazdy i krótką kurtkę. Wyglądał jak dżentelmen wracający z przejażdżki po polach, a nie jak właściciel statków. Albo doker. Portii raptem przyszła do głowy myśl, że Pierce Pennington nie ma prawa być taki przystojny niezależnie od stroju, który na siebie włoży.

- Widzę, że zażywała pani spaceru.

Portia odłożyła lornetkę na stół i wetknęła kosmyk włosów za ucho. Wołała sobie nie wyobrażać, jak się prezentuje. Po otrzymaniu wiadomości od Clary wybiegła z domu, nie przejmując się strojem ani fryzurą.

- Tak. Miałam spotkanie na Wind Mill Point.

- Romantyczna schadzka?

Portia uśmiechnęła się na wspomnienie Ann i Waltera.

- Omal nie dostałam propozycji małżeństwa - powiedziała. - Ale moja ośmioletnia przyjaciółka nie zdołała przekonać swojego dziesięcioletniego brata, żeby ją złożył.

- Głupi chłopak - skwitował Pennington. - Trzeba by mu zrobić wykład o korzyściach uwodzenia starszych kobiet, zwłaszcza tak pięknych jak pani.

Portia zarumieniła się pod wpływem spojrzenia, którym objął ją od stóp do głów.

- Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie Pennington? - spytała, żeby pokryć zmieszanie.

Uznałem, że jestem winien pani przeprosiny za wczorajszą noc... i wyjaśnienie.

- Nie potrzebuję żadnych przeprosin - odrzekła Portia. - To moja wina, że wpadłam na pana w tamtym zaułku. A jeśli chodzi o powód, dla którego pan tam był...

- Panno Edwards?

Portia zamarła na dźwięk głosu, który dobiegł z dołu. Kapitan Turner! Ogarnęła ją panika.

- Jest tam pani, panno Edwards?

Oficer wchodził po schodach. Na pewno przysłała go tutaj pani Crease.

- Musi mi pan pomóc, panie Pennington - wyszeptwała. - Bardzo proszę, żadnych pytań.

Muszę pana gdzieś ukryć.

Wiedziała, że tylko dzięki Turnerowi dostanie posadę u admirała Middletona. Ale zdawała sobie również sprawę z tego, że gdyby zastał ją w towarzystwie Szkota, ni-gdy więcej nie zobaczyłaby matki.

Gorączkowo rozejrzała się po saloniku. Nie było stąd innego wyjścia, żadnej garderoby ani dużej szafy zdolnej pomieścić rosnącego mężczyznę, nawet gdyby go poćwiartowała. A gdyby Pennington wyszedł drzwiami, Turner na pewno by go zobaczył.

Portia podbiegła do okna i spojrzała w dół.

- Tędy.
- Chciałbym pomóc, ale nie wyskoczę z drugiego piętra - powiedział cicho Pierce.
- Proszę coś zrobić. Najlepiej zniknąć. Kapitan nie może pana tutaj Zastać. Będę panu dozgonnie wdzięczna.

Turner ponownie zawołał ze szczytu schodów. Portia podbiegła do drzwi. Omal nie zderzyli się w progu.

- Miło panią widzieć, panno Edwards - rzekł z ukłonem kapitan.

Portia dygnęła, ale nie usunęła się na bok, żeby go wpuścić. Zastanawiała się, do którego pokoju mogłaby zaprowadzić gościa. Niestety poprzedniego dnia pani Crease zdążyła pokazać tylko jej pokój i salon.

- Przykro mi, że przeszkadzam, skarbie. Zdaje się, że jest pani dzisiaj dość zajęta. Gdy przedstawiłem się pani Crease, wspomniała, że niedawno złożył pani wizytę jakiś mężczyzna.
- Tak - odparła pospiesznie Portia. - Właśnie wróciłam z długiego spaceru. Taki piękny dzień. Może chciałby pan się przejść, kapitanie?
- Wie pani, kim był ten dżentelmen?
- Nie. Może pastor Higgins postanowił wpaść, jako że wczoraj nie miałam okazji pożegnać się z nim przed wyprowadzką. Albo stary Jozjasz znalazł jakieś pozostawione przeze mnie rzeczy. - Portia wyszła na korytarz. - Jeszcze nie byłam w swoim pokoju, więc nie wiem, czy coś przyniesiono. Tak, to na pewno Jozjasz mnie odwiedził. Ubiera się jak dżentelmen. Czy już mówiłam, jaki dziś piękny dzień?
- Owszem, skarbie. Ale mam dziś ważne obowiązki do wypełnienia, więc nie mogę poświęcić czasu na przyjemności. - Kapitan minął ją, wchodząc do salonu.

Portia zakłęła w duchu i ruszyła za nim. W pokoju nie było śladu Pierce'a.

Tymczasem Turner odwrócił się do niej i oznajmił:

- Mam dla pani dobrą wiadomość, moja droga. Pennington nie wyszedł przez okno. Ukrył się za grubą zasłoną, za którą znajdowała się płytki nisza z półkami. Portia z przerażeniem zauważyła, że jego czarne buty wystają spod kotary na co najmniej milę.

- Pańskie obowiązki istotnie są zbyt ważne, żeby pan zajmował się takimi błahymi sprawami jak moje, kapitanie. Może powinien pan już iść. Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym odciągnęła pana od pracy. Nalegam.

- Moja droga panna Edwards. - Kapitan uśmiechnął się łagodnie. - Nie jest pani ciekawa nowiny?

- Oczywiście, że jestem. Proszę usiąść. Turner ruszył do fotela stojącego w kącie.

- Nie! - krzyknęła Portia, ale natychmiast się opanowała. - Tylko nie tam. Fotel podobno należał do... do ojca doktora Crease. Rodzina nie lubi, kiedy ktoś go zajmuje. Wskazała gościowi krzesło zwrócone ku drzwiom. Kapitan usiadł na nim posłusznie, plecami do wybrzuszonej zasłony.

Portia przycupnęła na fotelu naprzeciwko niego.

- Czy nie powiedziała pani przed chwilą, że rodzina nie lubi, jak ktoś na nim siada? - spytał oficer.

Portia za późno się zreflektowała.

- Nie wyjaśniłam, że to dotyczy wyłącznie mężczyzn? Doktor Crease Starszy bardzo lubił kobiety, więc mnie zakaz nie obowiązuje.

Turner spojrział na nią takim wzrokiem, jakby wyrosła jej druga głowa.

- Wspomniał pan o jakiejś dobrej nowinie - ponagliła go Portia.

- Istotnie. - Kapitan nachylił się ku niej. - Odbyłem dziś rano bardzo owocne spotkanie z admirałem Middletonem.

Kotara zafalowała gwałtownie. Portia starała się nie pa-trzeć w tamtą stronę, tylko na długi nos oficera.

- Przede wszystkim muszę pani pogratulować bystrości. Admirał Middleton nie wiedział, że jego córka wyraziła chęć zatrudnienia damy do towarzystwa. Ale wypytał

personel i pani informacja się potwierdziła.

Nagle do pokoju wpadł jeden z kotów pani Crease, żółty i pręgowany. Portia schyliła się, złapała go szybko i przytrzymała na kolanach.

- Admirał był pod wrażeniem, że udało się pani, mimo braku koneksji, dowiedzieć o posadzie, zanim służba poinformowała go o prośbie córki.

Ledwie major umilkł, w salonie pojawił się duży szary kocur, którego pani Crease niedawno trzymała na rekach. Kiedy Portia próbowała go schwytać, pręgowany zeskoczył z jej kolan i popędził do okna. Drugi zainteresował się kotarą.

- A przy okazji, nie powiedziała pani, od kogo usłyszała o posadzie - stwierdził Turner. Portia była na siebie wściekła, że wcześniej nie przygotowała sobie odpowiedzi na to pytanie. Teraz mogła myśleć tylko o jednym. Szary kot bawił się butem Penningtona. Jego towarzysz stanął na tylnych łapkach i zaczął drapać kotarę. Portia zamknęła oczy. Chwilę później pierwszy kocur skoczył na środek pokoju, atakując po drodze nogawkę kapitana. Turner już miał się odwrócić, ale Portia zerwała się z fotela.

• Nie jest tutaj za ciepło? - spytała pośpiesznie.

• Nie, całkiem przyjemnie.

• Jest pan zbyt uprzejmy, kapitanie. Ale naprawdę myślę, że powinniśmy stąd wyjść. Te zwierzęta są zbyt niesforne. Nie uważa pan?

• Na ulicy czekają moi żołnierze. Wolałbym raczej spędzić czas z panią, skarbie.

Tym bardziej pora uciekać, pomyślała Portia. Wzięła na ręce jednego kota i wróciła na fotel.

- Cóż, ja nie przepadam...

Nie dokończyła zdania. Położyła zwierzę na kolanach Turnera i złapała drugiego kocura, który właśnie próbował wdrapać się na but Pierce'a. Przy okazji zobaczyła twarz Penningtona. Zaniepokoił ją malujący się na niej chłód. Cofnęła się od zasłony i ruszyła do drzwi.

- Dziękuję za pomoc, kapitanie. - Uśmiechnęła się miło. - Ale jeszcze nie powiedział mi pan, kiedy mam zacząć pracę u admirała.

Turner wstał niechętnie, trzymając niezadowolonego Kocura w wyciągniętych rękach.

• Gdy napomknąłem, jak bardzo pani zależy na tej posadzie, admirał Middleton zdecydował, że może pani zacząć już pojutrze, jeśli to pani odpowiada.

- Tak. - Portia zatrzymała się przy drzwiach, a kiedy oficer do niej dołączył, skierowała się do schodów. - Mam wrażenie, jakbym przez całe życie czekała na tę pracę.

12

Znajomości Nathaniela rzeczywiście okazały się imponujące. Pierce był zadowolony z informacji, które przyjaciel zdobył w ciągu zaledwie kilku godzin.

Śledztwo potwierdziło, że Portia Edwards wychowała się w Wrexham w Walii. Nie udało się ustalić jej pochodzenia, ale ponieważ szkoła, do której chodziła, została ufundowana przez lady Primrose, zwolenniczkę księcia Bonniego Prince'a Charliego i Stuartów, Muir przypuszczał, że ojciec Portii był jakobitą. Od momentu, kiedy w wieku szesnastu lat dołączyła do rodziny Higginsów, aż do przybycia do kolonii zeszłej jesieni, nie wydarzyło się w jej życiu nic ciekawego. Nathaniel poznał nazwiska nielicznych przyjaciół i odkrył, jak zaczęła się jej znajomość z kapitanem Turnerem.

Na tej podstawie Pennington uznał, że panna Edwards nie jest groźna, co trochę go uspokoiło. Potrzebował jednak paru wyjaśnień i dlatego zjawił się z wizytą. Niestety został zmuszony do ukrycia się jak dostawca przyłapany w sypialni pana domu.

Z okna drugiego piętra zobaczył, że Portia wesoło rozmawia z nadętym oficerem i żegna się z nim przyjaźnie. Gdy Turner odjechał, do panny Edwards zbliżyła się pani Crease i jeszcze jedna kobieta. Ta ostatnia wzięła ją pod ramię i poprowadziła do drzwi apteki. Przez dziesięć minut nic się nie działo. Nastrój Pierce'a pogarszał się z każdą chwilą.

Jeśli Portii zależało na tym, żeby nieproszony gość sobie poszedł, bardzo się przeliczyła. Pennington nie zamierzał nigdzie iść, póki nie porozmawiają. Czuł się urażony.

Tymczasem wrócił szary kocur, ale, inteligentne stworzenie, zwiertzył niebezpieczeństwo i zachował stosowną odległość od osobnika, który niecierpliwie spacerował po małym salonie.

Pierce nie miał pojęcia, czemu panna Edwards się spóźnia. I nie chciał o tym myśleć. W końcu usłyszał kroki na schodach. Zatrzymał się i spojrzął na drzwi.

- Pan Pennington! - wykrzyknęła Portia, stanąwszy w progu.
- Panna Edwards.
- Jeszcze pan tu jest? - spytała ze zdziwieniem.
- Przepraszam - rzekł Pierce. - Nie wiedziałem, że powinienem już iść.
- To ja muszę przeprosić. Nie zamierzałam zostawiać pa-na samego. - Na jej policzki

wypelzł głęboki rumieniec. - Doskonale się pan ukrył przed kapitanem Turnerem. Zatrzymała mnie pani Crease, żeby wypytać o nową posadę. - Portia przygryzła wargę, a po chwili jej twarz rozjaśnił śliczny uśmiech. - Czy to nie cudowne, panie Pennington?

- Co takiego? - rzucił Pierce burkliwie, wbrew woli ulegając jej czarowi.
- Posada. Nie słyszał pan?
- Z rozmowy, która tu się toczyła, można by wywnioskować, że została pani szpiegiem admirała Middletona i brytyjskich wojsk stacjonujących w Bostonie. Cóż za pomysł - wybuchnęła panna Edwards. - To nie ma nic wspólnego z polityką. Owszem, chcę zatrudnić się u admirała, ale jako nauczycielka francuskiego i dama do towarzystwa jego córki.
- Pani rzekomej matki.
- Nie rzekomej. Ona jest nią naprawdę. - Portia uśmiechnęła się wyraźnie podekscytowana. - Nareszcie spotkałyśmy się wczoraj rano i choć miałyśmy mało czasu, udało się nam porozmawiać. Moje nadzieje się potwierdziły. Helena nie cierpi na żadną chorobę umysłową. Straciła wzrok, ale wydaje się, że fizycznie ani psychicznie nic jej nie dolega. Mimo to jest przetrzymywana w domu jak więzień. Tyle chcieliśmy sobie powiedzieć, ale nie zdążyłyśmy, bo wracały służące. To matka wymyśliła, że poprosi o osobę mówiącą po francusku i...
- I wszystko wydarzyło się tego samego przedpołudnia - wtrącił Pierce. - Okłamała mnie pani, wyskoczyła z jadącego powozu i uciekła mojemu stangretowi, podczas gdy ja byłem u admirała. O tak, widziałem, jak pani chowa się przed Jackiem, a potem wdrapuje się na drzewo. Bardzo pożyteczny ranek, rzeczywiście.
- Jest pan niemiły. - Kiedy Pennington chciał zaprotestować, Portia uciszyła go machnięciem ręki. - Przyznaję, że wykorzystałam pana i pańskiego stangreta, żeby osiągnąć swój cel. Ale wcześniej prosiłam o pomoc, a pan mi jej odmówił. Zrobiłam więc to, co musiałam.
- Wybrała pani sposób, który zna najlepiej - stwierdził Pierce. - Po co zastanawiać się nad skutkami swoich działań, skoro zawsze można potem przeprosić.

Portia pokręciła głową.

- Jest pan zbyt surowy. Spotkanie było tak ważne dla mnie i dla mojej matki, że

wszystko, co zrobiłam, dobrze się skończyło, musi pan przyznać. Ostatecznie nikomu nie stała się krzywda.

- Nie pani to oceniać - odparował Pierce. - Nie jestem pewien, czy potrafi pani odróżnić dobro od zła. Nie umie pani właściwie poprosić o pomoc. Ma pani niebezpieczny zwyczaj wykorzystywania przyjaciół albo obcych ludzi, którzy staną pani na drodze, i nie zważa na to, jaką szkodę mogą spowodować pani działania.

- Może w jakiś sposób panu zaszkodziłam, panie Pennington, ale nie można mi zarzucić, że wykorzystuję innych - oświadczyła Portia.

- A nie wykorzystała pani kapitana Turnera, żeby zdobyć posadę u admirała? - spytał Pierce oskarżycielskim tonem. - Albo swojej przyjaciółki, córki Jamesa Turnera, żeby panią przedstawiła kapitanowi, bo chciała pani wziąć udział w balu? A co z pastorem Higginsem i jego żoną?

- Dość tego. - Panna Edwards trzymała głowę wysoko, ale głos jej drżał. - Już pan powiedział swoje.

- Doprawdy?

- Uświadomił mi pan, że jestem okropna i samolubna. - Jej głos zadrżał lekko. - A teraz, jeśli pan skończył, proszę mnie zostawić, żebym mogła zastanowić się nad swoimi wadami, które pan tak znakomicie opisał.

Rzeczywiście najlepiej byłoby wyjść, ale Pierce stwierdził, że nie może tego zrobić. Za dużo powiedział. Panna Edwards wyglądała na zdenerwowaną.

Nie zdołał w porę się opanować. W tej chwili najbardziej pragnął wziąć ją w ramiona i osłodzić ból wywołany przykrymi słowami.

Portia miała wady, ale kto był od nich wolny? W dodatku on karał ją za cudze winy. Dlaczego nie potrafił odpędzić ducha Emmy? Dlaczego widział ją w pannie Edwards?

- Więc zaczyna pani nową pracę za dwa dni – odezwał się łagodniejszym tonem.

Portię wyraźnie zaskoczyła ta odmiana. Kilka łez stoczyło się po jej policzkach.

- Chyba nie zamierza pan pokrzyżować mi planów? - W jej głosie brzmiał niepokój.

-Nie.

- Dziękuję - wyszeptała.

Pierce ruszył w jej stronę.

- Jak będzie pani docierać na North End i wracać do domu? - zapytał.

Portia opuściła wzrok.

- Na piechotę, tak jak porusza się większość ludzi w tym mieście.
- A przy brzydkiej pogodzie? - nie dawał za wygraną Pennington.
- Nie roztopię się na deszczu - odparła panna Edwards.
- Kapitan Turner na pewno chętnie będzie panią pod-woził przy każdej okazji.

W ciemnych oczach Portii odmalowały się zaskoczenie i uraza.

- Mam nadzieję, że nie. Ale dlaczego pan się tym przejmuje? Doskonale sobie sama poradzę.
- I już niczego pani ode mnie nie potrzebuje - stwierdził Pierce.

Panna Edwards się zarumieniła.

- Nie, panie Pennington. I jeszcze raz przepraszam za kłopoty i za to, że przeze mnie znalazł się pan w niezręcznej sytuacji. Przykro mi również, że musiał pan ukrywać się za kotarą.

Pierce uniósł jej brodę i spojrzał w oczy.

- Więc to nasze pożegnanie? Nie chce pani więcej mnie widzieć?
- Takie jest pańskie życzenie - odparła Portia spokojnie. - Na pewno nie moje.

Pennington kciukiem wytarł łzę z jej policzka.

- Czy to znaczy, że chciałaby pani jeszcze mnie zobaczyć?
- Myślę, że to bez sensu. - Odwróciła wzrok. Jej rumieniec się pogłębił. - Nasze spotkania zwykle zakłócają spory albo nieoczekiwani goście.
- - Moglibyśmy dojść do porozumienia i zorganizować wszystko tak, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Pennington pochylił się i musnął wargami jej mokry policzek. Następnie sięgnął do ust. Po chwili wahania Portia pozwoliła się objąć. Tak, właśnie to ich ku sobie popychało. Zwykła żądza. Pierce wiedział, że póki jej nie zdobędzie, nie uwolni się od fascynacji. Kiedy błędził dłońmi po jej plecach i tulił ją mocno do siebie, przypomniała mu się rada Nathaniela.

- Jutro wieczorem przyślę po panią Jacka - wyszeptał, całując gładką skórę pod uchem.
- Zjemy kolację u mnie, na Purchase Street.

Portia oparła dłonie o jego pierś i spojrzała na niego niepewnie.

- Nie sędzę, żeby to był dobry pomysł. Mam dość kłopotów...
- Tylko kolacja, bez żadnych niespodziewanych gości. I obiecuję, że będę grzeczny. Opowie mi pani o swoich planach w związku z panną Middleton.
- Właśnie przed tym ostrzegęła mnie Mary, mówiąc, że kontakty z panem oznaczają moją zgubę.

Pierce pocałował jej dłonie.

- A czym różnią się nasze pragnienia? - zapytał cicho.

Gdy nie odpowiedziała od razu, pocałował ją z takim żarem, że kiedy się odsunął, ona niemal się zachwiała.

- Nikogo nie czeka zguba, Portio. Do jutra.

Puścił ją niechętnie i wyszedł z salonu.

William Higgins był dumny ze swojej reputacji człowieka godnego zaufania. Znał wielu duchownych, którzy wybrali kontemplację, unikając obowiązków doczesnego życia. On nigdy do nich nie należał. Dotrzymywał obietnic mimo trudów codzienności. Brał na siebie odpowiedzialność i nigdy nie zapominał o tych, którzy na nim polegali. I zawsze pozostawał wierny swoim przekonaniom.

Dlatego znalazł się w kłopotliwej sytuacji, kiedy żona poinformowała go, że Portia się wyprowadziła.

Po prawie dwunastu latach małżeństwa doskonale poznał nieugięty charakter żony. Jednocześnie wiedział, że Portia jest zdolna doprowadzić Mary do ostateczności. Żałował, że nie poszukały u niego rady ani nie dały mu okazji zostania rozjemcą w ich sporze. Pod koniec drugiego dnia, nie doczekawszy się skruchy od żadnej ze stron, uznał, że nie może dłużej stać z boku.

Uniósł wzrok znad psalmu, który od kwadransa czytał bez zrozumienia. Żona pochylała jasną głowę nad robótką. Podobnie jak on milczała przez cały wieczór.

- Podobno dzieci widziały się dzisiaj z Portią na Wind Mill Point - powiedział.
- Istotnie. - Mary nie przestawała kłuć igłą materiału rozpostartego na kolanach. - Clara oświadczyła po powrocie, że zabrała je tam, żeby pożegnały się z nauczycielką. Musiałam skarcić ją surowo za to, że nie uprzedziła mnie o swoim zamiarze. Przykazałam jej również, żeby nie pro-wadziła Waltera i Ann tam, gdzie mogą przypadkiem natknąć się na Portię.

- Czy nie za daleko się posunęłaś, kochanie? - William zamknął Biblię. - Portia nie jest przestępczynią. Żywi w sercu głębokie uczucie dla naszych dzieci.

Żona uniosła głowę znad robótki.

- Portia sama powzięła decyzję. I dobrze, że ponosi jej konsekwencje.
- Więc to jest kara?
- Mam nadzieję.
- Ale czy nasze dzieci również muszą ją ponosić? Wiesz dobrze, że Walter i Ann cierpią najbardziej. - Pastor umilkł na chwilę. - Oboje bardzo chcieli opowiedzieć mi o swoim spotkaniu z Portią. Błagali, żebym się za nią wstawił, porozmawiał z tobą, żebyś pozwoliła im odwiedzać Portię.
- Sprawa jest już przesądzona. Gdyby Clara nie postąpiła samowolnie, nikt w naszej rodzinie teraz by nie cierpiał. Nawet nie toczylibyśmy tej rozmowy.
- Przeciwnie - stwierdził mąż spokojnym tonem. - Przecież nie chcemy, żeby Portia zniknęła z naszego życia po ośmiu latach, które z nami spędziła. Nie możemy udawać, że nigdy nie istniała.

Mary opuściła wzrok.

- Jest coś jeszcze - dodał William, kładąc Biblię na stole. - Niezależnie od uczuć, które do niej żywimy, jesteśmy nadal za nią odpowiedzialni. Zapomniałaś o obietnicy, którą złożyliśmy lady Primrose? Przrzekliśmy, że otoczymy Portię opieką, póki będzie nas potrzebowała.
- Póki będzie nas potrzebowała - powtórzyła Mary z goryczą. - Nie zmuszałam jej do odejścia. Dałam jej wybór.
- Wybór, którego nie mogła dokonać?

Na jasne policzki żony wystąpił rumieniec.

- Mówisz, jakbym była żmiją bez serca. Już nie pamiętasz, jak sam proponowałeś, żeby ją wysłać do Nowej Szkocji? Chciałeś, żeby zapomniała o szukaniu rodziny.
- Nie przemyślałem sprawy. - Pastor położył rękę na kola-nie żony. - Ty chyba również, kochanie. Wybór, który zmusza do wyrzeczenia się nadziei, nie jest żadnym wyborem. Zresztą oboje wiemy, że ultimatum nigdy nie robiło wrażenia na Portii. Zawsze skuteczniejsze było odwołanie się do jej rozsądku. Może w obecnej sytuacji również by poskutkowało.

Mary z uporem potrzaskała głową.

- Portia sama zdecydowała. Jeszcze nigdy nie była bardziej zdeterminowana.

William odchylił się na oparcie krzesła, rozmyślając o wpływach torysów w jego parafii. Gdyby Helena Middleton zniknęła, wszyscy byliby oburzeni ze względu na admirała. Z drugiej strony, nie mógł zapomnieć o obietnicy danej lady Primrose. I o błaganiach Ann i Waltera. Będą inne posady, doszedł do wniosku. Inne parafie.

- W takim razie my powinniśmy zrewidować nasze stanowisko - stwierdził w końcu. - Lady Primrose znalazła mi tę parafię. Nawet sfinansowała naszą przeprowadzkę. Zastanawiam się teraz, czy wiedziała, że admirał i jego córka są w Bostonie. Może chciała, żeby Portia znalazła się bliżej matki.
- Puszczasz wodze fantazji - stwierdziła żona. - Lady Primrose nie wspomniała o tym ani słowem. Nigdy.
- Istotnie. - William wstał z krzesła i podszedł do okna. Ulicą maszerowała kompania żołnierzy. - Lady Primrose jest dobrodziejką dla wielu ludzi, ale nigdy nie lubiła wyjawiać swoich zamiarów. Przypomnij sobie, co dla nas zrobiła. Mogła znaleźć nam jakiś kościół w Anglii, a zamiast tego wpadła na pomysł z Bostonem. Może chciała, żebyśmy się tutaj znaleźli. Z powodu Portii.

Pastor odwrócił się do żony.

- Sądzisz, że źle postąpiłam! - krzyknęła Mary. - A ja chciałam jedynie chronić swoją rodzinę.
- Zrobiłaś to, co uważałaś za dobre dla nas wszystkich. Ale uważam, że mamy obowiązki wobec Portii. Myślę, że byłoby najlepiej, gdybyśmy ją wsparli i zobaczyli, co z tego wyniknie.
- Co się stało, to się nie odstanie. - Mary z gniewem wrzuciła robótkę do koszyka stojącego na podłodze. - Zresztą chodzi o coś więcej. O dobre obyczaje i przyzwoitość. Straciłam do niej zaufanie. Nigdy nie dopuszczę do takiej historii jak... jak...
- Ona nie jest twoją siostrą. Bez przyzwoitki odwiedziła dżentelmena tylko raz, w biały dzień. Poza tym musisz pamiętać, że jesteśmy w koloniach. Tutaj obowiązują inne zasady etykiety. Zapomnij o tym, co zrobiła Ellie. Nikt nie będzie nas obciążał odpowiedzialnością za jej skandaliczną przeszłość. Żyjemy w nowym świecie.

Mary wstała, a kiedy mąż do niej podszedł, odwróciła się szybko.

- Proszę, kochanie - powiedział William. - Nie pozwól, żeby przeszłość poróżniła naszą rodzinę. Nie myśl o Ellie. Pamiętaj lepiej, jaką dobrą przyjaciółką była dla nas Portia. Pastor patrzył na smukłe plecy żony. Nigdy nie umiał jej nakłonić, żeby robiła to, czego nie chciała zrobić. Nie potrafił do niczego jej zmusić. W małżeństwie mieli równe prawa i William nie chciał tego zmieniać. Nie tylko kochał żonę, ale także szanował ją i darzył zaufaniem. Wiedział, że ona czuje do niego to samo. Powiedział swoje i teraz od niej zależało, czy skorzysta z jego rady.

- Może... byłam zbyt surowa dla Portii. - Mary w końcu się odwróciła. W pokoju było ciepło, ale zaczęła masować sobie ramiona. - Prawda jest taka, że wpadłam w panikę. Zobaczyłam ją w biurze pana Penningtona i wróciły wszystkie straszne wspomnienia. Pomyślałam o tym, co mieliśmy w Bristolu i co musieliśmy zostawić. Nie chciałam przechodzić przez to samo, patrzeć, jak tracisz kolejną szansę. - Usiadła na kanapie i spojrzała w nierozpalony kominek. - Portia przeżywała tamto rozczarowanie razem z nami. Widziała, jakie nieszczęście sprowadził na nas, na dzieci, nawet na parafian skandal z Ellie. Dlatego nie rozumiałam, jak mogła narazić na szwank całą naszą przyszłość. Byłam na nią wściekła, że jest taka samolubna.

William usiadł obok żony i ujął jej dłoń.

- Przez tyle lat Portia myślała tylko o nas - powiedział. - Nasza rodzina była dla niej najważniejszą rzeczą w życiu. Teraz, po raz pierwszy, próbuje myśleć o sobie. I o matce, jeśli cała ta historia okaże się prawdziwa. A my oczekujemy, że wyrzeknie się marzeń. Czy to nie jest samolubstwo?

Mary odchyliła się na oparcie kanapy i westchnęła ciężko.

- Rzeczywiście nie myślałam o niej Ale martwiłam się tą całą sytuacją podobnie jak ty, Ann i Walter
- Wiem, skarbie - zapewnił ją mąż - I wiem, że Portia ma stałe miejsce w twoim sercu
- Była moją najlepszą przyjaciółką, często jedyną - Łzy zalśniły na końcu długich rzęs Mary - Wyznam, że się dziwiłam ją przez ostatnie dwa dni. Wynajęła pokój w po rządym domu, a pojutrze zaczyna pracę jako dama do towarzystwa swojej matki Będzie jej czytać francuskie poezje. Radzi sobie lepiej, niż gdyby mieszkała z nami
- Pchnęłaś ją ku niezależności - stwierdził pastor
- Albo naraziłam na niebezpieczeństwo Portia idzie po omacku ścieżką, którą wybrała.

Nie ma pojęcia o możliwych konsekwencjach decyzji, które samodzielnie podejmuje William otoczył żonę ramieniem i przygarnął ją do siebie

- Teraz mówisz jak zaniepokojona matka - zauważył
- Wiem Słyszałam, że dzisiaj złożyli jej wizytę dwaj dżentelmen. To więcej niż przez wszystkie lata, kiedy mogła przyjmować wielbicieli
- Zdziwiający, zważywszy na to, jaka jest wiekowa -skomentował mąż, ukrywając uśmiech Mary trąciła go łokciem w zebra - Więc kiedy zamierzasz. ją odwiedzić i zrobić jej wykład na temat przyjmowania staropanieństwa z godnością?
- Nie będę jej robić żadnych wykładów. A tak przy okazji, myślisz, że by mnie przyjęła?
- Nie sądzę, żeby zdołała cię powstrzymać, skoro po stanowiłaś naprawić błąd

Pierce nie pamiętał, żeby Nathaniel kiedyś chciał rozmawiać o interesach o tak późnej porze I jeszcze nigdy przyjaciel nie był równie wzburzony. Zjawił się u niego w pół do jedenastej z plikiem dokumentów z *Thistle*, ich statku, który niedawno przycumował do Long Wharf.

- Moje podejrzenia były słuszne - oznajmił, gdy tylko zamknęli się w gabinecie Penningtona. - Wczorajsze serdeczne spotkanie z Middletonem i Turnerem miało na celu wyłącznie osłabienie naszej czujności. Teraz zaczęli węszyć. Rzucił księgi rachunkowe i dokumenty na biurko.

- O co właściwie chodzi? - zapytał Pierce.
- Dziś po południu, nie czekając na raport naszego kapitana, cholerny urzędnik skarbowy wszedł na pokład *Thistle* z dwoma tuzinami żołnierzy.
- Zajęli statek?
- Oficjalnie nie, ale zabrali nasze księgi - odparł z gniewem Muir. - Nazywają to inspekcją. Twierdzili, że każda jednostka wchodząca tego popołudnia do portu będzie traktowana tak samo. Ale ja wiem, że to kłamstwo, bo je-den cuchnący wielorybnik i dwa statki handlowe przycumowały do Long Wharf godzinę po naszym i nie zrobiono im żadnej cholernej inspekcji.

Pierce od dłuższego czasu spodziewał się, że władze zaczną go nękać. Był na to przygotowany.

- Nie denerwuj się, Nathanielu. Niczego nie znajdą. Kiedy zeszłej nocy ludzie Ebenezera skończyli rozładowywanie towaru, puste beczki napełnili morską wodą. Kapitan

Preston zapewnił mnie, że są dokładnie przemieszane z tymi, które zawierają wino. Z listów przewozowych wynika, że na pokładzie jest pięć tysięcy galonów trunku, więc żołnierze musieliby odszypuntować wszystkie beczki. - Pierce położył dłoń na ramieniu przyjaciela. - A nawet jeśli to zrobią, winę będzie można łatwo Zrzucić na tych cholernych złodziei z Madery, którzy ładowali towar na statek.

Dobrze, ale nie chodzi tylko o *Thistle*. - Nathaniel przyciągnął sobie krzesło do biurka, usiadł i otworzył pierwszą księgę. - Myślę, że oni nie tyle zamierzają dokonać inspekcji, co przepytac wszystkich marynarzy i dokerów, którzy dla nas pracują. W końcu któryś powie niewłaściwe słowo, a wtedy skoczą nam do gardeł.

- Nasi ludzie już wcześniej wytrzymywali takie przesłuchania - rzekł Pennington. - Poradzą sobie świetnie.

- Może, lecz to nie wszystko. Pierce położył dłonie na biurku.
- Co jeszcze? - spytał.
- Dostałem wieczorem list, że celnicy chcą przejrzeć dzienniki pokładowe z czterech ostatnich rejsów *Thistle*, czyli z ostatniego roku. Chcą sprawdzić je od czasu, kiedy zaangażowałeś się w interesy. - Nathaniel pokazał palcem datę w księdze. - I domagają się dzienników z pięciu innych statków, za ten sam okres.
- Dostarczaliśmy je za każdym razem, kiedy statki przybijały do portu. Powinni mieć te wszystkie informacje.
- Twierdzą, że gubernator kazał im zebrać je znowu. Mówią, że to zwykła procedura dotycząca wszystkich, którzy zajmują się handlem.
- To największe kłamstwo, jakie w życiu słyszałem. -Pierce obrócił do siebie księgę i spojrział na wpisy. Przez cały zeszły rok *Thistle* i pozostałe statki przewoziły broń ukrytą wśród ładunku. Natomiast w listach przewozowych były wpisane wino i papier z Anglii oraz melasa i cukier z Karaibów. - Spisałeś się doskonale. Uważam, że do niczego nie mogą się tutaj przyczepić.
- Nie księgi są moim zmartwieniem, tylko ty, Pierce -powiedział cicho Nathaniel. - Trwa oficjalne śledztwo, ale oprócz niego jest również tajne. Wszystkich aresztowanych i zabranych z Kotwicy do zamku po twoim spotkaniu z Ebenezerem proszono o jedną rzecz: rysopis MacHeatha.
- Synowie Wolności nigdy na mnie nie doniosą, a nikt inny nie ma dość informacji, żeby

założyć mi stryczek na szyję - uspokoił go Pierce.

Sam mi powiedziałeś, że panna Edwards widziała cię zeszłej nocy - przypomniał Muir. - A skoro ona, inni też mogli cię rozpoznać. Myślę, że powinieneś znaleźć jakąś wymówkę, najlepiej związaną z interesami, i wynieść się stąd na jakiś czas.

- A co z tobą? - zapytał Pennington.
- Wszyscy wiedzą, że w naszej spółce jestem człowiekiem od spraw finansowych. Najgorsze, co mogą zrobić, to zająć wszystkie nasze statki stojące w porcie. Ale mam dość przyjaciół, tutaj i w parlamencie, którzy zaświadczą o mojej lojalności wobec Korony i całkowitym braku za-interesowania polityką. Ja co najwyżej dostanę klapsa po łapie, a ciebie powieszą, jak złapią.

Pierce nie bał się aresztowania. Zawsze wiedział, co mu grozi. Kiedy przyjechał do Ameryki, chciał przede wszystkim zapomnieć o wyrzutach sumienia z powodu złamanego życia brata i śmierci Emmy. Osiedliwszy się w Bostonie, zawarł spółkę z Muirem, starym i zaufanym przyjacielem, poświęcił czas, pieniądze i energię handlowi morskemu. Pracował ciężko, żeby zdobyć majątek. Dopiero później poczuł wspólnotę ze zbuntowanymi obywatelami swojego nowego kraju. Był świadkiem demonstracji, słyszał o niesprawiedliwościach, zobaczył, jak ludzie z różnych klas walczą o prawo do stanowienia o własnym losie. I znalazł cel w życiu.

Zyskał poczucie przynależności. Ich sprawa stała się jego sprawą.

Najgorsze teraz było dla niego to, że szybko zbliżała się chwila, kiedy on i jego młodszy brat David staną twarzą w twarz, ale po przeciwnych stronach barykady.

Już stracił jednego brata. Nie chciał ryzykować, że zostanie bez rodziny.

- Musisz wyjechać, Pierce - powtórzył Nathaniel. - Możesz popłynąć na Karaiby. Rozpuszczę wiadomość, że wymagały tego nasze interesy. Zostaniesz tam, póki ci dranie nie zaczną szukać kogoś innego.

- Pomyślę o tym - obiecał Pennington. - Ale nawet jeśli zdecyduję się wyjechać, to nie wcześniej niż po zdobyciu *Gaspee*. Czyli za trzy dni.

13

Portia nie wiedziała, gdzie znajdzie się za miesiąc czy za rok, ale nie mogła nie pójść na wiec do Faneuil Hall. W budynku tłoczyły się setki ludzi ze wszystkich klas: prawnicy i nauczyciele, rzemieślnicy i służący, marynarze i robotnicy. Było nawet trochę kobiet.

Portia знаła wiele twarzy i niektóre nazwiska. Wszyscy przybywali tutaj w jednym celu: żeby wypowiedzieć się na temat przyszłości.

Przedstawiano różne propozycje, dyskutowano, uchwalano rezolucje, zbierano głosy. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy Portia miała okazję wysłuchać licznych mówców, w tym nawet Sama Adamsa, najsilniejszego z przywódców. Jego przekaz był jasny, zachęcał do działania. Bostończycy jednoczyli się w walce przeciwko wspólnemu wrogowi.

Portia jak zwykle wyszła przed końcem zebrania. Nie chciała brać udziału w wymianie zniewag, do której regularnie dochodziło między podnieconym tłumem a brytyjskimi żołnierzami rozstawionymi wokół Dock Square.

- To ostatnie miejsce, gdzie spodziewałbym się panią zobaczyć w takie piękne popołudnie, panno Edwards.

Serce Portii przyspieszyło na dźwięk znajomego głosu. Kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Pierce schodzi po schodach.

- Pan Pennington - bąknęła.

Właściwie nie powinna być zaskoczona. Nic dziwnego, że właściciela statków interesowała polityka kolonii.

- Byłem rozczarowany, kiedy rano dostałem pani liścik, odwołujący dzisiejsze spotkanie - rzekł Pierce.

Portia zaczęła okręcać pasek torebki wokół nadgarstka. Zeszłej nocy przez wiele godzin rozmyślała o konsekwencjach wizyty w domu Penningtona. Pamiętała ostrzeżenia Mary. Ich spotkanie mogło skończyć się tylko w jeden sposób. Ten mężczyzna był dla niej zakazanym owocem. Choć pragnęła poznać jego smak, musiała dbać o reputację. Z samego rana napisała list z przeprosinami i wsunęła go pod drzwi biura na Long Wharf nie wiedziała dokładnie, gdzie mieszka Pennington.

- Nie sądzę, żebym znalazła czas, zważywszy na moją nową posadę. Poza tym to byłoby niewłaściwe. - W głowie miała pustkę. Nie pamiętała, jaką wymówką posłużyła się w liście.

- Rozumiem doskonale - uspokoił ją Pennington. - Niepotrzebnie nalegałem, żeby pani do mnie przyszła.

- Wcale pan nie nalegał. - Portia odetchnęła z ulgą. - Dziękuję za zrozumienie.

- Mogę teraz pani towarzyszyć? - zapytał Pierce. Portia zarumieniła się mimo woli.
- Oczywiście - powiedziała. - Będę zaszczycona. Przez jakiś czas szli w milczeniu. Przerwał je Pennington.
- Podoba się pani bostońska polityka, panno Edwards?
- Uważam, że jest fascynująca - odparła szczerze Portia, zadowolona ze zmiany tematu.
- Więc nie pierwszy raz słucha pani wystąpień miejscowych wicherzycieli.
- Istotnie.
- Ale wyszła pani wcześniej - zauważył Pierce.

Nauczyłam się tego zeszłej zimy. Po jednym z wieców pozostałam razem ze wszystkimi i zostałam uderzona kulą śniegową przeznaczoną dla jednego z żołnierzy. W rezultacie pośliznęłam się na lodzie i przez tydzień byłam strasznie poobijana.

- To przykre, ale skąd pani wie, że to nie pani była celem?
- Dwunastolatek, który odprowadził mnie wtedy do domu, przyznał się do błędu - wyjaśniła Portia. - Biedny dzieciak bardziej się przejął swoją pomyłką, niż należałoby z uwagi na skutki.
- Dobrze mu tak. - Pennington położył dłoń na plecach Portii i usunął się na bok, robiąc miejsce tym, którzy się spieszyli. - Zadziwiające, że po tamtej przygodzie nadal chodzi pani na wiece.

Portia wzruszyła ramionami.

- Upadki i siniaki to część życia. Nie są w stanie mnie zniechęcić.

Gdy zobaczyła jego uśmiech, oblał ją war. Pierce zabrał rękę z jej pleców. Na brukowanym Dock Square minęły ich dwie dobrze ubrane kobiety, którym towarzyszyła gromada dzieci i służących. Obie zmierzyły taksującym wzrokiem jej towarzysza.

Portia pomyślała, że zwróciły uwagę nie tylko na jego imponującą sylwetkę i przystojną twarz. Nie bez znaczenia był nieodparty urok pana Penningtona. Bella miała rację, że ten przystojny Szkot budzi żywe zainteresowanie wśród bostońskich dam. Portia próbowała iść w pewnej odległości od Pierce'a, ale on wziął ją pod ramię i przy-ciągnął do swojego boku. W pewnym momencie wymienił pozdrowienia z trzema mężczyznami, których pamiętała z zebrań w Faneuil Hall.

- Więc pan również interesuje się polityką - stwierdziła, kiedy ruszyli dalej.

- Lubię wiedzieć, co się dzieje. I doceniam wysiłki tych ludzi. - Rozejrzał się i dodał ściszym głosem: - Podobają mi się ich metody działania.
- Ciekawe stanowisko, zważywszy na to, że ich taktyka musi pana kosztować dużo pieniędzy za każdym razem, kiedy parlament wymierza kolejne kary mieszkańcom Bostonu.
- Są rzeczy ważniejsze niż pieniądze - skwitował Pierce.
- Zgadza się z panem, panie Pennington.
- Ale przyznam, że czuję ból na myśl o niepowodzeniach Szkocji walczącej o to samo.
- Tutaj ludzie mają tę przewagę, że domagają się swoich praw jako Anglicy. Ze Szkotami jest trochę inaczej.
- Istotnie.
- Poza tym pańskim rodakom trudniej jest wyrażać nie-zadowolenie, bo czują na sobie ciężką rękę brytyjskiej sprawiedliwości.
- Jest pani radykałem z przekonania, panno Edwards. -Pierce wskazał głową na dwójki żołnierzy stojących na wszystkich rogach. - Ale ta ciężka ręka jest doczepiona do długiego ramienia. Musimy czekać, aż pan Adams i jego przyjaciele odniosą sukces w walce.

Portia zorientowała się, że idą w stronę Long Wharf.

- Wierzy pan, że mogą wygrać? - zapytała.
- Oczywiście. Ci ludzie albo ich rodzice przybyli do te-go kraju, żeby zacząć wszystko od nowa. Tutejsi przywódcy imponują inteligencją. Osiągnęli swoją pozycję dzięki własnym talentom i ambicji, a nie dzięki zasługom przodków. Domagają się wolności i niezależności, na którą wszyscy zasługują. A najważniejsze, że nie są finansowo zależni od Anglii.
- Koloniści nie potrzebują angielskich rządów, natomiast Anglia potrzebuje bogactwa kolonistów - skomentowała Portia.

Pierce popatrzył na nią zaskoczony.

- Celna uwaga.

Ale żadne słowa nie pokonają brytyjskiej armii. Choć nienawidzę przemocy, sądzę, że żądania kolonistów nigdy nie zostaną spełnione, jeśli nie będą mieli broni.

Pennington zerknął na nią z błyskiem podejrzliwości w oku, ujął Portię za rękę i zmusił ją do zatrzymania się. Minął ich wóz wypełniony beczkami.

- Ciekawe spostrzeżenie - powiedział. - Ale gdzie pani je usłyszała? Na plebanii? Czy może kapitan Turner po-dzielił się z panią swoimi poglądami?
- Ani jedno, ani drugie. Rodzina Higginsów z zasad\ nie rozmawia o polityce. A kapitan Turner i ja nie jesteśmy na takim etapie zażyłości, żeby wyrażał przy mnie te-go rodzaju opinie. - Portia pobiegła spojrzeniem ku dwóm brytyjskim statkom wojennym stojącym na kotwicy niedaleko Long Wharf. - To moje osobiste spostrzeżenie. Nie wierzę, żeby pan Adams, pan Otis albo nawet doktor Franklin mieli jakiś wpływ na króla.
- Tak, bez wątpienia w pani żyłach płynie krew jakobitów - stwierdził cicho Pierce.

Portia nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie była przyzwyczajona do komplementów, zwłaszcza tak osobliwych. Zaskoczyło ją również, że Pennington pamięta to, co mówiła mu o swojej przeszłości. Na wszelki wypadek wybrała milczenie. Nagle uświadomiła sobie, że Pierce trzyma jej dłoń. Ze względu na przyzwoitość próbowała ją zabrać, ale on splótł palce z jej palcami.

- Proszę mi powiedzieć, panno Edwards, jakie jeszcze polityczne poglądy przechowuje pani w tej swojej ślicznej główce? - zapytał.
- Cóż, obawiam się, że sama nie jestem zbyt powściągliwa w ich wyrażaniu.
- W takim razie miejmy nadzieję, że dobrze pani wybiera *osoby*, z którymi rozmawia o polityce - rzekł Pierce. - Nie radziłbym dzielić się poglądami z kapitanem Turnerem albo z pani nowym pracodawcą, admirałem Middletonem.

- Nigdy bym tego nie zrobiła - odparła Portia spokojnie. - Nie jestem głupia.

Pennington delikatnie ścisnął rękę Portii.

- Wiem.

Jego bliskość, słowa, zainteresowanie jej osobą budziły w niej zamęt, ale wcale nie chciała się z nim pożegnać. Stwierdziła, że lubi z nim rozmawiać, choć jednocześnie zadawała sobie pytanie, czy to wypada, by kobieta dzieliła się swoimi myślami z kimś spoza rodziny. Stąpała po nieznanym gruncie.

Gdy mijala ich para w średnim wieku, Portia dostrzegła spojrzenie, które dama skierowała na ich splecione palce. Szybko zabrała rękę i odwróciła wzrok. Z końca Long Wharf widziała budynek, w którym mieściły się biura Penningtona.

Gorączkowo zastanawiała się, jaki temat poruszyć, żeby Pierce przypadkiem jej tam nie zaprosił.

- Więc jest pan niezadowolony z sytuacji panującej w Szkocji - rzuciła w końcu. - Chyba po raz pierwszy na-pomknął pan o swoim kraju.
- Naszym kraju, czyż nie?
- Tak. Podobno. - Portia rozejrzała się po nabrzeżu. -Ale jest inaczej, kiedy myśląc o ojczystym kraju, można powiązać z nim twarze i imiona. Trudno mi uważać go za swój, ponieważ nie mam tam rodziny, żadnych wspomnień. Nie to co pan.

Pierce zmarszczył czoło.

- Była pani w Szkocji? - spytał.
- Tylko raz, w towarzystwie pani Higgins, która pojechała z wizytą do rodziny.
- I jak się pani podobało?
- To duży i piękny kraj. Ale byłam zaskoczona, że nie-wielu ludzi pracuje na roli. To smutne, co się tam dzieje.
- Mówi pani o usuwaniu górali z ziemi - stwierdził Pennington.

Portia skinęła głową, ale niepotrzebnie podniosła na niego wzrok. Pod wpływem jego spojrzenia szybciej zabiło jej serce.

- Nie powinienem być zdziwiony, że na ten temat również ma pani swoje zdanie.
- Owszem, ale wolałabym rozmawiać o tym w innym czasie i miejscu. Na pewno nie spotyka pan wielu kobiet, które tak mało wiedzą o podobnych sprawach, a mimo to wyrażają opinie na ich temat. Naprawdę nie chciałabym odstraszyć pana moim paplaniem.
- Odstraszyć? Nigdy. Zaintrygować? Już pani to zrobiła.

- O, chyba idzie pański kancelista - zauważyła Portia.

W ich stronę rzeczywiście zmierzał Sean z plikiem papierów pod pachą.

- Istotnie - stwierdził Pennington. - Obawiam się, że jakieś pilne sprawy wymagają mojej uwagi. Jeśli raczy pani zaczekać, może później wybierzemy się na przejażdżkę i będziemy kontynuować...

Portia potrząsnęła głową.

- Dziękuję za propozycję, ale nie mogę jej przyjąć.

- Oczywiście - powiedział Pierce wyraźnie rozczarowany. - Takie same wymówki jak w liście. Dlaczego unika pani mojego towarzystwa, jeśli mogę spytać?

W tym momencie zbliżył się do nich Sean, ale Pennington szybko odesłał go do biura.

- Co pani na mój zarzut? - ponaglił ją, gdy zostali sami.
- List... cóż...
- Liczyłem na to, że będzie pani ze mną szczerą. Ale trudno. - Pierce uklonił się grzecznie. - Mam nadzieję, że nasze ścieżki się jeszcze kiedyś przetną. Miłego dnia, panno Edwards.

Pomaszerował nabrzeżem, a Portia odwróciła się i ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Musiała uciec jak najdalej, nim serce weźmie górę nad rozsądkiem.

Kiedy Mary Higgins zjawiała się w aptecze przy School Street, zdołała przekonać panią Crease, że Portia nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli ona zaczeka w jej pokoju, a nie w salonie. Prowadząc gościa na piętro, gospodyni pod niebiosa wychwalała nową lokatorkę. Gdy pastorowa została sama, opadły ją wyrzuty sumienia.

Pokój był czysty, meble i pościel porządne. Przez otwarte okno napływały uliczne hałasy. Pani Higgins nie zmartwiły warunki, w których mieszkała Portia, tylko jej skromny dobytek.

W kącie stał kuferek, na nocnym stoliku leżało kilka drobiazgów, głównie podarunki od Ann i Waltera. I to wszystko, co zgromadziła Portia przez całe życie. Mary przypomniała sobie, że jej podopieczna miała więcej rzeczy, kiedy zjawiała się u nich przed ośmioma laty, po ukończeniu szkoły w Walii.

Portia nigdy nie dbała o dobra materialne. Była natomiast spragniona uczucia i robiła wszystko, żeby zadowolić nową rodzinę. Bardzo chciała stać się jej częścią.

Państwo Higgins byli zbyt pochłonięci własnym życiem, by zauważyć, że Portia pragnie wyjść za mąż i mieć dzieci, stworzyć dom, którego zawsze tak jej brakowało. Choć musiał nadejść dzień, kiedy dziewczyna zostanie sama i nie będzie miał kto dodać jej otuchy, Mary przyspieszyła tę chwilę, zmuszając biedaczkę do odejścia.

Może gdyby wcześniej wprowadziła ją do towarzystwa, gdyby przedstawiła jej paru mężczyzn, gdyby zachęciła kawalerów do ubiegania się o rękę wychowanki, Portia nie wiązałaby wszystkich swoich planów na przyszłość z ratowaniem matki. Jej marzenie pastorowa nadal uważała za niemożliwe do spełnienia. Zbyt śmiało. Portia nie mogła

również wynagrodzić jej lat osamotnienia.

Mary podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Czuła się winna, że wciąż porównuje Portię do swojej siostry. Ellie dorastała w licznej, kochającej się rodzinie. Nigdy nie brakowało jej przywiązania najbliższych ani dóbr doczesnych. Nawet kiedy wdała się w gorszący romans i kiedy inni ucierpieli na jej postępowaniu, ona nic nie straciła. Po skandalicznym rozwodzie kochanek mimo wszystko ją poślubił.

Teraz Ellie była mężatką i dobrze się jej powodziło. W przeciwieństwie do Portii.

Mary dostrzegła czerwone mundury kilku oficerów jadących konno i pomyślała o Turnerze. Może jeszcze nie jest za późno. Kapitan wyraźnie interesował się Portią, a jej opór mógł z czasem osłabnąć. Po prostu dziewczyna potrzebowała czasu, żeby się przyzwyczaić do Turnera. Była dostatecznie młoda, by wyjść za mąż, a oficer w najlepszym wieku, żeby się ustatkować, założyć rodzinę. Gdyby Portia znalazła szczęście, pewnie zapomniałaby o mrzonkach.

Mary zaczęła chodzić po pokoju. W pewnym momencie jej roztargniony wzrok padł na małe biurko stojące w rogu. Gdy zobaczyła kałamarz i starannie ułożone kart-ki papieru, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Usiadła na krześle i sięgnęła po pióro.

W liście wyraziła nadzieję, że kapitan Turner zaopiekuje się panną Edwards w czasie jej podróży na Copp Hill i z powrotem. Napomknęła, że Portia go lubi, i z góry podziękowała mu za przysługę w imieniu swoim i pastora. Zaadresowała kopertę i wstała od biurka.

Powinni więcej czasu spędzać razem, doszła do wniosku. Słyszając kroki na schodach, wsunęła list do kieszeni. Przyjaciółka nie musiała na razie nic wiedzieć.

Chwilę później drzwi się otworzyły i w progu stanęła Portia.

- Mary! - wykrztusiła zdziwiona. - Przyszłaś.

Pastorowa zrobiła krok w jej stronę.

- Miałam trochę czasu na przemyślenie wszystkiego.

I zrozumiałam, jak bardzo za tobą tęsknię.

- Ja też za tobą tęskniłam - wyznała Portia.

Mary zbliżyła się o jeszcze jeden krok.

- Wiem, że mam swoje uprzedzenia i obawy, ale widzę, że dobrze sobie radzisz sama.

Obu nam odpowiada obecna sytuacja, co nie oznacza, że musimy zerwać naszą przyjaźń

i...

- Dziękuję - wyszeptała Portia.

Mary wyciągnęła do niej rękę.

Śledztwo prowadzone na pokładzie *Thistle* nie zakończyło się oskarżeniami ani aresztowaniami. Ale Pennington nie był tak naiwny, żeby zrezygnować z zachowania czujności.

Jeszcze tego samego popołudnia dostarczył urzędnikom celnym księgi z poprzednich rejsów. Przy okazji dowiedział się, że śledztwo może potrwać od paru tygodni do kilku miesięcy. Miał jednak inną, pilniejszą sprawę na głowie. Lada dzień spodziewali się z Nathanielem przybycia z karaibskiej wyspy St. Eustatius *Lothiana*, który wiózł kolejny ładunek muszkietów ukrytych wśród beczek z melasą z St. Kitt's.

Pierce nie mógł pozwolić, żeby statek dotarł w pobliże Bostonu. Nie wątpił, że brytyjskie kutry patrolujące port dostały rozkaz, żeby go wyglądać.

Rozważał wyprawienie *Thistle'a* z ostrzeżeniem, ale było to zadanie prawie niemożliwe do wykonania. Poza tym gdyby bryg wypłynął z Bostonu bez beczek rumu, które w portowym magazynie czekały na załadowanie, admirał Middleton natychmiast wysłałby za nim szybki statek wojenny.

Lothian miał przyplłynąć w ciągu dwóch tygodni, ale nie wiadomo było, czy już wyruszył w drogę. Nathaniel twierdził, że to kolejny powód, dla którego Pierce musi opuścić Boston.

Po powrocie do domu Pennington od razu udał się do gabinetu Bez wahania podszedł do półki z książkami i sięgnął po list ze Szkocji, który leżał tam nieotarty od ponad miesiąca Głęboko poruszyła go dzisiejsza rozmowa z Portią, a zwłaszcza jej uwaga o rodzime Nagle po czuł, że musi się dowiedzieć, co słyhać u Lyona Nie widział się z nim od śmierci Emmy.

Zaniósł list do biurka i spojrzał na pieczęć Aytounów. Tę samą pieczęć, której używał ojciec, kiedy dorastał w Baronsford

Kiedys rozstanie z rodziną było dla niego nie do pomyślenia. Nie potrafił nawet wyobrazić sobie życia bez Lyona, Davida i Emmy

Razem dorastali Emma wdrapywała się razem z nimi na urwiska. Najbliższa wiekiem Davidowi, całe dzieciństwo spędziła z trzema chłopcami. Pochodziła z Douglasow,

sąsiadów mieszkających na wschód od Baronsford, i kochała tę posiadłość tak samo jak Aytounowie.

Pierce przełamał pieczęć.

Każdego z trzech braci łączyły inne stosunki z Emmą. Najstarszy Lyon miał wobec niej oczekiwania, które ona spełniała po to, by w przyszłości zostać panią na Baronsford.

David był z nią najbliżej. Od małego bawili się na okolicznych wzgórzach. Widok tej rozbrykanej, nierozłącznej dwójki na zawsze wrył się w pamięć Penningtona. Pierce uważał, że jedynie najmłodszy brat naprawdę ją kochał.

On sam traktował Emmę jak siostrę. Troszczył się o nią od czasu, kiedy zaczęła chodzić, otaczał ją opieką, uczył. Także pokładał w niej wielkie nadzieje, ale dziewczyna była samowolna i impulsywna. Miała w sobie dzikość, której nie dawało się okiełznać.

Potem Lyon opuścił gniazdo rodzinne, żeby dokończyć edukację i wstąpić do wojska. Emma pojechała do Londynu z matką i Gwyneth Douglas, swoją kuzynką. Gdy umarł ich ojciec, z niecierpliwością czekała na powrót Lyona. Wszyscy wiedzieli, że jej największym marzeniem jest zostać hrabiną Aytoun, panią Baronsford.

Pierce ostrzegał brata, że Emma chce małżeństwa nie z miłości do niego, tylko do jego tytułu.

Mimo to Lyon ożenił się z nią i właśnie wtedy między braci został wbity klin. David wyjechał służyć Koronie jako oficer.

Spełnienie pragnień nie wystarczyło Emmie do szczęścia. Jej apetyt rósł. Niestety Pierce był wtedy ślepy. Hrabina wykorzystywała jego przywiązanie i jeśli coś jej się nie podobało, przybiegała do niego na skargę. Oczywiście zawsze o wszystko obwiniała męża, intrygowała i nastawiała braci przeciwko sobie.

Pierce rozłożył list, ale nie widział słów. Jego oczy przesłaniała mgła wspomnień z ostatnich dni spędzonych w Baronsford.

Przez dwa lata pozwalał bratowej manipulować sobą i dopiero po jej śmierci dostrzegł swoją ślepotę. Emma od tak dawna należała do ich rodziny, że naiwnie jej ufał i przy każdej okazji strofował brata, choć nie miał do tego prawa. Nie rozumiał, że wtrącając się, szkodzi małżeństwu Lyona. Nie dostrzegał zakłamania Emmy. Gdy wreszcie przejrzał na oczy, było już za późno.

Teraz nie wierzył w nic... nawet w jej ostatnie słowa.

Tamtego tragicznego dnia Emma wydała wielkie przyjęcie, rzekomo dla uczczenia urodzin teściowej. Zaprosiła obie rodziny. Po raz pierwszy od miesiący hrabiostwo Aytoun znaleźli się pod jednym dachem. Ale rano, kiedy większość gości udała się na polowanie, małżonkowie wszczęli kłótnię.

Nikogo w Baronsford to nie zaskoczyło. Lyon i Emma od dawna nie potrafili spokojnie rozmawiać.

Kiedy Pierce natknął się na bratową w ogrodzie, była zdenerwowana. Choć o nic nie spytał, od razu zaczęła się skarżyć, że mąż źle ją traktuje, a prawdziwym celem przyjęcia jest ogłoszenie nowiny o dziecku, którego się spodziewa. Ale Lyona nie obchodził jej stan ani życzenia.

Pierce zaniemówił z wrażenia, a gdy Emma zobaczyła, że nadchodzi mąż, pobiegła w stronę urwisk. Pierce zatrzymał brata i zwymyślał go za to, że źle odnosi się do żony.

Nigdy nie zapomniał wyrazu twarzy Lyona, kiedy mu powiedział, że Emma spodziewa się dziecka. Brat chyba nie usłyszał żadnego z oskarżeń, które Pierce rzucił mu w twarz. Kompletnie oszołomiony ruszył za żoną.

Pierce przez chwilę krążył po ogrodzie, lecz raptem ogarnęły go niedobre przeczucia. Zdjęty paniką popędził ku rzece. Gdy dotarł na miejsce, zobaczył ciało Emmy u stóp skał. Lyon leżał ciężko ranny obok niej.

Pierce został w Baronsford do pogrzebu. Nie potrafił spojrzeć bratu w twarz. Ciało Lyona było okaleczone, umysł otępiały od leków uśmierzających ból. Albo zacierających pamięć o tym, co się wydarzyło.

Oczywiście powstały plotki. Niektórzy twierdzili, że hrabia zepchnął żonę ze skał. Lecz Pierce ich nie słuchał. W głębi duszy nie wierzył, żeby brat potrafił zrobić krzywdę Emmie.

Jeśli kogoś należało winić, to jego. Właśnie wtedy postanowił, że nie zostanie w Baronsford ani chwili dłużej. Wyjechał do kolonii i starał się nie oglądać za siebie.

Skupił uwagę na liście trzymanym w ręce. To nie był charakter pisma ich prawnika, sir Richarda. Pierce kilka razy przeczytał pierwsze linijki, zrobił przerwę, zaczął od nowa.

Rozpoznał ton dawnego Lyona, sprzed małżeństwa z Emmą, silny, zdecydowany, bezpośredni.

Brat pisał, że ożenił się z Millicent Gregory. Jeśli chodzi o zdrowie i sprawność, poczynił

duże postępy. On i jego żona dzielili czas między Baronsford w Szkocji a Melbury Hall, posiadłość Millicent leżącą na północ od St. Albans w Hertfordshire. Jesienią spodziewali się pierwszego dziecka, ale wcześniej wzięli na wychowanie dziewczynkę i traktowali ją jak własną córkę. Mała Josephine była bardzo żywym stworzeniem.

Pierce zamrugał i przysunął list bliżej lampy. Jeszcze raz przebiegł wzrokiem jego początek. Nasuwały mu się dziesiątki pytań. Lyon i dzieci. Potrząsnął głową.

W drugiej części listu brat wychwalał żonę, jej pomysły i rozliczne zajęcia. Tym razem Pierce się uśmiechnął. Lyon rzeczywiście bardzo się zmienił.

Sprawą poruszoną w ostatniej części listu Pierce powinien zająć się już dawno, ale nie miał na to ochoty. Parę tygodni po wyjeździe do Ameryki dostał od sir Richarda wiadomość, że Lyon przepisał na niego całą ziemię.

Prawnik wyjaśnił, że w ten sposób hrabia próbuje ocalić rodzinę. Zrzekał się Baronsford, żeby zniknąć, póki skandal nie przycichnie. Młodszy brat przejąłby majątek rodowy, David pomagałby mu w zarządzaniu. Żyliby spokojnie i pożytecznie jak kiedyś.

Ale Pierce nie chciał rodzowego majątku. Nawet nie zadał sobie trudu odpisania na list. Dla niego Lyon nadal był hrabią Aytoun i panem Baronsford.

Na koniec Lyon wspomniał o usuwaniu chłopów z ziemi w sąsiednich majątkach i obawach dzierżawców, że teraz przyjdzie kolej na ich farmy. Dodawał, że ziemia oficjalnie należy do Pierce'a, i póki on nie wróci, żeby uspokoić ludzi, będą żyli w ciągłym lęku.

Pierce wiedział, że musi podpisać stosowne dokumenty i wysłać je do Szkocji, unieważnić umowę, na którą nigdy nie wyraził zgody. Właściwie powinien zająć się tym od razu, jeśli nie chciał, żeby w toczącym się śledztwie zaczęto wypytywać go o Baronsford. Mógł wysłać papiery następnym statkiem odpływającym do Anglii albo samemu pojechać do domu.

Zaskoczyło go, że w ogóle przyszedł mu do głowy taki pomysł. Ale potem wziął do ręki list Lyona i zaczął czytać go po raz wtóry. To mógł być nowy początek dla nich wszystkich.

Pukanie do drzwi wyrwało go z rozmyślań. Gdy służący oznajmił mu, że przybył posłaniec, ruszył na dół.

W progu stał kilkunastoletni chłopak w zakurzonym ubraniu. Wyjął zza pazuchy

sakiewkę i wręczył ją Penningtonowi. Pierce znalazł w niej list od kapitana Camerona, dowódcy *Lothiana*, jednego ze swoich statków. Podeszedł z listem do okna.

Kapitan pisał, że niedaleko przylądka *Lothian* spotkał się z płynącym w przeciwną stronę statkiem handlowym, którym dowodził jego znajomy. Dowiedziawszy się od niego o śledztwie prowadzonym na pokładzie *Thistle'a*, Cameron postanowił zmienić kurs na Newport. Teraz zawiadamiał, że właśnie zarzucili kotwicę niedaleko portu i czekają na polecenia.

- Jak długo jechałeś, chłopcze? - zapytał Pennington.
- Niecałe sześć godzin, sir. Kapitan Cameron kazał mi wziąć dobrego konia, więc tak zrobiłem.
- Świetnie się spisałeś. Idź do kuchni, chłopcze, i posil się, a ja tymczasem napiszę odpowiedź.

14

Portia przebywała w rezydencji zaledwie od godziny, kiedy pani Green, która czekała, aż Helena skończy śniadanie, przyprowadziła lekarza. Okazało się, że doktor przychodzi prawie codziennie i namawia jej matkę, żeby regularnie brała zaordynowane leki. Jego częste wizyty najwyraźniej nie dziwiły domowników, ale zaniepokoiły Portię.

Jeszcze bardziej zdenerwowały ją odwiedziny kapitana Turnera. Gdy po odejściu lekarza pojawił się u niej drugi raz w ciągu godziny, stało się oczywiste, że zamierza nadzorować ją przez cały dzień.

Tego ranka ze zdumieniem stwierdziła, że oficer czeka na nią w powozie pod apteką. Zaskoczona nie znalazła stosownej wymówki i była zmuszona pojechać z nim na Copp Hill. Kapitan poinformował ją w drodze, że po południu musi na kilka godzin opuścić rezydencję, ale wróci po nią o piątej. Portia w duchu przysięgła sobie, że wtedy już dawno jej tam nie będzie.

Do południa wciąż ktoś jej przeszkadzał, tak że nawet nie miała okazji porozmawiać z matką. Koło dwunastej podano herbatę i skromną przekąskę. Helena zaprosiła ją do stołu, co spotkało się z kosym spojrzeniem pani Green. Gdy po posiłku służące zebrały naczynia, córka admirała odwróciła się do okna.

- Ładny dziś dzień, prawda, panno Edwards? - powiedziała.
- Tak, proszę pani.

- Spędzimy trochę czasu w ogrodzie różanym - zdecydowała Helena.
- Myślę, że nie, panno Middleton - natychmiast sprzeciwiła się ochmistrzyni. - Od morza wieje zimny wiatr.
- Ogród jest osłonięty, a ja wezmę szal.
- Dzisiaj pani nie wyjdzie - oświadczyła pani Green. - Miała pani dość wrażeń jak na jeden dzień. Doktor zalecił odpoczynek i moim obowiązkiem jest tego dopilnować. Teraz uda się pani do swojego pokoju.
- Nie będzie mi pani mówić, co mam robić - obruszyła się Helena.

- Owszem, będę.

Portia w milczeniu obserwowała to starcie razem z czwórką służących. Jeśli wcześniej żywiła jakieś wątpliwości, czy należy zabrać stąd matkę, teraz rozwiały się one bez śladu.

- Panna Edwards ma czytać mi poezje, bo po to została zatrudniona - przypomniała Helena załamującym się głosem. - Ale pani nie pozwala jej wypełniać obowiązków.

Pani Green bez słowa skinęła na jedną ze służących. Gdy dziewczyna zbliżyła się do swojej pani, żeby pomóc jej wstać, Helena odepchnęła jej rękę.

- Proszę się nie martwić o pannę Edwards - powiedziała ochmistrzyni, dając znak drugiej pokojówce. - Dostaje aż za dużo pieniędzy za przychodzenie tutaj.
- Nie obchodzi mnie jej pensja! - krzyknęła panna Middleton, opędzając się od służących. - Chciałam, żeby do-trzymywała mi towarzystwa, a pani robi wszystko, żeby w tym przeszkodzić. Chciałam posłuchać wierszy.
- Jutro będzie na to dość czasu.

Pani Green szybko podeszła do stołu i wlała coś do kubka.

- Jutro powie pani to samo - rzuciła Helena. - I pojutrze. Jest pani zdecydowana postawić na swoim.
- Wpada pani w histerię - stwierdziła ochmistrzyni groźnym tonem.
- Czuję się doskonale. - Helena rozejrzała się po pokoju i niepewnie wstała z krzesła. - Zamierzam wyjść z domu. Dzień jest słoneczny. Czuję ciepło napływające przez okno. Znam świetne miejsce w ogrodzie, gdzie będę mogła posiedzieć z panną Edwards.
- Nie dzisiaj. - Gospodyni zbliżyła się do niej z kubkiem w ręce. - Teraz weźmie pani lekarstwo. Potem pani odpocznie.

Nie chcę odpoczywać! Mam dość odpoczynku! - Helena cofnęła się gwałtownie i

potknęła o krzesło. Służące chciały ją przytrzymać, ale je odepchnęła. - Nie dotykajcie mnie. Nie potrzebuję was. - Namacała oparcie krzesła i położyła na nim dłoń. - Panno Edwards... Portio, gdzie jesteście?

- Tutaj, panno Middleton. - Portia ruszyła w jej stronę, nie zważając na surowe spojrzenie pani Green.

Helena wyciągnęła rękę.

- Chodź i pomóż mi - poprosiła. - Zaprowadź mnie do ogrodu. Lubię słońce. Weź książkę. I niech nikt za nami nie idzie.

Ochmistrzyni zastąpiła im drogę i wcisnęła kubek do ręki panny Middleton.

- Jak pani sobie życzy, milady - powiedziała z wymuszonym spokojem. - Może pani wyjść, ale proszę najpierw to wypić.

Portia z trudem powstrzymała słowa sprzeciwu cisnące się jej na usta. Chwilę później naczynie przeleciało przez pokój i roztrzaskało się o marmurowy kominek.

•Ty niewdzięczna istoto! - huknęła pani Green, biorąc podopieczną pod ramię i dając znak służącym. - Jak pani śmiała?

•Nie dotykaj mnie! - zaprotestowała Helena.

•Proszę posłuchać, pani Green... - wtrąciła się panna Edwards.

•Puść mnie! - krzyknęła panna Middleton. - Pomóż mi, Portio!

Ochmistrzyni chwyciła wyciągniętą rękę damy do towarzystwa i ścisnęła ją mocno.

- Przeszkadza pani - wysyczała. - Dopilnuję, żeby pani noga więcej nie postąpiła w tym domu.

Nie

obchodzi

mnie, jakich wpływowych ma pani znajomych, panno Edwards. Tutaj tylko jedna osoba zajmuje się panną Middleton. Ja.

•Portio! - zawołała Helena od drzwi, szarpiąc się z pokojówkami.

•Wrócę jutro! - obiecała Portia.

Gdy służące wyciągnęły swoją panią z pokoju, pani Green odwróciła się do Portii.

- Proszę więcej nie przyprawiać jej o histerię, panno Edwards. - W progu ochmistrzyni zatrzymała się i rzuciła przez ramię: - A teraz może już pani iść.

Portia patrzyła za nią z wyrazem oszołomienia na twarzy.

Opuszczając pieszo rezydencję admirała Middletona, Portia wymieniła kilka uprzejmych uwag z czterema wartownikami pilnującymi bramy. Rozpoznali ją i wypuścili bez

kłopotów; pamiętali, że rano przyjechała z kapitanem Turnerem. Musiała zadbać o każdy szczegół, żeby zrealizować swój plan.

Postanowiła wrócić do domu, dopiero kiedy uznała, że nie może dłużej czekać. Była gotowa pobiec za panią Green, odepchnąć ją i uciec razem z matką. Wiedziała jednak, że błyskawicznie by je złapano.

Tak czy inaczej, wszystko musiało potoczyć się szybko. Nie miała najmniejszej ochoty codziennie jeździć z kapitanem Turnerem na Copp Hill i z powrotem do apteki. Nie zamierzała również tolerować terroryzowania matki. Poza tym bała się spotkania z admirałem. Jej podobieństwo do Heleny mogłoby wzbudzić jego podejrzenia.

Nade wszystko chciała zabrać matkę i wyjechać do Anglii. Teraz. Dzisiaj. Tylko jeden człowiek był w stanie jej pomóc, choć Portia nie miała pewności, czy wystarczy jej daru wymowy, żeby go przekonać.

Zanim dotarła do biura przy Long Wharf, buty i ubranie miała zakurzone. Wiedziała, że wygląda okropnie, ale nie dbała o to. Poczowała ulgę, kiedy kancelista ją poznał.

- Bardzo mi przykro, panno Edwards, ale pana Penningtona nie ma w biurze.

• Spodziewa się go pan później? - zapytała Portia z nadzieją.

• Nie wiem - odparł Sean, wruszając ramionami. - Nie było go dzisiaj, więc nie umiem powiedzieć, czy jeszcze się pojawi.

• Zna pan jego rozkład zajęć? Może gdzieś go złapię?

- Przykro mi, proszę pani. - Młodzieniec potrząsnął głową. W tym momencie otworzyły się drzwi gabinetu i stanął w nich Nathaniel Muir.

• Panna Edwards! Pani wizyta to zaszczyt dla naszego skromnego biura.

• Przepraszam za najście, panie Muir, ale muszę porozmawiać z panem Penningtonem - wyjaśniła Portia.

• Czy mogę zapytać, w jakiej sprawie?

Portia przez chwilę szukała w myślach wiarygodnego kłamstwa, ale żadne nie przychodziło jej do głowy.

- To sprawa osobista - powiedziała w końcu. Musiała wyglądać żałośnie, bo Muir zlitował się nad nią i szerzej otworzył drzwi.

- Proszę wejść. Może ja pani pomogę.

Portia przypomniała sobie ostrzeżenie Mary po pierwszej wizycie w biurze przy Long

Wharf. Doszła jednak do wniosku, że w tej chwili to jej najmniejsze zmartwienie.

W gabinecie Muir zaproponował jej krzesło. Portia nie zdawała sobie sprawy, jaka jest zmęczona, póki nie usiadła.

- Przepraszam za kłopot, ale czy można by dostarczyć pańskiemu wspólnikowi wiadomość, że muszę się z nim zobaczyć?
- Chętnie sam ją przekażę, kiedy tylko wróci. - Muir przekrzywił głowę. - A tymczasem mogę pani jakoś pomóc?

Portia się zawahała, ale po krótkim namyśle postanowiła spróbować szczęścia.

- Chcę porozmawiać z panem Penningtonem o podróży do Anglii - wyjawiała.

- Do Anglii?

-Tak.

Starła się nie okazać niepokoju, kiedy Nathaniel uważnie mierzył ją wzrokiem. W przeciwieństwie do wspólnika i przyjaciela Muir nie miał skłonności do arogancji, ale Portii nie zwiodło jego miłe obejście i chłopięce rysy. Pod niewinnym wyglądem wyczuwała spryt.

- Sama pani wybiera się do Anglii? - zapytał.

- Tak. Moja sytuacja się zmieniła. Już nie mieszkam u pastora Higginsa i jego żony.
- Dość nagła zmiana - zauważył Nathaniel.
- To prawda - przyznała Portia. - Udało mi się znaleźć nowe mieszkanie i posadę u admirała Middletona. - Była ciekawa, czy Muir już o tym wie. - Niestety, okazało się, że popełniłam błąd.

- Przykro mi to słyszeć.

Portia westchnęła ze znużeniem.

- Nie mogę tam dłużej pracować, muszę wrócić do Anglii, a najlepiej do Walii. Myślę, że lady Primrose, założycielka szkoły, do której chodziłam, chętnie zatrudni mnie jako nauczycielkę. - Opuściła wzrok na ręce złożone na kolanach. - Zaoszczędziłam trochę pieniędzy, ale w mojej obecnej sytuacji finansowej wołałabym zapłacić za podróż po dotarciu na miejsce. Lady Primrose z pewnością pokryje wszystkie wydatki. - Z zakłopotaniem spojrzała na Muira. - Przepraszam, że tyle mówię. Nie zamierzałam obarczać pana moimi kłopotami.

Zaczęła podnosić się z krzesła, ale Nathaniel powstrzymał ją gestem ręki.

- Nie musi pani za nic przepraszać, panno Edwards. - Ze zrozumieniem pokiwał głową.
- Chętnie wyjaśnię wszystko mojemu współnikowi. Na pewno znajdziemy jakieś wyjście.
Zdaje się, że w wielkim pośpiechu opuszcza pani Boston. Mam rację?

- Ja... cóż, jest wiele powodów. Chodzi przede wszystkim o kwestie finansowe. Moje oszczędności są niewielkie i...

- Nie mamy twardych serc - wtrącił Muir.

- O, nie. Nie przyjmę jałmużny. - Portia poczerwieniała. Czuła się coraz gorzej. - Kolejnym powodem pośpiechu jest to, że lady Primrose nie spodziewa się mojego przyjazdu. Muszę dotrzeć do Walii przed początkiem lata, bo inaczej jej nie zastanę. Wiem z jej ostatniego listu, że planuje podróż do Szkocji. Do jej powrotu byłabym równie bezradna jak tutaj.

- To całkiem zrozumiałe - skwitował Nathaniel.

- Nie wiem, czy pan Pennington wspomniał panu o moich poszukiwaniach... - Portia nic nie wyczytała z twarzy Muira. W końcu uznała, że jej jedyną szansą jest szczerość. - Mogę rozmawiać z panem w zaufaniu?

- Oczywiście, panno Edwards.

- Dziękuję. Otóż na podstawie pewnych informacji doszłam do przekonania, że panna Middleton jest moją matką. Właśnie dlatego wystarałam się o posadę w domu admirała. Chciałam spędzać więcej czasu z Heleną. Poznać ją lepiej. Ale po dzisiejszym dniu rozumiałam, że to nie ma sensu. Ochmistrzyń ją terroryzuje. Po prostu nie mogłam patrzeć, przez co biedaczka musi przechodzić. - Jej głos zadrżał. - Rzeczywistość okazała się inna, niż sobie wyobrażałam.

Portia wytarła łzę i podniosła wzrok na Muira. Nathaniel pochylał się na krześle. Jego przystojna twarz wyrażała troskę.

- Na pewno będziemy mogli pani pomóc, panno Edwards. Muszę sprawdzić, kiedy odpływają nasze statki i czy są na nich miejsca. Zwykle tymi sprawami zajmuje się Pierce. Ale obiecuję, że wkrótce dam pani znać. Wolno wiedzieć, gdzie pani teraz mieszka?

15

Nadciągał zmierzch, w pracowni złotniczej robiło się coraz ciemniej. W środku mimo otwartych okien i drzwi było gorąco od żaru buchającego z paleniska. Nie zważając na

duchotę, Pierce oglądał sprzączki do butów, które mu pokazano. W chwili gdy młody czeladnik wyszedł dostarczyć srebrny dzban na Borth Square, do Penningtona zbliżył się niski, krępy złotnik i spytał cicho:

- Jakie wieści, sir?
- *Lothian* stoi na kotwicy niedaleko Newport - powie-dział Pierce. - Jutro w nocy, kiedy całkiem się ściemni, ominie latarnię i wpłynie do zatoki. Będziesz potrzebował co najmniej trzech łodzi, żeby zabrać towar. Dostaniesz je w Bristolu. Mamy tam wspólnych znajomych.
- Tak. Nie będzie z tym kłopotu. Ale jak pan prze-mknie się obok tego aroganckiego drania, który dowodzi *Gaspee*, jeśli mogę zapytać?
 - Zaplanowaliśmy małą niespodziankę, by odwrócić uwagę porucznika Dudingstona - odparł Pennington. Złotnik błysnął w uśmiechu białymi zębami.
- Już nie mogę się doczekać, żeby o tym usłyszeć.
- Usłyszysz, Paul. Wszyscy usłyszą. - Pierce ponownie obejrzał sprzączki. - Piękna robota. Ile jestem ci winien?

Rzemieślnik uniósł ręce.

- Nie potrzebuję pańskich pieniędzy, sir. Zobaczymy się jutro w nocy.

Pennington schował sprzączki do kieszeni, opuścił warsztat i skierował się ku Long Wharf. Silny wiatr niósł woń morza. Pierce wiedział, że przez kilka najbliższych tygodni nawdycha się tego zapachu. Już postanowił, że gdy tylko nielegalny towar zostanie wyładowany, *Lothian* nie popłynie do Bostonu, ale prosto do Anglii. W razie potrzeby Nathaniel rozgłosi, że nie znalazł kupca na melasę przewożoną przez ich statek.

A na pokładzie żaglowca będzie Pierce.

Mijając warsztaty i sklepy, kawiarnie i tawerny, z przyjemnością słuchał pokrzykiwań ulicznych sprzedawców, chłonał aromaty płynące z piekarni i nieprzyjemne odory jatek. Czul, że będzie tęsknił za Bostonem, ale powtarzał sobie, że jeszcze tu wróci. To miasto stało się jego domem i chciał tu mieszkać mimo grożących mu kłopotów.

Przyszło mu do głowy, żeby pożegnać się z Portią, ale wiedział, że w biurze czeka na niego Nathaniel. Spotkali się na chwilę, kiedy wrócił do Bostonu przed paroma godzinami, a było jeszcze dużo do zrobienia przed wyjazdem do Newport.

Na Long Wharf już zamykano sklepy i magazyny. Dzień pracy dobiegał końca. Sean

jeszcze siedział za wysokim biurkiem. Pierce uściskał mu rękę i pochwalił go, że dobrze się spisuje.

Nathaniel też ślęczał nad księgami, które kapitan *Lothiana*. miał przedstawić w szkockim porcie. Koszty rejsu zwracały się dzięki transportowi broni, ale raporty należało odpowiednio spreparować, żeby wyjaśnić, czemu ładownie nie są pełne. Mimo to Pennington niezbyt przejmował się urzędnikami celnymi po tamtej stronie Atlantyku.

Musieli jeszcze przejrzeć razem inne dokumenty i omówić szczegóły transakcji, które Pierce rozpoczął, a Nathaniel miał dokończyć.

Wkrótce całe biurko zajmowały księgi rachunkowe, mapy i dokumenty.

- Co byś powiedział, gdybym cię poprosił, żebyś wziął za pieniądze pasażera na pokład *Lothiana*? - spytał raptem Muir.

Pierce podniósł wzrok znad papierów i z zaciekawieniem spojrział na przyjaciela.

- A ściśle mówiąc, pasażera, który zapłaci za podróż po przybyciu na miejsce - dodał Nathaniel.

- Pomyślałbym, że postradałeś rozum. *Lothian* nie wchodzi tutaj do portu. Nie zabiera żadnych pasażerów. Muir usiadł na brzegu biurka.

- Nawet bardzo zdesperowanego? Którego, jak sądzę, trochę lubisz?

Nagle przyspieszenie pulsu Pierce przypisał niewyspaniu i zmęczeniu po ponad dwunastu godzinach spędzonych na końskim grzbiecie.

• Kiedy tu była? - zapytał.

• Po południu - odparł przyjaciel.

• A co z jej posadą? Z matką?

• Wystarczył dzień, by zrozumiała, że nie może tam pracować. Przyszła tutaj prosto z domu admirała. Bardzo się zmartwiła, kiedy ciebie nie zastała. Skorzystałem z mojego niewątpliwego czaru i nakłoniłem ją, żeby powiedziała, o co jej chodzi. Otóż liczyła na to, że pomożesz jej dostać się do Walii. Stwierdziła bowiem, że pragnie wrócić pod skrzydła lady Primrose.

Pierce spojrział na stos dokumentów czekających na przejrzanie; miał kilka godzin na wykonanie pracy, która w normalnych okolicznościach powinna zabrać mu dwa tygodnie.

- Nie potrzeba mi teraz dodatkowych zajęć - stwierdził.
- Nie obawiaj się - uspokoił go przyjaciel. - Sam wszystko załatwię. Nie musisz zajmować się szczegółami. Panna Edwards znajdzie się na pokładzie we właściwym momencie.

Ta kobieta jest nieprzewidywalna - ostrzegł Pierce. - Na ile ją znam, wzniesi bunt na pokładzie i wylądujemy w Chinach albo na Madagaskarze. Mówię ci, że ściągnie na nas kłopoty.

- Przecież umiesz sobie z nią radzić. - Muir się uśmiechnął. - Sam widziałem.

Pennington ze znużeniem przesunął dłonią po twarzy.

- Gdybyś tu był i wysłuchał jej opowieści, zgodziłbyś się ją zabrać - nie ustępował wspólnik. - Ona nie ma pieniędzy, ale bardzo chce płynąć. Jednocześnie jest zbyt dumna, żeby przyjąć jałmużnę. - Nathaniel ściszył głos. - I choć zapewne już się domyśliła związku między osławionym kapitanem MacHeathem a tobą, nie próbowała tego wykorzystać.

- Jeszcze nie - mruknął Pierce.

- To kolejny powód, żeby ją zabrać. Jedyne w koloniach może ci zagrozić.

Pennington wyjrzał przez otwarte okno. Poczł dym z kominów zmieszany z zapachem smoły i słonej wody. Wolałby odmówić. Podróż byłaby spokojniejsza... i dużo bardziej nużąca.

- My płyniemy do Szkocji, ona chce dotrzeć do Walii - zauważył.
- To drobiazg - powiedział Muir. - Najważniejsze, żeby przepłynęła się przez Atlantyck, dalej jakoś sobie poradzi.
- Czego jeszcze dowiedziałeś się o jej przeszłości? - spytał Pierce.
- Niczego, co wzbudziłoby we mnie obawy co do twojego bezpieczeństwa. Panna Edwards jest niewinna jak dziecko.
- Zapomniałeś, że poznałem już, do czego jest zdolna - przypomniał Pennington.
- Mówię o jej reputacji. Nie mam pojęcia, jaka jest prywatnie.

Ani ja - burknął Pierce. - Nie wiem, co sobie wyobrażasz, ale z pewnością zbyt wiele. Podróż moim statkiem nie oznacza, że panna Edwards będzie dzieliła ze mną łóżko.

- Oczywiście. Dlaczego miałbym coś takiego pomyśleć? - Nathaniel uśmiechnął się, skrzyżował ramiona na

piersi i wyciągnął przed siebie długie nogi. - Chcesz sam wysłać jej wiadomość czy ja mam się tym zająć?

Ann i Walter z trudem ukrywali podniecenie w czasie kolacji. Portia siedziała na swoim starym miejscu. Potem pozwolono im dołączyć do rodziców i gości w salonie. Lecz sam fakt, że dzieci traktowały ją jak gościa, nappełniał Portię smutkiem.

Po powrocie do mieszkania nad apteką z zaskoczeniem i radością stwierdziła, że czeka na nią przyjaciółka. Spełniło się jej marzenie o pojednaniu z Mary. Oczywiście z entuzjazmem przyjęła zaproszenie na kolację następnego wieczoru. Nie wiedziała tylko, że będzie na niej również kapitan Turner.

Niestety zjawiała się jednocześnie z nim, więc nie mogła przygotować się na to spotkanie. Kapitan szczegółowo zrelacjonował pastorostwu każdy moment spędzony poprzedniego dnia z panną Edwards. Nie omieszkał się poskarżyć, że opuściła rezydencję admirała Middletona, nie czekając na niego. Ktoś niezorientowany w sytuacji mógłby pomyśleć, że istnieje między nimi jakieś porozumienie. Ze sposobu, w jaki mówił o Portii, wynikało, że ma wobec niej poważne zamiary.

Portia doszła do wniosku, że nie było sensu protestować ani zaprzeczać. Musiała pamiętać o swoim planie i cierpliwie wszystko znosić, póki nie otrzyma wieści od pana Muira albo Pierce'a. Gdyby nie obecność dzieci, już dawno wymówiłaby się złym samopoczuciem i wyszła. Niestety nie mogła zatkać uszu, żeby nie słyszeć głosu kapitana.

- Czyż nie wyglądają uroczo we trójkę? - wtrąciła Mary przy jednej z rzadkich okazji, kiedy Turner umilkł, żeby zaczerpnąć tchu.

Portia, która bawiła się z Ann i Walterem, odkąd przeszli po kolacji do salonu, nie skomentowała uwagi. Dziewczynka siedząca plecami do dorosłych zgromadzonych w drugim końcu pokoju przewróciła oczami.

- Rzeczywiście budujący widok - przyznał oficer. -Utwierdza w mężczyźnie wiarę we wrodzoną zdolność kobiet do macierzyńskiej...
- Portia doskonale umie radzić sobie z dziećmi - przerwała mu pani Higgins. - Zawsze chętnie spędzają z nią czas.
- Na pewno ma pani rację. Muszę wyznać, że panna Edwards ma na mnie taki sam wpływ. Nawet pani sobie nie wyobraża, jaki byłem rozczarowany, kiedy wczoraj po

południu musiałem opuścić ją na kilka godzin. Ale jak zawsze wykazała całkowite zrozumienie dla moich obowiązków. Podziwiam, że jest gotowa poświęcić własną wygodę, żeby nie narazić mnie na kłopoty. Powinna pani wiedzieć, że to rzadka cecha u dzisiejszych młodych kobiet. Większość myśli tylko o sobie i uważa za równą mężczyznom. To bardzo nienaturalne, lecz coraz powszechniejsze zjawisko.

Pastorowa chciała coś odpowiedzieć, ale mąż położył dłoń na jej ramieniu. Portia usiłowała zachować powagę, kiedy Ann zaczęła naśladować kapitana, pochylając się w jej stronę.

- Teraz moja kolej? - spytała dziewczynka grubym głosem.
- Jeszcze nie. - Walter łypnął groźnie na siostrę. - Każdy ma trzy gry. Lepiej uważaj i licz punkty.

Portia pocałowała Ann w czoło.

- Lubi pan dzieci, kapitanie Turner? - zainteresowała się gospodyni. W jej głosie wyraźnie brzmiało napięcie.

Owszem, zwłaszcza grzeczne, takie jak państwa. Podobno ja też byłem wyjątkowym dzieckiem. Sądzę jednak, że wszystko sprowadza się do dyscypliny, którą należy wpoić w stosownym wieku. Dziecko trzeba nauczyć tego, co dobre, a co złe, we właściwym czasie i we właściwy sposób, którego nigdy nie zapomni. - Turner pochylił się na krześle. - Ja miałem to szczęście, że matka, jako osoba zbyt pobłażliwa, nie mogła zabierać głosu w kwestii mojego wychowania. Ojciec natomiast, świeć Panie nad jego duszą, nie pozwalał na żadne błędy. Kiedy przyjeżdżał na urlop, oczekiwał ode mnie perfekcji we wszystkim i nie wahał się używać szpicruty. Przed powrotem do swojego regimentu przykazywał nauczycielom, żeby bili mnie raz na tydzień, czy na to zasłużyłem, czy nie. Oczywiście, kiedy podrosłem, zawsze miałem wybór. Jeśli nie podobały mi się jego metody, mogłem odejść i zostać żebrakiem.

Walter i Ann zapomnieli o grze i gapili się na kapitana z otwartymi ustami.

- Do dziś jestem wdzięczny ojcu za jego poglądy na wychowanie dzieci - rzekł Turner, zwracając się teraz wprost do małych Higginsów. - Czasami dotykam starych blizn na ciele i myślę sobie, jakie miałem szczęście, że urodziłem się jako syn człowieka o silnym charakterze. Zrobił ze mnie mężczyznę, którym teraz jestem. Czasami żal mi, że nie zginąłem u jego boku, walcząc bohatersko przeciwko szkockim zdrajcom na

wrzosowisku Culloden...

Turner umilkł, wyraźnie poruszony wspomnieniem śmierci ojca. W salonie zapadła cisza. Mary patrzyła w podłogę, blada z gniewu. Kapitan podjął wąż, nie patrząc na nikogo:

- W każdym razie nie mogę doczekać się dnia, kiedy przekażę jego dziedzictwo następnemu pokoleniu, dziedzictwo siły, charakteru i dyscypliny.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ze wszystkich obecnych Portia najczęściej wiedziała o przeszłości Turnera. Słyszała to i owo od jego kuzynki Belli, lecz aż do dzisiaj nie miała pojęcia, jak spaczono są jego poglądy. Mary najwyraźniej zaniemówiła z osłupienia.

- Myślę, że podziękujecie dzisiaj dobremu Bogu za kilka rzeczy - powiedział William Higgins do dzieci.

Turner się roześmiał, nieświadomy prawdziwego znaczenia słów pastora.

Ann zerwała się z podłogi, podbiegła do ojca i usadowiła się na jego kolanach. W tym momencie do salonu zajrzał Jozjasz i skierował wzrok na Portię.

- Ktoś na panienkę czeka - oznajmił.

Portia o nic go nie spytała, przeprosiła obecnych tylko i szybko wyszła z pokoju.

We frontowych drzwiach stał młody posłaniec. Podał jej zapieczętowany list.

- Poszedłem do apteki, ale powiedziano mi, że pani jest tutaj - wyjaśnił. - Kazano mi to dostarczyć do rąk własnych i poczekać na odpowiedź.

Portia obejrzała się za siebie; oprócz Jozjasza nikogo nie było w holu. Złamała pieczęć i przebiegła wzrokiem krótką wiadomość. W oczy rzuciły się jej dwa słowa: rejs i jutro. Ledwo hamowała podniecenie. Jeszcze raz przeczytała list.

Następnego dnia po północy, wraz z odpływem, wyruszał żaglowiec z Narragansett Bay. Czekano na nią wolne miejsce, ale musiała sama dojechać do Bristolu i spotkać się z ludźmi, którzy przewiozą ją na statek.

Szkocja! Nikt nie będzie ich tam szukał. Później łatwo dotrą do Walii. W liście proszono ją, żeby zachowała szczegóły w tajemnicy, statek bowiem nie zawijał do portu.

Oczywiście, że dochowa sekretu. Spojrzała na inicjały na dole stronicy. N. M. Na woskowej pieczęci nie było żadnych śladów, które doprowadziłyby do Nathaniela, gdyby list został przechwycony.

Portia postanowiła wbiec na górę i skreślić odpowiedź, ale usłyszała zbliżające się głosy.

- Proszę przekazać, że się zgadzam i będę w umówionym miejscu - szepnęła, jednocześnie otwierając drzwi młodemu posłańcowi. List schowała do kieszeni.

- O co chodzi? - zapytał Turner, odsuwając Jozjasza. Portia szybko zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami. Czowała, że twarz jej płonie. Żołądek miała ściśnięty ze strachu.

- Kto to był?

- Jakiś chłopiec przyniósł mi prywatną wiadomość - odparła, siląc się na spokój.

- Od kogo? - indagował kapitan.

Portia bardzo chciała zbesztać go za wścibstwo i prze-świadczenie, że ma prawo zadawać jej tak obcesowe pytania. Pohamowała się jednak.

- Mówiłam, że to sprawa osobista - powiedziała cierpkim tonem.

Oficer chwycił Jozjasza za ramię i pchnął go ku drzwiom.

- Zawołaj go z powrotem - rozkazał. - Muszę wiedzieć, czego chciał.

Sługa potknął się i omal nie upadł. Na szczęście Portia go przytrzymała.

- Nie wolno tak traktować starego człowieka! - rzuciła z gniewem, odwracając się do Turnera. - Jest pan kuzynem mojej przyjaciółki, ale nasza znajomość nie daje panu prawa do mieszania się w moje sprawy. Czy jasno się wyraziłam, kapitanie?

Plecy oficera zeszytniały, krew odpłynęła z jego twarzy.

- Jako przedstawiciel władz brytyjskich w Bostonie mam prawo pytać każdego i o wszystko, co uznam za stosowne, panno Edwards - oświadczył. - I nikt, a zwłaszcza kobieta, nie będzie mnie pouczał, jakie są moje obowiązki. A w ogóle to zarozumiałstwo myśleć, że moje pytania dotyczą pani...

- Choć nie jestem bardziej kompetentny niż panna Edwards, nie sądzę, żeby króla interesowała wiadomość od doktora Crease - odezwał się spokojnie pastor za ich plecami.

Portia dopiero teraz zobaczyła, że w holu zebrała się cała rodzina Higginsów.

- Istnieją lepsze sposoby uzyskiwania informacji, kapitanie - ciągnął William. - Byłby pan zadziwiony, jakie cuda potrafi zdziałać zwykła uprzejmość. I zgadzam się z panną Edwards, że polecenia można wydawać z szacunkiem. - Dotknął ramienia Jozjasza. - Myślę, że nawet pański ojciec narzucał sobie pewne ograniczenia w traktowaniu starych sług.

Kapitan sztywno uklonił się gospodarzom. Nadal był blady ze wzburzenia, ale przemówił łagodniejszym tonem:

- Oczywiście ma pan rację, pastorze. Ale proszę mnie zrozumieć. Po ulicach tego miasta chodzi bezkarnie tylu wichrzycieli, że czasami człowiek zapomina, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Panno Edwards... - Spojrzał na nią pustym wzrokiem. - Radzę, żeby w przyszłości nie zwlekała pani z wyjaśnieniami, jeśli chce pani uniknąć nieprzyjemności.

Portia w ostatniej chwili ugryzła się w język. Już nie-długo, pomyślała. Musiała znosić Turnera jeszcze tylko jeden dzień.

16

Dopiero kilka przecznic dalej Pierce zorientował się, kogo minął na ciemnej Purchase Street. Zsiadłszy z konia przed swoim domem, przekazał wodze stajennemu, machnięciem ręki odprawił lokaja i zaczął na pannę Edwards.

- Tak sir cieszę, że pana widzę, panie Pennington - wysapała zdyszana po biegu. - Przepraszam, że zjawiam się bez zapowiedzi. Wspomniał pan, że mieszka przy Purchase Street, ale nie miałam pojęcia, w którym domu. Biegałam w tę i z powrotem, licząc na to, że ktoś mi go wskaże...

- Jest prawie jedenasta w nocy - rzekł Pierce z naganą w głosie, wziął gościa pod ramię i poprowadził do drzwi. - Mam nadzieję, że nie włączyła się pani po nocy od chwili, gdy przysłała pani odpowiedź...
- Po prawdzie...
- Ale to było trzy godziny temu! - wykrzyknął Pennington.
- Cieszę się, że dostał pan mój list.

Po wejściu do holu Portia odwzajemniła pozdrowienie lokaja i zdjęła płaszcz. Pierce wziął od służącego świecę i kazał mu iść spać.

- Muszę wyznać, że było mi ciężko opuszczać Higginsów - powiedziała panna Edwards. - Jestem bardzo przywiązana do ich dzieci, a wcześniej nawet nie mogłam pożegnać się z nimi jak należy. Niestety kapitan Turner uparł się, że odwiezie mnie do domu. Okropność.

Wyglądziła niewidoczne zagniecenia na prostej, ale ładnej sukni. Pierce docenił, że Portia znowu ma na sobie strój podkreślający kobiece krągłości. Włosy skręcone w

pierścionki tańczyły wokół twarzy w kształcie serca. Oczy jarzyły się tak samo jak w noc balu, kiedy go oczarowała. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za nią tęsknił, jak bardzo pragnął wziąć ją w ramiona, poczuć blisko siebie. Lecz musiał uzbroić się w cierpliwość.

Poruszyło go, że przyszła się z nim zobaczyć. Nie wiedziała, że płyną do Szkocji tym samym statkiem, Razem z Nathanielem postanowili zachować jego wyjazd w sekrecie.

- To nie był koniec moich kłopotów - ciągnęła Portia. - Musiałam czekać w moim pokoju nad apteką chyba z godzinę, aż Turner skończy wydawać rozkazy swojej cholernej kompanii.

- Co za język, panno Edwards - skarcił ją półzartem Pierce, prowadząc do gabinetu. - Nie powinna pani w ten sposób wyrażać się o żołnierzach jego królewskiej wysokości.
- Przepraszam. - Portia dopiero teraz się uśmiechnęła. - Jak pan widzi, jestem podniecona podróżą. I tym, że pana znalazłam.
- To ja znalazłem panią - sprostował Pennington.
- Ale ja pana szukałam.
- Istotnie - przyznał Pierce i zobaczył, że na jej twarz wypływa rumieniec. Zamknął drzwi gabinetu.

Portia odwróciła się, stojąc na środku pokoju.

- Naprawdę nie ma znaczenia, kto kogo znalazł. Ważne, że mogę zobaczyć się z panem po raz ostatni.

- Więc przyszła pani się pożegnać - stwierdził Pennington. Panna Edwards opuściła wzrok.

- Chciałam podziękować za to, co pan dla mnie zrobił. I przeprosić za wszystkie kłopoty, które sprawiłam. A także powiedzieć, że... że choć spędziłam niewiele czasu w pańskim towarzystwie, były to... bardzo miłe chwile.

Pierce zbliżył się do niej wolno. Portia podniosła oczy. -Ja... ja...

Pennington zatrzymał się tuż przy niej. Jego surdut dotykał jej sukni, oddech mieszał się z jej oddechem.

- Naprawdę wspólnie spędzony czas był dla pani miły? Panna Edwards przełknęła ślinę i skinęła głową.
-Tak.

Pierce musnął dłonią jej brodę. Portia uniosła się na palcach i spojrzała mu w oczy. Przynęła usta do jego ust.

- Dla mnie również - powiedział cicho Pennington. - Ale to było jak pluskanie się w kałuży powstałej po letnim deszczu, a ja chciałbym zanurzyć się z panią w oceanie namiętności. I potem się dziwić, że przeżyliśmy. Portia dotknęła jego piersi.

- Moim wybawieniem jest ignorancja. Nie wiem, co straciłam, bo nigdy tego nie przeżyłam.

- Więc może powinniśmy zaradzić temu przed rozstaniem. Musnął wargami jej usta i odsunął się. Portia podążyła za nim jak pszczoła za miodem. Pocałowała go, najpierw niewinnie. Potem zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego mocno, wsunęła palce w jego włosy, leciutko ugryzła płatek ucha. Wróciła do ust, dotknęła ich koniuszkiem języka, zachęcając go, żeby przejął inicjatywę.

Choć Pennington nie zamierzał się spieszyć, jej niewinna gra rozpałała w nim krew. Wcześniej chciał, żeby znalazła własne tempo, ale szybko zapomniał o dobrych intencjach i wpił się w jej usta. Położył jedną dłoń na piersi dziewczyny, drugą przesunął w dół jej pleców. Portia instynktownie odpowiedziała na jego nieme zaproszenie, z jej gardła wyrwał się cichy jęk.

Pierce odchylił jej głowę do tyłu, przesunął usta na szyję.

• Nauczę cię latać - powiedział jej do ucha. - Pozwolisz mi?

• Boję się - wyszeptała.

- Nie bój się. - Przygarnął ją mocniej do siebie.

Portia wzięła głęboki oddech.

- To będzie mój pierwszy raz. - Spojrzała mu w oczy. - I ostatni.

Nie zamierzał wyprowadzać dziewczyny z błędu. Żarłocznie całował jej usta, jednocześnie cofając się wolno ku sofie stojącej przy kominku.

Ręce Portii, z początku nieśmiałe, z każdą chwilą stały się coraz bardziej niecierpliwie. Wsunęły się pod surduty, zaczęły pieścić tors pod koszulą. Pierce znieruchomiał, kiedy dotarły do zapięcia spodni.

• Zaczekamy chwilę - powiedział. Obrócił Portię twarzą do kominka, położył jej dłonie na marmurowej półce. - Nie dotykaj mnie, póki ja nie skończę rozkoszować się każdym fragmentem twojego pięknego ciała.

- Czy to jedna z reguł miłości? - spytała Portia.

- Tak. Zasada numer jeden.

- A kto je stworzył?

- Jeden ze starożytnych. Mądry człowiek, który wiedział, jak przedłużać miłosny akt.

Pennington sprawnie rozwiązał sznurowanie na plecach sukni, po czym objął Portię w talii i przyciągnął ją do siebie.

- Nie jestem pewna, czy te zasady są sprawiedliwe - stwierdziła Portia.

Gwałtownie zaczerpnęła tchu, kiedy przesunął dłonie na jej uda.

- Ja cierpiałem z twojego powodu od tamtej pierwszej nocy w Czarnej Perle. - Pierce rozchylił jej suknię na plecach i przycisnął wargi do obnażonych ramion. Portia nie miała na sobie gorsetu, tylko halkę. - Cierpiałem w biurze następnego dnia. Marzyłem o tym przez cały czas. Uważasz, że to sprawiedliwe?

- Marzyłeś o tym, żeby kochać się ze mną w miejscu pracy? - W głosie Portii brzmiała wesołość.

Oparła się o niego plecami. Jej pełne piersi unosiły się pod cienką bielizną. Pierce pociągnął suknię dziewczyny w dół, rozpiął łańcuszek, który nosiła na szyi, i upuścił go na podłogę.

- Tak, na biurku. - Zsunął ramiączko halki, musnął językiem obojczyk. - I nie tylko tam. Również na tej sofie. W moim łóżku. I w pewnej gospodzie, w pokoju z lustrem na suficie, żebyś mogła obserwować, jak wygląda prawdziwa ekstaza.

Ale mamy tylko to miejsce i tę chwilę. - Portia zrzuciła pantofle i okręciła się w jego ramionach. - I wydaje mi się, że jestem w niebie. - Pomogła mu zdjąć surdut.

- Jeszcze nie. Lecz wkrótce się tam znajdziemy.

Pierce unieruchomił jej ręce za plecami, spojrzał w błyszczące oczy, na zapłonioną twarz, na kremowy dekolt, na wypukłości rysujące się pod halką. Obnażył jej piersi i ujął jedną w dłoń. Mieściła się w niej idealnie. Wziął w usta różowy koniuszek, a Portia krzyknęła cicho.

Pierce coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Rozebrał Portię do końca i położył ją na sofie. Była zarumieniona, drżała z oczekiwania, ale nie zamierzał się spieszyć,

Gdy nad nią stanął, jedną ręką zakryła piersi, a drugą trójką ciemnych włosów. Pierce powoli ściągnął koszulę. Portia śledziła każdy jego ruch. Odczuła niepokój, kiedy zaczął

rozpinać spodnie. Gdy zamknęła oczy, uśmiechnął się lekko, cisnął ubranie wraz z butami na bok i zbliżył się do sofy.

Przez chwilę pożerał ją wzrokiem. Wszystko w niej było piękne: skóra, piersi, talia, krągłe biodra, długie nogi. Chciał je poczuć oplecione wokół pasa.

Ukląkł na dywanie i pocałował ją z żarem.

- Patrz - szepnął.

Portia otworzyła oczy zamglone namiętnością. Pierce ujął ramię, którym się zasłaniała, i umieścił je nad głową dziewczyny. Zwarł się z nią spojrzeniem, a następnie po-wędrował ustami do piersi, rozkoszując się tym, że Portia cała drży pod jego dotykiem. Po chwili umieścił jej drugą rękę obok pierwszej.

- Nie zabieraj ich - przykazał z szelmowskim uśmiechem, po czym zaczął delikatnie wodzić dłońmi po jej brzuchu. Widząc, że dziewczyna trzyma kolana lekko uniesione i zaciśnięte, dodał: - Odpręż się.

Portia poruszyła się i zacisnęła powieki.

- Nie zamykaj oczu.

Otworzyła je. Rumieniec ogarnął również jej szyję i obojczyki. Wyglądała jak trawiona gorączką.

- Rozchyl nogi.

Zawahała się, ale spełniła jego prośbę. Pierce ujął jej kostkę i położył ją na oparciu sofy. Przesunął opuszkami palców po łydce, tylnej części kolana, jedwabistym udzie. Portia zadrzała, gdy postawił jej drugą stopę na podłodze. Kiedy dotknął jej ustami, wygięła plecy w łuk i krzyknęła głośno.

Wkrótce wstrząsnęły nią spazmy rozkoszy. Wtedy Pierce podniósł ją z sofy i położył na dywanie. Nie zamierzał przedłużać gry.

Więc tak smakował zakazany owoc. Prawdziwy cud. Namiętność, która sprawiała, że świadomość i rozsądek przestawały istnieć. Ale Portia niczego nie żałowała.

Rozkoszowała się ciężarem Pierce'a. Trzymała go w ramionach, z wolna dochodząc do siebie. Teraz rozumiała potęgę miłości. Przestaje się wtedy myśleć o konsekwencjach. Jest tylko ogromne pożądanie, niewiarygodny przyływ mocy, a po nich ulga. Pierce również tego wszystkiego doznał.

Gdy uniósł się na łokciu, Portia w tym momencie wyraźnie poczuła pod sobą twardą podłogę.

- Sprawilem ci ból? - zapytał z troską.
Potrzęsła głową.

- Nie jest to najbardziej romantyczne miejsce do kochania się po raz pierwszy - stwierdził Pierce, muskając nosem jej szyję.

- Miejsce nie jest ważne - wyszeptała mu do ucha Portia. Nagle ogarnął ją smutek. - Tylko ty się liczysz.

Gdy pocałował ją i usiadł, nagle zrobiło się jej chłodno. Poczula się niezręcznie, opuściła ją cała odwaga. Skulona sięgnęła po halkę i suknię. Pierce zupełnie nie krępował się własnej nagości, ale Portia omijała go wzrokiem. Nie chciała przy nim się rozplakać. Nie mogła pozwolić sobie na słabość, nie w jego domu. Kiedy przeciął pokój i wziął z biurka karafkę, szybko włożyła suknię. Przez chwilę mocowała się ze sznurowaniem. Zanim wrócił z dwoma kieliszkami, wzięła buty.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Wychodzisz?

- Muszę. - Portia zwinęła halkę, podniosła z dywanu medalionik i schowała go do kieszeni. Przez cały czas starała się nie patrzeć na Pierce'a. - Jutro chcę zobaczyć się z matką. Nie mogę wyjechać bez pożegnania.

Była zawstydzona, że nie może wyznać mu prawdy. Wiedziała, że by nie zrozumiał, nie pozwolił Helenie jechać razem z nią. I tak ją znienawidzi, kiedy odkryje prawdę. Pomyśli, że go wykorzystwała.

W tym momencie sama się nienawidziła.

- Jak zamierzasz dotrzeć do Bristolu? - spytał.

- Dzisiaj kapitan Turner zaproponował, że każe mnie odwieźć do domu jednym z powozów admirała, ale odmówiłam. Jutro chyba się zgodzę. Gdy wyjedziemy za bramę, zapłacę woźnicy, żeby zawiózł mnie do Bristolu.

- Myślisz, że odważy się na pięciogodzinną podróż powozem admirała? - Pierce odstawił jeden kieliszek na stół.

- Dam mu tyle pieniędzy, ile zażąda, ale...

- Twój plan jest bardzo ryzykowny - przerwał jej Pierce.

Wypił wino i schylił się po spodnie. Portia nie była pewna, co właściwie miał na myśli. Czyżby przeczuwał, że ona zabiera ze sobą Helenę? Ogarnęła ją panika. Pierce odwrócił się do niej i powiedział:

- Każe Jackowi przyjechać po ciebie o czwartej. Zawiezie cię do domu, a stamtąd do Bristolu.
- Nie mogę cię prosić o taką przysługę - zaprotestowała Portia. - To za duży kłopot.

Nie chcę, żeby ludzie admirała zblizali się do moich statków. Poza tym nie wiadomo, kto będzie powoził. Może jeden z wartowników albo nawet sam Turner. Lepiej nie kusić losu - mówił Pierce zdecydowanym tonem. Nawet bez koszuli i butów wyglądał na człowieka interesu przyzwyczajonego do wydawania poleceń. - Bądź gotowa o czwartej. Resztą zajmie się Jack.

Wyszedł na korytarz i zawołał służącego. Portia zarumieniła się ze wstydu. Domownicy na pewno wiedzieli, co tu się działo. Jutro połowa Bostonu usłyszy o ostatnim podboju Penningtona.

To wszystko nie ma już znaczenia, pomyślała. Dawne życie i ludzi nieżyczliwych zostawiała za sobą, a ci, których dopiero pozna, dadzą jej szansę. Przynajmniej taką miała nadzieję

Pierce wrócił do pokoju z jej płaszczem.

- Jack zaraz odwiezie cię na School Street.

Portia przygryzła wargę, żeby się nie rozplakać. Pierce podał jej płaszcz.

- Bądź ostrożna - powiedział cicho.

Musiła podnieść wzrok, a kiedy to zrobiła, zamiast jego przystojnej twarzy ujrzała rozmazaną plamę.

- Nigdy cię nie zapomnę - wyszeptała, musnęła ustami jego usta i wybiegła z pokoju.

17

Mimo wysiłków nie udało się Portii poprawić swego wyglądu. Oczy miała spuchnięte i zaczerwienione od łez, które przelała w nocy, twarz bladą, głos ochrypły. Prawie w ogóle nie spała. Dręczył ją smutek i dokuczał ból głowy. Wychodząc z apteki, powłóczyła nogami.

Niestety, tak jak się obawiała, kapitan Turner czekał na nią pod domem. Na jego widok

nastrój dziewczyny jeszcze się pogorszył.

- Co się stało, panno Edwards? - zapytał z niepokojem. - Źle się pani czuje?
- Nic mi nie jest - odparła i nie tracąc czasu na uprzejme powitania, ruszyła prosto do powozu.
- Jeśli źle się pani czuje, powinna pani zostać w łóżku - rzekł Turner. - Mogę panią wytłumaczyć przed panią Green. I pošlę kogoś po panią Higgins...
- Nie trzeba, kapitanie. - Portia wsiadła do powozu. - Niewiele spałam w nocy, ale już mi lepiej. Nie chciałabym zrobić złego wrażenia, spóźniając się w drugi dzień nowej pracy.
- Oczywiście. - Turner zajął miejsce obok niej. - Ale jest jeszcze wcześnie, moja droga.
- To dobrze. Będę mogła poświęcić więcej czasu swoim obowiązkom.

Poczuła ulgę, kiedy powóz ruszył. Dzisiaj liczyła się każda minuta. Tym razem wpadła na trochę lepszy pomysł niż tamtej nocy na balu. Musiała jednak przede wszystkim porozmawiać z matką sam na sam, przekonać ją do ucieczki. A potem wprowadzić swój plan w życie.

- Przykro mi, skarbie, że nie będę mógł dzisiaj po południu odwiedzić pani do domu. - Turner śmiało poklepał ją po kolanie.

Portia odsunęła się dyskretnie.

- Poradzę sobie sama - zapewniła.
- Oczywiście. Nadal uważam pani poczucie niezależności za czarujące.
- Nadal? - powtórzyła Portia.
- Tak. Martwię się jednak, bo nie wygląda pani dobrze, a droga z Copp Hill na School Street jest daleka.

Pani Crease też niepokoiła się moim wyglądem, kiedy zobaczyła mnie rano. - Portia myślała gorączkowo. - Obiecała, że przyśle po mnie zaprzyjaźnionego dorożkarza. Chyba poznał pan Jeremy'ego.

- Owszem. - Kapitan wyglądał na bardzo rozczarowanego, ale nic więcej nie powiedział.

Tymczasem Portia zaczęła rozmyślać o komplikacjach, które mogłyby pokrzyżować jej plany. Najbardziej się obawiała tego, że Turner zobaczy Jacka w powozie Penningtona i domyśli się, że to nie państwo Crease go wysłali. Spojrzała przez okno na ruchliwe ulice. Bostoński dzień zaczął się już dawno.

- Starając się o posadę u admirała Middletona, nie wiedziałam, że będę dla pana takim ciężarem - powiedziała łagodniejszym tonem. - Odwożenie mnie na Copp Hill i z powrotem naprawdę nie jest konieczne.
- Nonsens - skwitował Turner. - Nie mogę doczekać się tych podróży. Poza tym admirał lubi otrzymywać ode mnie codzienny raport.
- Ale tylko rano. Nie musiałby pan po mnie wracać po południu.
- To żaden kłopot, moja droga. - Kapitan pochylił się ku niej. - Bardzo się ucieszyłem, kiedy moja kuzynka wspomniała, że interesuje panią ta posada. Ale jeszcze większą radość sprawiła mi prośba pani Higgins, żebym się panią zaopiekował. To był dla mnie prawdziwy zaszczyt.

Portia ukryła zaskoczenie. Nie spodziewała się tego rodzaju ingerencji ze strony przyjaciółki, ale postanowiła nie żywić do niej za to urazy. Wiedziała, że Mary zrobiła dla niej to, co uważała za najlepsze, nie przypuszczając, że w ten sposób pokrzyżuje jej plany.

- Mogę pani obiecać, skarbie, że dotrzymam słowa danego pani Higgins i codziennie będę panią eskortował - zapowiedział Turner. - Z wyjątkiem dzisiejszego popołudnia, jako że muszę wyjechać.

Codziennie. Cóż, to już nie jej zmartwienie. Najważniejsze, że nie będzie czekał na nią dzisiaj.

- Dokąd pan się wybiera, jeśli mogę spytać - odważyła się zapytać.
- Poprowadzę mały oddział do Newport

Portia niespokojnie poprawiła się na siedzeniu i spojrzała na oficera, siłąc się na obojętność.

- To długa jazda, prawda? - rzuciła od niechcienia.
- Niekoniecznie - odparł kapitan. - O tej porze roku drogi między Bostonem a Newport są całkiem dobre.
- Nigdy tam nie byłam, ale słyszałam, że Rhode Island nie jest dużą kolonią.
- Może i niedużą, ale jej mieszkańcy sprawiają duże kłopoty - powiedział Turner. - Zdrajcy i fanfaroni bez-czelnie ogłaszają się obrońcami brytyjskich koloni.

Portia czytała ostatnio pamflet broniący kupca z Rhode Island, który został skazany w Bostonie za przemyt. Jego autor twierdził, że parlament pozbawił kolonistów innych

sposobów zarabiania na życie.

W przeciwieństwie do innych kolonii Rhode Island nie miała rozległych ziem uprawnych. Położona nad Narragansett Bay mogła utrzymywać się wyłącznie z handlu, ale prawodawcy w Londynie nakładali coraz więcej ograniczeń na wolny handel i podnosili cła na importowane towary. W rezultacie mieszkańcy Rhode Island musieli jakoś walczyć o przetrwanie.

Pamflet był bardzo przekonujący, ale Portia nie podzieliła się tą myślą z kapitanem. Wątpiła, czy zgodziłby się z jej opinią. Poza tym miała większe zmartwienia. Właśnie w Newport czekał na nią statek Pierce'a.

- Sprawa rzeczywiście musi być poważna, skoro admirał wysłał tak doświadczonego i zaufanego oficera zamiast kogoś młodszego stopniem

Turner dumnie wypiął pierś i skinął głową.

- Ma pani rację, moja droga. Nie będę się przechwalał, jeśli powiem, że admirał wysłał właśnie mnie, by mieć pewność, że sytuacja zostanie opanowana.
- Ale co może być takiego ważnego? - zapytała Portia z naiwną ciekawością, patrząc na niego z podziwem.
- Cóż... - Kapitan przeniósł wzrok za okno. Zbliżali się do bramy rezydencji. - To tajna informacja, więc nie powinna pani z nikim o tym rozmawiać.
- Oczywiście.
- Przechwyciliśmy krążące w Bostonie pogłoski na temat kłopotów szykujących się na Rhode Island - wyjaśnił Turner. - Wiemy, że ma w nich swój udział znany łotr, kapitan MacHeath. Sądzymy, że jego celem jest zakłócenie rejsów patrolowych naszych jednostek na Narragansett Bay.
- Myśli pan, że dzisiaj coś się wydarzy?
- Na to wskazują nasze informacje. - Kapitan skinął głową wartownikom przy bramie i powóz potoczył się dalej. - Ale jesteśmy przygotowani. Złapiemy MacHeatha w sidła.
- Jaki pan sprytny! - wykrzyknęła Portia. - Po co czekać, skoro można przenieść walkę na ich teren, prawda? Zmusić ich do obrony i złapać przywódcę. Ale jak pan zamierza tego dokonać?

Powóz zatrzymał się przy bocznym wejściu, lecz Portia nie wysiadła. Wyczekująco patrzyła na oficera.

- Od jakiegoś czasu regularnie nękamy łotrów - powiedział Turner. - Rozpowszechniliśmy wieści, że od dzisiaj wszystkie statki wpływające na Narragansett Bay będą sprawdzane. Cały ładunek zostanie wysyłany do Bostonu, jeśli wykryjemy najmniejszą nieprawidłowość, a właściciele statków pójdą do więzienia.
- Zrobicie to nawet wtedy, jeśli na statku wszystko będzie w porządku? - spytała Portia oburzona jawną niesprawiedliwością.
- Musimy. Ci z Rhode Island to dranie i przestępcy.

Naciskamy ich, żeby wyłapać najgorszych. Najlepszy sposób, żeby nauczyć złodziei rozumu, to utrudnić handel. Natomiast kiedy złapiemy MacHeatha, powiesimy go w Newport, a potem ciało zabierzemy do Bostonu. To będzie lekcja dla tych psów

Portia wzięła głęboki oddech. Zaczęła się bać o Pierce'a. A jeśli to on był poszukiwanym MacHeathem? W jej oczach wezbrały łzy. Cóż, im mniej wiedziała, tym lepiej. Poza tym Pennington umiał sam o sobie zadbać. Mimo to chciała się upewnić.

- Nadal nie rozumiem pańskiej roli, kapitanie – stwierdziła - Dlaczego admirał Middleton pozbawia Boston pańskiej obecności? Czy Rhode Island nie ma swoich władz zdolnych opanować sytuację?
- Muszę jechać, bo kapitanowie dowodzący statkami na Narragansett Bay nie składają raportów gubernatorowi w Newport, tylko przedstawicielom korony tu, w Bostonie - wyjaśnił Turner - Postanowiono więc oddelegować wysokiego rangą oficera, żeby przejął dowodzenie, na wypadek gdyby MacHeath pojawił się tam dzisiejszej nocy, a myślimy, że tak będzie

Portia wyjeżdżała do Bostonu, a nie do Newport. Nie możliwe, żeby drogi jej i Turnera się przecięły

- Powiedział pan, że zaraz jedzie do Newport? - spytała
 - Nie przypominam sobie, że bym podawał dokładną porę - zauważył kapitan
- Wysiadł z powozu i odwrócił się, żeby jej pomoc Portii uznała, że wyciągnęła już z niego wszystkie informacje
- Bezpiecznej podróży, kapitanie - powiedziała, ruszając w stronę schodów
 - Postaram się, żeby jutro ktoś panią tu przywiózł
- Mimo silnej pokusy Portia nie odparła, że to nie będzie potrzebne, tylko pomachała mu ręką i weszła do domu

Niech Turner myśli, co chce. Lepiej, żeby odjechał spokojny.

Pani Higgins specjalnie wyszła z domu wcześniej, żeby złapać Portię, zanim przyjaciółka ruszy na North End, ale już jej nie zastała.

- Panna Edwards wcześniej wstaje - powiedziała pani Crease. - Wczoraj i dzisiaj wyszła, zanim doktor i ja się obudziliśmy, a to już coś.

Mary przyniosła koszyk pełen darów pokoju: bochenek świeżego chleba, słoik ulubionego dżemu Portii, chusteczkę, którą wyhaftowała w zeszłym tygodniu, mały portrecik Ann i Waltera. To były drobiazgi, ale pastorowa chciała nimi uciszyć wyrzuty sumienia, które dręczyły ją od poprzedniego wieczoru.

Nie pamiętała, żeby kiedyś aż tak pomyliła się w ocenie innego człowieka. Poglądy Turnera na wychowanie dzieci wstrząsnęły nią do głębi. W dodatku ona sama nakłoniła go, żeby spędzał więcej czasu z Portią, a jej o tym nie uprzedziła. Postąpiła karygodnie. Teraz musiała przyznać się do błędu, poprosić o wybaczenie i razem z nią zastanowić się, jak wybrnąć z sytuacji.

- Skoro już przyszedłam, może zostawię koszyk w pokoju panny Edwards - powiedziała do gospodyni.

- Oczywiście, pani Higgins. Zna pani drogę. Chwilę później Mary otworzyła drzwi i oszołomiona rozejrzała się po skromnej sypialni. Wszystkie rzeczy Portii były starannie zapakowane, pomieszczenie sprzątnięte, obok łóżka stała walizka.

Mary wróciła myślami do poprzedniego wieczoru. Portia nie wspomniała o tym, że się wyprowadza. Co prawda, Turner nie dał nikomu dojść do słowa.

Cóż, byłoby zrozumiałe, gdyby zaproponowano jej pokój w domu admirała Middletona. Istniała również możliwość, że Portia znalazła mieszkanie bliżej North End. Mary postawiła koszyk na małym stoliku. I wtedy dostrzegła list zaadresowany do niej. Bez wahania złamała pieczęć.

„Najdroższa przyjaciółko,

Kiedy otrzymasz ten list, ja będę już w drodze do Walii, gdzie zamierzam zwrócić się o pomoc i posadę do lady Primrose. Dziękuję za dobroć, którą mi okazaliście. I jestem wdzięczna, że pozwoliliście mi brać udział w wychowaniu waszych cudownych dzieci”.

Mary podniosła wzrok znad listu i spojrzała na walizkę. Portia prosiła ją również, żeby w

jej imieniu podziękowała doktorowi Crease i jego żonie, pożegnała Bellę, Jozjasza i Clarę. Nie napisała, czy zabiera ze sobą Helenę Middleton, nie wymieniła nazwy statku. Jeśli jechała sama, po co ta dyskrecja? Chyba że... miała towarzystwo.

Pastorowa przeczytała ostatnie linijki.

„Jeśli zapyta o mnie ktoś, kogo tu pominęłam, pożegnaj go ode mnie. Nikt nie wie, że wyjeżdżam, a ja nie miałam czasu napisać do wszystkich. Proszę, uściskaj ode mnie dzieci. Powiedz im, że zawsze będę je kochać. Do widzenia, najdroższa przyjaciółko”.

Mary przycisnęła list do piersi. W tym momencie przy-pomniała sobie posłańca, który zjawił się poprzedniego wieczoru z pilną wiadomością, gwałtowną reakcją Turnera i zdenerwowanie Portii.

Jednak postawiła na swoim, pomyślała pani Higgins z ogromnym smutkiem. Mogły już nigdy więcej się nie zobaczyć, a ona nawet nie spotka się z Portią przed wyjazdem, nie załagodzi nieporozumień. I jeszcze długo będzie żałowała niemiłych słów, które powiedziała w gniewie. Zależało jej na tym, żeby Portia dobrze wspominała rodzinę, która ją kochała, i spędzone z nią osiem lat.

Pospieszyła do drzwi. Może jeszcze zdąży pożegnać przyjaciółkę.

Tego dnia nie pilnowano Heleny tak jak do tej pory. I nic dziwnego. Oszołomiona lekami, była na pół przytomna. Budziła się i znowu zasypiała.

Mimo to wpuszczono Portię do sypialni. Usiadła przy łóżku i zaczęła czytać francuską książkę, podczas gdy dwie służące gawędziły przy oknie.

Helena od czasu do czasu otwierała oczy, ale nie mogła skupić wzroku. Odpływała gdzieś daleko, wędrowała po krainie snów. Jej powroty do rzeczywistości trwały zaledwie kilka sekund. Była jednak świadoma obecności córki, bo gdy ta milkła na chwilę, Helena odwracała głowę w jej stronę. Tak więc Portia dalej czytała, mając nadzieję, że matka dojdzie do siebie, zanim zrobi się za późno.

Około dziewiątej poproszono ją o opuszczenie pokoju, bo zjawił się lekarz z codzienną wizytą. Gdy po jego wyjściu Portia wróciła, zobaczyła, że pani Green przygotowuje lekarstwo.

- Ja mogę je podać - zaproponowała, kiedy ochmistrzyni wyszła z sypialni.

Młoda służąca, której powierzono to zadanie, spojrzała na nią z powątpiewaniem, ale Portia wyjaśniła jej, że często zajmowała się chorymi z kongregacji pastora Higginsa. A

kiedy dodała, że mieszka nad apteką doktora Crease'a Młodszeo i czasami rozwozi leki, dziewczyna chętnie przekazała jej nudny obowiązek i wróciła do plotkowania z koleżanką. Portia wzięła łyżkę i udała, że podaje miksturę Helenie, ale za każdym razem wylewała ją na lnianą szmatkę, którą wzięła ze stolika.

Matka powoli przytomniała. Portia wiedziała, że żadna ze służących nie zna francuskiego, więc czytając, zmieniała słowa. Ściszonym głosem poinformowała Helenę o czekającym na nie statku. Podkreśliła, że bez jej pomocy nie uda im się wyrwać z więzienia. Wyjaśniła również, że muszą uciec dzisiaj.

Pani Green wróciła koło południa. Na szczęście Helena nie okazała niepokoju przez te kilka chwil, kiedy ochmistrzyni uważnie jej się przyglądała. W Portię wstąpiła nowa nadzieja.

- Czytanie ją uspokaja - powiedziała, zwracając się do gospodyni.
 - Raczej lekarstwo - odburknęła pani Green.
 - Mimo to jestem wdzięczna, że pozwoliła mi pani przy niej posiedzieć. - Portia zachowała spokój.
 - Po to panią zatrudniono - skwitowała ochmistrzyni - Musi pani zapracować na swoją pensję.
 - Tak, proszę pani.
 - Spodziewam się, że panna Middleton prześpi resztę popołudnia - stwierdziła pani Green. - Może pani przed wyjściem zjeść w kuchni rybę i chleb.
 - Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym została na popołudnie? - zapytała Portia. - Kapitan Turner jest bardzo uprzejmy. Postarał się, żeby w jego zastępstwie ktoś odwiózł mnie do domu. Nie chciałabym go rozczarować.
 - Jak pani chce. Ale proszę nie oczekiwać kolacji.
- Portia dygnęła i wróciła na miejsce przy łóżku. Tymczasem ochmistrzyni zaczęła wydawać polecenia dwóm służącym. Ku radości Portii okazało się, że pani Green przewidziała dla nich na popołudnie inne zadania niż pilnowanie panny Middleton.
- Ta, która ostatnia wyjdzie z pokoju, niech zamknie go na klucz. Rozumiecie?
 - Tak, proszę pani - odpowiedziały jednocześnie służące.

W tym momencie do sypialni zajrzała inna dziewczyna i zwróciła się do Portii:

- Jeden z wartowników mówi, że przy bramie czeka na panią pani Higgins. Mówi, że

to pilne.

Serce Portii zamarło na myśl, że coś stało się dzieciom. Nie, wtedy Mary przysłałaby Clarę albo Jozjasza. Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, jaką sprawę ma do niej przyjaciółka. Portia wsunęła książkę pod ramię i ruszyła do drzwi.

- Kto to jest ta pani Higgins? - zainteresowała się ochmistrzyni.

Portia zatrzymała się w progu.

- Żona pastora Williama Higginsa. Jego kościół mieści się na Sudbury Street. Byłam członkiem ich rodziny przez osiem lat. Pani Higgins to moja przyjaciółka. Nie czułam się wczoraj dobrze, więc pewnie przyszła zobaczyć, czy już mi lepiej.

Pani Green zmierzyła ją podejrzliwym wzrokiem, po czym zwróciła się do pokojówki, która przyniosła wiadomość.

• Powiedz wartownikowi, żeby ją wpuścił - poleciła i przeniosła wzrok na Portię. - Pani Higgins może zjeść z panią obiad, jeśli będzie chciała.

• To bardzo wspaniałomyślne z pani strony, pani Green - powiedziała Portia, dygnęła i wyszła za młodą służącą. Na podjeździe spotkała Mary, która szybkim krokiem zmierzała w stronę domu.

- Tak się cieszę, że cię znalazłam, zanim wyjechałaś! - zawołała pastorowa z wyraźną ulgą.

W tym momencie Portia zrozumiała, co przywiodło Mary aż na North End.

• Nie powinnaś grzebać w moich rzeczach ani czytać listu - skarciła ją łagodnym tonem.

• Był zaadresowany do mnie - obruszyła się Mary. - Jak mogłam go nie przeczytać?

Portia wzięła przyjaciółkę za rękę i zaprowadziła ją do ogrodu, z dała od wścibskich oczu i uszu.

- Prosiłaś mnie, żebym nie wciągała twojej rodziny w moje plany - przypomniała. - Posłuchałam cię, więc teraz udawaj, że nie przeczytałaś listu. Udawaj, że nic nie wiesz.

Mary obróciła ją do siebie.

- Więc to prawda? Wyjeżdżasz?

Portia rozejrzała się czujnie. Na szczęście nikogo nie było w pobliżu.

• Tak - przyznała lekko drżącym głosem. Gardło miała ściśnięte z podniecenia, smutku, niepokoju.

• Kiedy? - zapytała przyjaciółka.

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Proszę.

Portia potrząsnęła głową i ruszyła dalej ogrodową ścieżką. Mary podążyła za nią.

- Znamy się tyle lat, a ty uważasz, że nie możesz mi zaufać - stwierdziła z wyrzutem. - Sądziś, że nie mam prawa wiedzieć? Albo że nie zasługuję na pożegnanie? Nie pomyślałaś, że dzieci będą chciały zobaczyć cię po raz ostatni, a William udzielić ci rady? Pewnie już o nas zapomniałaś, ale dla nas nadal jesteś bardzo ważna i...

- Dość tego, Mary - rzuciła Portia błagalnie, odwracając się do przyjaciółki. Z trudem powstrzymywała łzy. - Proszę, nie utrudniaj mi rozstania. I tak jest mi ciężko.

Pastorowa ujęła jej dłonie.

- Po prostu się o ciebie martwię. Nie chcę, żeby spotkało cię coś złego.

- Wszystko będzie w porządku - zapewniła ją Portia. - Kłopoty wynikną tylko wtedy, jeśli o moich planach dowiedzą się ludzie, którzy mogą je pokrzyżować.

- Tacy jak kapitan Turner - domyśliła się Mary. Portia skinęła głową.

- Wiem, że chciałaś dobrze - uspokoiła przyjaciółkę. -

Powiedział mi, że prosiłaś go, żeby się mną zaopiekował. Ale to był błąd. On...

- Wiem. - Mary spojrzała na ich złączone dłonie, czerwona ze wstydu. - Właśnie dlatego do ciebie przyszedłem. Chciałem błagać cię o wybaczenie, że zaprosiłem go wczoraj. Wyobraź sobie, że myślałam, że on może być dla ciebie odpowiednią partią! Przez pół nocy wyrzucałam sobie głupotę. Nie miałam pojęcia, jaki to okropny człowiek. Przyszło mi do głowy, że razem wymyślimy jakiś sposób, żeby się go pozbyć.

Portia potrząsnęła głową.

- Teraz to bez znaczenia. Właśnie pojechał na Rhode Island. Zanim wróci, mnie już nie będzie.

- Wyjeżdżasz dzisiaj? - spytała Mary.

W tym momencie do ogrodu weszli dwaj ogrodnicy z grabiami i łopatami. Portia chwyciła przyjaciółkę za ramię i pociągnęła ją ku ławce stojącej pod żywopłotem, daleko od domu.

- Nikt nie może tego usłyszeć - szepnęła.

- Więc nie wyjeżdżasz sama - stwierdziła Mary, kiedy usiadły obok siebie. Orodnicy

wzięli się do pracy na rabatach kwiatowych. - Przemyślałaś wszystkie szczegóły? Jak zamierzasz...

- Nie pytaj - przerwała jej Portia. - Ty i William nie powinniście nic wiedzieć. Mnie już tu nie będzie, ale was Zaczna wypytywać. Lepiej, żebyś nie znała zbyt dokładnie mojego planu.

Mary ujęła jej dłoń.

- Obiecuję udawać, że nic nie wiem. Potrafię odegrać wstrząśniętą i zdradzoną. Nie darmo jestem żoną pastora. Portia zmierzyła ją wzrokiem.

- Nie mówisz poważnie. Ja staram się uczyć na błędach. Nie zapomniałam o skandalu, który omal nie zniszczył waszej rodziny. Kariera Williama już raz była poważnie zagrożona. Nie mogę pozwolić...

- Nie chcę żyć przeszłością - oświadczyła Mary - I nic można zmienić tego, co Bóg dla nas przewidział Nie zamierzam powtarzać swoich ostrzeżeń z tamtego dnia po balu - Przyjaciółka się uśmiechnęła - Tym razem, moja droga, lepiej rozumiesz sytuację niż ja. Wygląda na to, że wszystko staranie zaplanowałaś. Jestem z ciebie dumna Martwi mnie tylko, że mogłaś przeoczyć jakieś drobiazgi Pragnę, żeby ci się udało Bóg wie, że me znam nikogo, kto bardziej zasługiwałby na szczęście

- Teraz będę tęsknić za tobą jeszcze bardziej - powie działa Portia ze łzami w oczach

Mary uściskała ją serdecznie

- I powinnaś. Jestem warta tego, żeby za mną tęsknić Portu udało się uśmiechnąć
- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam - stwierdziła
- Bez wątpienia - zgodziła się Mary Rzuciła spojrzenie na ogrodników pochylonych nad grządkami - Kiedy wyjeżdżasz?
- Po południu
- Jakim statkiem? - spytała pastorowa, ale zaraz potrząsnęła głową - Mniejsza o to. Zabierasz ze sobą matkę?
- Taki mam zamiar - szepnęła Portia
- Chyba nie zrobisz czegoś tak szalonego, jak przebranie się za marynarza albo ukrycie się w ładowni? Zapłaciłaś za przejazd?
- I tak, i nie. Oczekują mnie na statku - Nie wspomniała, że ani Pierce, ani Nathaniel Muir nie wiedzą o dodatkowej pasażerze

- Mam nadzieję, że statek płynie do Anglii, a nie na jedną z tych okropnych karaibskich wysp - powiedziała Mary

- Do Szkocji Stamtąd pojedę lądem do Walu Pastorowa przez chwilę milczała

- Człowiek, który ci pomaga, jest uczciwy? – zapytała w końcu

- Bardzo - zapewniła Portia. Na samą myśl o Penningtonie poczuła ściskanie w gardle. Jeszcze nie wyjechała, a już za nim tęskniła. Przywołała uśmiech na twarz. - Zaaapelowałam do jego uczuć i sumienia. Skutecznie.

Mary nie wyglądała na zaskoczoną. Portia wołała nie myśleć, jak zareagowałyby przyjaciółka, gdyby dowiedziała się o ostatniej nocy. Ona niczego nie żałowała.

- A jak zamierzasz dostać się z Heleną na statek?

- Przyjedzie po nas powóz - wyjaśniła Portia. - Woźnica dostał odpowiednie polecenia.

- Ale jak ukryjesz matkę przed wartownikami stojącymi przy bramie? - zapytała Mary. - Zatrzymują wszystkich, którzy próbują wejść. Pewnie sprawdzają również wyjeżdżających.

Portia bardziej martwiła się o to, jak niepostrzeżenie opuścić dom.

- Jeśli uda się nam dotrzeć do drzwi, a potem do powozu, po prostu powiem, że Helena jest jedną ze służących. Nie sądzę, żeby wartownicy ją rozpoznali.

- Myślisz, że nie wiedzą, kto tu pracuje? - W głosie Mary brzmiało powątpiewanie.

- Ukryję ją pod kocem, jeśli będę musiała - oświadczyła Portia. - Albo każę woźnicy sforsować bramę...

- Nie. - Pastorowa wstała z ławki i skierowała wzrok na imponującą rezydencję. - Może ja ci się na coś przydam.

Przyjaciółka spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Jakiego koloru włosy ma Helena? - zainteresowała się nagle Mary.

- Takiego samego jak twoje.

- I jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu? - wypytywała dalej pastorowa.

- Tak, ale...

- I w jej garderobie pewnie znajdzie się szara suknia podobna do mojej?

- Nie wiem, ale chyba nie sugerujesz, żeby wyjechała z posiadłości, udając ciebie?

- Widzę, że myślimy o tym samym - stwierdziła wesoło Mary.
- A potem jak się stąd wydostaniesz? - ostudziła ją Portia. - Nawet jeśli znajdziesz jakiś sposób, wszyscy będą wiedzieli, że brałaś udział w intrydze. To się nie uda.
- Musi.
- Nie! - Portia zdecydowanie potrząsnęła głową. - Nie mogę cię narażać.
- Nie wierzysz we mnie - zarzuciła jej Mary. - Jestem bardziej pomysłowa, niż przypuszczasz. Mogę oświadczyć, że zostałam sterroryzowana. I właśnie tak zrobię, jeśli ktoś zacznie mnie podejrzewać. Powiem, że uderzono mnie w głowę. Albo podano narkotyk. Mieszkając nad apteką, miałaś dostęp do różnych leków, prawda?
- Sama nie wiem. - Portia myślała gorączkowo.
- Czas ucieka, moja droga. - Mary wzięła ją za rękę i ruszyła w stronę domu. - Podobno jestem zaproszona na obiad, więc chodźmy. Pozwól, że ci pomogę.

Portia nie miała innego wyjścia, jak jej ustąpić.

18

Wiał łagodny wiatr z północy, słońce sięgało zenitu, kiedy slup o imieniu *Hannah* podniósł kotwicę i wypłynął z portu Newport. Kapitan już wcześniej zameldował w komorze celnej, jaki ładunek przewozi, ale sami celnicy od miesięcy z coraz większym sceptycyzmem traktowali te formalności. Podwładni porucznika Williama Dudingstona wiedzieli, że pracujący w tym urzędzie mieszkańcy Rhode Island przemykają oko na nieprawidłowości w manifestach statków.

Minąwszy najeżone skałami płycizny przy Rhode Island, *Hannah* obrała kurs na północ, w stronę Providence. I właśnie wtedy majtek krzyknął z bocianiego gniazda, że ściga ich szkuner Dudingstona *Gaspee*. Pierce wychylił się przez reling rufowy. Rzeczywiście smukły dwumasztowiec uzbrojony w osiem dział sunął pod pełnymi żaglami obok Goat Island.

- Niech się zbliży - powiedział Pennington do Lindseya, kapitana *Hannah*.

Wszystko szło zgodnie z planem. Jeden z marynarzy, który razem z pierwszym oficerem składał manifest w komorze celnej w Newport, dokładnie wypełnił instrukcje kapitana. Na tyle głośno, żeby usłyszał go celnik, wspomniał o kłopotach z zabraniem MacHeatha na pokład niedaleko Brenton Point.

Na rozkaz kapitana *Hannah* zwolniła. Kiedy *Gaspee* ją dogonił, Pierce zobaczył, że

Dudingston stoi na mostku, a jego zastępca sygnalizuje załodze *Hannah*, żeby przygotowała się do abordażu.

- Pokaż mu pięty, Lindsay - polecił Pennington. Szybko przekazano rozkaz dalej i marynarze rzucili się do lin. Wszyscy słyszeli o poruczniku Dudingstonie i jego metodach. Żaden nie palił się do tego, żeby zostać wcielony do królewskiej marynarki. Gdy stało się jasne, że słup nie ma zamiaru rzucić kotwicy, *Gaspee* ostrzegawczo wypalił z dwóch dział. Chwilę później jednak statek handlowy znalazł się poza ich zasięgiem, prowokując brytyjski szkuner do pościgu.

I *Gaspee* podjął wyzwanie. Ucieczka wyglądała na spontaniczną decyzję załogi *Hannah*, ale właściciel i kapitan statku planowali ją od jakiegoś czasu. Dudingston chwycił przynętę i wkrótce miał znaleźć się na mieliźnie. Pierce przez kilka tygodni studiował mapy i analizował informacje, które zbierał Nathaniel. Kości zostały rzucone. Gdyby porucznik ich dogonił, Lindsay stanąłby przed sądem, a Pennington na pewno zostałby powieszony.

Przez następne dwie godziny dwa statki, hałasując, mknęły na północ. Lindsay trzymał się poza zasięgiem dział prześladowcy, ale zatoka stopniowo się zwężała, pole manewru kurczyło. Dudingston dobrze o tym wiedział i dlatego odcinał słupowi drogę na południe i otwarte morze.

Wczesnym popołudniem, kiedy oba statki znalazły się między portem bristolskim a Prudence Island, brytyjski dowódca zaczął tracić cierpliwość. Zdawał sobie sprawę z tego, że wraz z odpływem *Hannah* mu umknie. Zbliżał się decydujący moment. Po minięciu Conimicut Point i ujścia rzeki Providence, Dudingston musiał skrócić na zachód, żeby zamknąć im ostatnią drogę ucieczki.

Na wysokości cypla *Gaspee* pokonał długą podwodną ławicę piasku i szybko zmniejszał odległość do ściganych. Kapitan Lindsay spojrział na MacHeatha, czekając na rozkazy. Chwile ciągnęły się jak wieczność. Szkuner był dostatecznie blisko, żeby użyć dział dziobowych. Pierce wyraźnie widział twarze marynarzy.

- Teraz - powiedział cicho.

Na rozkaz kapitana *Hannah* zmieniła kurs na północny zachód. Załoga *Gaspee* rzuciła się do żagli. Szkuner wykonał gwałtowny zwrot na zachód. Tym samym Dudingston przypieczętował swój los.

Wszyscy na pokładzie słupa spokojnie obserwowali przeciwnika. Od dawna pływali po Narragansett Bay i dobrze wiedzieli, że zanim *Gaspee* ich dogoni, trafi na piaszczyste płycizny Namquid Point. Mieli pewność, że Dudingston nie zerwie się z haczyka.

- Zwrot - polecił Pierce.

Gdy *Hannah* skręciła na wschód, brytyjski szkuner wpadł na mieliznę, zatrzęsł się cały i stanął gwałtownie. Marynarze pospadali z olinowania do morza, Dudingston pokoziołkował przez pokład. Kiedy *Gaspee* przechylił się na burtę, a jego żagle zanurzyły w wodzie, załoga słupa wzniosła triumfalne okrzyki.

- Dobra robota, Lindsay - pochwalił Pennington, klepiąc kapitana po plecach.
 - To powinno ich zatrzymać, sir.
 - Istotnie. - Pierce zobaczył, że odległość między dwoma statkami powiększa się z każdą chwilą. - Cóż, kapitanie, chyba czas powiadomić naszych przyjaciół z Providence i Bristolu o smutnym losie *Gaspee*. Teraz celnicy muszą poczekać, aż przyptyw znieśie ich z tej łachy. Czy-li do trzeciej nad ranem, prawda?
 - Tak, sir. Jeśli będą mieli szczęście. Dudingston zarył naprawdę mocno.
 - Owszem - zgodził się Pierce. - Bardzo chciał dopaść *Hannah*.
 - Albo MacHeatha - dodał Lindsay.
 - Możliwe.
 - Cóż, teraz ma inne zmartwienie - stwierdził kapitan z szerokim uśmiechem. - A noc zapowiada się na ciemną.
 - Nie podoba mi się twój pomysł - szepnęła Portia, kiedy dotarły pod drzwi sypialni. Pod oknem siedziały te same dwie służące. Obrzuciły Mary ciekawym spojrzeniem.
- Pam Green pozwoliła mi zaprosić panią Higgins na górę, żeby dotrzymała mi towarzystwa - wyjaśniła Portia.
- Zerknęła na łóżko. Lekkie zasłony z gazy były opuszczone, Helena spała. Portia odwróciła się do pokojówek.
- Ja jej popilnuję, jeśli macie coś innego do zrobienia - zaproponowała.
- Kobiety popatrzyły na siebie niezdecydowanie, ale po chwili wstały.
- Mamy dużo roboty przed obiadem - powiedziała jedna.
 - Nie obawiajcie się - uspokoiła je Portia. - Moja przyjaciółka i ja możemy posiedzieć

przy panie Middleton. W razie czego zawołam o pomoc.

Mary zajęła zwolnione miejsce pod oknem. Portia zamknęła drzwi sypialni i podeszła do łóżka.

Matka miała otwarte oczy i patrzyła całkiem przytomnie, ale nic nie mówiła. Portia uściśniła jej dłoń, a ona odwzajemniła gest. Szybko zamknęła oczy, gdy drzwi się otworzyły. To wróciła jedna ze służących.

- Kucharka niedawno przysłała zupę. - Młoda kobieta wskazała na tacę stojącą na stoliku.
- Ale pani spała tak mocno, że nie chciałam jej budzić.
- Nie martw się, nakarmię ją - obiecała Portia.
- Pani Green też była i przygotowała lek dla panny Middleton - dodała dziewczyna. -
Niech pani go poda razem z jedzeniem.

• Dobrze. Dziękuję, że mi powiedziałaś.

Gdy tylko zostały same, Portia przedstawiła matce Mary. Helena nadal była trochę zamroczona, ale w skupieniu wysłuchiwała słów córki.

- Nie mamy dużo czasu. O czwartej przyjedzie po nas powóz. Jeśli uda mi się sprowadzić cię na dół, dziś w nocy odpłyniemy do Szkocji.
- Więc to nie był sen - wyszeptała Helena. - Naprawdę chcesz, żebym z tobą wyjechała.

To nie było pytanie, tylko stwierdzenie, ale ton nie zdradzał entuzjazmu. Mary posłała przyjaciółce ostrzegawcze spojrzenie. Portia usiadła na brzegu łóżka i ujęła dłoń matki.

- Chcesz tu zostać? - spytała. - Żyć jak do tej pory?
Helena milczała przez chwilę.

- Chętnie bym została, gdyby pani Green wciąż mi nie mówiła, co mam robić. Zostałabym, gdyby nie było zamka w moich drzwiach, gdyby nie wmuszano we mnie leków. - Panna Middleton uściśniła dłoń córki. - Zostałabym, gdybyś ty mogła tu zamieszkać. Ale admirał nigdy na to nie pozwoli.

Portia poczuła ulgę.

- Ci ludzie powoli mnie zabijają - ciągnęła Helena z desperacją w głosie. - Czasami niemal żałuję, że jeszcze żyję.
- Nie musisz godzić się na takie traktowanie - rzekła Portia. - Zabiorę cię tak daleko, że admirał nigdy nas nie znajdzie. Zaczniemy wszystko od nowa, razem.
- Ale ja tak długo byłam zależna od innych. - Głos matki się załamał. - Już nie wiem, jak

wygląda świat poza tymi murami, które stały się moim więzieniem. Nie mam przyjaciół, nie mam krewnych, którzy by nam pomogli. -Helena spojrzała na zasłony powiewające na lekkim wietrze. - I nie widzę. Jak mogę jechać w świat?

- Masz mnie - powiedziała Portia z uczuciem. - Ja się tobą zaopiekuję. Będę twoimi oczami. Odzyskasz wolność. I będziemy razem. Czy to nie dość?
- Dla mnie tak - odparła matka przez łzy. - Ale tyle dla mnie robisz, choć ja nigdy nie byłam dla ciebie matką.
- Żadnej z nas nie można winić o przeszłość - oświadczyła Portia. - Pomyślmy o przyszłości. - Zerknęła na drzwi, gdy z korytarza dobiegły głosy. - Taka szansa nie pojawia się codziennie. Wykorzystamy ją, jeśli mi zaufasz.

Po chwili wahania Helena podniosła się i wolno spuściła nogi z łóżka. Gdy wstała, okazało się, że ma trudności z utrzymaniem równowagi. Musiała usiąść. Mary natychmiast podbiegła i wzięła ją za rękę. Razem z Portią pomogły jej dojść do toaletki stojącej przy oknie.

- Nie uda się nam stąd wydostać - stwierdziła Helena z rezygnacją.

- To już moje zmartwienie - rzekła Portia. - Mary, ty zajmij się włosami mojej matki, a ja przeszukam garderobę. Masz szarą suknię, mamo?

Pani Green dokończyła popołudniową inspekcję domu i ruszyła na górę, żeby zajrzeć do Heleny, kiedy z kuchni dobiegły okrzyki: „Pali się!”. Czym prędzej zbiegła po schodach. Na dole zobaczyła ludzi admirała pędzących do kuchni, z której buchały kłęby gęstego dymu. W progu zderzyli się ze służbą, która w panice wypadła z zadymionego pomieszczenia. W pokoju stołowym dla personelu zapanował chaos. Ochmistrzyni przedarła się przez tłum i znalazła kucharza. Po jego okrągłej twarzy spływał pot. Biedak wycierał go osmaloną ścierką.

- Nie jest tak źle - zawołał, przekrzykując wrzawę. - Jest trochę dymu, ale już ugasiliśmy ogień.
- Co się stało? - spytała pani Green.
- Dama do towarzystwa panny Middleton zniosła na dół tacę. Jedna z pomywaczek twierdzi, że chyba postawiła ją za blisko pieca. Serwetka zajęła się płomieniem, od niej zapaliły się tłuste ścierki, potem...
- Ale ugasiliście ogień.

- Tak. Czy admirał...
- Admirał pojechał dziś rano na spotkanie z gubernatorem - powiedziała ochmistrzyni.
- Dzięki Bogu - westchnął kucharz.

Poszedł do ławy ciągnącej się wzdłuż ściany i opadł na nią ciężko. Tymczasem pani Green zauważyła, że jedna z dziewcząt opiekujących się Heleną pomaga innym otwierać okna.

Podeszła do niej szybko i wzięła ją za ramię.

- Kto jest na górze z panną Middleton? - zapytała surowym tonem.
- Panna Edwards i jej przyjaciółka, żona pastora - odparła służąca.

Ochmistrzynię ogarnął niepokój. Zajrzała do kuchni i przekonała się, że kucharz mówił prawdę. Nie było ognia, dym prawie się rozwiął. Pani Green przeszła przez jadalnię dla służby i pospieszyła na górę.

Tak jak się obawiała, drzwi pokoju Heleny były otwarte. Żona pastora chodziła w tę i z powrotem po korytarzu.

- Jak to dobrze, że pani już jest, pani Green - powiedziała z ulgą Mary Higgins. - Czy ogień się rozprzestrzenił? Mamy opuścić budynek?

Ochmistrzyni minęła ją bez słowa i weszła do sypialni. W środku było pusto.

- Gdzie panna Middleton? Dokąd panna Edwards ją zabrała?
- Przestraszyła się, że w razie niebezpieczeństwa panna Helena nie zdąży uciec. Jest półprzytomna.
- Gdzie one są? - krzyknęła gospodyni.
- Wyszły do ogrodu - odparła pastorowa urażonym tonem. - Poprosiła mnie, żebym tu została i powiedziała pani, dokąd poszły. Nie chciała, żeby pani się martwiła. Czy pożar na pewno został ugaszony? Mam dwoje małych dzieci. Nie mogą stracić matki tylko dlatego, że przyszłam spełnić dobry uczynek.
- Którymi schodami zeszły? - spytała ochmistrzyni ze zniecierpliwieniem.
- Chętnie pani pokażę. - Mary Higgins ruszyła korytarzem.

Helena mocno opierała się o córkę, kiedy wolno szły ścieżką prowadzącą na podjazd.

- Jestem taka zmęczona - poskarżyła się. - Nie mogę oddychać. Od dawna nie chodziłam tak daleko i tak szybko. Nie wiem, czy dam radę zrobić jeszcze jeden krok.

Już niedaleko - pocieszyła ją Portia. Dostrzegła powóz stojący za linią drzew. - Tylko

pozwól, że ja będę mówić.

Jack wyraźnie się zdziwił na ich widok.

- Jesteś najlepszym człowiekiem na świecie - zawołała wesoło Portia. - Widzę, że przyprowadziłeś karetę.
- Tak, pan uznał, że będzie wygodniejsza na długą podróż - powiedział stangret.
- Słusznie. Jesteś aniołem, Jack. Pomożesz mi? Moja przyjaciółka jest bardzo słaba. Nawdychała się dymu. Ktoś niechący wznicił w kuchni mały pożar.
- Niechący? - mruknął woźnica pod nosem, ale pomógł starszej kobiecie wsiąść do powozu. Następnie zwrócił się do panny Edwards: - Pan mówił, że mam zabrać tylko panią.
- Pewnie chodziło mu o to, że znasz tylko mnie - stwierdziła Portia. - Nie sądziłeś chyba, że bez damskiego towarzystwa wsiądę na statek pełen marynarzy?
- Ja tam nie wiem, ale jak pani sobie życzy. - Jack wdrapał się na kozioł. - Mam nadzieję, że pan nie zmyje mi głowy.

Przy bramie Helena przyłożyła chusteczkę do ust, udając atak kaszlu. Portia wychyliła się przez okno i opowiedziała wartownikom o pożarze w kuchni.

- Nie wiem, czy już go ugasili - dodała na koniec. - Ale jutro na wszelki wypadek przyniosę ze sobą jedzenie do pracy. Dla was również, chłopcy.

Kiedy wybuchnęli śmiechem, pomachała im i dała znak woźnicy. Jack zaciął konie. Gdy brama zamknęła się za nimi, Portia opadła na siedzenie.

- Na razie idzie dobrze - powiedziała, ujmując dłoń matki. Uwagę, że najgorsze jeszcze przed nimi, zachowała dla siebie.
- Nikogo tu nie widzę - stwierdziła z irytacją ochmistrzyni. - Jest pani pewna, że poszły do ogrodu?

Pastorowa rozejrzała się z zakłopotaniem.

- Jestem tu pierwszy raz, pani Green. Ale nie mogły odejść daleko. Wie pani lepiej ode mnie, jaka słaba jest panna Middleton. Panna Edwards musiała niemal wynieść ją z pokoju, żeby uratować jej życie. Może dowiedziały się, że pożar nie był groźny, i zawróciły. Niewykluczone, że już są na górze, a panna Edwards kładzie pannę Helenę do łóżka. Może niepotrzebnie się pani martwi.
- Za dużo pani mówi, pani Higgins - stwierdziła gniewnie ochmistrzyni, ruszając w stronę

domu.

• Ja tylko próbuję pomóc - oświadczyła pastorowa. - W domu czekają na mnie dzieci. Nie licząc przygotowania kolacji, muszę jeszcze złożyć dwie wizyty chorym z kongregacji mojego męża. Więc jeśli nie docenia pani tego, co staram się zrobić...

• Czas, żeby pani sobie poszła - przerwała jej ostro gospodyni. - Była pani bardzo pomocna. Do widzenia, pani Higgins.

• Na pewno?

• Brama jest tam.

• W takim razie... - prychnęła Mary, okręciła się na pięcie i pomaszerowała przez ogród. Po godzinie jazdy w ciemności dotarli do małej wioski Barrington. Gdy zostawili za sobą skupisko domów, Jack skręcił z gościńca w bok i zatrzymał się za rzadkim zagajnikiem. Portia zdziwiła się, kiedy po aromacie sosen, który wdychała przez całą podróż, nagle poczuła woń słonej wody. Wyrzała przez okno i zobaczyła, że stoją na niewielkim cyplu. Było bardzo ciemno, ale domyśliła się, że czarna woda rozciągająca się wokół to Narragansett Bay.

- Jesteśmy trochę za wcześnie - powiedział stangret, zeskakując z kozła.

Helena, która przespała całą jazdę, teraz poruszyła się i otworzyła oczy.

- Gdzie jesteśmy? - zapytała, ostrożnie wyciągając rękę. Portia ujęła dłoń matki.

• Na Rhode Island - wyjaśniła. - Czekamy na łódź, która zabierze nas na statek.

• Widzisz jakiś statek?

- Nie. Woźnica mówi, że jeszcze wcześnie. Helena pokiwała głową i znowu zapadła w drzemkę. Gdy Portia usłyszała plusk dobiegający od strony morza, zaciekawiona wysiadła z powozu i ruszyła na brzeg. Rozpoznała odgłos licznych wiosel cicho uderzających o wodę.

- Kto to? - zapytała szeptem, kiedy Jack stanął obok niej. On również patrzył na zatokę.

- Nie sędzę, żeby pani chciała wiedzieć - odparł. - Ale domyślam się, że ten barkas płynie z Bristolu.

Portia nie naciskała go, choć była ciekawa, czy na łodzi jest MacHeath. Tego popołudnia,

kiedy Jack zawiózł ją do apteki, żeby wzięła walizkę, przyglądała się twarzom wszystkich ludzi, których mijali. Miała nadzieję, że po raz ostatni zobaczy Pierce'a. Nie odważyła się jednak spytać o niego stangreta.

Może Turner miał rację. Może Pierce, czy też raczej MacHeath, przyjechał tutaj, kiedy rozstali się zeszłej nocy. Łódź oddalała się w ciemność. Cisza panująca na jej pokładzie wskazywała na przemytników. Portię nagle ogarnął strach na myśl, że kapitan i jego ludzie czają się na brzegu, żeby ich aresztować.

- Admirał Middleton wysłał dziś kapitana Turnera i oddział żołnierzy na Rhode Island - powiedziała. - Wyruszyli rano. Czy nie powinniśmy kogoś ostrzec? Wiem, że kapitan zaplanował jakąś pułapkę. Był pewien, że mu się uda, i...

Jack potrząsnął głową.

- Lepiej nic nie mówić, jeśli chce pani dzisiaj wyjechać. Niech każdy robi, co do niego należy.

Portia jeszcze bardziej się zaniepokoiła.

- Jeśli mogę uratować twojego pana od kłopotów, wolę zrezygnować z podróży - oświadczyła.

Woźnica się uśmiechnął.

• Za bardzo się pani boi - stwierdził. - Nie ma o co się martwić. Pan wie, co robi.

• Ale jeśli mogę mu pomóc...

- Pomoże pani, nie wchodząc mu w drogę, panienko.

Nagle ciszę nocną zmaćił huk wystrzału. Portia zbiegła nad samą wodę. Nic nie widziała, ale słyszała krzyki i coraz głośniejsze odgłosy walki.

• Zostali zaatakowani - wyszeptała z lękiem.

• Chyba tak - potwierdził stangret rzeczowym tonem.

• Do kogo moglibyśmy zwrócić się o pomoc? - spytała Portia, wchodząc na skałę sterczącą z morza.

• Do nikogo - odparł Jack. - Musimy zostać tutaj i...

• Nie możemy tak po prostu czekać.

• Możemy, panienko. Moje rozkazy...

W tym momencie Portia pośliznęła się i z głośnym pluskiem wpadła po pas w wodę. Przy okazji starła sobie łokieć. Pod wpływem soli rana mocno zapiekła.

- Cholera! - zaklął stangret pod nosem i pospieszył jej na ratunek. - Proszę się uspokoić, panienko. Owszem, zaatakowano statek, ale nie jest tak, jak pani myśli. Barkasy z Providence...

Od drogi dobiegł stukot kopyt. Gościńcem nadjeżdżało kilkunastu żołnierzy. Portia natychmiast pomyślała o matce, która spała w pojeździe stojącym przy zagajniku.

- Proszę się schylić, panienko - syknął Jack, chowając się za skałę. - Nie mogą pani zobaczyć.

Pociągnął ją w dół, kiedy dwóch jeźdźców oderwało się od oddziału i zboczyło do powozu.

- Helena - wyszeptala Portia.

W tym momencie rozbrzmiał kolejny wystrzał. Żołnierze spięli konie ostrogami i ruszyli w stronę brzegu. Portia nie zdążyła się zanurzyć.

Turner z osłupieniem patrzył na kobietę stojącą po pas w wodzie. W końcu podjechał bliżej. Musiał się upewnić, że to nie pomyłka.

- Co, u licha, pani tutaj robi, panno Edwards? - wykrzyknął.

- Sir, nasi pojechali dalej - zameldował jego podwładny. Kapitan obejrzał się szybko. Na drodze nikogo nie było.

•Dogoń ich, Reynolds, i jedźcie dalej do Providence -rozkazał. - I przyślij tutaj z powrotem dwóch ludzi. - Kiedy młodszy oficer odjechał, Turner zwrócił się do panny Edwards: - No więc, jak pani wyjaśni to szaleństwo?

•Całkiem zwyczajnie. - Portia ruszyła do brzegu, ale nagle potknęła się i usiadła w wodzie. - Byłby pan tak miły i pomógł mi się stąd wydostać?

Kapitan wyciągnął do niej szpicrutę.

•Czyj to powóz? - zapytał. - Kto jest w środku?

•Nie umiem pływać, sir. - Portii nie udało się dosięgnąć szpicruty. - Proszę.

•Na litość boską, kobieto, tam wcale nie jest głęboko. Proszę wstać.

•Coś mnie wciąga! - krzyknęła Portia. - Chyba ruchome piaski.

- Tutaj nie ma żadnych ruchomych piasków. Może odpływ...

Panna Edwards zniknęła pod wodą. Turner patrzył przez chwilę, ale kiedy się nie wynurzyła, oprócz irytacji ogarnął go lekki niepokój. Nie miał innego wyjścia, jak zsiąść z konia. Zaczął macać na płyciźnie. Na próżno.

- Gdzie pani jest? - zawołał coraz bardziej zdenerwowany. - Panno Edwards?
- Już po nas przyjechali?

Gdy Turner usłyszał kobiecy głos, obejrzał się zaskoczony. Po chwili wahania wyszedł z wody i ruszył w stronę powozu.

- Panna Middleton?
- Kapitan Turner. - Helena otworzyła drzwi. - Co pan zrobił z moją córką?
- Córka? Co to ma znaczyć? Postradała pani rozum?
- Gdzie jest Portia? - Helena Middleton wyciągnęła rękę.
- Tutaj, mamó - odezwała się Portia tuż obok.
- Obie panie mają mi dużo do wyjaśnienia - stwierdził Turner. - A panią, panno Edwards, muszę aresztować w imieniu kr...

Odwrócił się i dojrzał ociekający wodą kamień uniesiony nad jego głową, ale nie zdołał uniknąć ciosu.

19

- Zabiłam go? - spytała Portia, patrząc ponad ramieniem stangreta na ciało leżące na kamienistym brzegu.
- Dostał potężny cios, panienko, ale jeszcze oddycha. Portia wołała nie myśleć o tym, co zrobiła. Nie zamierzała też żałować Turnera ani martwić się, że została rozpoznana. Gdy zobaczyła, że Helena próbuje wysiąść z powozu, zbliżyła się do niej i powiedziała:
- Zostań w środku, mamó. Żołnierze Turnera niebawem wrócą. Nie możemy tutaj czekać.

Nagle rozległ się potężny wybuch. Portia odwróciła się gwałtownie. Niecałą milę od brzegu wysoko w niebo strzelały płomienie. Jakiś statek palił się jak pochodnia. Otaczały go barkasy.

- Miło z ich strony, że odwrócili od nas uwagę - skomentował Jack.

W tym momencie Portia dostrzegła szalupę zmierzającą ku cypłowi. Siedzący w niej dwaj mężczyźni wiosłowali cicho do brzegu. Gdy woźnica zagwizdał, jeden z nich odpowiedział na sygnał.

- Już są - rzucił Jack przez ramię.

Portia natychmiast pobiegła do powozu i pomogła matce wysiąść.

Tymczasem stangret wziął kuferek i zaniósł go na brzeg.

- Boję się - wyszeptała Helena, trzymając się kurczowo ramienia córki. Najwyraźniej nie zauważyła jej przemoczonego ubrania. - Widzę czerwone niebo. To kolor krwi.
- Pożar do nas nie dotrze - uspokoiła ją Portia. - Jest za daleko.

Marynarze nie zdziwili się, że są dwie pasażerki, tylko pomogli starszej z nich wejść do łodzi.

- Zdziesz odjechać, nim zjawią się ludzie Turnera? - spytała Portia, odwracając się do woźnicy.
- Poradzę sobie, panienko - zapewnił ją Jack. - Proszę się nie martwić.
- Zawsze możesz powiedzieć, że zmusiłam cię, żebyś nas tu przywiózł. Turner cię nie widział, więc nie ma powodu, żeby podejrzewać...
- Czekają na panią - przerwał jej stangret i pchnął ją lekko w stronę łodzi. - Niech pani się nie przejmuje tym, że kilka razy nadużyła mojej cierpliwości. Szczęśliwej podróży, panienko.

Portia uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i wsiadła do łodzi. Kiedy odbili od brzegu, zobaczyła, że Jack odjeżdża, kierując się na południe. Między drzewami pasł się koń Turnera. Ciało kapitana, który leżał na skraju wody, nie było widać z morza.

Wkrótce Portia wyraźnie ujrzała płonący statek; ogień oświetlał przeciwny brzeg zatoki. Domyślała się, że pożar jest dziełem MacHeatha. Nie wiedziała tylko, czy jeszcze kiedyś się spotkają.

Podczas gdy barkasy z paru miast atakowały *Gaspee*, nielegalny ładunek *Lothiana* został wyładowany niedaleko Bristolu. Ludzie, którzy przybyli z Bostonu po broń, schowali ją na wozach między belami wełny i siana, po czym zniknęli w ciemnościach nocy. Gdy pierwsza eksplozja, która wstrząsnęła brytyjskim szkunerem, poniosła się echem po zatoce, frachtowiec już czekał na ostatniego pasażera.

Właściciel *Lothiana* i jego kapitan naradzali się w kabinie, kiedy pierwszy oficer przybył z wieścią, że wszyscy są na pokładzie i statek jest gotowy do podniesienia kotwicy. Gdy Pennington skinął głową, kapitan Cameron poszedł wydać stosowne rozkazy. Tymczasem Pierce wyjrzał przez bulaj na pożar rozjaśniający niebo na północnym zachodzie, a następnie wrócił do przeglądania papierów.

Potem bezskutecznie próbował zasnąć, aż w końcu o świcie wyszedł na pokład. Po

kołysaniu statku domyślił się, że wypłynęli z zatoki na pełne morze. Głęboko wdychał rześkie powietrze; uwielbiał zapach oceanu. Silny wiatr szybko wywiał z niego resztki zmęczenia.

Z lewej burty ciągnęło się wybrzeże Nowej Anglii. W brzasku Pierce widział plaże i urwiska. Spojrzał w górę na łopoczące żagle. W bocianim gnieździe siedział majtek i przeszukiwał wzrokiem horyzont, wypatrując brytyjskich statków wojennych i kutrów straży przybrzeżnej. Pennington oparł się o reling.

Dobrze, że postanowił wrócić do Baronsford. Czas naprawić przeszłość i skupić się na przyszłości.

Przyszłość!

Pomyślał o kobiecie śpiącej pod pokładem. Portia nie miała pojęcia, że on tu jest. Pierce przypomniał sobie jej ciemne oczy płonące namiętnością, a potem pełne łez, kiedy opuszczała jego dom Natychmiast zaczął za mą tęsknic

Było za wcześnie na pobudkę, ale zszedł na dół i w nikłym świetle długiego korytarza popatrzył na drzwi czterech kabin pasażerskich

Następnie wrócił na pokład i ruszył w stronę dziobu Nad kubrykiem, w którym na zmiany spała załoga, trzej majtkowie mocowali linami szalupę do burty Był wśród nich jeden z marynarzy, którzy przywieźli pannę Edwards z Nahet Pomt

- Wiesz, gdzie umieszczono naszą pasażerkę? - zapytał go Pennington
- Tak, sir Obie dzielą drugą kabinę
- Obie? - zdziwił się Pierce
- Tak Młoda pani i starsza, która słabo widzi - Maj tek chyba wyczuł, że coś jest nie w porządku, bo dodał pospieszne - Kiedy przybiliśmy do brzegu, czekały z pańskim człowiekiem, sir. Wsadził obie do łodzi, więc je tu przywieźliśmy źle zrobiliśmy?
- Nie - uspokoił go Pennington - Wiesz, kim jest starsza pani?

Mężczyzna podrapał się po brodzie

- Młodsza mówiła do niej zaraz sobie przypomnę Helena czy jakoś tak.
- Helena? - powtórzył Pierce
- Tak, sir - Marynarz pokiwał głową - Helena

Kabina była wielkości garderoby i miała wysoko umieszczony otwór w ścianie, przez który napływało świeże powietrze Przy drzwiach Portia postawiła kufer z ubraniami,

które teraz musiały wystarczyć dla niej i dla matki. Do siedzenia i spania służyła im jedna wąska koja

Lecz Portia się nie skarżyła. Najważniejsze, że wyruszyła w drogę. Kiedy przed niecałym rokiem płynęła z Anglii do Ameryki, zajmowała dużo większą kabinę z całą rodziną Higginsów. Ona i mała Ann dzieliły łóżko, ale było im całkiem wygodnie. Ta podróż zapowiadała się na mniej komfortową, ale równie ekscytującą.

Helena, nadal oszołomiona lekami, z wdzięcznością przyjęła propozycję córki, żeby zająć koję. Portii musiało wystarczyć kilka koców rozłożonych na podłodze. Poza tym zamierzała jak najczęściej zabierać matkę na pokład, żeby uprzyjemnić jej rejs.

Gdy rozległo się ciche pukanie, Portia odrzuciła koc i poszła otworzyć. Na korytarzu stał marynarz. Widoczny za nim główny maszt, który wyrastał z podłogi korytarza i znikał w suficie, przypominał pień wielkiego czarnego drzewa. Pod ścianami leżały stosy żagli, zwoje lin oraz różne tajemnicze przedmioty z zardzewiałego żelaza. W powietrzu unosił się zapach wilgoci.

- Czekają na panią w kabinie kapitana, panienko - powiedział majtek.

Portia zerknęła przez ramię na śpiącą Helenę. Pomyślała o tym, żeby się przebrać, ale stwierdziła, że jej suknia jest już prawie sucha. Poza tym musiała oszczędzać ubrań, żeby podzielić się nimi z matką.

Wyszła na korytarz i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- Dobrze się składa, bo chciałam porozmawiać z kapitanem - powiedziała, idąc po schodach za swoim przewodnikiem.

- Teraz jest wolny - rzucił marynarz.

Po wyjściu na pokład Portia wystawiła twarz do porannego słońca. Błękitne niebo, białe grzywacze, żagle, wiatr. Nagle zapragnęła mieć skrzydła. Rozpostarłaby je i pofrunęła.

- Idzie pani? - ponaglił ją majtek.

Portia skinęła głową kilku marynarzom, którzy przerwali pracę i gapili się na nią otwarcie.

- Jak nazywa się wasz kapitan?

Przewodnik nie odpowiedział na jej pytanie, tylko zszedł po schodkach do wąskiego korytarza.

- Jak mam się do niego zwracać? - nie rezygnowała Portia.

- Sir - odparł marynarz, wzruszając ramionami. Zapukał do drzwi.
- Dzień dobry, sir - powiedziała cicho Portia i spróbowała jeszcze raz: - Dzień dobry panu, sir.

Majtek uśmiechnął się szeroko.

- To bardzo miłe z pana strony... nie... naprawdę miło mi pana poznać... nie, to za mocne. - Portia potrzasnęła głową.

Marynarz otworzył drzwi, a następnie odwrócił się i ruszył w górę po stromych schodach. Kabina była bardzo duża. Zajmowała chyba całą szerokość rufy. Portia nie zdążyła dostrzec innych szczegółów, bo nagle widok zasłoniła jej rosła postać.

Czarne buty. Spodnie ze skóry kozłowej. Rozchylona biała koszula. Opalona, muskularna pierś.

- O, nie! - wykrzyknęła Portia i zasłoniła ręką usta.
- Ktoś mógłby pomyśleć, że nie jest pani uszczęśliwiona spotkaniem, panno Edwards - skomentował Pierce.

Jej serce dudniło tak głośno, że musiał je słyszeć. I nie tylko on, ale wszyscy na statku. Portia nakazała sobie spokój.

- Jeśli ktoś nas podsłuchuje, powinien dostać surową reprimendę.

- Na statku trudno zachować sekret. - Pierce gestem zaprosił ją do środka.
- Wierzę. - Portia nie ruszyła się z miejsca. - Ale co pan tutaj robi? Nie powinien pan być w Bostonie, doglądać interesów? Albo nękać admirała Middletona i jego ludzi? - Szybko się opanowała. Może nie wiedział o Helenie. - Na pewno jest pan tam potrzebny wielu ludziom.
- Tylko pani najwyraźniej mnie nie potrzebuje. - Pierce wziął ją za rękę i wciągnął do kabiny.

Portia nie stawiała oporu, ale drgnęła, kiedy zatrzasnął drzwi; chyba jednak dowiedział się o Helenie. Nie odważyła się rozejrzeć po obszernej kajucie. Zrezygnowała również z uprzejmej pogawędki. Po prostu przygotowała się na burzę.

- Ja natomiast nie mogłem się doczekać twojej wizyty - stwierdził Pennington.

Portia nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Ja też bym na ciebie czekała, ale postanowiłeś sprawić mi niespodziankę.

Jej głos brzmiał, jakby dochodził z pustej beczki. Pierce zaczął krążyć w tę i z powrotem,

nie odrywając od Portii spojrzenia. Ona jednak nie miała odwagi napotkać jego wzroku.

- Więc bez kłopotów opuściłaś wczoraj rezydencję admirała Middletona? - Ton Pierce'a był groźny.
- Tak, jeśli nie liczyć tego, że podpaliłam kuchnię. Ugasili pożar, zanim się rozprzestrzenił, ale dzięki niemu mogłam się wymknąć niepostrzeżenie.
- Przypuszczam, że Jack również bez przeszkód dowiózł cię na spotkanie z moimi ludźmi.
- Owszem. Zdążyliśmy na czas. Nie było żadnych komplikacji... z wyjątkiem tej, że uderzyłam kapitana Turnera w głowę i zostawiłam nieprzytomnego i zakrwawionego na plaży.
- Jechałaś z Turnerem?!
- Nie! Po prostu zjawił się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Aresztowałby mnie, gdybym go nie powstrzymała. Ale poradziłam sobie z nim, więc wszystko jest w porządku.

Pierce zatrzymał się przed nią. Tak blisko, że Portia poczuła się nieswojo.

- Czyli zwykły wyjazd zamienił się w ucieczkę, bo... -
Pennington urwał, czekając na jej odpowiedź.

Bo przyciągam do siebie niebezpiecznych ludzi? -Portia zaryzykowała spojrzenie, ale natychmiast tego pożałowała, wyraz jego twarzy był lodowaty

- Uważasz, że to żarty - stwierdził Pierce, niemal krzyżąc - I że zaprosiłem cię tutaj, żebyśmy się pośmiali myślisz, że to wszystko jest świetną rozrywką
- Powiedziałam prawdę - zaprotestowała Portia - Nie mogła uwierzyć własnym uszom Pierce nigdy wcześniej nie podniósł na nią głosu - Choć zawsze dużo mówię, kiedy jestem zdenerwowana, nie ubarwiłam swojej opowieści. To cud, że tu jestem. Oczywiście zawdzięczam go twojemu stangretowi i marynarzom, którzy przywieźli mnie na statek W każdym razie nikomu me stała się krzywda z wyjątkiem kapitana Turnera
- Pewien woźnica zostanie surowo zbesztany za to, że nie wypełnił moich poleceń - zapowiedział Pennington To samo dotyczy marynarzy
- Oni nie zrobili nic złego - obruszyła się Portia - Zrobili, co im kazałeś. Jeśli ktoś zawinił, to tylko ja. Jak wiesz, potrafię być przekonująca. Jeśli chcesz kogoś ukarać.

- Właśnie, jeśli chodzi o karę, panno Edwards, zamierzam wsadzić panią do szalupy, żeby powiosłowała pani do brzegu

Portia spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Nie sądzisz, że to byłoby zbyt surowe? - zapytała
- Bynajmniej. Uważam, że jestem wspaniałomyślny. W pierwszej chwili chciałem wyrzucić ciebie i twoją matkę za burtę, żebyście o własnych siłach dopłynęły do brzegu.
- Więc wiesz - stwierdziła cicho Portia, cofając się do drzwi.
- Jak mógłbym się nie dowiedzieć. Myślisz, że przez całą podróż do Szkocji nikt na statku nie zauważyłby Heleny Middleton?
- Jack i marynarze sądzili, że to moja służąca. Mógłbym to samo powiedzieć kapitanowi, gdyby ciebie tu nie było

- Widzę, że pokrzyżowałem ci plany - warknął Pierce i ruszył w jej stronę. Portia zrobiła krok do tyłu. - Jestem łotrem, bo nie pozwoliłem ci oszukiwać kolejnych łatwowiernych głupców. Jestem draniem, ponieważ moim zdaniem powinnaś zostać ukarana za to, że wykorzystowałaś mnie i mojego współnika, żeby porwać córkę angielskiego admirała. Jestem bestią bez serca, bo sprzeciwiam się narażaniu moich ludzi na niebezpieczeństwo. Bądź pewna, że Middleton wyśle za nami połowę królewskiej marynarki.

Portia trafiła plecami na drzwi. Już nie miała dokąd uciec.

- Nie uważam pana za łotra, panie Pennington - oświadczyła. - Ani za człowieka niewrażliwego i bez serca. Przeciwnie. Wiem, że jest pan zdolny do współczucia. Powinnam była uprzedzić, co zamierzam zrobić, kiedy prosiłam pana o pomoc.
- Daruj sobie, Portio! - huknął na nią Pierce. - Masz ostatnią szansę. Powiedz choć jedną rzecz, która mnie przekona, że nie jesteś kłamliwa i samolubna.
- Helena jest jedyną bliską osobą, jaką mam na tym świecie. - Portia mruganiem odpędziła łzy. - Co zrobiłbyś, żeby ocalić krewnego? Najważniejsza w życiu jest rodzina. Drugi raz postąpiłabym tak samo.

Odwróciła twarz, kiedy w końcu stoczyły się po niej łzy. Wiedziała, że Pierce nie każe im wiosłować do brzegu. Znała go dostatecznie dobrze, żeby się nie bać takich gróźb. Ale do głębi zraniło ją to, że uważał ją za istotę złą i podstępną. Czowała, że nigdy o tym nie

zapomni.

- Proszę wrócić do kabiny - rzekł Pennington. - Powiadomię panią o swojej decyzji. Bardzo chciał wziąć ją w objęcia i pocieszyć, ale trzymał przy sobie ręce zaciśnięte w pięści i patrzył, jak Portia mocuje się z drzwiami.

Wyglądała, jakby płynęła nie w szalupie, tylko obok niej, jakby była ofiarą, a nie sprawczynią wszystkich nieszczęść, o których mu opowiedziała. Włosy miała splątane, suknię moką i podartą. Łzy wyżłobiły ślady na brudnych policzkach.

Gdy w końcu ruszył w jej stronę, zdążyła wyjść z kabiny. Pierce zatrzymał się i odprowadził ją wzrokiem, kiedy wchodziła po schodach.

Potem zamknął drzwi i oparł się o nie plecami. W porównaniu z tym, co on dzisiaj zrobił, jakież niewinne wydawały się jej działania! I, jak się nad tym zastanowić, kierowały nimi zbliżone pobudki. Biedaczka pragnęła jedynie, żeby jej matka posmakowała wolności. Czy jej akt buntu można uznać za mniej ważny niż jego? Czy motywy Portii nie były szlachetniejsze?

Pierce zbliżył się do stołu z mapą i popatrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Czy przez obecność pasażerek podróży stała się bardziej ryzykowna? Jeśli miała za nimi wyruszyć marynarka królewska, to nie po to, żeby uwolnić Helenę Middleton, ale żeby schwycić odpowiedzialnych za spalenie *Gaspee*.

Pennington zdawał sobie sprawę, że ten czyn zostanie potraktowany jako zdrada. I rzeczywiście był to pierwszy akt wojny dokonany przez kolonistów. W ataku na statek wzięło udział osiem barkasów pełnych ludzi, dowodzonych przez najznamienitszych obywateli Rhode Island. Brytyjskie władze nade wszystko chciały aresztować MacHeatha i założyć stryczek na jego szyję.

Pierce wiedział, że może nigdy nie będzie mógł wrócić do kolonii. Pobyt w Szkocji też nie zapowiadał się różowo, ale nie to go niepokoiło; był gotów stawić czoło losowi.

Martwiło go postępowanie Portii.

Rozejrzał się po kapitańskiej kajucie wyłożonej drewnem, z rzędem bulajów po jednej stronie, miękką kanapą, pięknie rzeźbioną komodą, krzesłami i łóżkiem wbudowanym w ścianę. Przypomniawszy sobie zaskoczenie Portii, kiedy go zobaczyła. Wcześniej nie mógł się doczekać ich spotkania. Pragnął powtórzyć to, co zrobili poprzedniej nocy. Chciał się upewnić co do szczerości jej uczuć.

Teraz poznał prawdę. Niezależnie od usprawiedliwień Portia nie ufała mu dostatecznie. Wykorzystała go, tak jak kiedyś Emma.

20

Portia nie widziała nieba, morza ani innych cudów natury, które wcześniej tak ją zachwyciły. Nie zauważyła, że kilkanaście głów odwróciło się w jej stronę, kiedy wybiegła we łzach z kapitańskiej kabiny. Dopadła do schodów, zbiegła po nich na dół, potknęła się na ostatnim stopniu, ale zdołała zachować równowagę i popędziła do swojej kajuty.

Zamknęła za sobą drzwi i szybko wytarła mokrą twarz. Gdy jej wzrok przyzwyczaił się do półmroku, zobaczyła, że Helena siedzi na wąskiej koi.

- Portia?
- Tak, mam. - Z trudem wykrztusiła te dwa słowa. Zaczepnęła kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.
- Przed chwilą był tutaj bardzo miły mężczyzna - powiedziała matka. - Ma na imię Thomas. Nazwiska nie podał. Jest kucharzem, lekarzem okrętowym, cieślą i kim tylko zażyczy sobie kapitan Cameron. Uroczy człowiek. Nie omieszkał napomknąć, że jest wolnego stanu i że ma rodzinę w Filadelfii.
- Przyszedeł, żeby się przywitać? - zapytała Portia.
- Właściwie chciał się dowiedzieć, czy będziemy jadły posiłki tutaj, czy z właścicielem statku, panem Penning tonem, w kajucie kapitana - wyjaśniła Helena
- Pojdę i porozmawiam z Thomasem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, mogłybyśmy jeść tutaj albo na pokładzie gdy będzie ładna pogoda. Dzisiaj zapowiada się piękny dzień.

Helena podciągnęła kolana pod brodę i stłumiła ziewnięcie. Wyglądała jak mała dziewczynka.

- Chętnie tu zostanę. Jestem taka senna i boli mnie głowa - Pomasowała skronie.
- W takim razie Pojdę przynieść coś do jedzenia - oznajmiła Portia - Dobrze, żebyś się posiliła, nim zaśniesz.
- Zaczekaj - Helena wyciągnęła rękę - Najpierw chcę z tobą porozmawiać.

Portia otarła rękawem ostatnie łzy, zbliżyła się do matki i ujęła jej dłoń.

- Zmarzłaś - stwierdziła Helena - I twoja suknia jest jeszcze wilgotna? Musisz

natychmiast się przebrać Jak będziesz się mną opiekować, jeśli sama zachorujesz?

Portia poczuła się lepiej, kiedy zobaczyła uśmiech na jej twarzy

- Nigdy nie choruję – zapewniła.
- Bardzo się cieszę, bo ja rzadko czuję się dobrze. Ale nalegam, żebyś najpierw się przebrała.

Portia posłusznie wyjęła z kufra czystą suknię i bieliznę. Matka śledziła wzrokiem jej ruchy, choć niewiele widziała.

- Budziłam się i zasypiałam, ile słyszałam, że dostałaś zaproszenie od kapitana - odezwała się po chwili.
- To był właściciel statku, pan Pennington - sprostowała córka.
- I jak wizyta?

Portia zdjęła mokrą bieliznę i włożyła suchą, zastanawiając się, co odpowiedzieć chciała być szczerą z matką, ale bała się ją przestraszyć. Z drugiej strony, Helena mogła w każdej chwili zetknąć się z wrogością Pierce'a. Postanowiła ją do tego przygotować.

- To dzięki wspaniałomyślności pana Pennington płyniemy tym statkiem, ale on myślał, że chodzi tylko o mnie. Nie powiedziałam mu o tobie, bo uznałam, że odmówi. Myślałam, że nigdy nie dowie się prawdy. Nie przypuszczałam, że on też wybiera się do Anglii. Lecz jest tutaj, już wie... i jest bardzo na mnie zły.
- Na tyle zły, żeby nas odesłać z powrotem? - zapytała Helena z niepokojem w głosie.

Portia sięgnęła po czystą suknię.

- Byłoby to trudne, więc raczej musi znosić naszą obecność do końca rejsu. Nie sądzę jednak, żeby traktował nas tak przyjaźnie jak twój Thomas.

Matka splótła dłonie pod brodą. Z jej twarzy zniknęło napięcie. Gościł na niej pogodny wyraz.

- Jest przystojny? - zapytała.

W żołądku Portii zatrzepotały motyle.

- Wiele osób uważa go za przystojnego.
- Młody? - indagowała dalej Helena.
- Nie wiem dokładnie, ale sądzę, że jest w moim wieku albo trochę starszy.
- Taki młody człowiek i już ma na własność statek - rzekła z podziwem matka. - Chyba jest bogaty.

- Pochodzi z bardzo dobrej rodziny - wyjaśniła Portia. -Jego brat jest hrabią. Mimo to pan Pennington pracował ciężko, żeby zdobyć majątek.
- Jest żonaty albo zaręczony? - nadal dociekała matka. -Nie.
- Więc pewnie ma dużo kochanek - skwitowała Helena. Portia przypomniała sobie noc, kiedy się poznali. Przed jej oczami stanął obraz izby w Czarnej Perle. Zapewne tam spotykał się z kobietami. Nieoczekiwanie dla siebie poczuła zazdrość, ale czym prędzej ją stłumiła.
- Nie wiem, mamo.
- Jak się poznaliście?

Portia włożyła suknię i usiadła na brzegu koi.

- Na balu z okazji urodzin króla. Zaraz po tym, jak cię przeraziłam, pukając do okna. Wpadłam na niego, uciekając przed sługami twojego ojca.
- To brzmi romantycznie. - Helena z uśmiechem sięgnęła po rękę córki. - Opowiedz mi wszystko.

Portia nagle uświadomiła sobie, że przy matce nie czuje się onieśmielona tak jak przy Mary albo Belli. Przeciwnie, nie bała się zwierzeń. Wiedziała, że matka ją zrozumie i nie potępi jej za fascynację Pierce'em. On był pierwszym mężczyzną w jej życiu, jedynym, do którego żywiła tak silne uczucia. Nie potrafiła się oprzeć jego urokowi...

Wyznała Helenie to, czego nie ośmieliłaby się powiedzieć nikomu innemu. Nie pominęła historii z tawerną. Powiedziała, jak niewiele brakowało, żeby Turner nakrył ją sam na sam z Penningtonem. Następnie wspomniała o szacunku Pierce'a dla jej poglądów na temat sytuacji w koloniach. Przy nim czuła się mądra, czasami również piękna. Po chwili wahania wyjawiała, że poszła do jego domu, żeby się z nim pożegnać. W kilku słowach zdradziła swój największy sekret: że oddała mu swoją niewinność.

- Naprawdę uważasz, że popełniłaś błąd, dziecko? - spytała cicho Helena. - Żałujesz, że do niego poszłaś?

Zapadło długie milczenie. W końcu Portia je przerwała, patrząc na ich złączone dłonie.

- Nie. To nie był błąd. Gdyby to stało się tamtej pierwszej nocy w tawernie, uznałabym, że źle zrobiłam, bo go nie znałam. Ale później... - Potrząsnęła głową. - Zmieniłam się. Nie żałowałam wtedy i nie żałuję teraz. I wiem, że nie przestanę tak myśleć, nawet jeśli będę musiała ponieść konsekwencje swojego czynu.

- Och! - szepnęła Helena. - Sprawa jest poważniejsza, niż sądziłam. Jesteś zakochana.
- Tego nie powiedziałam - zaprotestowała córka.
- Nie musiałaś, moje dziecko.

Matka dotknęła jej policzka. Portia nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Helena miała rację.

- Jak zachowuje się wobec ciebie po tym, co między wami zaszło? - spytała.
- Jest na mnie zły, ale nie z powodu tego, co między nami zaszło. Gniewa się, bo go okłamałam. I słusznie. Je-go pretensje są całkowicie usprawiedliwione. Nie pomyślałam o tym, jakie szkody mogą mu wyrządzić moje poczynania, zważywszy na nasze... nasz... - Portia wytarła łzy. - Ale mimo wszystko uważam, że dobrze postąpiłam. Najważniejsze, że jesteś tu ze mną.

Nazwisko, reputacja, kariera, tylko to się liczy w życiu mężczyzny, myślał Turner.

Tymczasem przeżywał upokorzenie. Jego kariera była poważnie zagrożona. Koledzy śmiali się za jego plecami. Wyglądało na to, że we wszystkich oficerskich kasynach od Bostonu po Nowy Jork mówi się o przygodach kapitana George'a Turnera.

Niektórzy plotkowali, że w noc, kiedy spłonął *Gaspee*, kapitan upił się do nieprzytomności w jakiejś tawernie w Providence. Inni twierdzili, że uwodził młodego chorążego w Newport. Paru szeptało, że bał się zamieszek, dlatego siedział w ukryciu, kiedy zaatakowano *Gaspee*.

Turnerowi krew się burzyła na samą myśl o tych kłamstwach, ale cierpliwie znosił złośliwe uwagi i pogardliwe spojrzenia. Nawet szeregowcy i podoficerowie patrzyli na niego butnie, bez szacunku, na który zasługiwał. Starał się ich ignorować i trzymać głowę wysoko, nie zważając na coraz śmielsze żarty oficerów. Szybko zrozumiał, że w żaden sposób nie zdoła odzyskać dobrej opinii. Zresztą lepiej, żeby nikt się nie dowiedział o zdradzie panny Edwards. Gdyby wyszło na jaw, że został przechytrzony przez dziewczynę, jego autorytet ucierpiałby jeszcze bardziej. W dodatku nie mógł się bronić, bo prawda zaszkodziłaby admirałowi. Sam Middleton kazał mu milczeć o wydarzeniach tamtej nocy

Admirał zareagował natychmiast. Kiedy się okazało, że jego córka zniknęła, zwolnił i odesłał cztery służące, które sprawowały nad nią opiekę, pierwszym brygiem odpływającym do Halifaxu w Nowej Szkocji. Pani Green również groziła utratą posady.

Nikt nie mógł się dowiedzieć, że panna Middleton zniknęła. Oficjalna wersja głosiła, że córka admirała wyjechała do Nowej Szkocji dla podreperowania zdrowia.

I co najważniejsze, nikt nie wiedział, że Portia Edwards jest córką Heleny Middleton.

Turner przeżył wstrząs, gdy poznał prawdę tej nocy kiedy spłonął *Gaspee*. Niestety nie wolno mu było zadawać żadnych pytań. Kiedy złożył raport, admirałowi krew odpłynęła z twarzy. Następnie Middleton złał podwładnego za przyprowadzenie panny Edwards do jego domu i obarczył go całą winą za ucieczkę córki oraz za fiasko operacji, po której z brytyjskiego szkunera został na mieliźnie. Narragansett Bay wypalony kadłub.

Kapitan chodził niecierpliwie po holu. W głowie łupało go od sześciu dni. Nie czuł się winny. Został oszukany, a potem ranny w akcji. Uważał, że milcząc i nie broniąc własnej reputacji, dokonuje największego poświęcenia w życiu. Mimo to admirał traktował go jak psa.

Nawet teraz kazał mu czekać pod drzwiami, podczas gdy mniej zasłużeni oficerowie odbywali z nim naradę. Tak było każdego dnia Turner został odsunięty od śledztwa w sprawie ataku na *Gaspee* i poczynań Synów Wolności.

Otrzymał tylko jedno polecenie: dowiedzieć się, dokąd panna Edwards zabrała Helenę Middleton. Było to zadanie niemożliwe do wykonania, jako że zabroniono mu otwartych przesłuchań z obawy, że prawda wyjdzie na jaw.

Po tygodniu Turner zdobył wiarygodną informację i teraz niecierpliwiał się, żeby przekazać ją zwierzchnikowi. Chciał już wrócić do poważniejszych wyzwań.

Przystanął w pół kroku, kiedy drzwi się otworzyły i z gabinetu wyszli trzej młodzi oficerowie. Zmierzył ich wzrokiem, prowokując do pogardliwych uśmiezków, ale żaden nie zdobył się na odwagę, żeby spojrzeć mu w oczy. Ostatni oznajmił, że admirał na niego czeka.

Middleton jak zwykle przyjął go chłodno. Nawet nie oderwał wzroku od dokumentów leżących przed nim na biurku.

- Ma pan coś do zameldowania? - spytał.

Turnera zaniepokoiło, że dowódca zwraca się do niego, nie wymieniając stopnia wojskowego.

- Tak, sir - powiedział. - Udało mi się zdobyć pewne informacje.

Admirał podniósł głowę. Na jego twarzy odmalowało się powątpiewanie.

- Proszę mówić.
- Sądzę, że panna Middleton i panna Edwards płyną do Walii, a konkretnie do domu lady Anne Primrose - oznajmił kapitan.
- Do Wrexham - uściślił Middleton.
- Zna pan lady Primrose?
- Oczywiście, że ją znam. To jakobicka zdrajczyni, ale ma pieniądze i koneksje, tak że nie można jej tknąć. Jest chytra jak lis. - Admirał zmierzył go spojrzeniem. - Dlaczego pan twierdzi, że właśnie tam jadą?
- Panna Edwards spędziła dzieciństwo w szkole założonej i utrzymywanej przez lady Primrose - wyjaśnił Turner.

Skąd pan wie, że nie ukryła mojej córki gdzieś na Rhode Island? - zapytał Middleton. - W jednym z tych zapomnianych przez Boga miasteczek, które sprawiają nam tyle kłopotów? Skąd pan wie, że nie wróciła do Bostonu i nie trzyma jej gdzieś pod naszym nosem?

- Po tygodniu obserwowania domu Higginsów mamy pewność, że tam ich nie ma i że panna Edwards nie próbowała się z nimi kontaktować - odparł kapitan. - Bez wątplenia zrobiłaby to, gdyby przebywała blisko Bostonu.
- A pan oczywiście dowiedziałby się o tym jako bliski przyjaciel - stwierdził zwierzchnik z sarkazmem.

Turner nic nie odpowiedział na tę insynuację. Rzeczywiście był głupcem, że zaufał tej podstępnej kobiecie i ludziom z nią związanym.

- Kolejną informację, która potwierdza moje przypuszczenia, dostałem od córki mojego kuzyna mieszkającego w Bostonie - ciągnął, stojąc na baczność. - Tak się składa, że dziewczyna jest bliską przyjaciółką panny Edwards i...
- Widzę, że złe wybory to reguła w pańskiej rodzinie - skomentował Middleton, odchylając się na oparcie krzesła i patrząc na niego z wyraźną pogardą.

Turner poczuł, że uszy czerwienieją mu z gniewu, ale zachował spokój.

- Mogę kontynuować, sir?
- Ile jest warta informacja dostarczona przez pańską kuzynkę? - zapytał admirał.

Odwiedziła ją pani Higgins i powiedziała, że panna Edwards musiała niespodziewanie wyjechać z Bostonu z powodów osobistych i na razie nie zamierza wracać. Gdy moja

krewna poprosiła o jej adres, pastorowa oświadczyła, że go nie zna. - Turner uprzedził kolejną obraźliwą uwagę admirała, dodając: Portia Edwards znajdowała się w trudnej sytuacji finansowej. Poza tym spędziła w Bostonie niecały rok, dlatego nie miała zbyt wielu znajomych. Niejednokrotnie natomiast wspominała o swojej dobrodziejce, lady Primrose. Biorąc to wszystko pod uwagę, można przyjąć, że właśnie tam zabrała pannę Middleton, jeśli udało się jej zdobyć miejsce na statku.

- A mogła to zrobić?
- Tak. - Turner wyczuł, że zwierzchnik słucha go z coraz większą uwagą. - Jak pan wie, Pennington wyjechał do Anglii.
- Jego wspólnik zawiadomił mnie o tym, uprzedzając, że nie przyjdą na umówione spotkanie - rzekł admirał. - I co z tego? Podobno Pennington musiał nagle wyjechać ze względów rodzinnych. Zamierza odwiedzić swojego brata, hrabiego Aytoun.
- Bardzo dogodny pretekst - stwierdził kapitan. - Wyjechał tego samego dnia, kiedy wprowadzono pańską córkę. Tego samego dnia, kiedy zaatakowano i spalono *Gaspee*.
- O czym pan mówi, Turner? - warknął Middleton.
- Mówię, że Pennington nie wyruszył z Bostonu. Wszystkie jego statki stoją w tutejszym porcie. Nie odpłynął również na innym, o którym byśmy wiedzieli.
- Więc jak opuścił Boston? - zdziwił się admirał.
- Wiem, że razem ze wspólnikiem w każdej chwili oczekiwali przybycia *Lothiana*. Przyszedł jednak meldunek, że statek widziano niecały dzień żeglugi od Bostonu, na południe od cypla, na kursie do Narragansett Bay.
- Gdzie Pennington mógł na niego wsiąść?
- Razem z panną Edwards i pańską córką - dodał szybko Turner. - Kiedy je spotkałem, zapewne czekały na sza-lupę. - Tym stwierdzeniem zdobył niepodzielną uwagę admirała. - Ale to nie wszystko, sir. Dowiedzieliśmy się, że przez dwa kolejne dni poprzedzające zniszczenie *Gaspee* Pennington opuszczał konno Boston, mijał punkt kontrolny na Neck i wracał. Sądzę, że jeździł na Rhode Island, żeby przygotować zasadzkę na nasz szkuner.
- To mocne oskarżenie - powiedział Middleton w zamyśleniu.
- Jeśli pozwoli mi pan wrócić do dawnych obowiązków, chętnie dostarczę panu dowody - oświadczył kapitan. - Pennington musi być zamieszany w atak na *Gaspee*, bo

inaczej dlaczego wybrałby akurat tę noc na wyjazd? - Turner był zadowolony z własnej dociekliwości. - Słyszałem, że wstępne śledztwo nie przyniosło rezultatów. Moim zdaniem przyczyną niepowodzenia jest to, że kierujący sprawą uganiają się za łotrami bez imienia i twarzy. Jeśli powierzy mi pan to zadanie, znajdę świadków, którzy zidentyfikują Penningtona jako jednego z przywódców rebelii. On nie jest z Rhode Island, więc chętnie go wydadzą, żeby uratować własne karki.

Admirał wstał i podszedł do marmurowego kominka, w zadumie masując brodę. Po chwili odwrócił się do Turnera.

- To wszystko spekulacje... chyba że zdobędzie pan nazwiska świadków - powiedział. - Czy jeszcze coś pan ukrywał przed prowadzącymi śledztwo?
- Jeszcze nie mam nazwisk, sir, ale je zdobędę - zapewnił kapitan. - Za pańskim pozwoleniem...
- Może pan dokończyć swoje zadanie - przerwał mu Middleton. - I sprzątnąć bałagan, którego pan narobił. Musi pan zasłużyć na powrót do służby, kapitanie. Zanim podejmie pan dotychczasowe obowiązki, najpierw odda mi córkę, którą pozwolił wykraść z mojego domu.

Turner wyprężył się w milczeniu, zaskoczony hipokryzją admirała. Przez długie lata służby zdążył się zorientować, Middleton poświęca więcej uwagi swoim ogarom, koniom i ogrodowi niż córce. Póki nie wchodziła mu w drogę, zupełnie się nią nie interesował. Teraz raptem stała się dla niego najważniejsza na świecie.

Kapitan zaczął się zastanawiać, skąd ta nagła zmiana. Na pewno nie chodziło o miłość. Dlaczego admirał chciał odzyskać córkę? I nagle Turnera olśniło. Jeśli Portia rzeczywiście jest córką Heleny Middleton, to kto jest ojcem?

Czy ujawnienia odpowiedzi na to pytanie Middleton bał się najbardziej?

Tak, to tłumaczyłoby nieoczekiwaną troskę admirała. Reputacja i kariera zawsze były dla niego najważniejsze. Teraz przeraził się, że starannie ukrywana rodzinna tajemnica go skompromituje. Taka możliwość musiała być dla Middletona koszmarem.

- Zrozumieliśmy się, kapitanie?

Nazwisko, reputacja, kariera. Jedyne rzeczy, które na-prawdę się liczą, pomyślał Turner.

- Tak, sir.

Sprowadzi z powrotem Helenę Middleton i przy okazji ukarze Portię Edwards. Ta

przewrotna kobieta zapłaci za to, że go tak oszukała.

- Dołączy pan do komisji, która pojedzie do Anglii, żeby złożyć wstępny raport w sprawie *Gaspee* - oznajmił zwierzchnik. - Popłynie pan na *Beaverze*. Tam na miejscu będzie miał pan tylko jedno zadanie: odnaleźć Helenę. Rozumie pan?
- Tak, sir - odparł Turner.
- Rozgłosiłem, że Helena wróci z Halifaxu wczesną jesienią - dodał Middleton. - Musi pan przywieźć ją do tego czasu.
- Tak jest, sir.

21

Minęło sześć dni, zanim Helena przestała odczuwać skutki działania leków, które tak długo przyjmowała. Przez następnych siedem dni i nocy Portia spędzała długie godziny u boku matki, która cierpiała na chorobę morską.

W tym czasie Portia zaprzyjaźniła się z Thomasem, okrętowym kucharzem i lekarzem. Żyłasty czarnoskóry mężczyzna zjawiał się co najmniej trzy razy dziennie z posiłkiem dla niej i leczniczymi naparami dla jej matki. Każdego dnia udawało mu się na kilka minut wyciągnąć Portię z kabiny.

Portia wiedziała, że to dzięki Thomasowi reszta załogi nie okazuje im nawet cienia wrogości, w przeciwieństwie do właściciela statku. Pierce nie chciał z nią rozmawiać. Nie witał się z nią na pokładzie, w ogóle nie dostrzegał jej obecności, a ona z tego powodu cierpiała. Wciąż go kochała i rozpaczliwie szukała sposobu, żeby zwrócić na siebie jego uwagę. W drugim tygodniu podróży obie panie odwiedził kapitan Cameron, dość młody mężczyzna o sympatycznej twarzy wysmaganej przez morskie wiatry. Przez chwilę Portia miała nadzieję, że może przysłał go Pierce, ale szybko się zorientowała, że Cameron przyszedł z własnej inicjatywy. Zaproponował im kabinę pierwszego oficera, większą niż ta, w której się gnieździły. Wdzięczne za propozycję, matka i córka odmówiły, zapewniając, że jest im całkiem wygodnie.

Choć Portia ani razu nie stanęła twarzą w twarz z Pierce'em, widywała go, gdy załoga zbierała się na musztrę albo odprawę. Ćwiczenia okazały się najciekawszą częścią dnia. Gdy stan matki zaczął się poprawiać, Portia nieraz przyłapywała się na tym, że niecierpliwie czeka na dźwięk syreny.

Na ten sygnał marynarze wyłaniali się spod pokładu albo schodzili z olinowania i

gromadzili się na śródokręciu. Gdy Portia czasami widziała Pierce'a na linach, przypatrywała się z nabożnym lękiem, jak zręcznie i szybko się po nich porusza.

Nawet kiedy go nie było, ten widok nieodmiennie ją zachwycił. Uwielbiała morze, żeglowanie. Lubiała patrzeć, jak ogorzali majtkowie w poplamionych smołą spodniach i koszulach powiewających na wietrze wspinają się wysoko nad pokład statku. Obserwowała ich ruchy, kiedy ciągnęli liny, żeby ustawić żagle w odpowiednim położeniu. Była zadowolona, kiedy Helena poczuła się na tyle dobrze, żeby wychodzić z kajuty. Z przyjemnością opisywała jej, co dzieje się na statku.

- Powiedz mi, co teraz robią.

Prośba matki wyrwała ją z zadumy. Siedziały na ławce na śródokręciu, w pewnej odległości od pracujących marynarzy.

- Brasują żagle. Są wielkie i wypełnione wiatrem. Na tle nieba wyglądają jak skrzydła ptaka. Wiatr zmienił się na północno-wschodni, więc majtkowie dokonują poprawek kursu zgodnie z rozkazami kapitana Camerona, przekazywanymi przez pierwszego oficera. Thomas powiedział rano, że jego zdaniem zanoszą się na sztorm.

Portia sporo się nauczyła, słuchając załogi. Thomas też cierpliwie odpowiadał na jej pytania o wiatr, żagle, liny, sposoby zwiększania prędkości statku. Teraz starała się opisać matce, gdzie w danej chwili znajdują się poszczególni członkowie załogi, co robią, jak pewnie śmigają po olinowaniu.

- Fascynujące - westchnęła Helena. - Mężczyźni mają takie ciekawe życie.

Portia się roześmiała.

- Właśnie. Wszystko bym dała, żeby móc wejść na czubek masztu... tak jak Pierce.
- Zrobiłabyś to? - spytała matka z uśmiechem.
- Tak. Zawsze lubiłam duże wysokości, urwiska, punk-ty widokowe. Raz wdrapałam się na Monument*, kiedy lady Primrose zabrała mnie do Londynu. Można z niego zobaczyć pół świata.
- Widziałam. Wspaniały widok.

Kolumna londyńska upamiętniająca pożar z 1666 roku (przyp. re-d.).

- Ciekawe, jakie to uczucie tkwić tak wysoko, kiedy lina się kołysze, wiatr tobą miota, statek buja się na falach. - Portia spojrzała z zazdrością na marynarzy ustawiających żagle. - To jedna z tych rzeczy, których chyba nigdy nie będę miała okazji zrobić.

- Nigdy nie wiadomo. - Helena uścisnęła jej rękę. - Świat szybko się zmienia.

- Zanieść je do kajuty, panienko?

Portia wstała szybko. Daniel, młody majtek odbywający swój pierwszy rejs, podawał jej wiadro z wodą. Był niewiele wyższy od niej, ważył pewnie tyle samo co ona.

- Dziękuję. Sama je zaniosę.

- Dla mnie to żaden kłopot, panienko. - Chłopak uśmiechnął się szeroko. - I tak idę do kambuza. Stary Thomas nie da mi jeść, jeśli się dowie, że kazałem panience dźwigać ciężary.

Portia zostawiła matkę na świeżym powietrzu i ruszyła na dół, gawędząc z młodym marynarzem. Choć były jedynymi kobietami na statku, nie czuła się nieswojo; wszyscy członkowie załogi odnosili się do nich z sympatią. Żeby jeszcze Pierce ją dostrzegął.

W kajucie energicznie wzięła się do prania.

Pierwszego dnia, kiedy Helena mogła wyjść na pokład, Portia zostawiła ją na chwilę i pobiegła do kabiny po szal. Kiedy wróciła, zobaczyła, że Pierce rozmawia uprzejmie z jej matką. Drugiego dnia zaczął wypytywać Helenę o zdrowie, a jej córce uklonił się sztywno, nawet na nią nie patrząc. A wczoraj, kiedy Portia poszła do kambuza po jedzenie, zabrał pannę Middleton na krótki spacer po rufie.

Helenę ujęły maniery Penningtona, natomiast Portię ogarnął smutek. Była bezradna. Pierce nawet nie dał jej szansy, żeby się wytłumaczyła. Nie wiedziała, jak go skłonić, żeby jej przebaczył, nie mówiąc o tym, że chciała jeszcze raz podziękować mu za dobroć. Szybko wyprała suknie i bieliznę, rozwiesiła je na sznurku, który przeciągnęła przez kajutę, wzięła wiadro z brudną wodą i ruszyła w górę po schodach.

Heleny nie było tam, gdzie ją zostawiła. Spacerowała po rufie pod rękę z właścicielem statku. Portia poczuła ukłucie w sercu. Nie zazdrości. Wiedziała, że Pierce po prostu stara się być miły dla jej matki.

Cierpiała dlatego, że go kochała.

Obserwował ją za każdym razem, kiedy nie widziała, że on patrzy. Podpytywał o nią marynarzy. Martwił się o jej zdrowie i wygodę, ale ona kwitła mimo trudów opieki nad matką i gnieźdzenia się w ciasnej kabynie. Zadowalała się tym, co miała. Mówiono mu, że nigdy się nie skarży. „Panienka jest spokojna jak sternik w cholernej marynarce jego królewskiej mości”, powiedział mu Thomas.

Gdy Pierce zobaczył Portię z wiadrem w ręce, kazał majtkom, żeby jej pomagali, ale oni wyjaśnili, że panna Edwards odrzuca ich propozycje. Sama sprzątała kabinę, prała ubrania, chodziła do kambuza po jedzenie, odkąd Helena Middleton wydobrzała. Pennington zauważył również, że marynarze wychodzą z siebie, żeby ją zadowolić. Nawet najbardziej gburowaci zdawali się przy niej łagodnieć.

Gdy Pierce wspomniał o tym kapitanowi, Cameron wyjaśnił mu powody takiego zachowania załogi. Panna Edwards w ciągu paru dni poznała imiona wszystkich marynarzy. Interesowała się ich rodzinami. Czytała im, kiedy o zachodzie słońca zbierali się na śródkręciu.

Nawet z daleka Pierce widział, że morze jej służy. Wyglądała pięknie, promiennie, kwitnąco. Bolało go, że nadal zachowuje wobec niego rezerwę.

- Dlaczego wciąż żywi pan urazę do mojej córki, panie Pennington?

Pytanie Heleny Middleton podrażniło jego ranę. Pierce zobaczył, że Portia patrzy na nich przelotnie, wylewa wodę za burtę i wraca pod pokład.

- Urazę? - powtórzył. - Nie żywię żadnej urazy. Liczył na to, że widząc go z Heleną, Portia będzie miała pretekst, żeby do niego podejść, powiedzieć cokolwiek. Ale okazała się równie uparta jak on.

- Myślę, że nie jest pan całkiem szczery - stwierdziła panna Middleton.
- Dlaczego pani tak uważa? - spytał Pierce, patrząc na nią z ukosa. Córka admirała okazała się zupełnie inna, niż oczekiwał. I nie przestawała go zaskakiwać.
- Bo tak się składa, że córka opowiedziała mi, co mu-siała zrobić, żeby wydostać mnie z domu ojca. Wyznała, że pana oszukała. - Helena przystanęła, puściła ramię Penningtona i odwróciła się do niego twarzą. - Dlaczego nie porozmawiacie?

Pierce starał się wymyślić dyplomatyczną odpowiedź. Matka, która odzyskała córkę po dwudziestu czterech latach rozłąki, nie musiała słuchać o jej wadach.

- Coś panu powiem - ciągnęła Helena. - Myślę, że nie chce pan pozbyć się Portii ze swojego życia, bo inaczej nie traktowałby pan jej matki z taką atencją.

Pennington tylko potrząsnął głową.

- Proszę powiedzieć mi prawdę - zażądała panna Middleton. - Straciłam wzrok, ale wyostrzyła mi się intuicja. Wyczuwam pańskie wahanie. Zapewniam, że niczym pan mnie nie zaskoczy ani nie rozczaruje, jeśli chodzi o Portię.

- Zna ją pani niecały miesiąc - stwierdzi! Pierce. - Bez wątpienia sprawia wrażenie doskonałej pod każdym względem. Sądę jednak, że pani odczucia byłyby trochę inne, gdyby pani wiedziała, na jakie niebezpieczeństwa narażała się córka, żeby panią uwolnić.

Sugeruje pan, że Portia zbyt ryzykuje, żeby osiągnąć cel - zauważyła Helena. - Gdyby była mężczyzną, ludzie by ją za to podziwiali. Przysłowie mówi: „Los sprzyja odważnym”. Krytykuje pan w niej tę cechę, bo Portia jest kobietą?

- I tak, i nie - rzekł Pennington. - Tak, bo ze względu na płeć konsekwencje jej działań mogą być dużo poważniejsze. A nie, ponieważ uważałbym jej czyny za nierozważne, nawet gdyby była mężczyzną. Przekroczyła granice rozsądku, wykazała się uporem i lekkomyślnością.
- Doprawdy? Nie słyszę przekonania w pańskim głosie. A zresztą czy to wystarczający powód, żeby się na nią gniewać, skoro nie spotkało nas nic złego?

Pierce milczał.

- Więc co jeszcze ma pan jej do zarzucenia? - ponagliła go Helena.

Cóż, sama domagała się szczerości.

- Portia jest zbyt nieustępliwa - powiedział. - Gdy na czymś się skupi, reszta świata przestaje dla niej istnieć. Nie widzi nic oprócz ostatecznego celu. Staje się ślepa na uczucia innych, na kłopoty, które może na nich ściągnąć. Liczą się tylko jej sposoby, jedna droga, wybrana przez nią. Nie jest skłonna zrezygnować ze swoich planów, nawet jeśli naraża siebie i innych. Ona...
- Czy robi te wszystkie straszne rzeczy dla siebie? -przerwała mu Helena. - Jest ambitna? Samolubna? Chodzi jej o pieniądze? Wyrządza tyle szkód, żeby poprawić swoją pozycję?
- Nie - rzucił Pierce przez zaciśnięte żęby.

Prawie niewidoma kobieta, która większą część życia spędziła w odosobnieniu, uświadomiła mu istotną różnicę między Portią a Emmą. Ta pierwsza starała się zrobić coś dla innych, dla matki. Natomiast Emma zawsze troszczyła się tylko o siebie.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć - odezwała się panna Middleton łagodniejszym tonem, kładąc dłoń na jego ramieniu. - Nie usprawiedliwiam postępowania mojej córki, tylko próbuję wyjaśnić, jak ja je odczytuję. Widzi pan, byłam kiedyś w pańskiej sytuacji i

wiem, jak trudno jest pojąć takie zachowanie. Czasami to prawie niemożliwe. Ale zdobyłam się na wyrozumiałość, bo właśnie ta cecha wyróżnia Portię i jej ojca. Właśnie dlatego czujemy do nich to, co czujemy. I musimy dokonywać poświęceń.

- Nie rozumiem pani, panno Middleton. Dopiero niedawno pani ją poznała...
- Niezupełnie. - Helena potrząsnęła głową. - To trudno wyjaśnić. Ale Portia... jej impulsywność, skłonność do ryzyka, nieumiejętność narzucenia sobie ograniczeń, które nie pozwalają innym cieszyć się pełnią życia... cóż, ona po prostu taka jest. Pod tym względem bardzo przypomina ojca. Urodziła się z zamiłowaniem do przygód. Znajduje sobie jakąś ważną sprawę, a potem o nią walczy. Jeśli nie o tę, to o inną.

Pennington spojrział na Helenę z ciekawością.

- Mówiła pani Portii, że jej ojciec żyje? - zapytał.

Helena chwyciła się relingu i wystawiła twarz do słońca.

Pasma złotych włosów wymknęły się z długiego warkocza i tańczyły na wietrze. Rysy złagodniały. Pierce domyślił się, że panna Middleton wspomina dawne czasy. Milczał przez kilka długich minut, pozwalając jej w spokoju kontemplować przeszłość. W końcu odwróciła się do niego.

- Chyba żyje - powiedziała. - Byłam zamknięta przez wiele lat, ale tak ważną wiadomość na pewno by mi przekazano. Wiedziałabym, gdyby umarł.

To musiał być jakobita, człowiek na tyle znany, żeby wieść o jego śmierci dotarła do kolonii, doszedł do wniosku Pierce. Lista takich osób okazała się bardzo krótka.

- Powiedziała to pani córce? - spytał.

- Oczywiście, że nie - odparła panna Middleton.

Pennington stanął obok niej przy relingu.

- Dlaczego takie rzeczy mówi pani najpierw mnie zamiast Portii?

Helena spojrzała na niego tak, jakby mogła go zobaczyć.

- Bo wiem, co między wami zaszło. I wiem, że Portia teraz cierpi. Jak kobieta, której złamano serce.

W Penningtonie natychmiast obudził się sprzeciw. Przecież to Portia wszystko zniszczyła.

Czy rzeczywiście? Czy on nie ponosi żadnej odpowiedzialności za to, co się stało? Zabrał ją do Czarnej Perły. Pomógł jej, kiedy o to poprosiła. Nauczył Portię miłości, ale potem

odtrącił ją, raniąc siebie tak samo jak ją. Może nawet bardziej.

- Lecz nadal nie rozumiem, dlaczego pani mówi mi to, co powinna wyjawiać córce - stwierdził.
- Chcę panu uświadomić, że Portia nie jest dzieckiem stajennego, jeśli to wątpliwości co do jej pochodzenia decydują o pańskim postępowaniu.
- Nie - odparł Pierce ostro.
- Cieszę się, ponieważ nie mam pojęcia, jak dotrzeć do jej ojca - powiedziała Helena i ruszyła przez pokład, trzymając się relingu.

Pennington podążył za nią.

- Zważywszy na to, jak ważne dla Portii jest posiadanie rodziny, jak rozpaczliwie pragnęła panią odnaleźć, chyba ma prawo znać prawdę, nie sądzi pani? - spytał.
- Owszem - przyznała panna Middleton. - I pozna ją, kiedy nadejdzie właściwa pora.

Sztorm, który przewidział Thomas, nadciągnął wkrótce po zachodzie słońca. Miał statkiem przez kilka godzin, potem opadł na siłę. W nocy niebo stopniowo się roz pogodziło, a morze uspokoiło z pierwszym brzaskiem.

Portia skończyła cerować rękaw koszuli, którą pożyczył jej Daniel. Zanim ją wyprała, materiał był sztywny od smoły i słonej wody. Teraz też drażnił jej skórę. Szare spodnie okazały się za luźne w pasie, lecz Portia uznała, że wystarczy przewiązać je sznurkiem. Najważniejsze, że strój był praktyczny. Potrzebowała go do tego, co zamierzała zrobić. Zdjęła go po przymiarce i złożyła starannie.

- Dzień dobry.

Szybko zgarnęła rzeczy i położyła je na kufrze. Nie wiedziała, od jak dawna Helena nie śpi.

- Dzień dobry.
- Co robisz? - spytała matka. - Wydawało mi się, że słyszę odgłos szycia.

Nie widziała dobrze, ale z dnia na dzień stawała się coraz bardziej samodzielna.

- Cerowałam parę ubrań Daniela. - Wstała z podłogi i zwinęła legowisko. - Wysłałam o świcie na pokład. Zapowiada się piękny dzień. Ani jednej chmurki na niebie, wieje lekka bryza. Pomyślałam, że poproszę kogoś z marynarzy, żeby mnie nauczył wiązać węzły. A ty co chciałabyś robić?

Miło było patrzeć, jak Helena odżywa z każdym dniem. Radziła sobie coraz lepiej i nie

pozwalala, zeby córka wyręczala ją we wszystkich czynnościach.

- Kapitan Cameron zaproponował mi przechadzkę po śniadaniu - oznajmiła. - A po południu pan Pennington zaprosił nas obie na herbatę.

Portia od razu zdecydowała, że zwróci się do Daniela albo Thomasa, żeby zaprowadzili Helenę do kabiny kapitańskiej. Sama nie chciała nawet zbliżyć się do tamtych drzwi.

Matka usiadła na koi.

- Masz jakieś suknie stosowne na tę okazję? - zapytała.
- Szara, w której opuściłaś Boston, jest w najlepszym stanie. Wyglądasz w niej pięknie.
- Chodziło mi o ciebie - wyjaśniła Helena. - W co się ubierzesz?

Serce Portii zabiło mocniej.

- Ja nie idę - oświadczyła.
- Zostałaś zaproszona - przypomniała matka.
- Naprawdę? Może się pomyliłaś?

Helena zsunęła się na brzeg łóżka. Jej blond włosy się-gały pasa, na twarzy malował się wyraz, jakiego Portia ni-gdy wcześniej u niej nie widziała.

- Zważywszy na wspaniałomyślność pana Penningtona, nie wypada mu odmówić - stwierdziła matka.
- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - zauważyła Portia. - Powtórz dokładnie jego słowa.
- Przeprosił, że nie przysłał nam oficjalnego zaproszenia, ale wyraził nadzieję, że zaszczycimy go swoją obecnością. Dodał, że serwuje herbatę o trzeciej w kajucie kapitańskiej i że pan Cameron też będzie, a on liczy na to, że się zjawimy.
- To znaczy ty - sprostowała Portia.
- My - podkreśliła Helena.
- Nie sądzę. Nie zrobię z siebie idiotki, idąc na herbatę, na której nie jestem oczekiwana.

Matka uniosła brew.

- Widzę, że się zawzięłaś.

Portia wepchnęła zwinięte koce w kąt kabiny.

- Proszę, zrozum mnie, mamó. Po prostu nie chcę chodzić tam, gdzie nie jestem mile widziana.

- To niedorzeczne - stwierdziła Helena.
- Co jest niedorzeczne?
- Wasz upór. Oboje usychacie z tęsknoty za sobą nawzajem, ale żadne nie robi pierwszego kroku.
- Pan Pennington wcale za mną nie tęskni - rzuciła Portia.
- A ja uważam, że tak, i nie powinnaś się ze mną sprzeczać.
- Dlaczego?
- Bo jesteś moją ma... - Helena potrząsnęła głową. - Chciałam powiedzieć, że jestem twoją matką.

Portia się roześmiała.

- Więc jako twoja matka zabraniam ci pouczania mnie w skomplikowanych sprawach osobistych - oświadczyła.
- Ja jestem twoją matką, a pan Pennington ma rację, że jesteś uparta - stwierdziła Helena z uśmiechem. - Sprawa wcale nie jest skomplikowana. Skończ z tą dziecinadą. Idź i przeproś go, żeby wreszcie przestała cierpieć.
- Cierpieć? - Portia skrzyżowała ramiona na piersi i zbliżyła się do matki. - Z jakiego powodu?

Helena wzięła ją za rękę i pociągnęła na kolę.

- Za każdym razem, kiedy wracam ze spaceru z panem Penningtonem, muszę przez następną godzinę słuchać twoich westchnień i jęków - wyjaśniła.
- Ja nie wdycham ani nie jęczę - zaprotestowała Portia.
- Nie przerywaj matce - skarciła ją Helena. - A Pennington jest jeszcze gorszy. Kiedy spacerujemy, wypytuje mnie, co robiłaś rano albo poprzedniego wieczoru, z kim rozmawiałaś, jaką książkę czytałaś załodze, czy podłoga nie jest dla ciebie za twarda, czy jest ci ciepło, kiedy...
- Opowiadasz bajki, Heleno Middleton - przerwała jej Portia. - Nie wierzę ci. Powinnaś się wstydzić. - Otoczyła ramieniem plecy matki i uściskała ją mocno. - I kocham cię za to, co dla mnie robisz. Jeśli chcesz wiedzieć, przeprosiłam go pierwszego dnia. Pierce obiecał, że odpowie mi, kiedy zorientuje się w swoich uczuciach. I na tym się skończyło.

- Jest trochę powolny, jak to mężczyzna. - Helena dotknęła policzka córki i zjrzała jej w oczy. - Nie obwiniaj go za to, kochanie. Minęły zaledwie trzy tygodnie. Pewnie dopiero zaczął sobie uświadamiać, że w ogóle ma jakieś uczucia. Może potrzebuje małego kuksańca. Rozumiem, że nie chcesz znowu go przeproszać, ale przynajmniej potrząśnij nim lekko.

22

Niebo było czyste, wiatr łagodny. Gdyby pogoda się utrzymała, dotarliby do portu tydzień przed czasem.

Joseph Cameron pokazywał trasę na mapie, mówił o załodze i wielu innych rzeczach, ale Pierce nie mógł się skupić na jego słowach. Był niespokojny, podniecony, trochę zdenerwowany, gdyż postanowił zażegnać nieporozumienie z Portią. I zamierzał to zrobić dzisiaj.

Drzwi kajuty kapitańskiej były otwarte, tak że usłyszał głos Heleny dobiegający z pokładu rufowego. Cameron szybko zebrał mapy ze stołu, a Pennington poszedł przywitać gości. Niestety po stromych schodach pomagał zejść pannie Middleton młody marynarz, a nie córka.

Pierce ukrył rozczarowanie i wprowadził gościa do kabiny. Helena była w dobrym humorze, wesoło rozmawiała i cieszyła się towarzystwem dwóch dżentelmenów. Gdy Pennington myślał, że dłużej nie wytrzyma napięcia, kapitan zadał najważniejsze pytanie:

- Panna Edwards dołączy do nas później?
- Nie sędzę - odparła panna Middleton. - Zdaje się, że jest zajęta czymś innym.
- Jak to? - wyrwało się Pierce'owi.
- Myśli, że nic nie wiem, ale słyszałam, jak wypytywała załogę o węzły, żagle i olinowanie - wyjaśniła Helena. - Następnie pożyczyła ubranie od jednego z marynarzy, więc wcale bym się nie zdziwiła, gdyby coś uknęła na dzisiejsze popołudnie.

Pennington niecierpliwie zerknął na drzwi.

- Panna Middleton i ja możemy napić się herbaty bez ciebie, jeśli chcesz poszukać panny Edwards - powiedział Cameron z domyślnym uśmiechem.

Pierce w jednej chwili znalazł się przy schodach.

Nie zobaczył Portii ani na śródokręciu, ani na dziobie. Wątpił, czy w taki piękny dzień siedzi pod pokładem, ale postanowił zacząć od jej kabiny.

Już miał zbiec na dół, kiedy dostrzegł grupkę zaniepokojonych marynarzy gapiących się na główny maszt.

Portia wspinała się powoli, przez cały czas powtarzając cicho rady Thomasa: „Nie patrz w górę ani w dół. Uważaj, gdzie stawiasz nogi i czego się chwytasz”.

Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jaka odległość dzieli szczeble drabinki wantowej. Stojąc na jednym, musiała się podciągać, żeby stopą dosięgnąć następnego. Kosztowało ją to dużo wysiłku, ale uparcie posuwała się w górę. Była zadowolona, że jest na bosaka, bo im wyżej się wspinała, tym bardziej chciała czuć oparcie pod nogami. Choć omdlewały jej ręce, nie pokonała jeszcze nawet dwudziestu szczebli.

Nie zamierzała jednak się poddać. Nie po tym, jak ubłagała Thomasa, żeby jej pomógł. Przyjaciel musiał długo przekonywać kolegów, że włożenie przez kobietę męskiego stroju i wejście na olinowanie nie przyniesie im pecha. Patrząc codziennie, jak marynarze śmigają po linach i ustawiają żagle, Portia niemal obsesyjnie pragnęła się przekonać, jak to jest tak wysoko w powietrzu. I dopięła swego.

Złamała postanowienie i spojrzała w dół na członków załogi. Znajdowała się teraz mniej więcej na wysokości swojego pokoju nad apteką. Nie miała powodu do strachu.

Uniosła głowę i skupiła się na wspinacze. Thomas kazał jej obiecać, że dojdzie tylko do pierwszej poprzeczki.

Dotarłszy tam, zerknęła na uniesione twarze, a następnie pobiegła wzrokiem ku horyzontowi.

Zmęczyła się wprawdzie, ale spełniła swoje marzenie. Wiedząc, że prawdopodobnie nie będzie miała drugiej takiej okazji, postanowiła wejść trochę wyżej.

Z dołu dobiegły nawoływania, lecz porwał je wiatr, a Portia wołała się nie zastanawiać, czy były skierowane do niej. Ruszyła w górę. Po kolejnych dwunastu szczeblach znowu popatrzyła na morze. Bezkresne i spokojne, wyglądało jak ogromne zielononiebieskie pole usłane białymi kwiatami. Trzymając się mocno jednej z want, chłonęła widok, gdy nagle statek się przechylił, a świat wokół niej zawirował.

Żołądek podszedł jej do gardła, serce gwałtownie zatłukło się w piersi. Maszt raptem uciekł w bok, pociągając ją za sobą, lina wysunęła się z ręki. Portia przez chwilę myślała, że siła odśrodkowa wyrzuci ją za burtę.

Kurczowo chwyciła się wanty, jednocześnie starając się namacać szczeble palcami stóp.

Wszystkie mięśnie rozboleły ją z wysiłku, w głowie się zakręciło. Gdy już sądziła, że nie utrzyma się dłużej, statek się wyprostował.

Portia przywarła do lin, łapiąc oddech i próbując odzyskać spokój. Wiedziała, że musi zejść, póki całkiem nie osłabnie, ale nie była w stanie zrobić kroku. Bała się puścić wanty. Nagłe usłyszała znajomy głos.

- To nie jest miejsce na odpoczynek. Wdrapiemy się wyżej i będziemy podziwiać panoramę czy wolisz zejść na dół?

Nie zauważyła, jak nadchodzi, ale teraz stał zaledwie metr od niej. Portia miała ochotę jednocześnie śmiać się i płakać. Jeszcze nigdy nie była taka szczęśliwa, widząc Pierce'a, jak w tym momencie.

- Myślę, że na pierwszy raz wystarczy mi atrakcji - stwierdziła.

Na twarzy Pierce'a odmalowała się ulga. Wyciągnął do niej muskularne ramię. Rękawy koszuli miał podwinięte.

- Przypieczętujemy umowę, majtku - powiedział
Portia bez namysłu podała mu dłoń, a Pierce uściskał ją mocno. Następnie puścił ją z uśmiechem i zręcznie przeszedł na drabinkę wantową. W jednej chwili znalazł się tuż pod nią

- Dasz radę zejść sama? - spytał

Portia kiwnęła głową. Przesunęła dłonie w dół po wancie, nogę postawiła na niższym szczeblu. Pierce mówił do niej przez cały czas. Czasami był tak blisko, że niemal mu skąpa stopami jego ręce. Nie wątpiła, że przytrzymałby ją, gdyby miała spaść.

Zdawało się, że minęła wieczność, nim Portia wychyliła się spod najniższych grotów.

Powitały ją brawa i głośnie okrzyki. Nie wiedziała, że obserwowano ją cała załoga.

Pierce pierwszy zeskoczył z olinowania, ale nie zrobił żadnego ruchu, żeby jej pomóc, tylko czekał cierpliwie aż sama opuści się na solidny drewniany pokład.

Wiwaty były ogłuszające.

Pennington powściągnął emocje, kiedy żeglarze uczcili pannę Edwards brawami, a następnie zaczęli w żartach proponować jej miejsce w załodze. Stał z boku i obserwował, jak na twarz Portu wracają kolory i uśmiech, kolana przestają drżeć. Nie zbliżył się do niej, gdy zdjęła wstążkę i rozpuściła włosy. Po jakimś czasie część marynarzy wróciła do swoich obowiązków, reszta utworzyła eskortę i odprowadziła bohaterkę dnia do kabiny

Dopiero wtedy Pierce zszedł pod pokład i zapukał do jej kajuty Portia otworzyła od razu, jakby go oczekiwała

Gdy ją zobaczył, po jego samokontroli nie zostało ani śladu, do głosu doszły emocje

- Nigdy więcej

Nigdy - przerwała mu Portia, wciągając go do kabiny i zamykając drzwi. - Nigdy więcej nie zrobię tak głupiej rzeczy jak wspinanie się samej na maszt. - Nim zdążył odpowiedzieć, zasypała pocałunkami jego twarz. -W życiu jeszcze tak się nie bałam. Ale na szczęście ty się zjawiłeś. Wyczułeś, że cię potrzebuję. Zawsze wiesz, kiedy mi pomóc. - Chciałem cię udusić - wyprowadził ją z błędu. Potem gwałtownie przygarnął ją do siebie i wpił się w jej usta, wkładając w pocałunek całą frustrację nagromadzoną przez tygodnie. Była taka, jak ją zapamiętał. Piękna, namiętna, oszłamiająca.

Zarzuciła mu ręce na szyję, rozchyliła usta. Pragnęła go równie mocno, jak on jej.

- Ależ za tobą tęskniłem - wyszeptał po chwili. Portia oparła się plecami o drzwi.

- Czy to znaczy, że już postanowiłeś, co ze mną zrobisz? - spytała. - Wybaczysz mi?

- Jak mógłbym nie wybaczyć?

Wplótł palce w jej kręcone włosy, spojrzał w piękne oczy. Przypomniawszy sobie, jak jego serce przestało bić, kiedy zobaczył, jak Portia wspina się na maszt. Strach, że spadnie i zabije się, na moment całkiem go sparaliżował. Za to potem, spiesząc jej z pomocą, Pierce ruszał się szybciej niż kiedykolwiek w życiu.

-Jesteś czarownicą - stwierdził. - Rzuciłaś na mnie urok, więc muszę robić, co mi każesz.

Pocałował ją znowu, tym razem bez pośpiechu. Chciał też ją zaczarować, wzbudzić w niej pożądanie. Musnął wargami jej szyję, ujął pierś przez szorstki materiał koszuli.

- Nie przypuszczałem, że kiedyś będę całował marynarza - powiedział cicho.

Kiedy chwycił w zęby płatek jej ucha, Portia odchyliła głowę i zamknęła oczy. Pachniała wiatrem i morzem. Pierce delikatnie potarł kciukiem jej brodawkę, aż stwardniała

- Masz coś pod tą koszulą? - zapytał

Gdy pokręciła głową, Pierce jęknął i uderzył czołem w drzwi Portia się roześmiała

- Lepiej stąd wyjdźmy, zanim zapomnę o przyzwoitości i dobrych intencjach - wykrztusił, po raz ostatni powiódł dłońmi po jej ciele i odsunął się niechętnie - Prze

bierzesz się i przyjdiesz do kajuty kapitańskiej? Twoja matka czeka na nas od wieków.

- Podoba mi się wrażenie, jakie na tobie robi mój nowy strój - stwierdziła Portia z przekorą - Może powinnam nosić go do końca podróży.

Pierce przywarł biodrami do jej bioder, żeby jej pokazać, jak na mego działa

- Przyjdź jutro wieczorem do mojej kabiny ubrana w cokolwiek, a obiecuję, że skutki będą takie same - po wiedział - Zedrę z ciebie fatalaszki w ciągu paru sekund

• Sekund?

• Rzucasz mi wyzwanie, kokietko? - zapytał Pierce

• Nie, po prostu nie mogę czekać do jutra - wyjaśniła Portia.

Zanurkowała pod jego ramieniem i otworzyła drzwi Pierce najchętniej zamknąłby się z nią w kabinie na co najmniej tydzień. Pragnął nie tylko jej ciała, tęsknił również za jej towarzystwem. Nieoczekiwanie uświadomił sobie, ile Portia dla mego znaczy. Sam nie wiedział, kiedy stała się dla niego ważna.

Uściskała go ostatni raz i wypchnęła z kajuty.

- Musisz już iść - stwierdziła - Ja zaraz przyjdę
Stojąc na korytarzu, Pierce nagle przypomniał sobie coś, co dręczyło go od pewnego czasu

- Co miałaś na myśli, obiecując, że nie będziesz wchodzić na maszt sama? Czy to znaczy, że zamierzasz to zrobić jeszcze raz?

- Tylko z tobą - odparła Portia i zamknęła mu drzwi przed nosem.

Kabina kapitana, przestronna i gustownie urządzona, robiła miłe wrażenie. Ściany były wyłożone drewnem i częściowo pokryte francuskimi gobelinami. W jedną wbudowano wysokie łoże, pod dużą lampą stało biurko zasłane mapami i książkami. Umeblowania dopełniały krzesła i stół, na którym podano herbatę, a później kolację. Pod wieczór Joseph Cameron przeprosił gości i po-szedł dopilnować zmiany wachty. Helena przeniosła się na wygodną kanapę stojącą naprzeciwko siedziska pod bulajem, za którym widać było złoty zachód słońca.

Portia przestała martwić się tym, że za długo siedzi w gościnie, kiedy Pierce szepnął jej, że nie tylko tego oczekuje od niej w ramach przeprosin. Musiała zrobić dużo więcej, żeby wynagrodzić mu długą rozłąkę.

Kiedy Helena zaproponowała, że opowie im o latach spędzonych w domu ojca, Portia

uznała, że Pierce jest ciekaw tej historii tak samo jak ona. I nie miała nic przeciwko temu, żeby ją usłyszał. Chciała, żeby wiedział wszystko o niej i jej rodzinie.

Kiedy zaprowadził ją na siedzisko pod bułajem zamiast na kanapę, a następnie z nonszalancją usiadł obok niej, Portia dostrzegła chytry uśmiech na ustach matki.

- Wbrew plotkom nie zawsze trzymano mnie w zamknięciu i odurzano tymi okropnymi lekami - zaczęła Helena. - Doszło do tego dopiero po przyjeździe do Bostonu. Ale wybiegam naprzód. Zacznijmy od początku. Przez chwilę zbierała myśli. Jej twarz jaśniała w złotym blasku zachodzącego słońca. - Jako młoda dziewczyna nawiązałam pierwszy w życiu romans. Gdy się okazało, że oczekuję dziecka, byłam zaskoczona, ale niczego nie żałowałam. Oczywiście moja postawa wstrząsnęła admirałem. Zawsze był surowym, samolubnym człowiekiem. Miał liczne ważne obowiązki wobec kraju i nie zamierzał dopuścić do tego, żeby skandal zrujnował jego karierę. Kiedy najgorsze obawy moich rodziców się potwierdziły, oboje postanowili ukryć mnie przed światem. I nic dziwnego. Prawda położyłaby kres ambicjom admirała. Gdy zrozumiałam, że dla twojego ojca i dla mnie nie ma wspólnej przyszłości, stałam się bierna, robiłam wszystko, czego życzyła sobie rodzina.

Jej opowieść przerwało pukanie do drzwi. Thomas wniósł lampę do kabiny, zapytał, czy czegoś nie potrzebują, i wyszedł cicho.

Portia chciała zapytać o swojego ojca, ale wiedziała, że był on tylko jednym ogniwiem w łańcuchu, który spętał jej matkę. Miała nadzieję, że teraz, kiedy Helena otworzyła się przed nimi, wcześniej czy później poznają całą prawdę.

- Moja matka, Elizabeth Middleton, jeszcze wtedy żyła. Choć może to wydawać się wam mało prawdopodobne, byłoby o wiele gorzej, gdyby nie ona. Natychmiast ściągnęła mnie z powrotem do Anglii. - Helena pobiegła wzrokiem ku córce. - Powiedziano mi, że straciłam cię zaraz po urodzeniu, ale w rzeczywistości babcia zawiozła cię do lady Primrose zamiast oddać Cyganom albo zostawić pod kościołem, co z pewnością zrobiłby admirał, gdyby nie przebywał w tym czasie we Francji.

Pierce ujął dłoń Portii, a ona splótła palce z jego palcami. Była zadowolona, że nie miała okazji poznać dziadka. Nie sądziła, żeby kiedykolwiek potrafiła zrozumieć takiego człowieka.

- Później matka chroniła mnie przed gniewem ojca. Zdecydowany za wszelką cenę

zachować sekret, uznał, że trzeba mnie uwięzić. Gdyby mógł, wysłałby mnie tam, gdzie nikt by mnie nie oglądał ani ze mną nie rozmawiał. Twierdził, że go zdradziłam. Ja, jedynaczka, próbowałam zniszczyć jego życie i karierę. Należało mnie ukarać. Odosobnienie mi nie doskwierało. Nie pragnęłam rozrywek, nie tęskniłam za towarzystwem. Nie miałam szansy wyjść za mąż. Zresztą i tak nie zgodziłabym się na żadnego kandydata. Matka tak wszystko zorganizowała, że przez sześć miesięcy w roku mieszkałam w Dublinie, a przez następnych sześć w wiejskim domu nad jeziorem Windermere w Cumberland. Była tam gospodyni, która nade mną czuwała, i kilkoro służących. Pielęgnowałam ogrody i wspomnienia, i szczerze mówiąc, niczego mi nie brakowało. Ale sielanka nie mogła trwać wiecznie. Przekwitwały ostatnie róże, gdy dostałam wiadomość, że umarła matka.

- Kiedy ją straciłaś? - zapytała cicho Portia.
- Siedem lat temu. Chorowała od jakiegoś czasu, a kiedy ojciec został wysłany do Bostonu po rozruchach wywołanych wprowadzeniem ustawy stemplowej, nie przeżyła podróży morskiej. Pochowano ją na morzu dwa tygodnie po wypłynięciu z Bristolu.
- I wtedy wysłano panią do kolonii? - domyślił się Pierce.
- Następnego lata. Po śmierci mojej matki admirał nie tracił czasu, gdy dotarły do niego wieści, że żyję nie w takim ścisłym odosobnieniu, jak by sobie życzył. Po prawdzie, zaprzyjaźniłam się z żoną dyrektora szkoły w Dublinie, ale ona umarła rok przed moją mamą. Ojciec dowiedział się również, że zaczynam mieć kłopoty ze wzrokiem, w tamtym czasie jeszcze niezbyt poważne. - Helena rozpostarła dłonie na haftowanym obiciu kanapy. - Oczywiście nie potrzebował żadnych pretekstów, ale ten jeden mu wystarczył, żeby sprowadzić mnie do Bostonu. Podobno chciał dla mnie tego, co najlepsze. Portia dostrzegła drwiący uśmiech na jej wargach.

- I właśnie wtedy narodziła się „Szalona Helena” - mówiła dalej matka. - Nieporozumienia między mną i ojcem zaczęły się od razu po moim przyjeździe. Wcześniej zdążyłam przyzwyczać się do niezależności. Przez wiele lat byłam panią swoich skromnych domów. Nikt nie sprawował nade mną kurateli. Oczywiście admirał nie mógł tego znieść. Narzucił mi tę wiedźmę, panią Green. Dręczyła mnie do granic wytrzymałości, a kiedy protestowałam, twierdziła, że miesza mi się w głowie, że powinni zbadać mnie lekarze, że muszę brać leki uspokajające. W ten sposób zdobywała nade

mną władzę

- Ale ty walczyłaś - odezwała się Portia. Cud, że Hele na mimo wszystko pozostała przy zdrowych zmysłach, dodała w myślach
- Próbowałam lecz z każdym dniem było mi coraz trudniej póki ty się nie zjawiłaś, moja wybawczyni

Portia przeniosła się na kanapę i objęła matkę, walcząc z łzami. Najważniejsze, że są razem, powiedziała sobie w duchu. A wszystko dzięki mężczyźnie siedzącemu naprzeciwko nich.

Spojrzała na Pierce'a. Gdy zobaczyła wyraz czułości na jego twarzy, omal się nie rozpląkała.

- Dość opowieści jak na jeden wieczór – stwierdziła matka, wycierając oczy - Panie Pennington, będzie pan tak miły i odprowadzi Szaloną Helenę oraz jej niesforną córkę do kabiny?

Pierce natychmiast poderwał się z siedziska.

- Będę zaszczycony.

Portia musiała najpierw się opanować. Od początku była przekonana, że słusznie postępuje, ale teraz wyczuła również aprobatę Pierce'a. Nie musiał nic mówić. Dostrzegła ją w jego oczach i kochała go za to.

Dogoniła ich przy drzwiach.

- Cudowna noc - Helena wzięła głęboki oddech - Są gwiazdy?
- Miliony - szepnęła Portia patrząc w niebo, a potem w oczy ukochanego - Wydaje się, że niektóre są na wyciągnięcie ręki.
- Te najpiękniejsze - dodał Pennington.

Zeszli pod pokład. Helena pierwsza weszła do kajuty, a Portia zatrzymała się na korytarzu. Sięgnęła po dłoń Pierce'a.

- Muszę jej pomóc...
 - Rozumiem - szepnął, dotykając palcem jej ust. - Będziemy mieli jeszcze dużo czasu.
- Portia pocałowała jego opuszek i weszła do kabiny. Helena zdążyła odgarnąć koc z łóżka i właśnie zdejmowała suknię. Z uśmiechem odwróciła się do córki.
- Widzisz? Nie potrzebuję pomocy. Doskonale radzę sobie sama.
 - Cieszę się - powiedziała Portia. - Ale nie jestem pewna, czy ja potrafię. Przydałaby mi

się twoja rada.

Helena usiadła na brzegu koi.

- Nie jestem właściwą osobą do udzielania rad.
- Przeciwnie. - Portia powiesiła suknię matki na haku wbitym w ścianę. - Czuję, że idę w twoje ślady, i muszę wiedzieć, czy...
- Jeśli tak uważasz, musisz dowiedzieć się więcej o mojej przeszłości. - Helena pociągnęła córkę za rękę. - Związek z twoim ojcem był skazany na niepowodzenie, jeszcze zanim się poznaliśmy. Oboje o tym wiedzieliśmy. Nawet kiedy żywiłam romantyczne złudzenia co do naszej miłości, zdawałam sobie sprawę z tego, że każde z nas zostanie potępione przez rodzinę i przyjaciół. Mimo to nasze nieliczne spotkania, kradzione chwile, były cudowne, pełne napięcia. Nie czekała nas wspólna przyszłość, ale nie dbaliśmy o to. Kiedy byliśmy razem, istnieliśmy tylko my dwoje na całej ziemi. - Helena z westchnieniem rozpuściła długie blond włosy i przeczesała je palcami. - Kiedy nas rozdzielili, nadał żyłam w tym świecie miłości. Musiałam. W przeciwieństwie do ciebie nie miałam dość siły, żeby walczyć z prawdziwym. Nie mogłam się usamodzielnąć.

Nie przywykłam do pracy. Zawsze opiekowała się mną rodzina. Myślałam, że ktoś będzie o mnie dbał do końca życia. Sądziłam, że mój przystojny rycerz wróci i mnie uratuje. Czekałam. - Helena mocno ścisnęła rękę córki. Miały podobne dłonie o długich, smukłych palcach. - Choć go kochałam, twój ojciec nie był Pierce'em, tylko marzycielem. Często patrzył w dal i widział inny świat. Stworzony do wielkości, wiedział, że trzeba złożyć ofiary, żeby ją osiągnąć.

- Na przykład poświęcić ciebie? - spytała cicho Portia. Helena uśmiechnęła się i opuściła głowę. Na jej policzki wypłynął lekki rumieniec. Wyglądała niewinnie, młodo, krucho.

- Chciałabym tak myśleć. Właśnie to sobie powtarzałam przez te wszystkie lata.
- Więc to musi być prawda. - Portia odgarnęła jasne pasmo z czoła matki.

Helena podniosła wzrok.

- Ten młody człowiek, który właśnie nas opuścił, ma więcej do zaoferowania kobiecie niż mężczyźni, których znałam - stwierdziła, ujmując w dłonie twarz córki i patrząc jej w oczy. - On ceni życie, jest odpowiedzialny, uczciwy, lojalny. Planuje, nie pozwala sobie

na dzikie mrzonki, trwa przy swoich przekonaniach. I nigdy nie zrezygnuje z kobiety, którą kocha, nawet dla królestwa. - Helena dotknęła łyzy, która toczyła się po policzku Portii. - Ty i Pierce jesteście zupełnie inni niż twoi rodzice. Lepsi, silniejsi. Idź do niego, kochanie. Masz szansę na szczęście. Ja jej nie miałam.

23

Portia wyczuła zmianę w powietrzu, od razu kiedy wyszła na pokład. Statek wydawał się opuszczony, jedynie wiatr gwizdzący w żaglach i cichy szum fal dotrzymywały jej towarzystwa. Stojąc przy relingu, spojrzała na czarny bezkres. Nie potrafiła stwierdzić, gdzie kończy się morze, a gdzie zaczyna niebo, bo horyzont przesłaniała mgła. Podniosła oczy. Gwiazdy były widoczne tylko w przerwach między pędzącymi chmurami. Gdy opuściła wzrok na wodę omywającą ciemny kadłub, z dziobu dobiegł dźwięk kobzy. Brzmiały w nim nuta samotności i tęsknoty głęboko ją poruszyła.

Słowa matki nie rozproszyły jej obaw, nie przyniosły ulgi. Ścieżka wcale nie rysowała się wyraźniej niż do tej pory. Tylko co do jednej rzeczy Portia miała pewność: wbrew przeświadczeniu Heleny nie było jej pisane szczęście z Piercem.

Kochała go, to prawda, ale jednocześnie przysporzyła mu wielu kłopotów. Od początku mu się narzucała, oszukiwała go. Nawet ich pierwsze spotkanie wynikało z jej lekkomyślności. Nie zdołała jednak wzbudzić jego zainteresowania na balu u admirała, kiedy wyglądała najlepiej.

A później nieproszona zjawiała się w jego domu. Zastanawiała się, co czuł tamtej nocy. Czy na pewno co innego niż do dziesiątków kobiet, które chętnie przychodziły do jego łóża? Dobrze pamiętała, jaki był milczący i daleki po tym, jak się kochali.

Nie chciała niweczyć nadziei matki, ale jeśli chodzi o pozycję społeczną, ją i Pierce'a dzieliło więcej niż Helenę i jej tajemniczego kochanka.

Pierce był bratem hrabiego, bogatym armatorem, młodym i przystojnym kawalerem.

Ona nieślubnym dzieckiem, które cudem odnalazło matkę, jedyną bliską osobę. Co miała do zaoferowania? Osiemnaście funtów i pięć szylingów oszczędności i niewiele ponadto.

To proste. Nie było dla nich przyszłości. Lecz zakochana tak samo jak jej matka dwadzieścia pięć lat temu, pragnęła cieszyć się każdą chwilą, która im została. Liczyła się wyłącznie terażniejszość. A konsekwencjom stawia czoło, kiedy nadejdzie pora.

Chmura opuściła kilka łez. Portia uniosła twarz ku niebu, wdzięczna za współczucie.

- Okłamuj mnie, jeśli musisz, ale nie mów, że zamierzasz po nocy wspinać się na maszt.

Portia odwróciła się w stronę rufy, skąd dobiegł znajomy głos. Pierce był bez surduta, rękawy koszuli miał podwinięte, kołnierzyk rozpięty. Zrezygnował również ze wstążki, którą zwykle przewiązywał włosy. Poruszał się z gracją Indianina z plemienia Mohawk, którego kiedyś widziała w Faneuil Hall; śniady, pełen godności, szlachetny. Zaparło jej dech na myśl, że jest obiektem zainteresowania tego pięknego mężczyzny... choćby tylko przez chwilę.

- Co tu robisz? - spytał, przesuwając po niej wzrokiem, od którego Portii zrobiło się gorąco. - Nie widziałem, kiedy przyszłaś.

Oparta o reling Portia zacisnęła dłoń na wancie. Pierce zbliżył się i objął ją w talii. Kiedy poczuła jego tors przyciśnięty do jej piersi, całkiem przestała oddychać.

- Nie odpowiedziałas mi. - Ujął tył jej głowy i przysunął wargi do jej ust. - Byłaś bardzo skupiona. Co tym razem knujesz? Zamierzasz wzniecić bunt na moim statku? Chcesz go zdobyć albo zniszczyć?

Portia nie mogła się powstrzymać. Od jego ciała bił żar, usta były tak blisko. Uniosła się na palcach i musnęła je wargami.

- W ogóle nie myślałam o statku, tylko o tobie.

Jego niebieskie oczy wyglądały w nocy jak czarne. Kiedy się uśmiechnął, pojawiły się wokół nich delikatne zmarszczki.

• Planujesz mnie zdobyć czy zniszczyć?

• Ani jedno, ani drugie. - Pocałowała go w brodę, potem jeszcze raz w usta. Delikatnie ugryzła płatek ucha. - Zastanawiałam się nad innymi rzeczami. Na przykład nad obietnicą, którą mi dzisiaj złożyłeś.

Gdy zabrała rękę z wanty, Pierce chwycił obie jej dłonie i unieruchomił je za plecami. Jego uśmiech wzbudził w Portii dreszcz.

- W takim razie...

Pocałował ją leniwie, z czułością. Minęła długa chwila, zanim się odsunął. Ale gdy Portia rozchyliła usta, prosząc o więcej, znowu przywarł do nich wargami. Chciała uwolnić rękę, ale trzymał je mocno, całował coraz namiętniej, budząc w niej żądzę.

Portia jęknęła cicho, kiedy wsunął kolano między jej uda. Był podniecony, ale wcale mu

się nie spieszyło. Najwyraźniej czerpał przyjemność z doprowadzania jej do szaleństwa. Nagle statek zakołysał się na fali i Portia poczuła, że oboje niebezpiecznie przechylają się przez reling. Pierce puścił jej dłonie, otoczył ją jedną ręką, drugą mocno chwycił się wanty. Ona objęła go kurczowo i przytuliła policzek do jego piersi.

• Jeśli mam umrzeć, to najlepiej kochając się z tobą - powiedziała z nerwowym śmiechem. Zapomnij o umieraniu i innych okropnych rzeczach. - Kiedy statek się wyprostował, Pierce uniósł jej brodę i spojrzał w oczy. - Podoba ci się to czy nie, teraz jesteś moja i będę cię chronić.

Obaj zrobili w koloniach imponujące wojskowe kariery, ale ich ścieżki przecięły się dopiero w marcu tego roku, kiedy porucznika Dudingstona skierowano do patrolowania Narragansett Bay. Poznali się, gdy ambitny młody oficer zaczął składać meldunki bezpośrednio swoim nowym zwierzchnikom w Bostonie.

Jeszcze przed pierwszym spotkaniem na Turnerze zrobiła wrażenie reputacja Dudingstona, który traktował sprawiających kłopoty kolonistów tak, jak na to zasługiwali. Przemierzając swoim *Gaspee* wody wokół Filadelfii, w ciągu czterech lat przejął tyle podejrzanych statków, że kilku gubernatorów słało listy protestacyjne do Admiralicji w Londynie. Turner uważał przeniesienie Dudingstona na Rhode Island za słuszne posunięcie. Jego opinii nie podzielał żaden z mieszkańców tej małej, ale wyjątkowo niezdyscyplinowanej kolonii.

Zdaniem Turnera spalenie *Gaspee* świadczyło o słabości władz Rhode Island. Koloniści najwyraźniej nie bali się represji. Nawet wyznaczona przez gubernatora nagroda w wysokości stu funtów za informacje o osobie, która raniła porucznika, była śmiechu warta.

Według wstępnego raportu kula przeszła przez lewe ramię Dudingstona, łamiąc kość, a następnie utkwiała pięć cali pod pępkiem. Porucznik leżał na pokładzie, krwawiąc mocno, kiedy atakujący opanowali szkuner i kazali załodze przesiąść się do łodzi. Rannego zostawili bez pomocy, a sami przeszukali statek. W końcu przywódcy rebeliantów zmusił brytyjskiego oficera, żeby na kolanach błagał o życie, a dopiero potem wezwali chirurga. Kiedy Dudingstona przewieziono do Newport, nie chciał wymienić żadnych nazwisk ani podać szczegółów.

Oświadczył, że zaczeka, aż sąd wojskowy w Anglii rozstrzygnie sprawę utraty *Gaspee*.

Turner dobrze go rozumiał. Żałował, że powodów jego własnego milczenia nie da się równie łatwo wyjaśnić.

Od wyruszenia na *Beaverze* spędzali razem wiele godzin, siedząc w kajucie kapitańskiej, grając w szachy i karty. Chyba z powodu ran Dudingston dużo pił. Turner już nie mógł się doczekać końca rejsu, bo za każdym razem, kiedy porucznik był podchmielony, czyli często, próbował wypytywać go o misję w Walii.

- Słyszałem dzisiaj, jak jeden z marynarzy opowiada bardzo nieprawdopodobną historię o pańskim zadaniu - rzucił od niechcienia Dudingston, przesuwając figurę na szachownicy.

Kapitan milczał, ale porucznik się nie zniechęcił. Nalał sobie kolejną szklaneczkę rumu i powiedział:

- Podobno nie ma żadnej misji.

Turner próbował skupić się na następnym ruchu.

- Mówią, że chodzi o kobietę. Tak, o kobietę! Dobrze byłoby mieć teraz jakąś na pokładzie. - Dudingston zaśmiał się gorzko i wychylił szklaneczkę. - Choć właściwie nie wiem, po co.

Kapitan nie podnosił wzroku znad szachownicy.

- Zdradzę panu pewien sekret - rzekł porucznik ściszym głosem. - Przeklęty chirurg mówi, że może już nigdy nie będę mógł pracować.

•Dokończymy grę jutro? - zaproponował Turner, wstając od stołu.

•Zostałem pozbawiony męskości - ciągnął Dudingston, dolewając sobie trunku. - Myśli pan, że jest za to specjalny medal?

Turner nie miał ochoty wysłuchiwać zwierzeń; porucznik był coraz bardziej pijany.

- Pójdę zapytać porucznika Lindseya o naszą pozycję...

- Niech pan usiądzie, kapitanie. Muszę pana przeprosić
Tego rodzaju rozmowa jest zupełnie niestosowna między dżentelmenami - Wskazał ręką krzesło - Proszę

Turner ustąpił niechętnie.

Dudingston pociągnął solidny łyk rumu i przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu

- Chciałbym, żeby mi pan opowiedział o tej kobiecie - odezwał się w końcu. - Mówią, że uderzyła pana w głowę kamieniem i uciekła z jakimś brudnym Szkotem Teraz chce

pan dać jej nauczkę i dlatego ją ściga.

Turner poczuł, że uszy mu płoną. Z trudem opanował gniew i zbił wieżę przeciwnika.

- Pańska królowa jest zagrożona, poruczniku – ostrzegł Dudingston walnął pięścią w stół, a następnie wściekłym ruchem zmiotł szachy na podłogę.

- Do diabła z królową! - huknął. - Ludzie robią zakłady, że pan jej nie miał, ale ja w to nie wierzę. Proszę mi powiedzieć, ile razy pan przeleciał tę dziwkę. Chciałbym myśleć, że Szkotowi dostała się zużyta, chora.

Turner wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło. Nie podrosł go jednak, tylko wypadł z kajuty. Na pokładzie wychylił się przez reling, oddychając ciężko.

Dudingston miał rację. Ta dziwka była jedyną przyczyną jego klęski!

Ale dostał od admirała zadanie, żeby sprowadzić jego córkę do domu. Przy okazji zadba o to, żeby panna Edwards dostała za swoje.

Pierce z czułością patrzył na kobietę leżącą w jego objęciach. Nie mógł oderwać wzroku od jej anielskiej twarzy. Dopiero teraz uświadomił sobie, jakie męczące musiały dla niej być ostatnie tygodnie, skoro zasnęła tak głęboko zaraz po tym, jak skończyli się kochać. Nie dość że opiekowała się Heleną, to jeszcze spała na twardej podłodze w ciasnej kabinie. Nie zapewnił jej żadnych wygód. Nic dla niej nie zrobił. Ale teraz wszystko się zmieni, postanowił.

Panna Edwards przyprawiała go o ból serca, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Zanim ją spotkał, miał wiele kobiet. Doświadczył namiętności, mocy pożądania. Ale Portia budziła w nim dużo więcej emocji. I już nie porównywał jej z Emmą.

Była sobą. A on pragnął jak najwięcej z nią przebywać, kochać ją, chronić.

Pomyślał z żalem, że rejs dobiega końca. Zmarnował tyle tygodni, trzymając się od niej z daleka. Dotykając jedwabistych loków rozsypanych po poduszce, patrząc na piękną twarz Portii, zrozumiał, że nie chce rozstania. Gdy Portia poruszyła się w jego ramionach, musnął wargami jej czoło. Nie sądził, żeby kiedykolwiek był gotów z nią się pożegnać.

Jej powieki zatrzepotały, a potem się otworzyły.

- Zasnęłam – stwierdziła Portia.

Przeciągnęła się leniwie, a kiedy niewinnie otarła się gładkim udem o jego nogę, znowu poczuł żądzę. Była mistrzynią w doprowadzaniu go do szaleństwa. I nawet nie zdawała sobie z tego sprawy.

Spojrzała w okno.

- Muszę wrócić do kajuty, zanim Helena się obudzi -powiedziała.
- Nie. Jeszcze jest wczesnie. - Pocałował ją w usta. - Poza tym twoja matka prosiła mnie, żebym cię pilnował.
- Ładne mi pilnowanie. - Portia uśmiechnęła się i oparła głowę na jego ramieniu. Pierce pogłaskał ją po plecach, a ona przytuliła się do niego. - Wiesz, że nie podziękowałam ci za wszystko, co dla niej zrobiłeś? Byłeś prawdziwym dżentelmenem, aniołem...
- Głupcem, który nie rozumiał, że słusznie zabierasz matkę z tamtego domu. - Pierce potrząsnął głową. - Upartym, tępym...
- Przestań! - Portia spiorunowała go wzrokiem. – Nie powinieneś tak się kajać. To ja wszystko zepsułam. Jeśli ktoś jest winny...

Pierce przytknął palec do jej ust.

- Dobrze. Nie będę się kajał, ale ty też nie rób sobie wyrzutów. Tak czy inaczej przepraszam. I musisz mi wybaczyć, bo inaczej będę ciągnął tę rozmowę, aż...
- Zgoda. - Portia uśmiechnęła się i spojrzała na niego z takim uwielbieniem, że poczuł się niezręcznie.

Szukał właściwych słów, podczas gdy ona wodziła dłonią po świeżym zaroście na jego twarzy. W końcu zdecydował się na bezpośredniość.

- Pojedziesz ze mną do Baronsford? - spytał.
- Nie mogę - odparła Portia bez namysłu.
- Dlaczego? - zdziwił się Pierce.
- Bo musimy dotrzeć do Walii, zanim lady Primrose wyjedzie na całe lato - wyjaśniła Portia.
- Może już wyjechała.
- Więc zaczekam, aż wróci. - Portia przewróciła się na plecy i spojrzała w sufit. Jej twarz wyrażała upór.
- Ale to może być niebezpieczne - stwierdził Pierce, opierając się na łokciu. - Okoliczności twoich narodzin przez całe lata nie dawały spokoju Middletonowi. Sądzisz, że teraz admirał po prostu o wszystkim zapomniał? Na pewno już kogoś za wami wysłał.

- Nie wie, gdzie jesteśmy.
- Zrobił karierę dzięki umiejętności tropienia wrogów. - Pierce ujął Portię pod brodę i obrócił do siebie jej twarz. - Twoi znajomi z Bostonu wiedzą o lady Primrose. Jak myślisz, ile czasu zajmie admirałowi wyciągnięcie wniosku, że pojechałaś do swojej dobrodziejki?
- Lady Primrose ma ogromne wpływy. Znajdźcie nam tymczasową kryjówkę, a potem miejsce, gdzie będziemy mogli zostać na stałe.
- I tego właśnie chcesz? - spytał Pierce. - Uciekać do końca życia?
- Nie mam innego wyjścia. - Portia też oparła się na łokciu. - Ale warto było uwolnić matkę. Obie jesteśmy gotowe ukrywać się, żeby tylko nie wróciła do Bostonu.
- Więc jedźcie ze mną do Baronsford - zaproponował Pierce. - Po co narażać Helenę i siebie na niebezpieczeństwo? Kiedy zawiniemy do Greenock, wyślesz list do lady Primrose. Możesz jej napisać, dokąd się wybierasz. Po-myśl o tym jako o szansie, żeby wprowadzić swoje plany w życie. I będziemy razem.
- Nie - powiedziała krótko Portia, zrywając się z łóżka. Pierce pociągnął ją w dół.
- Jesteś nierozsądna - stwierdził. - Dlaczego się upierasz?
- Powinieneś spędzić czas z rodziną. Nie potrzebujesz nas...
- Potrzebuję ciebie. - Pierce przytrzymał ją, gdy znowu chciała wstać. - Chcę mieć cię przy sobie w Baronsford. - Zaskoczył siebie samego tak samo jak Portię. - Przyznaję, że trochę obawiam się tego powrotu. Opuściłem rodzinny dom w dość nieprzyjemnych okolicznościach. Mój starszy brat, hrabia Aytoun, został poważnie ranny. Groziła mu śmierć. Jego żona Emma, którą znałem przez całe życie, zginęła. Przez tę tragedię nasza rodzina się rozpadła. Wyjechałem, przysięgając sobie, że nigdy nie wrócę. Teraz tam jadę, a ty jesteś w dużej mierze za to odpowiedzialna. Dobrze zapamiętałem, co mówiłaś o samotności i rodzinie. Dlatego w końcu przeczytałem list Lyona i dowiedziałem się o zmianach w jego życiu. Uznałem, że czas zawrzeć pokój.
- Bramy przeszłości zostały otwarte. Pierce już nie mógł ich zamknąć. Mówił dalej. Opowiedział o Emmie. O Davidzie. O Lyonie, dawnym i obecnym. O zmianach, które zaszły w Baronsford. Portia milczała. Jej ciemne oczy wezbrały łzami, kiedy usłyszała, jak znalazł brata i jego żonę u stóp urwiska.
- Ty jesteś teraz najważniejszą osobą w moim życiu.

Bez ciebie czuję się niepełny. Chciałbym mieć cię przy sobie, kiedy pojedę do Baronsford - dokończył Pierce.

Portia pocałowała go ze łzami w oczach.

- Pojadę z tobą.

W małej kajucie było ciemno, gdy Portia wśliznęła się do niej cicho. Helena leżała na koi, ale nie spała. Odezwała się, dopiero kiedy córka podeszła i poprawiła jej koc.

- Wygodnie mi, dziękuję.

- Obudziłam cię - stwierdziła Portia ze skruchą. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Nareszcie przespałam całą noc, bo nie musiałam wysłuchiwać twoich jęków i westchnień.

- Cieszę się - szepnęła córka, całując ją w policzek.

Helena wyczuła smutek w jej głosie. Chwyliła ją za rękę.

- Porozmawiaj ze mną, skarbie. Co się stało? Co między wami zaszło?

Portia usiadła na brzegu łóżka.

- Nic złego. Ale błagam cię, mamo, nie rób żadnych uwag na temat tego, że Pierce i ja jesteśmy...

- Kochankami? Dwojgiem ludzi dla siebie stworzonych?

- Pierce i ja jesteśmy... kochankami - przyznała nieśmiało Portia. - Ale to nie oznacza, że czeka nas wspólna przyszłość. I dlatego nie doszukuj się czegoś więcej w tym, co zaraz ci powiem.

- O co chodzi, dziecko?

- Nastąpiła zmiana planów. Pierce zaprasza nas do Baronsford, jego rodzinnego domu w Szkocji. Mówi, żebyśmy z portu wysłały list do lady Primrose i powiadomiły ją, dokąd się wybieramy. To ma sens, bo jeśli ona uzna, że w Szkocji będziemy bezpieczniejsze niż w Anglii albo Walii... - Portia wzruszyła ramionami. - Zdaje się, że tak będzie lepiej.

- Pan Pennington chce przedstawić cię rodzinie - stwierdziła matka.

- Proszę, mamo. - Głos Portii się załamał. - To bardziej bolesne, niż sądziłam. Musisz zrozumieć, że nie jesteśmy z Piercem dla siebie przeznaczeni.

- Dlaczego? - Helena otoczyła ramieniem plecy córki. Przez chwilę siedziały w milczeniu. - Rozumiem. Chodzi o różnicę klas i majątków. Cóż, uważam, że dla niego

nie ma znaczenia, że nie dostaniesz posagu.

- Ale dla mnie ma - rzekła Portia z uporem. - Nie chodzi o posag. Po prostu nie chcę związku, do którego nic nie wniosę.

- Pozycja społeczna kobiety nie świadczy o jej wartości - stwierdziła Helena.

- Ale ja wiem, że dzieli nas zbyt wiele... Proszę, mamó, daj spokój.

Portia, jako sierota, wychowała się w szkole z internatem, ale Helena była pewna, że lady Primrose zaszczepiła jej dziecku zasady moralne i wartości ich klasy.

- Dobrze, w takim razie napiszę list do lady Primrose - oświadczyła.

- Myślałam, że jej nie znasz - zdziwiła się córka.

- Przyjęła cię pod swoją opiekę, wychowała. Czas, żebym się jej przedstawiła.

Portia poklepała matkę po ręce.

- Chętnie będę ci służyć jako skryba.

- Dziękuję, ale nie.

- Obawiam się, że coś knujesz - stwierdziła Portia.

- Nic, czym musiałabyś się martwić - zapewniła ją Helena. - To sprawa między dwiema starymi kobietami. Muszę się dowiedzieć, jaką posadę szykuje dla ciebie lady Primrose. Zaraz, zaraz! Nie, Pierce też nie może zostać moim sekretarzem. A ten młody człowiek, kapitan Cameron? Miły szkocki dżentelmen. Myślę, że on by się nadał. Chyba poproszę go o przysługę.

- Zdaje się, że lubisz kapitana - stwierdziła Portia ze śmiechem - Zastanawiam się, czy nie znalazłaś pretekstu, żeby spędzać z nim więcej czasu

Helena się uśmiechnęła. Niech dziewczyna myśli, co chce. Czas na wyjawienie sekretów, czas na zmiany Nie zamierzała siedzieć z założonymi rękami i pozwolić, że by jej córka cierpiała

24

Sierociniec dla dziewcząt i szkoła z internatem Berse Drelincourt mieściła się w imponującej georgiańskiej rezydencji niedaleko Wrexham w Walii, należącej do Anne Drelincourt, wdowy po trzecim wicehrabim Pnmrose Było to spokojne miejsce, do którego niechętnie wpuszczano gości Kapitan Turner nie oczekiwał, że będzie traktowany inaczej, ale miał oficjalną sprawę, więc zakładał, że dyrektorka zgodzi się go przyjąć.

Jechał przygotowany do wizyty. Postój w tawernie nie daleko miasteczka Broughton okazał się całkiem owocny. Przez lata stary właściciel gospody, były żołnierz w walijskim regimencie Marlborough, słyszał wiele plotek o starszej pani. Podobno w czasie powstania z 1745 roku lady Pnmrose aktywnie zaangażowała się w sprawę jakobitów i zaprzyjaźniła z Florą MacDonald, Szkotką, która pomagała Bonmemu Pnnce'owi Charliemu w ucieczce ze Szkocji po krwawej klęsce na Culloden

Te rewelacje zgadzały się z tym, co powiedział mu admirał Middleton, oraz z informacjami, które kapitan sam zebrał, gdy zawinął do Bristolu. Turner dowiedział się, że kiedy Flora została uwięziona w Anglii, to właśnie lady Primrose doprowadziła do jej zwolnienia, a później pomogła finansowo.

O Annie Drelincourt mówiono też inne rzeczy. Ścisząc głos, szynkarz powiedział, że podobno wdowa regularnie koresponduje z wygnanym księciem pretendentem oraz organizuje jego sekretne wizyty w Anglii i Szkocji. Milady jest ustosunkowana i wpływowa, ma przyjaciół w otoczeniu króla Jerzego.

Dowiedziawszy się tego wszystkiego o tajemniczej kobiecie, Turner pojechał do wsi Wrexham. Tam przez dwa dni pił z miejscowymi i przekupywał tych, którzy mogli dostarczyć bardziej obciążających faktów.

Kiedy zajechał pod frontowe drzwi rezydencji, stajenni i lokaje zmierzli go podejrzliwym wzrokiem. Kamerdyner wziął jego list i poszedł do swojej pani, zostawiając gościa pod czujnym okiem dwóch potężnie zbudowanych odźwiernych.

Gospodyni przyjęła go w eleganckim salonie i powitała uprzejmie, ale Turner nie dał się jednak zwieść, bo jej twarz nie wyrażała radości. Lady Primrose wyglądała trochę młodziej, niż się spodziewał, i emanowała wypraktykowanym chłodem.

- Z pańskiego listu wynika, że niedawno przyплыł pan z kolonii na *Beaverze* - powiedziała. - Jeśli to, co prze-czytałam w gazecie, jest prawdą, musi pan być związany ze śledztwem w sprawie zniszczenia statku... jak on się nazywał? Ten, który został spalony przez amerykańskich kolonistów?
- *Gaspee* - rzekł Turner. - Istotnie, milady, jestem związany z tym śledztwem. - Z zadowoleniem dostrzegł błysk zainteresowania w oczach gospodyni. - Przyjechałem tu jednak w innej, bardziej osobistej sprawie dotyczącej mojego dowódcy, admirała Middletona.

Lady Primrose przez chwilę się zastanawiała, a następnie potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, żebym znała tego dżentelmena.
- Mogła pani znać jego córkę, Helenę Middleton - podpowiedział kapitan.

Anne Drelincourt się zawahała.

- Nie sądzę, żebym miała przyjemność.
- A Portię Edwards? - W głosie Turnera zabrzmiała wrogość. Sądząc po wyrazie oczu, wicehrabina ją zauważyła. - Musi pani ją znać. Uczyła się w pani szkole kilka lat temu.
- Jak mogłabym zapomnieć tę uroczą młodą kobietę? -Lady Primrose siedziała prosto na krześle, z rękami złożonymi na kolanach. Włosy miała nienagannie uczesane i przypudrowane. - Ale minęło dużo czasu, odkąd ją widziałam. A pana co łączy z Portią, kapitanie?

Turner nie miał zamiaru odpowiadać na tego rodzaju pytania.

- Panna Edwards należała do domowego personelu admirała Middletona - odparł niechętnie Turner. Nie przyjechał tu po to, żeby odpowiadać na pytania, tylko je zadawać.
- Była służącą? - zdziwiła się wicehrabina. - To niemożliwe.
- Damą do towarzystwa - sprostował oficer. - Czytała poezję francuską Helenie Middleton. Potem zniknęła. Właśnie dlatego tutaj jestem. Sądzę... admirał Middleton uważa, że panna Edwards mogła przyjechać do pani.
- Och, jaka miła wiadomość! - ucieszyła się gospodyni. Sięgnęła po dzwonek stojący na stole. - Przygotujemy jej dawny pokój. Wie pan, kiedy Portia się zjawi?
- Opuściła Boston przede mną. Powinna już tu być.
- Ale jeszcze jej nie ma. To niedobrze. - Lady Primrose zadzwoniła ponownie. - Proszę powiedzieć mi wszystko, co pan wie, kapitanie. Na jakim statku płynęła? Kiedy wyruszyła? Do jakiego portu? Natychmiast kogoś tam wyślę.

Turner z trudem nad sobą zapanował. Czuł się jak marionetka tańcząca do melodii granej przez zdrajczynię.

- Jest pani pewna, że panna Edwards jeszcze nie przyjechała? - spytał. - Prawdopodobnie jest w towarzystwie.
- W towarzystwie? - Wicehrabina dała znak służącej, która posłusznie czekała przy

drzwiach. - Przygotuj dwa pokoje dla panny Edwards i towarzyszącej jej osoby. - Skierowała wzrok z powrotem na gościa. - Kiedy, kapitanie? Proszę nie trzymać nas w niepewności. Musi pan wiedzieć coś więcej.

- Podobnie jak pani, milady - rzucił Turner.
- Słucham? - Gospodyni pochyliła się na krzesło, zmrużyła oczy. Jej ton był lodowaty. - Jaki jest cel tej wizyty? O co mnie pan oskarża? I co ma pan wspólnego z panną Edwards?

Turnerowi nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby onieśmieliła go kobieta, zwłaszcza starsza od niego o co najmniej dwanaście lat. Teraz jednak poczuł się dziwnie nieswojo. Wyobraził sobie, że w giewhartach rękawiczek kryją się żelazne pazury. Przez głowę przemknęła mu myśl, że lady Primrose jest bardzo niebezpieczna i że łatwo byłoby jej ukryć ciało wroga w lesie otaczającym posiadłość.

Raptem stwierdził, że najchętniej by już stąd wyszedł, oddalił się od jej domu.

- Czekam na odpowiedź, kapitanie - ponagliła gospodyni ostrym tonem. - I jeszcze pan nie wyjaśnił, po co tutaj przyjechał. Dlaczego pański admirał Middleton próbuje odnaleźć Portię?

Wcześniej Turner zamierzał oświadczyć, że panna Edwards porwała Helenę Middleton, gdyby lady Primrose odmówiła ich wydania. Teraz jednak zrodziły się w nim wątpliwości.

Zrozumiał, że siedząc tu i pozwalając, żeby stara jakobitka przejęła inicjatywę, nie osiągnie celu. Powinien był wiedzieć, że otwarte uderzenie jest złą taktyką, gdy ma się do czynienia z osobą tak sprytną jak lady Primrose.

- Chyba za bardzo się zasiedziałem - stwierdził, wstając z krzesła. Ukłonił się sztywno. - Proszę przekazać moje pozdrowienia pannie Edwards, kiedy się pojawi. Miłego dnia, milady.

Gospodyni nie zdziwiło jego pospieszne pożegnanie. Nie próbowała również go zatrzymać. Turner uświadomił sobie, że zgrał wszystkie karty, podczas gdy ona zatrzymała swoje atuty. Była bardzo niebezpieczną kobietą, ale on jeszcze z nią nie skończył.

Chwilę później zostawił Berse Drelincourt za sobą i pojechał prosto do wiejskiej gospody, żeby tam zaczekać do następnego spotkania. Człowiek, z którym się umówił,

był najbardziej gadatliwym z jego informatorów... i najbardziej chciwym. Ten Irlandczyk z Buttevant leżącego na północ od Cork City od roku trenował konie lady Primrose, i robił to dobrze, jeśli można mu wierzyć.

Młodzieniec dotrzymał słowa i stawiał się na małej polanie za cmentarzem. Zanim odpowiedział na pytania Turnera, dokładnie policzył pieniądze, które od niego dostał.

- Dzięki, kapitanie - powiedział, chowając sakiewkę pod szorstką wełnianą koszulę. - Pytał pan o dwie kobiety?

- Widział je pan? - zapytał niecierpliwie Turner.

- Nie, sir. W domu nie było ostatnio żadnych gości. Ani nowych służących. Nikogo, oprócz kuriera, który przyniósł parę listów do pani, jakieś dwa tygodnie temu. Bardzo ją poruszyły.

- Od kogo?

Trener wzruszył ramionami.

- Nie umiem czytać ani pisać, a poza tym widziałem tylko kuriera. Pani przyszła do stajni obejrzeć nowego wierzchowca. Piękny ogier. Kupiłem go od...

- Skąd pan wie, że lady Primrose się zdenerwowała? -przerwał mu Turner.

- Zawołała kamerdynera, postawiła cały dom na nogi, napisała parę listów. Sam jeden zaniósłem do doktora

Kinga, dyrektora St. Mary Hall. Zaprosiła go chyba, żeby przyjechał, bo wydarzy się coś ważnego.

Turner wiedział, że William King to jakobita i przyjaciel lady Primrose. Sięgnął do portfela i podał informatorowi jeszcze jedną monetę.

- Chcę dostać te listy. Irlandczyk potrząsnął głową.

- Nawet bym nie wiedział, gdzie ich szukać.

- Podobno ma pan dziewczynę, która robi dla pana wszystko - warknął Turner.

- Tak, sir. I zrobiłaby, jakbym ją poprosił, ale teraz, kiedy pani wyjeżdża, Mary będzie zbyt zajęta, żeby...

- Gdzie wyjeżdża lady Primrose?

- Do Szkocji - odparł trener.

- Kiedy?

- Mary mówi, że czeka na odpowiedź. Powinna nadejść wkrótce, ale nie wiemy dokładnie kiedy.

- Posłuchaj mnie, człowieku. - Turner nachylił się do trenera. - Możesz zarobić dwadzieścia funtów. Słyszysz? Dwadzieścia funtów.

Mężczyzna zagwizdał cicho.

- Za te pieniądze mógłbym urządzić się w Cork City...

- Nie obchodzi mnie, co pan zrobi z pieniędzmi, ale nie dam ani pensa, jeśli nie zrobi pan tak, jak mówię.

- Jestem do usług, kapitanie - zapewnił Irlandczyk. - Niech pan tylko powie słowo.

- Kiedy przyjdzie list, chcę wiedzieć, od kogo jest. Muszę go dostać.

Trener zmarszczył czoło.

- Rozumie pan, o co proszę? - zapytał Turner.

Informator skinął głową.

- Tak, kapitanie. Za dwadzieścia funtów sprzedałbym własną matkę.

W ciągu tygodnia salony, bawialnie i sypialnie w Baronsford zostały przewrócone do góry nogami. Zapędzono do pracy wszystkie osoby bez zajęcia mieszkające w promieniu pięciu mil. Otworzono okna, wyszorowano podłogi. W pokojach, na klatce schodowej, na korytarzach i w sali balowej rozmieszczono świeże kwiaty.

W dniu przybycia gości Millicent Pennington, hrabina Aytoun, poleciła, żeby wieśniacy i dzierżawcy przybyli do zamku z żonami, rodzicami, dziećmi i psami. Miało być naprawdę uroczyste.

Pragnęła pokazać szwagrowi inne Baronsford, niż to, które zobaczyli z Lyonem, kiedy przyjechali tutaj zeszłej zimy. Już ostrzegła Waltera Truscotta, który zarządzał posiadłością, że wszystko ma wyglądać jak w wielkie święto. Nie chciała żadnych oficjalnych powitań i szpaleru służby, kiedy Pierce zajędzie pod frontowe drzwi.

Pani MacAlister, surowa ochmistrzyni, patrolowała zamek jak sierżant, spełniając życzenia pani z ledwo skrywaną radością. Kamerdyner Campbell również dawał z siebie wszystko. Peter Hewitt, sekretarz hrabiego, zabawiał małą Josephine, podczas gdy jej niania pomagała w porządkach.

Było wczesne popołudnie, kiedy Lyon Pennington wrócił z wioski z Truscottem i zaciągnął żonę do biblioteki.

- Skończyłaś pracę - oznajmił stanowczym tonem, a resztę przygotowań zlecił ochmistrzyńi oraz kamerdynerowi.
- Ale tylu rzeczy muszę dopilnować - zaprotestowała Millicent, kiedy mąż zamknął drzwi biblioteki. - Nawet nie wiesz, ile jeszcze jest do zrobienia.
- Skoro wcześniej o tym nie pomyślałaś, to znaczy, że te rzeczy nie są aż tak ważne.

Hrabia, mocno wsparty na lasce, zrobił krok w stronę kanapy stojącej pod oknem. Tak jak się spodziewał, żona zareagowała natychmiast. Pospieszyła ku niemu i wzięła go pod ramię.

- To ty za dużo na siebie bierzesz - stwierdziła z naganą. - Nie mogę uwierzyć, że pojechałeś do wioski konno zamiast wziąć powóz.

Lyon udawał, że cierpi, póki żona nie usiadła obok niego na kanapie. Otoczył ramieniem jej plecy i przyciągnął ją do siebie. Millicent miała błyszczące oczy i rumieńce na twarzy. Wręcz jaśniała od środka. Lyon czułym gestem położył dłoń na jej rosnącym brzuchu.

- Dom jest gotowy na przyjęcie gości, kochanie - po-wiedział.
- A ty?

Mąż skinął głową i przytulił ją mocno do siebie, kładąc policzek na jej włosach. Millicent rozumiała jego obawy. Statek przybił do zachodniego wybrzeża Szkocji dwa tygodnie temu, ale Pierce nie przyjechał prosto do Baronsford, tylko wysłał posłańca z podpisanymi dokumentami anulującymi przekazanie mu ziemi. W liście napisał, że nie chce, by jego wizyta była połączona z interesami. Wrócił do Szkocji po to, żeby odwiedzić rodzinę.

Lyon bardzo chciał mieć już za sobą pierwsze spotkanie. Męczyło go oczekiwanie. Nie wiedział, czy list brata rzeczywiście jest prośbą o pokój. Cóż, goście powinni zjawić się przed zmierzchem.

- Szkoda, że jeszcze nie ma twojej matki - powiedziała z żalem Millicent.
- Wkrótce przybędzie - uspokoił ją mąż. Starsza pani tak polubiła Melbury Hall, że przy każdej wizycie spędzała w posiadłości synowej kilka miesięcy. Trzymała ją tam głównie przyjaźń z Ohenewą, czarną uzdrowicielką, którą Millicent wykupiła z niewoli. - Pewnie teraz męczy Ohenewę, żeby pojechała z nią do Szkocji.

Zona uniosła głowę z jego ramienia.

- Dowiedziałeś się o pannie Edwards i jej matce czegoś więcej ponad to, co twój brat

napisał w liście?

Lyon potrząsnął głową.

-Nic.

Pierce uprzedził, że podróżują z nim dwie kobiety, które wybierają się do Walii, ale udało mu się przekonać Portię, żeby na jakiś czas zatrzymały się w Baronsford.

- Czuję, że ze strony Pierce'a to coś więcej niż zwykłe zainteresowanie towarzyszką podróży - powiedział Lyon.

- Nie ma to jak miłość, żeby uleczyć rany - skomentowała hrabina. - Chyba polubię pannę Edwards. Oby tylko Pierce mną się nie rozczarował.

Lyon spojrział w piękne oczy żony. Wiedział, że Millicent porównuje siebie i Emmę. Obie różniły się pod względem charakteru i wrażliwości jak ogień i woda.

- Będzie tobą zachwycony - zapewnił mąż. - Jesteś całym moim życiem, największą miłością. Pierce byłby głupcem, gdyby nie zrozumiał, że jeśli chce pokoju, musi zawrzeć go z nami obojgiem. - Pocałował żonę w usta. - A nie sądzę, żeby nagle stracił rozum.

Podczas gdy pojazd toczył się na wschód, Pierce roztrząsał w myślach dziesiątki wątpliwości, które go dręczyły, odkąd statek przybił do Greenock.

List, który dostał od brata w Bostonie, został wysłany wczesną wiosną. Te kilka słów było jedyną wiadomością od brata od długiego czasu. Ciekawe, jak teraz zdrowie Lyona? Czy jego małżeństwo było tak szczęśliwe, jak opisywał? Czy odzyskał spokój ducha? I czy nadal chciał zobaczyć Pierce'a, choć on nie odzywał się od miesięcy?

Były również inne, praktyczne kwestie. Pierce nie wiedział, czy Lyon i jego żona są w Szkocji. Zawiadomił ich o swoim przyjeździe i nawet nie poczekał na odpowiedź albo zaproszenie. Może wcale nie powitają go tam z otwartymi ramionami.

Z rozmyślań wyrwał go lekki dotyk ręki na kolanie.

Portia, która siedziała naprzeciwko niego, pochyliła się do przodu i splotła palce z jego palcami. Pierce spojrział w jej oczy i dostrzegł w nich napięcie. Helena spała obok córki. Pierce przeciągnął Portię na swoją stronę.

- Gryziesz się - szepnęła, głaszcząc go po czole. Następnie musnęła wargami kącik jego ust i szybko się cofnęła.

Pierce otoczył ją ramieniem, przycisnął jej głowę do swojej piersi i pocałował jedwabiste loki. To jej zawdzięczał względny spokój ducha. Kiedy z Greenock pojechali do

Glasgow, żeby ich list zdążył dotrzeć do Baronsford, przez dwa tygodnie skupiał na niej całą uwagę.

Dla godzin, które udało się im dla siebie wykraść, warto było żyć. Kiedy tylko Portia mogła, wślizgiwała się nocą do jego pokoju. Za dnia też kilka razy zaciągnął ją w ustronne miejsce i kochali się tam jak szaleni. Nigdy nie mieli siebie dość. Wspomnienia innych kobiet całkiem się zatarły. Pierce chciał pamiętać tylko Portię.

Ona zawsze potrafiła wywołać uśmiech na jego twarzy, ale kiedy postanowił kupić jej i Helenie nową garderobę w Glasgow, ostro się sprzeciwiła. Z dawnymi kochankami nie miałby tego rodzaju kłopotu. Natomiast z Portią musiał długo prowadzić negocjacje jak przy zawieraniu międzynarodowego traktatu.

Wyjrzał przez okno powozu i wrócił myślami do brata. Miał nadzieję, że Millicent jest taka, jak opisał ją Lyon. Zerknął na Portię i uświadomił sobie, że właśnie tak wyobraża sobie bratową. Rozumiał jednak, że zbyt dużo oczekuje.

- Jaki piękny słoneczny dzień - wyszeptała Portia, siadając prosto. - Zupełnie inny niż wtedy, gdy byłam w Szkocji.
- To dobry znak - skwitował Pierce.
- Opowiedz mi o Baronsford - poprosiła Portia z błyskiem w ciemnych oczach.
- To dom.

- Bardzo dużo mi pan wyjaśnił, panie Pennington. W takim razie opowiedz mi o jego mieszkańcach. Kogo powinnam poznać? Kogo mam się strzec? Gdzie pójść, co powiedzieć, czego nie mówić?

- Opowiadałem ci o Lyonie i Millicent. Posiadłością zarządza Walter Truscott, mój kuzyn ze strony matki. Jest młodszy od Davida i wychowywał się z nami w Baronsford. Uważamy go za brata. Pani MacAlister, ochmistrzyni, to prawdziwy tyran.

- Jak pani Green? - zapytała Portia z niepokojem. Pierce potrząsnął głową.

- Ani trochę. Ta kobieta ma złote serce, ale lubi wszystkim rozkazywać. Kto jeszcze? Kamerdynerem jest Martin Campbell. Niski, żylasty i stary, lecz pełen energii. Jeśli chodzi o pozostałą służbę, niestety nie znam nikogo.

Zważywszy na aurę skandalu, która długo otaczała Baronsford, byłoby dziwne, gdyby został tam ktoś z dawnych służących.

- Co mówić? - Pierce spojrział na wyczekującą minę Portii, nachylił się i szepnął: - Powiedz pani MacAlister, że jesteś moją kochanką, i każ zanieść swoją walizkę do mojej sypialni. - Skubnął zębami płatek jej ucha. - A gdyby jej się to nie spodobało, wyślij ją do diabła.

- Jest pan niepoprawny, panie Pennington. – Portia dźgnęła go palcem w pierś. Pierce się uśmiechnął na widok rumieńca, który wypłynął na jej policzki. Bawiło go, kiedy zaprzeczała temu, co dla wszystkich wokół musiało być oczywiste. Ale nie łączyło ich tylko pożądanie. Uwielbiał z nią rozmawiać. Była wyjątkowa pod każdym względem. Od tamtej nocy, kiedy wpadła na niego w ogrodzie admirała, stali się nie tylko kochankami, lecz również przyjaciółmi, powiernikami. A on nie chciał, żeby to wszystko się skończyło. Czekał jedynie na właściwy moment, żeby zadać jej najważniejsze pytanie.

Helena się poruszyła i otworzyła oczy - Portia natychmiast wróciła na swoje miejsce.

- Jak jeszcze daleko? - zapytała matka sennym głosem. Pierce pobiegł wzrokiem ku znajomemu wzgórzcu i dużemu zamkowi stojącemu na jego szczycie.

- Jesteśmy na miejscu.

Było popołudnie, kiedy Irlandczyk przyszedł do pokoju Turnera. Wyraźnie podniecony, dwa razy się upewniał, czy naprawdę dostanie obiecane dwadzieścia funtów. Kapitan zapewnił, że tak, i wpuścił go do środka.

•Zeszłego wieczoru przybył posłaniec z listem do panny Fines. Tak się złożyło, że stałem na podjeździe i patrzyłem, jak Mary zrywa kwiaty w ogrodzie. Od razu podszedłem, żeby wziąć konia od chłopaka. Po jego akcencie poznałem, że jest cudzoziemcem. Może Francuzem. Odkąd pracuję w Drelincourt, nigdy nie było tam żadnej panny Fines. Ale zaraz przybiegła pokojówka lady Primrose, wzięła list i pędem wróciła do domu. Ma pan coś na zwilżenie gardła? - Trener nalał sobie piwa z dzbanka stojącego na stole i jednym duszkiem wychylił kubek. - Natychmiast wysłałem za nią moją Mary. Dziewczyna już obmyśla, jak się urządzimy za te pieniądze... Ma je pan, prawda? No więc poszła za tamtą i przyłożyła ucho do drzwi. Usłyszała kawałek rozmowy między panią a pokojówką. Ten, kto przysłał list, zgadza się spotkać z panną Fines w jakimś Barrisford albo Bearsford... albo...

- Baronsford - podpowiedział Turner, wyraźnie ożywiony. - Znam to miejsce. Wiadomo, kiedy to spotkanie?

- W ostatnią środę lipca.

Kapitan wręcz nie mógł uwierzyć w ten szczęśliwy zbieg okoliczności. Wszystkie ślady prowadziły do Penningtona.

- Mary powiedziała, że to chyba gdzieś w Szkocji - dodał informator. - Lady Primrose od razu kazała szykować się do podróży na północ.

- Od kogo był list? - spytał Turner. - Nazwisko. Trenerowi wyciągnęła się twarz.

- Nie wiem, sir.

- Muszę go mieć - rzucił kapitan niecierpliwie.

- To niemożliwe, sir - zaprotestował Irlandczyk. Turner przysunął się i spojrzał na niego z góry.

- Jeśli chcesz dostać te dwadzieścia funtów, przyjacielu, musisz go zdobyć.

Trener podrapał się po głowie. Widząc jego wahanie, kapitan pokazał mu pękata sakiewkę. Na twarzy mężczyzny odmalowało się oszołomienie, a potem determinacja.

- Pogadam z moją Mary i zobaczę, co da się zrobić. Kiedy Turner został sam, doszedł do wniosku, że chodzi o księcia Karola Edwarda, znanego również jako Bonnie Prince Charlie albo Młodszy Pretendent. Potrzebował jednak dowodu. Do schwytania tak ważnej osoby, wroga panującego króla, niezbędny był co najmniej jeden oddział żołnierzy. A jeśli zamierzał przekonać dowódcę regimentu, żeby udzielił mu wsparcia, musiał pokazać list.

Kiedy tylko powóz się zatrzymał, Pierce otworzył drzwi i wysiadł. To był ten sam zamek, ale wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy go opuszczał. Na podjeździe zebrały się setki ludzi, jakby odbywało się jakieś święto. Kobziarze z okolicznych wiosek zaczęli grać na powitanie gości. W powietrzu unosił się zapach pieczonego mięsa, na prowizorycznych stołach ustawiono beczki z piwem. Wszędzie płały się dzieci i psy, wieśniacy, z których większość dobrze znał, byli wystrojeni w najlepsze ubrania. Od strony pól nadchodzili kolejni.

Pierce'owi ścisnęło się gardło. Przypomniały mu się czasy, kiedy razem z braćmi i innymi dziećmi biegali jak szaleni po całym Baronsford, wspinali się na skały, pływali w rzece. To były beztrudne dni bez żadnych zmartwień. Dni, kiedy ukaranie zdrajcy

polegało na wsadzeniu mu nosa w błoto. Dni, kiedy winowajcy przebaczało się od razu po wyrażeniu przez niego skruchy.

Pierce zamrugał, żeby pozbyć się dziwnej mgły, która przesłaniała mu wzrok, i zobaczył, że zbliża się do niego Walter Truscott. Chwycił kuzyna w objęcia i uściskał go serdecznie.

- Jak Lyon? - spytał zdławionym głosem.
- Dobrze, dziękuję - odezwał się za nim znajomy głos. Pierce odwrócił się i ujrzał brata w odległości paru kroków. Gdy dostrzegł Lyona, gardło ścisnęło mu się jeszcze bardziej. Dobrze pamiętał, w jakim stanie go tu zostawiał. Teraz brat stał o własnych siłach. Pierce spojrział na jego szerokie ramiona, na wyprostowane plecy. Z całej postawy hrabiego Aytoun bila pewność siebie, twarz rozjaśniał uśmiech.

- Będziesz tak się gapił przez cały dzień? - burknął Lyon. Pierce podszedł do niego, ale nie ujął wyciągniętej ręki, tylko, ku aplauzowi tłumu, dźwignął brata w górę.

- Jesteś cięższy niż kiedyś - wysapał. - Utyłeś.
- A ty zmalaleś i zbrzydłeś - odparował Lyon, ale uściskał go, gdy tylko stanął z powrotem na ziemi. - Już zapomniałem, jaki jesteś drobny.

Pierce objął brata zapaśniczym chwytem.

- Nadal mogę cię pokonać - ostrzegł.
- Tylko spróbuj. - Lyon pociągnął go za kucyk. - Ale co to za pomysł z tymi długimi włosami?
- W koloniach to ostatni krzyk mody. Nie płacimy podatków od włosów ani od pudru do peruk.

Hrabia się roześmiał.

- Słyszeliśmy, że od niczego nie płacie podatków.
- To prawda - przyznał Pierce. - Myślałem również o wyhodowaniu brody. Chciałem wyglądać źle, żebyś się nade mną zlitował i przyjął mnie z powrotem.

W końcu Lyon spoważniał i wyciągnął rękę. Tłum się uciszył.

- Witaj w domu, bracie - rzekł hrabia.

25

Faliste pola ciągnęły się wokół Baronsford jak okiem sięgnąć; wyglądały jak ogromny

zielony dywan. Portia widziała również gęsty las, jezioro, ogrody oddzielone murami, ścieżki wijące się po zboczach wzgórz górujących nad rzeką Tweed. Sam zamek, odnowiony przez wielkiego Roberta Adama, był siedzibą godną króla. W jego komnatach pomieściłyby się wszystkie bostońskie rodziny, doszła do wniosku Portia, zwiedzając kolejne skrzydła, piętra, apartamenty, bawialnie, jadalnie i biblioteki.

Nie miała wątpliwości, że Baronsford to najpiękniejsze miejsce na świecie, zarówno dom, jak i otaczający go teren. Nic dziwnego, że pierwsza żona hrabiego, Emma, zawsze pragnęła posiadać je na własność.

Portia nie wyobrażała sobie, że sama roi tego rodzaju marzenia. I nie przypuszczała, żeby obecna hrabina Aytoun, która oprowadzała ją po zamku, uznała ich spełnienie za sprawę najważniejszą w życiu.

Millicent, jak kazała do siebie mówić, była bardzo miła dla Portii i Heleny. Traktowała je z taką samą serdecznością, z jaką powitała Pierce'a, kiedy tylko wysiadł z powozu.

Hrabia również przyjął gości z otwartymi ramionami. Mimo dużego podobieństwa między braćmi widać było, że Lyon jest starszy, a jego rysy mówiły o ciężkich przeżyciach. Na szczęście nie zgorzkniał pod ich wpływem.

Portia natychmiast polubiła swojego gospodarza i jego żonę.

- I co o tym wszystkim myślisz? - zapytała Millicent, kiedy dotarły na drugie piętro wschodniego skrzydła.

- Czuję się... onieśmielona - wyznała Portia.

Gospodyni uśmiechnęła się, otwierając drzwi sypialni, którą dla niej przeznaczyła.

- Ja też byłam przytłoczona, kiedy pierwszy raz zobaczyłam Baronsford. Ale uważam, że to ludzie tworzą dom.

Wkrótce się oswoisz.

Portia nie odpowiedziała, że nie zostaną tu dostatecznie długo.

- Planowaliśmy umieścić twoją matkę obok ciebie, ale kiedy zobaczyłam, jakie ma kłopoty ze wzrokiem, zaczęłam się zastanawiać, czy nie byłoby jej wygodniej na parterze - stwierdziła hrabina. - Albo moglibyśmy przygotować dla was apartament.

- Sąsiednie pokoje wystarczą - zapewniła Portia. - Jesteś bardzo miła, że o tym pomyślałaś.

Jej walizkę już wcześniej przyniesiono na górę. Chodząc po wielkim pokoju, Portia ze

zdziwieniem zauważyła, że jej kilka nowych sukien już wisi w szafie. Zatrzymała się przy otwartych oknach wychodzących na ogrody. Zobaczyła, że matka spaceruje z opiekunką po żwirowej ścieżce. Po spędzeniu wielu godzin w powozie Helena wolała się przejść niż zwiedzać dom. Portia usłyszała śmiech matki. Obie kobiety najwyraźniej miło sobie gawędziły.

Millicent podeszła do niej i też wyjrzała przez okno.

- To Bess, najmilsza istota na świecie - powiedziała. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, poproszę ją, żeby zaopiekowała się twoją matką. Będzie na każde jej zawołanie.

- Jesteś za dobra - rzekła Portia, szczerze wzruszona.

- Och, przestań. Po prostu bardzo się cieszymy z waszej obecności. A co sądzisz o pokoju? Może być?

Portia odwróciła się od okna i powiodła wzrokiem po ogromnym pomieszczeniu: eleganckie meble, malowidła na ścianach, aksamitne orientalne dywany, jedwabna haftowa-na kapa na łożu. Wszystko było piękne, ale Portia czuła się tu trochę nieswojo. Komnata nadawała się dla królowej. Ona z pewnością nie zasłużyła na takie przyjęcie. Nie mogła dopuścić, żeby Millicent brała ją za kogoś innego. Nie chciała nieporozumień ani wprowadzania w błąd.

- Ten pokój jest większy niż całe pierwsze piętro w bostońskim domu pastora Higginsa i jego żony - powiedziała. - Przez osiem lat, do zeszłego miesiąca, byłam nauczycielką ich dzieci.

- Ile mają lat? - zainteresowała się Millicent.

- Osiem i dziesięć. Dziewczynka i chłopiec.

- Dobrze ze sobą żyją?

- Na ogół tak, zwłaszcza kiedy były młodsze. Ostatnio Ann, ośmiolatka, próbuje rządzić.

Hrabina z uśmiechem dotknęła brzucha.

- To małe i naszą Josephine będzie dzielić niecały rok, więc mam nadzieję, że żadne nie będzie dążyło do uzyskania przewagi.

- Josephine? - powtórzyła Portia.

- Poznasz ją, kiedy obudzi się z drzemki. Właściwie to najpierw ją usłyszysz. Bardzo lubi brzmienie swojego głosu. Czasami uspokaja się dopiero wtedy, gdy przychodzi do niej Lyon. - Millicent opadła na sofę. - Jeśli mój mąż zapyta, powiedz mu, proszę, że dużo

odpoczywałam w czasie zwiedzania.

- Oczywiście - obiecała Portia, siadając obok gospodyni.
- Josephine jest naszą córką... a właściwie została nią, kiedy jej matka zmarła przy porodzie. - Na twarzy młodej kobiety odmalował się smutek. - Wiem, że to dziwne, lecz jeszcze się nie zdecydowałam, jak o niej mówić. chciałabym rozgłaszać, że jest nasza, ale jednocześnie wzdragam się przed odebraniem zasługi kobiecie, która cierpiała, żeby wydać na świat tak piękne dziecko.

Patrząc na zaszępioną hrabinę, Portia pomyślała o własnym życiu.

- Na pewno czeka ją wiele radości w życiu - powiedziała. - Wasza Josephine nie będzie dorastała w sierocińcu, tylko w prawdziwej rodzinie. Na podstawie własnego doświadczenia sędzę, że byłoby najlepiej, gdyby uważała was za prawdziwych rodziców. Przynajmniej oszczędzicie jej zamętu w sercu. Oczywiście pod warunkiem, że jej ojciec i matka nie żyją.
- Byłam przy jej matce, kiedy umierała. A jeśli chodzi o ojca... - Millicent potrząsnęła głową. - Obawiam się, że niektóre sekrety nigdy nie wyjdą na jaw.

Podobnie jak tajemnica, kim jest mój ojciec, pomyślała Portia.

- Kiedy? - zapytała, patrząc na brzuch hrabiny. Przemiana była natychmiastowa. Millicent uśmiechnęła się promiennie, a Portia zrozumiała, że zawiązuje się między nimi przyjaźń.

Pierce uświadomił sobie ogrom zmian, które zaszły w Baronsford, kiedy przeszedł przez ogromny hol i spojrzął na podest szerokich, krętych schodów. Ze ściany zniknął portret Emmy. Później, gdy zobaczył, z jaką czułością Lyon patrzy na żonę, pojął, że usunięcie obrazu jest wyrazem przemiany, która dokonała się w jego bracie.

Panowanie Emmy się skończyło. Baronsford i Lyon uwolnili się od niej całkowicie.

W czasie rozmowy w bibliotece ani słowem nie wspomnieli o ostatniej konfrontacji. Pierce zrozumiał, że obaj uznali swoje błędy, pogrzebali przeszłość i teraz razem mogli ruszyć dalej.

Z przyjemnością wysłuchał opowieści, jak Lyon i Millicent się poznali. Wyswatali ich hrabina wdowa i rodzinny prawnik, sir Richard Maitland. Ślub przyspieszono, bo matka akurat miała jeden ze swoich napadów lęku, że umiera. Brat opowiedział mu również o Melbury House i o tym, jak pod opieką Millicent i wyzwolonej niewolnicy o imieniu

Ohenewaa doszedł do zdrowia. Każde słowo Lyona świadczyło o jego głębokiej miłości do żony i o szczęściu.

- Niestety wiszą nad nami chmury - stwierdził hrabia. - Wokół źle się dzieje. - Pokrótce wyjaśnił, jak się sprawy przedstawiają. - Chciałbym pojechać z tobą do wioski i na farmy. Może odwiedzimy kilku sąsiadów. Nasi dzierżawcy będą teraz spokojniejsi, bo wróciłeś. Lecz codziennie zjawiają się nieszczęśnicy wypędzeni z ziemi, z której żyli od pokoleń. A do tej tragedii doprowadziła zwykła chciwość.

Gdy z kolei zaczęli rozmawiać o sytuacji w koloniach, Pierce z zaskoczeniem stwierdził, że jego brat wie o przemyśle oraz wsparciu, którego on i Nathaniel udzielali Synom Wolności.

- Wszystko dlatego, że zatrudniam na statkach ludzi z Borders - stwierdził.
- Zwłaszcza tych, którzy mają rodziny na wsi - zgodził się Lyon. - Ale myślę, że twój sekret jest tutaj bezpieczny. Wiesz, że między Baronsford a naszym królem i jego ministrami nie ma miłości. Gazette zamieściło ostatnio ciekawą historię o słynnym przemytniku. Nazywa się MacHeath. Słyszałeś coś o tym człowieku?
- Taki szanowany armator jak ja? - zdziwił się Pierce. - Skąd miałbym znać jakiegoś rzezimieszka?
- Nie wiem. Tyle że on może znajdować się bardzo blisko mnie. - Lyon zmierzył brata wzrokiem. - Oczekuję pełnego raportu.
- Zanim do tego przejdziemy, powinieneś wiedzieć, że David został wysłany do Bostonu - oznajmił Pierce. -

Obawiam się, że możemy stanąć po przeciwnych stronach barykady.

- Więc bardzo się cieszę, że jesteś tutaj, a nie w koloniach - skwitował hrabia.
- Nie zostanę tu długo - uprzedził Pierce. - Muszę niebawem wracać, a nie spieszy mi się do spotkania z Davidem.
- Więc musimy wymyślić jakieś rozwiązanie. Trzydzieści cztery lata zabrało mi uświadomienie sobie, co naprawdę liczy się w życiu. - Lyon położył rękę na ramieniu brata. - Millicent jest moim szczęściem, nasze dzieci będą spełnieniem marzeń. Zrobimy wszystko, żeby utrzymać pokój między tobą a Davidem. Najważniejsza jest rodzina.

Portia z radością stwierdziła, że udało się jej zdobyć serce kolejnego dziecka, choć z

początku zaskoczyło ją, że hrabiostwo Aytoun pozwalają córce uczestniczyć w życiu dorosłych. Nawet u Higginsów, którzy traktowali potomstwo lepiej niż wielu rodziców, Ann i Walter trzymali się raczej swoich przyjaciół, lekcji, swojego pokoju i kuchni, z wyjątkiem szczególnych okazji i wspólnych modlitw. W Baronsford było inaczej, co Portii bardzo się spodobało.

Josephine okazała się śliczna, ale rzeczywiście bardzo głośna i ruchliwa. Nie pozwalała się lekceważyć.

Natychmiast zawojowała Helenę. Obudziła się, kiedy Bess pokazywała gościowi pokój dziecięcy. Kiedy panna Middleton wzięła Josephine na ręce, ta zaczęła klepać ją po policzkach i szczypać w nos. Następnym łatwym celem stał się Pierce. Ponieważ był podobny do taty, mała ochoczo wyciągnęła do niego ramionka, a potem zaczęła wierzgać nóżkami i wydawać donośne okrzyki radości. Jeśli chodzi o Portię, dziewczynkę zafascynowały jej ciemne loki. Brała je garściami i śmiała się, kiedy jej nowa znajoma udawała, że krzyczy z bólu. W rzeczywistości Portia nie miała nic przeciwko tym torturom, bo w zamian dostawała bezzębny uśmiech i wesoły szczebiot. Niechętnie rozstawała się z Josephine, kiedy przyszła pora na spanie. Po wystawnej kolacji trzy kobiety udały się do salonu, a Pierce, Lyon i Truscott zostali w jadalni na drinka i dyskusje o polityce.

- Teraz rozumiecie, co miałam na myśli - powiedziała Millicent. Wcześniej wyjaśniła Helenie okoliczności narodzin małej. - Josephine jest zdumiewająca. Już w tym wieku cechuje ją godna podziwu pewność siebie.
- Nie sądzisz, że tak jest dzięki waszej trosce i miłości? -zapytała Helena. - Dziecko nie rodzi się z ukształtowanymi cechami charakteru.
- Jeśli w przyszłości będziesz potrzebowała dla niej nauczycielki, chętnie nią zostanę - oznajmiła Portia.
- Nauczycielką? Liczę na to, że odwiedzicie nas wiele razy, ale w liczniejszym gronie.

Portia poczerwieniała na twarzy. Wołała się nie zastanawiać, co Millicent miała na myśli. Poczula się jeszcze bardziej skrępowana, kiedy zobaczyła, że do salonu wchodzi mężczyźni z Piercem na czele. Sądząc po jego minie, mógł usłyszeć ostatnią uwagę hrabiny.

- Czy będą panie miały coś przeciwko temu, jeśli zabiorę pannę Edwards na spacer do

ogrodu? - zapytał.

Portia zarumieniła się mocniej. Millicent i Helena zgodziły się od razu, natomiast Lyon i Truscott zaprotestowali.

- Was dwóch nikt nie pytał o zdanie - stwierdził Pierce i z ukłonem podał ramię wybrance.

Portia chcąc nie chcąc musiała je przyjąć.

- Na dworze jest zupełnie ciemno - wyszeptała, patrząc w jego niebieskie oczy.

- I bardzo dobrze - odparł cicho Pierce.

Kiedy Portia zaczęła przeproszać obecnych, Millicent pospieszyła jej na ratunek, pytając Helenę o pogodę w czasie rejsu. Tymczasem Pierce ruszył w stronę tarasu.

Portia przez cały czas milczała, ale kiedy zeszli po schodach na trawnik, wybuchnęła:

- Przez całe popołudnie starałam się grzecznie zachowywać. Bardzo uważałam, żeby nie...

Pierce wziął ją w ramiona i uciszył pocałunkiem. Jak zawsze pozbawił ją tchu i przyprawił o zawrót głowy.

- Cieszę się, że tobie również było trudno trzymać się ode mnie z daleka - rzekł w końcu z szelmowskim uśmiechem.

Pociągnął ją przez łukowate wejście do dużego ogrodu otoczonego bukszpanem.

Portia musiała biec, żeby dotrzymać mu kroku. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu, ale kiedy stanęli ukryci za wysokim żywopłotem, oznajmiła z powagą:

- Wiedz, że nabrałam ogromnego szacunku do twojej bratowej.

- Ja również.

Portia cofnęła się o krok, gdy Pierce ruszył w jej stronę.

- To urocza kobieta - dodała.

- Zgadzam się z tobą. Nigdy nie widziałem Lyona szczęśliwszego.

Portia zrobiła kolejny krok w tył.

- Musimy pamiętać, że to jest ich dom. Ostatnią rzeczą, jakiej bym im życzyła, to skandal...

- Słusznie - rzekł Pierce ze śmiechem.

Chwytał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie.

- Na pewno wszyscy wiedzą, po co tutaj przyszedliśmy - stwierdziła Portia, choć jej opór

słabł z każdą chwilą.

• Musieliby być osłami, żeby się nie domyślić - przyznał Pierce.

- Jesteś szalony.

- Istotnie, kochanie. - Zaprowadził ją na kamienną ławkę. - Szaleję za tobą.

Portia w końcu uległa namiętności. Sięgnęła do jego spodni. Pierce równie niecierpliwym gestem podciągnął jej spódnice i posadził ją sobie na kolanach. Gdy Portia poczuła go w sobie, gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

Trzymał ją mocno, podczas gdy ona poruszała się co-raz szybciej. Miała wrażenie, że stoi na skraju przepaści, gotowa rzucić się w otchłań. Jej ciało płonęło. Usłyszała własny jęk, ale Pierce stłumił go pocałunkiem. Nagle przytrzymał ją za ramiona i unieruchomił. Wziął jej dłoń i położył ją na swoim sercu.

- Czuję cię tutaj - powiedział cicho. - Stałaś się częścią mnie, Portio Edwards.

Łzy napłynęły jej do oczu. Jak to możliwe, żeby ten piękny mężczyzna akurat ją wybrał?

Ujęła jego twarz w drżące dłonie, pocałowała w usta.

- Kocham cię, Pierce. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

W tym momencie Pierce stracił panowanie nad sobą. Zsunął dekolt jej sukni, przywarł ustami do piersi. Razem odnaleźli rytm miłości, zatracili się całkowicie, aż wreszcie ze stłumionym okrzykiem ulecieli ku wygwieźdzonemu niebu.

Portia uniosła głowę z jego ramienia.

Była oszałamiająco piękna. Dzika i nieokiełznana. Hojna i bezinteresowna. Należała do niego. Na zawsze. I wtedy, pod gwiazdami świecącymi jak diamenty, Pierce wyszeptał słowa, które od dawna nosił w sercu.

- Wyjdiesz za mnie, ukochana?

Popatrzyła na niego tak, jakby przemówił w nieznanym języku.

- Wyjdiesz za mnie? - powtórzył Pierce. - Zostaniesz moją żoną?

Portia milczała przez dłuższą chwilę, po czym nagle wstała z jego kolan i opuściła spódnice. Pierce szybko poprawił ubranie, zerwał się z ławki i zastąpił jej drogę.

- Nie zasłużyłem na odpowiedź? - spytał.

Kiedy Portia na niego spojrzała, w jej oczach lśniły łzy.

- Odpowiedź brzmi: nie. Nie mogę za ciebie wyjść.

Pierce'a ogarnął gniew, ale tylko na krótko. Znał ją tak dobrze, że właściwie oczekiwał

takiej reakcji.

- Chcę usłyszeć, dlaczego - rzekł, siłąc się na spokój. Portia odwróciła się gwałtownie. Pierce obszedł ją i stanął z nią twarzą w twarz.

- Nie mogę za ciebie wyjść - powtórzyła. - To powinno ci wystarczyć.
- Ale nie wystarcza. - Kiedy próbowała odejść, chwycił ją za rękę. - Znam cię. Wiem, co myślisz. Płaczesz, kiedy wyznaję ci miłość, bo czujesz do mnie to samo. Ale według ciebie propozycja małżeństwa uświadamia nam, kim jesteśmy i jakie miejsce zajmujemy na drabinie społecznej.
- I co mam tobie do zaoferowania - krzyknęła Portia. - Nic! - Wskazała na zamek. - Rozejrzyj się. Zobacz, skąd pochodzisz, a potem spójrz na mnie.
- Patrzę na ciebie. - Pierce uniósł jej brodę i zajrzał w oczy. - Widzę piękną, inteligentną kobietę, która budzi we mnie żądze, a jednocześnie zmusza do wysiłku umysłowego. Kobietę, która stała się najważniejszą istotą w moim życiu. Kobietę, która jest spełnieniem moich marzeń. Kobietę, która być może nosi w łonie moje dziecko. - Zmieszana Portia próbowała uwolnić rękę, ale Pierce jej nie puścił. - Nie uciekniesz przed prawdą, kochanie. A jeśli się okaże, że mam rację? Chcesz, żeby twoje dziecko powtórzyło twój los? Uważasz, że twoja duma jest ważniejsza niż rodzinne szczęście?

- Puść mnie - wykrztusiła Portia przez łzy. - Proszę. Pierce odprowadził ją wzrokiem, kiedy biegła przez ogród. Nie zamierzał się poddać. Portia była uparta, ale on również.

Portia wsunęła się do domu bocznym wejściem i od razu pospieszyła do swojej sypialni. Nie zapaliwszy świece, rzuciła się na łóżko.

Łzy płynęły ciurkiem po twarzy. Smutek ścisnął serce. Słowa Pierce'a wciąż rozbrzmiewały w uszach. Kochał ją. Ona kochała jego. Dlaczego to mu nie wystarczało? Dlaczego nie mogli po prostu zostawić wszystkiego, tak jak jest? Czy musieli się pobierać?

Nie potrafiła przejrzeć myśli Pierce'a, nie wiedziała, jak do niego dotrzeć. Jak mu wytłumaczyć, że ona nie może wziąć ślubu, ponieważ nic nie wniosłaby do małżeństwa. Nie byli sobie równi. Nie mogła mu nic dać. Teraz jej obawy wydawały się Pierce'owi nieuzasadnione, ale prędzej czy później musiały się potwierdzić.

Po pewnym czasie rozległo się ciche pukanie do drzwi. Portia nie wiedziała, która

godzina. W sypialni panowały ciemności. Usiadła na łóżku. Miała nadzieję, że intruz się zniechęci i odejdzie. Niestety zapukał znowu.

Zrezygnowana podeszła do drzwi i uchyliła je lekko. Na korytarzu stała Helena, już w koszuli nocnej.

• Mogę wejść? - zapytała.

• Właśnie szykowałam się do snu - odrzekła Portia zdławionym głosem.

Matka weszła do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

- Przyszłam, żeby ci pomóc - oznajmiła.

Portia zamknęła drzwi i szybko usunęła z drogi krzesło, żeby Helena się nie potknęła.

• Naprawdę sama sobie poradzę, mamó.

• Myślę, że nie. - Helena usiadła na brzegu łóżka. - Chodź tutaj.

Portia przygryzła wargę, kiedy zobaczyła jej poważną minę.

• Nie jestem w nastroju do słuchania wykładów - oświadczyła.

• To dobrze, bo nie potrafię ich robić. - Helena poklepała łóżko obok siebie. - Powiedziałam, chodź do mnie.

Portia posłusznie usiadła obok matki, która wyciągnęła rękę i dotknęła mokrej twarzy córki.

• Tak myślałam - stwierdziła.

• Co myślałaś?

• Że znowu się pokłóciliście - odparła matka.

• Nieprawda.

• Może myślisz, że potrafisz zwodzić ludzi, ale ja nie jestem ślepa... w przenośnym znaczeniu. Pierce wpadł do domu jak ranny niedźwiedź. Opowiadaj, co się stało.

-Nic.

- Portio! Mów prawdę.

Portia milczała przez dłuższą chwilę, ale w końcu się poddała.

• Powiedział, że mnie kocha - wykrztusiła.

• Och, to straszne. - Helena przytuliła głowę córki do piersi i pogłaskała ją po włosach. - Zawsze wiedziałam, że jest niewrażliwym młodym człowiekiem. Jak mógł coś takiego powiedzieć?

- Kpisz sobie ze mnie - obruszyła się Portia i jednocześnie roześmiała.
 - Wcale nie. Zresztą to nie może być jedyny powód twoich łez.
- Portia wytarła oczy chusteczką, którą podała jej matka.
- Poprosił mnie również, żebym za niego wyszła.
 - A to łajdak! - wykrzyknęła Helena z oburzeniem.
 - Stoisz sobie ze mnie żarty, ale ja mówię poważnie. Zdenerwował się, bo odrzuciłam jego oświadczenia. Kocham go, ale nie mogę za niego wyjść, bo pochodzimy z dwóch różnych światów. Dzieli nas przepaść. Nic nie wniosłabym do małżeństwa.
 - Uważasz, że ty mu nie wystarczysz? - zapytała matka. Portia potrząsnęła głową.
 - Proszę, mammo.
- Mówię poważnie. - Helena ujęła w dłonie twarz córki. - Ty jesteś dla niego najważniejsza. On pragnie tylko ciebie.
- Więc się rozejrzyj, zobacz, gdzie Pierce się wychował. do jakiej klasy należy.
 - To ty powinnaś się rozejrzeć, ale nie oczami, tylko sercem. Zapomnij na chwilę o innych ludziach i pomyśl o was dwojgu. Sądzisz, że Pierce kochałby cię bardziej, gdyby twoja rodzina była równie bogata jak jego? Myślisz, że traktowałby cię inaczej, gdybyś urodziła się jako królewska córka?
 - Oczywiście, że nie! - krzyknęła Portia.

W tym samym momencie zrozumiała, że wpadła z pułapkę.

- Jeśli tak, cała wasza przyszłość spoczywa w twoich rękach - stwierdziła matka.

26

Turner stał w oknie biura przy West Yorkshire 24th Foot. To niedopuszczalne, myślał rozgniewany, by oficer jego rangi i zasług był traktowany bez szacunku przez zwykłego piechociarza. Spojrzał na zegarek, wściekły, że dowódca regimentu, pułkownik Kilmaine, jeszcze go nie przyjął.

Od lat przebywał w koloniach i nie zdawał sobie sprawy, że żołnierzy jego wysokości króla Jerzego służących na Wyspach Brytyjskich i tych, którzy tworzą oddziały kolonialne, dzieli przepaść. Po powrocie do Londynu nie raz słyszał od tutejszych wojskowych, że dowódcy w Ameryce to słabeusze, skoro nie potrafią poradzić sobie z buntownikami. Na zarzutach jednak się nie skończyło. Turner dowiedział się poprzedniego dnia, że król wydał w sprawie *Gaspee* dużo ostrzejsze oświadczenie niż

gubernator Wanton z Rhode Island. Nagroda za głowę człowieka, który strzelił do porucznika Dudingstona, została podniesiona do tysiąca funtów, która to suma dwukrotnie przekraczała wartość samego statku.

W głębi duszy Turner zgadzał się z tymi poglądami. Należał do nielicznych w oddziałach kolonialnych oficerów, którzy sądzili, że konieczne są bardziej zdecydowane działania przeciwko wicherzycielom z Bostonu i Filadelfii. Najwyraźniej jednak żołnierze z za biurki uważali go za jednego z zamorskich słabeuszy. I tak też go traktowali.

Z trudem opanowywał narastającą irytację. Musiał dostać się do pułkownika Kilmaine'a, by go przekonać, że jest w posiadaniu dowodów, które uczynią z nich obu bohaterów.

Od sukcesu dzielił go tylko jeden krok, ale wszystko działo się bardzo wolno. Godzinę temu niechętnie wręczył list, a właściwie jego kopię, którą sam sporządził, człowiekowi ze sztabu pułkownika. Od tamtej chwili czekał w kancelarii, podczas gdy do dowódcy wezwano dwóch młodszych oficerów. Żaden jeszcze nie wyszedł, co dobrze wróżyło.

Kwadrans później Turner został poproszony do gabinetu.

Pułkownik Kilmaine był krępy męczyzną w średnim wieku, szorstkim w obejściu. Otaksował Turnera wzrokiem, ale jego wodnistoniebieskie oczy nic nie zdradzały. Po krótkim powitaniu usiadł za biurkiem i wskazał gościowi krzesło. Dwaj młodzi porucznicy, Cobham i Huske, stali po bokach dowódcy.

- Przypuszczam, że ma pan oryginał listu, kapitanie - odezwał się Kilmaine.
- Oczywiście, ale uznałem, że trzeba go strzec ze względu na jego doniosłość - oświadczył Turner.
- Istotnie. Cóż, poświęciliśmy dużo czasu na rozważenie informacji, które pan nam podał, oraz treści tego li-stu, kapitanie.

Pułkownik mówił dość obojętnym tonem. Turner zerknął na kopię leżącą na biurku. Pomyślał, że zbytnio się nie napracowali, bo minęła zaledwie godzina, odkąd się tu zjawiał.

- Zatem rozumie pan, jak ważna i pilna jest moja sprawa - powiedział.
- Szczерze mówiąc, nic nie wskazuje na to, że mamy do czynienia z korespondencją Bonniego Prince'a Charliego - stwierdził Kilmaine.

Turner poczuł, że znowu rośnie w nim gniew. Najwyraźniej trafił na durnia.

- Pozwoli pan więc, że wyjaśnię kontekst tego listu, żeby pan zrozumiał jego ważność,

pułkowniku.

Kiedy szczegółowo tłumaczył, co łączy Młodsze Pretendenta z lady Primrose, pułkownik nawet na moment nie spuścił bładniebieskich oczu z jego twarzy. Turner wyjaśnił, jaką rolę odgrywa wicehrabina w siatce jakobickich zdrajców działających w Anglii. Podkreślił, że oto nadarza się okazja zdławienia ruchu, który zagraża angielskiemu stylowi życia.

- Znam się na miazdzeniu jakobitów, kapitanie -oświadczył pułkownik Kilmaine. - Byłem na wrzosowiskach Culloden.
- Podobnie jak mój ojciec, sir. Zginął tam bohaterską śmiercią.
- Jak wielu innych - skwitował pułkownik. - Ale nadal nie widzę żadnych dowodów...
- Chwileczkę. - Turner zrozumiał, że jedyną szansą przekonania pułkownika jest wyjawienie sekretu zwierzchnika, choć obiecał, że go dochowa. - Jest coś jeszcze, ale moje słowa nie mogą opuścić tego pokoju. Tajemnicę powierzył mi w zaufaniu admirał Middleton.

Dwaj młodzi oficerowie wymienili spojrzenia nad głową dowódcy. Turner zignorował ich i wziął głęboki oddech.

- Rok przed październikiem 1748 mój dowódca otrzymał zadanie poprowadzenia negocjacji z Francuzami. Jak panowie wiedzą, traktat podpisany w Aix la Chapelle położył kres poparciu Francji dla księcia Karola Edwarda i rządu Stuartów na wygnaniu. W tym czasie wielu członków delegacji ściągnęło do siebie rodziny, w tym admirał Middleton. W czasie pobytu we Francji jego córka Helena nawiązała romans z samym księciem. Sądzę, że lady Primrose służyła jako pośredniczka między kochankami, ale nie potrafię tego udowodnić. - Turner wiedział, że musi mówić przekonująco, bo jedynie snuł domysły. Patrząc na słuchaczy, z zadowoleniem stwierdził, że skupił na sobie ich niepodzielną uwagę. - Kiedy Middleton dowiedział się o skandalicznym zachowaniu córki, postanowił ratować się przed polityczną katastrofą, odsyłając dziewczynę do domu razem z matką. Ale nieszczęście już się stało. Helena oczekiwała dziecka. Kiedy admirał zakończył misję we Francji, urodziła się dziewczynka. Oddano ją pod opiekę lady Primrose. Od tamtej pory panna Middleton prowadziła odosobnione życie. Ta sytuacja trwała do zeszłego miesiąca, kiedy to Helena i jej córka spotkały się w Bostonie i razem uciekły do Anglii. - Turner popatrzył wyniośle na swoją publiczność. Tylko prawdziwy

geniusz był w stanie połączyć wszystkie elementy łamigłówek. - Ten list to odpowiedź na prośbę lady Primrose, żeby Bonnie Prince Charlie zobaczył się ze swoją córką. Kobiety opuściły Amerykę na statku Pierce'a Penningtona, brata hrabiego Aytoun. Od moich szpiegów wiem, że lady Primrose wybiera się do Baronsford, siedziby rodowej lorda Aytoun w Szkocji. Z listu wynika, że zamierza spotkać się tam z księciem. Nie wolno nam zlekceważyć dowodów, które mamy w ręce. Nie możemy dopuścić do tego, żeby Stuart wymknął nam się z rąk.

Pułkownik Kilmaine siedział w milczeniu, masując brodę. Po dłuższej chwili spojrzał na Turnera.

- Proszę zaczekać w kancelarii, kapitanie. Muszę się zastanowić.

Gdy Pierce otworzył drzwi sypialni, wpadł na Portię, która pędziła korytarzem. Natychmiast ją zatrzymał. Twarz miała mizerną, oczy czerwone.

- Źle wyglądasz - stwierdził z troską.
- Nic mi nie jest. - Portia uśmiechnęła się słabo. - Miałam pewien kłopot. Nie mogłam cię znaleźć ani kogo zapytać, w którym pokoju mieszkasz. Przeszukałam więc całe zachodnie skrzydło, a potem wróciłam na to piętro. Powinnam była się domyślić, że umieszczono cię blisko nas.
- Szukałaś mnie? - zapytał Pierce, przesuwając dłońmi po jej ramionach.

Portia potwierdziła skinieniem głowy.

- Jak długo?
- Przez pół nocy - odparła nieśmiało.

- Wcale nie spałaś?

Pokręciła głową.

Pierce otoczył ją ramieniem i ruszył w stronę jej sypialni.

- Już nie jesteś na mnie zły? - spytała Portia.
- Ani przez chwilę nie byłem na ciebie zły. Rozczarowany? Tak. Sfrustrowany? Owszem. - Wprowadził ją do pokoju. - Zdecydowany cię przekonać? Jak najbardziej. - Zamknął drzwi i uniósł jej brodę. Na twarz Portii wracały kolory. - Nie zrezygnuję, kochanie. Jestem gotów na wszystko. Jeśli trzeba, odegram łajdaka, będę oszukiwał, porwę cię, przywiążę do łóżka...

Jej śmiech był najpiękniejszym dźwiękiem na świecie.

- Zmuszasz mnie, żebym jeszcze raz się zastanowiła - stwierdziła.
- Co to znaczy „jeszcze raz”? - Pierce łypnął na nią podejrzliwie.

Portia zarzuciła mu rękę na szyję.

- Szukałam cię całą noc, żeby powiedzieć... tak.
- Naprawdę?! - wykrzyknął Pierce, unosząc ją nad podłogę. - Wyjdiesz za mnie?
- Tak. - Roześmiała się, kiedy okręcił ją w powietrzu. - Ale to było, zanim wspomniałeś o przywiązywaniu mnie do łóżka.
- Musisz wiedzieć, że i tak cię to czeka, kiedy mnie poślubisz. - Pierce pocałował ją mocno i zrobił jeszcze kilka obrotów. Nie przypominał sobie szczęśliwszego dnia w życiu.

Nagle rozległo się pukanie. Portia rzuciła nerwowe spojrzenie na drzwi.

- Nie powinienes przebywać u mnie o tak wczesnej porze - szepnęła.

Pierce postawił ją na ziemi. Byli kompletnie ubrani... a zresztą nie obchodziły go konwenanse.

- Nie sądzę, żeby ktoś się nad tym zastanawiał, skarbie. I tak mam zamiar jeszcze dziś rano powiadomić nie tylko domowników, ale całą okolicę, że się zaręczyliśmy.

Otworzył drzwi, trzymając ją za rękę.

- Dzień dobry, panno Edwards - powiedział uprzejmie sekretarz Lyona, Peter Howitt, i zwrócił się do Penningtona: - Proszę wybaczyć, sir, ale jego lordowska mość pragnie omówić z panem bardzo ważną sprawę. Czeka na pana w bibliotece.
- Złe wieści? - zapytał Pierce. Od razu pomyślał o matce.
- Nie, sir. Przynajmniej nie sądzę.
- Nie ruszaj się stąd - szepnął Pierce do ucha Portii. - Odpocznij. - Ukradł jej całusa i ruszył za sekretarzem. - Jak pan mnie tu znalazł?
- Jego lordowska mość kazał poszukać najpierw w pańskiej sypialni, a jeśli pana tam nie będzie, zapukać do drzwi panny Edwards.

Pierce uśmiechnął się do siebie. Już nie mógł się doczekać, żeby przekazać bratu nowinę. Zeszłego wieczoru, po tym jak Portia zostawiła go w ogrodzie, długo rozmawiał z Lyonem i zwierzył mu się, co czuje do panny Edwards. O dziwo, brat był pewien, że Portia w końcu ulegnie. Doradził mu upór i cierpliwość. Właśnie takiej zachęty Pierce

potrzebował.

Hrabia był sam w bibliotece. Howitt wycofał się i zamknął drzwi. Nie dostrzegłszy na twarzy brata ponurego wyrazu, Pierce oznajmił bez wstępów:

- Portia zgodziła się za mnie wyjść.

Lyon natychmiast wstał z fotela i podszedł do niego z otwartymi ramionami. Jego oczy jaśniały radością.

- To wspaniała wiadomość.
- Też tak uważam - rzekł Pierce. - Myślisz, że można już obudzić twoją żonę i jej również powiedzieć?

Lyon poklepał go po plecach.

- Wykluczone. Zostawię sobie tę przyjemność.
- Oczywiście jeszcze nie omawiałem tej kwestii z na-rzeczoną, ale jeśli Millicent się zgodzi, chciałbym, żeby nasz ślub odbył się w Baronsford.
- Będzie zachwycona - zapewnił Lyon. - Ale nim zajmiesz się swoimi sprawami, musimy przygotować się do pewnej wizyty. - Wziął z biurka rozłożoną kartkę i podał ją bratu. - Posłaniec przyniósł to dosłownie przed chwilą.

Pierce przebiegł wzrokiem list. Potem przeczytał go jeszcze raz i spojrzał na Lyona wyraźnie poruszony.

- Nie obawiaj się - powiedział hrabia. - Baronsford będzie gotowe na przyjęcie gościa.

Portia nie rozumiała, co się dzieje. Zaledwie kilka minut po swoim wyjściu Pierce wpadł do jej sypialni. Wziął ją za rękę i zaprowadził do sąsiedniego pokoju.

Helena na szczęście była już ubrana. Siedziała na sofce pod oknem z młodą pokojówką Bess. Pierce podał jej list.

- Czas na wyjaśnienia, madam - powiedział, gdy tylko służąca zostawiła ich samych.
- O co chodzi? - wtrąciła się Portia. - Przecież mama tego nie przeczyta.

Pierce zatrzymał ją, unosząc rękę.

- Spróbuj pani? - zapytał.
- Oczywiście - odparła Helena.
- Doprawdy, Pierce... - zaprotestowała Portia.
- Nie denerwuj się, córko - uspokoiła ją matka. - Pozwól mi spróbować.

Wstała i podeszła do okna. Stała w jasnym blasku słońca i uniosła list do oczu. Portia

patrzyła ze zdumieniem, jak matka czyta powoli, a następnie siada z powrotem na sofce z promiennym uśmiechem na ustach. Kiedy spojrzała na córkę, jej twarz wyrażała silne wzruszenie.

- Od kogo ten list? - zapytała Portia oszołomiona. Przeniosła wzrok na Pierce'a. - Co w nim jest?

Narzeczony nic nie odpowiedział, tylko patrzył na pannę Middleton.

Gdy matka wyciągnęła rękę, Portia usiadła obok niej. Helena położyła list na kolanach i ujęła w dłonie twarz córki.

- On przyjeżdża w następnym tygodniu - powiedziała. -Chce cię poznać.
- Kto? - zdziwiła się Portia.
- Mój księżę. Karol Edward Stuart. Prawdziwy król Szkocji i Anglii. Twój ojciec.

Porucznik Huske, kompania złożona z dwudziestu pięciu żołnierzy i cztery wozy. To wszystko, co pułkownik Kilmaine niechętnie przydzielił Turnerowi. Jego rozkazy były precyzyjne. Misją miał dowodzić Huske, a kapitan towarzyszyć mu jedynie jako doradca. Przygotowania do wyjazdu zabrały kilka dni, ale obliczono, że oddział dotrze do Szkocji przed datą spodziewanego przybycia Stuarta. Kilmaine dał swoich ludzi tylko ze względu na pamięć ojca Turnera, a nie z przekonania o spisku jakobitów.

Kapitan przyjął pomoc z udawaną wdzięcznością. Wiedział, że nie zdąży poszukać jej w innej jednostce. Musiało mu wystarczyć to, co dostał. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, ostateczny triumf będzie należał do niego. Dopadnie Helenę i Portię oraz zadba o to, by wszyscy w Anglii się dowiedzieli, że to on schwycił Bonniego Prince'a Charliego.

- Pułkownik opracował strategię - rzekł Huske, kiedy dwa dni później rozbili obóz nad Tweed. Od Baronsford dzieliły ich trzy godziny marszu. - Dotrzemy na miejsce po południu, ale o świcie wyślę kogoś na zwiad. Gdybyśmy zjawili się za wcześnie, ktoś mógłby nas zauważyć i nasze wysiłki poszłyby na marne.

Znad rzeki unosiła się gęsta mgła. Turner liczył na brzydką pogodę, która ułatwiłaby mu zaskoczenie zdrajców.

- Muszę jeszcze raz powtórzyć, że kiedy on się zjawi, przejmuję dowodzenie. Ja będę wydawał rozkazy. Pułkownik Kilmaine wyraźnie podkreślił, żeby traktować hrabiego Aytoun i jego rodzinę z najwyższym szacunkiem. Nie mamy przeciwko nim żadnych

dowodów. Może nawet nie będzie ich w domu. Jesteśmy tutaj tylko dla pańskiego Bonniego i nikogo więcej.

Turner krótko skinął głową i odszedł w stronę rzeki. Słyszał sarkazm w głosie tego szczeniaka, ale nie skarcił go za bezczelność. Uznał, że przyjdzie na to czas później.

Teraz musiał się skupić na jutrzejszym dniu. Zamierzał wziąć Helenę i Portię pod swoją straż. I wiedział, że jego planom będzie sprzyjać ogólne zamieszanie związane z akcją schwytania Stuarta.

Dziwne, ale nie czuła żadnego podniecenia.

Nie była tak naiwna, by myśleć, że czeka ją rodzinne pojednanie. Po klęsce na wrzosowiskach Culloden księżę Stuart wyjechał do Francji, a potem do Włoch. Zamieszkał na wygnaniu. Wcześniej wykazał się geniuszem finansowym i wojskowym. Wielu ludzi w Anglii i Szkocji nadal żywiło nadzieję, że kiedyś wróci i zastąpi niepopularnego przedstawiciela dynastii hanowerskiej, obecnie zasiadającego na tronie. Po śmierci ojca, Starego Pretendenta, Bonnie Prince Charlie ogłosił się królem, ale był nim jedynie dla swoich najbardziej zagorzałych zwolenników.

Zastanawiając się nad powodami jego przyjazdu, Portia doszła do wniosku, że jego wizyta ma charakter polityczny albo finansowy. Hrabia Aytoun był nie tylko bogaty, ale również szanowany przez szkockich przywódców. Wątpiła, czy ojciec odbyłby tak niebezpieczną podróż tylko po to, żeby ją zobaczyć. Po prostu chciał wykorzystać jej obecność, żeby zdobyć poparcie kolejnej szkockiej rodziny. Zaskoczyły ją natomiast powiązania lady Primrose z wygnanym księciem.

Gdy w końcu nadszedł dzień wizyty, Portia uświadomiła sobie, że martwi się o matkę. Karol, teraz już po pięć-dziesiątce, ożenił się zeszłego marca z dziewiętnastoletnią księżniczką Louise Emanuellą Maximilliane de Stolberg-Guedern, Niemką, w której żyłach płynęła szkocka krew Bruce'ów z Elgin. Wszyscy w Szkocji wiedzieli o tym małżeństwie, ale Millicent bardzo delikatnie napomknęła o nim nowej przyjaciółce.

Portia nie sądziła, żeby matka знаła prawdę. Zastanawiała się, czy list Heleny do lady Primrose miał na celu zaaranżowanie spotkania z mężczyzną, którego kochała przez całe życie.

Lady Primrose przyjechała w południe i po serdecznym powitaniu z Portią szepnęła jej, że Louise nie będzie towarzyszyć małżonkowi, tylko zaczeka na niego we Francji, skąd

wrócą do Włoch.

- Nie chcę się z nim widzieć - oznajmiła Helena, kiedy córka zaniósła jej wieści.

- Ależ mam, lady Primrose już tu jest. On może zjawić się w każdej chwili.

Helena uśmiechnęła się, potrząsając głową.

- Chętnie spotkam się z lady Primrose później. Jestem jej winna wdzięczność za to wszystko, co dla ciebie zrobiła. Ale jeśli chodzi o Charlesa, nie zmienię decyzji.

Portia usiadła obok matki.

• Ale nadal go kochasz - powiedziała.

• Kocham oszałamiającego księcia, którego zachowałam w pamięci i w sercu. Kocham mężczyznę, którym kiedyś był. Zawsze będę kochać. Nie chcę, żeby cokolwiek zniszczyło moje wspomnienia. - Helena ujęła dłonie córki. - Rozumiem, że musiał się ożenić, by spłodzić męskiego potomka, który być może spełni jego marzenia. Ale ja mam własne. Mam ciebie i Pierce'a.

- Ale sama go poprosiłaś, żeby przyjechał.

Matka pokręciła głową.

• W liście, który wysłałam do lady Primrose, napisałam, że czas, żeby poznał córkę. Uznałam, że powinnaś się dowiedzieć, że w twoich żyłach płynie królewska krew.

• Ale ja zrozumiałam, jakie to nieistotne. Fakt, że on jest moim ojcem, nie ma dla mnie dużego znaczenia. To ciebie kocham i szanuję.

• Ja też cię kocham. - Helena pocałowała ją w policzek. - Mam wszystko, o czym marzyłam. A teraz idź, daj swojemu ojcu szansę zapewnienia, że jesteś jego największym skarbem.

Duże fizyczne podobieństwo świadczyło o tym, że łączą ich więzy krwi. Na Pierce'u zrobiło ogromne wrażenie prawdziwie królewskie zachowanie i sposób mówienia Portii. Nawet w gestach przypominała ojca, nie mówiąc o charakterze: uporze i brawurowej odwadze. Tak, była nieodrodną córką Bonniego Prince'a Charliego. I bez wątpienia podbiła jego serce.

Jej narzeczonym Karol Edward również się zainteresował. Kiedy oboje powiedzieli mu o zaręczynach, przyjął nowinę z wielką radością.

Chciał jednak rozmawiać o polityce, tak że wkrótce zaczęli dyskutować o sytuacji w koloniach. Bardzo ucieszyły go kłopoty, których amerykańscy koloniści przysparzali

temu „tłustemu hanowerskiemu farmerowi”, jak się wyraził. Dopytywał się, co może zrobić, żeby wspomóc rebeliantów.

W czasie rozmowy Pierce zerkał na Portię. Obawiał się, że wizyta nie przebiega tak, jak oczekiwała. Wyraz jej twarzy powiedział mu jednak, że jest zadowolona. Chyba nawet dostrzegł na niej lekkie znudzenie.

Kiedy spojrzała mu w oczy, nagle uświadomił sobie, że księżę w ogóle nie zapytał o Helenę. I właśnie wtedy Pierce zrozumiał, że Bonnie Prince nigdy nie będzie dla Portii kimś więcej niż miłym gościem.

27

Na dziedzińcu ogromnego zamku nie było żadnej świty. Żadnych strażników ani powozów. Turner nie poczuł niepokoju. Nie sądził, żeby Karol Edward nierozważnie ścigał na siebie uwagę.

Niebo miało stalowoszarą barwę i choć nie padało przez cały dzień, z nizin i znad rzeki unosiła się mgła. Zwiadowca wysłany przodem wrócił z wieścią, że goście jeszcze nie przybyli.

- Proszę nie zapomnieć o rozkazach, kapitanie - powtórzył Huske, kiedy zsiadali z koni. - Ja będę mówił.

Turner miał już dość impertynencji młodego oficera, ale ponieważ upragniona zdobycz znajdowała się niemal w zasięgu ręki, postanowił po raz ostatni milczeć.

Kiedy zbliżyli się do imponujących drzwi, w progu stanął niski, żylasty mężczyzna. Chłodnym tonem bez cienia gościnności przedstawił się jako kamerdyner.

- Przyjechaliśmy do hrabiego Aytoun - oznajmił porucznik. - Zaprowadzi nas pan do niego?
- Przykro mi, sir, ale jego lordowskiej mości nie ma w domu.

Turner najchętniej kazałby żołnierzom otoczyć zamek, aby nikt się nie wymknął, ale w porę się opanował. Huske chyba wyczuł jego niecierpliwość, bo posłał mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Więc pewnie zastaliśmy brata hrabiego Aytoun - powiedział. - W takim razie z nim chcielibyśmy się zobaczyć.
- Pan Pennington jest razem z jego lordowską mością. Jeśli panowie koniecznie muszą z kimś rozmawiać, zobaczę, czy lady Aytoun przyjmuje.

•Dobrze. - Huske przywołał dwóch żołnierzy i ruszył z nimi za kamerdynerem.

Turner został z tyłu, żeby, korzystając z okazji, wydać parę rozkazów pozostałym żołnierzom. Znajac Penningtona, wiedział, że powinni zachować czujność.

- Kapitanie - warknął Huske.

Ignorując zaciekawione spojrzenia służby, Turner wszedł do zamku. To był rzeczywiście piękny dom, dobrze utrzymany i wygodny. Ale w przeciwieństwie do porucznika kapitan nie pozwolił sobie na podziwianie stylowych mebli.

Tutaj przebywali zdrajcy. Wszyscy. Bonnie Prince Charlie, Portia Edwards, Helena Middleton.

Turner zbliżył się do okna wychodzącego na Tweed i otworzył je szeroko. Czuł, że z nich ząkpiono. Podczas gdy czekali na lady Aytoun, Pennington i jego brat na pewno prowadzili łotrów w bezpieczne miejsce. Przeszukał wzrokiem ogrody i pola.

- Czym mogę panom służyć?

Turner odwrócił się i zobaczył ciężarną kobietę o miłej twarzy stojącą w progu salonu. Huske nagle zrobił się zakłopotany i pokorny. Szybko przedstawił siebie i kapitana.

•Pan Campbell mówi, że szukacie panowie mojego męża - powiedziała gospodyni. - Niestety razem ze swoim bratem wyjechał na cały dzień na objazd farm. Nie wiem, kiedy wróca. Ale możecie panowie zostać i na nich zaczekać.

•Właściwie pani mogłaby nam pomóc - rzekł uprzejmie Huske. - Zostaliśmy tu przysłani w celu sprawdzenia plotki, że goście państwo pewnego... hm, wysokiej rangi jakobitę.

•Wysokiej rangi jakobitę? - powtórzyła hrabina ze zdziwieniem. - Bardzo mi przykro, poruczniku, ale w Oksfordzie, gdzie się wychowałam, przyjmowanie gości wygląda trochę inaczej. Widzi pan tutaj jakieś ożywienie, ruch, zabawy?

•Nie, milady.

•Ale jestem ciekawa, dlaczego szukacie jakobitów. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, że jeszcze jacyś zostali. Myśli pan, że tak, poruczniku?

•Nie umiem powiedzieć, milady - wymamrotał Huske. - Ale tutaj najwyraźniej ich nie ma.

•Właśnie.

•Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale wspomniała pani, że pochodzi z Oksfordu? Spędziłem tam w młodości dużo czasu.

- Co za zbieg okoliczności! - wykrzyknęła hrabina. - Ja chodziłam tam do szkoły. Do Akademii pani Stockdale.
- Wiem dokładnie, gdzie to jest. Mój wuj ma obok małą posiadłość. Trochę dalej mieszka handlarz końmi...

Dość tego - przerwał mu Turner. - Lady Aytoun, mamy powody sądzić, że przebywa tutaj sam Młodszy Pretendent.

Przeciął pokój i z groźną miną nachylił się do gospodyni.

- Proszę stać! - zawołał kamerdyner, spiesząc swojej pani na ratunek.
- Proszę zaczekać, panie Campbell - powstrzymała go hrabina, blada na twarzy. - Muszę się dowiedzieć, co kapitan miał na myśli.
- Mówiąc bez ogródek, milady, zostanie pani oskarżona o zdradę stanu za ukrywanie i pomaganie banicie, jeśli natychmiast nie zacznie pani z nami współpracować. Dość tego pustego gadania. Proszę zaprowadzić nas tam, gdzie go ukrywacie.

Gospodyni spojrzała na niego z przerażeniem w oczach.

- Jak pan może wysuwać takie oskarżenia? Co pana skłoniło do tego rodzaju podejrzeń?
- Muszę przeprosić za kapitana - wtrącił się Huske.
- Zdrada stanu? - Hrabina przeniosła wzrok na młodszego oficera. - Poruczniku, mój dom jest otwarty dla pana i pańskich żołnierzy. Proszę przeszukać cały zamek. Jestem wstrząśnięta, że za jego murami krążą takie plotki. Nalegam, żeby zaczął pan bezzwłocznie. Nie mamy nic do ukrycia. Niech pan szuka, aż będziemy pewni, że w tym domu nie ukrywa się żaden Stuart.

Turner patrzył z niesmakiem, jak ten głupiec, zamiast rozpocząć poszukiwania, przysuwa się z krzesłem do lady Aytoun i zaczyna ją przeproszać.

- Milady, nie wątpię, że plotka jest fałszywa. Nie sądzę, żebyśmy musieli...

Gospodyni potrząsnęła głową.

- Nalegam. Nie chcę, żeby panowie wyjechali stąd z wątpliwościami.

Turner zaproponował, że pokieruje żołnierzami, ale Huske odmówił krótko i rozkazał dwóm podwładnym rozdzielić kompanię na mniejsze grupki i szybko sprawdzić zamek.

Kapitan stał w milczeniu przy oknie, podczas gdy porucznik i hrabina kontynuowali rozmowę.

Niecałą godzinę później dwaj żołnierze wrócili. Nie znaleźli niczego. Turner z przerażeniem stwierdził, że Huske jest bardzo z tego zadowolony.

- Jeszcze raz szczerze przepraszam, milady – rzekł wstając z krzesła. - Dopilnuję, żeby pułkownik Kilmaine otrzymał pełny raport z naszej wizyty. Wyznam, że od początku uważałem tę informację za mało wiarygodną.

Uklonił się głęboko, skinął na kapitana i ruszył do wyjścia.

W Turnerze zawrzała gniew. Nawet nie przeszukali terenu. Z listu wyraźnie wynikało, że spotkanie odbędzie się dzisiaj. Tutaj. Po prostu musieli poczekać.

Na dziedzińcu Huske zbeształ go w obecności żołnierzy.

- Ostrzegałem pułkownika przed panem, kapitanie. Każdy, kto zdradza zaufanie swojego zwierzchnika, tak jak pan postąpił wobec admirała Middletona, nie jest człowiekiem, na którym można polegać. Pańskie zachowanie wobec hrabiny było gruboskórne i niegodne dżentelmena. Pan...

Turner przestał go słuchać, bo w oddali dostrzegł dwie kobiety idące przez pola ku rzece. Mimo mgły nie miał kłopotów z ich rozpoznaniem.

Ktoś musiał drogo zapłacić za jego upokorzenie i on właśnie tego kogoś znalazł.

Portia szła przez pole pod rękę z matką. Zbliżały się do urwiska. Przed nimi rosły

sosny i żywopłot z jeżyn. Powietrze przesycił zapach dzikich kwiatów i ściętej trawy, ale dobrze byłoby, żeby słońce choć raz przedarło się przez chmury, zanim pójdą na kolację. Zresztą pogoda nie ma znaczenia, pomyślała Portia. Ostatnio spędzała z matką bardzo dużo czasu. Gdy oddaliły się od zamku, trafiły na ścieżkę prowadzącą przez zarośla. Szum wody świadczył o bliskości wartkiej rzeki. Oby tylko mgła nie okazała się zbyt gęsta.

- Nie powiedziałaś mi, o czym rozmawiałaś z lady Primrose - odezwała się Portia.

- To chyba oczywiste - odparła Helena. - O jedynej osobie, na której nam obu zależy.
- O Bonniem?
- Nie, gąsko. - Matka zaśmiała się cicho. - Miałam setki pytań na temat twojego dorastania, temperamentu, dziecięcych psot. Chciałam usłyszeć wszystkie historie, które zwykle matki przechowują w pamięci.
- Dlaczego? - zapytała Portia.
- Żebym mogła ci je przypominać i drażnić się z tobą, kiedy twoje dzieci będą wyczyniały to samo. - Helena się uśmiechnęła. - Musisz obiecać, że dasz mi dużo wnuków.

Portia poczuła ściskanie w żołądku. Odkąd Pierce poruszył ten temat, niewiele się nad nim zastanawiała, ale było bardzo prawdopodobne, że już nosi w sobie dziecko. Od jakiegoś czasu jej ciało zachowywało się inaczej.

- Na kiedy ustaliliście datę ślubu? - spytała Helena.
- Pierce chce, żebyśmy pobrali się jak najszybciej. Jak tylko jego matka przyjedzie z Hertfordshire. I dobrze, bo nie wiem, kogo jeszcze zaprosić oprócz ciebie.
- Lady Primrose powiedziała, że będzie w Edynburgu przez miesiąc, i ma nadzieję, że zostanie zaproszona.

Portię ogarnęło wzruszenie.

- Oczywiście. Była dobrą przyjaciółką.

Ścieżka skręciła i nagle znalazły się na urwisku. Mgła kłębiła się i rozpraszala, tak że czasami było widać rzekę W dole.

- Zawracamy? - spytała Portia. - Ta droga biegnie wzdłuż klifu, oddalając się od zamku.

- Chodźmy dalej - zdecydowała Helena. - Podoba mi się tutaj.

Wędrowały w milczeniu przez jakiś czas, słuchając ptaków i szumu wody. Portia szła od strony przepaści, bo miejscami ścieżka biegła tuż przy skraju urwiska. Wiedziała, że na

tych skałach zabiła się pierwsza żona Lyona. Właśnie tutaj Pierce znalazł ją i brata. Mgła gęstniała.

- Chyba powinniśmy wracać, mamó - stwierdziła Portia.
- Jak sobie życzysz, kochanie.

Dobrze zrobiły, bo Portia widziała teraz zaledwie na dwa kroki przed sobą. Nie chciała jednak martwić matki.

- Byłoby cudownie wziąć ślub latem, nie uwa...
Ostatnie słowo przeszło w krzyk. Portia poczuła, że ktoś łapie ją za włosy i przystawia nóż do gardła. Odwróciła głowę i rozpoznała napastnika. Turner.

Wtulona w ramiona męża Millicent dochodziła do siebie po niespodziewanej wizycie. Lyon, Pierce i Truscott, którzy wracali konno z wioski, nie zauważyli żołnierzy opuszczających Baronsford.

- Teraz rozumiecie, dlaczego książe podał w liście jedną datę, a zjawił się dzień wcześniej - powiedział hrabia.
- Pewnie przez cały czas przechwytywano jego korespondencję - stwierdził Pierce.
- Dobrze, że mnie uprzedziłeś, Lyonie - odezwała się Millicent. - Inaczej przyjazd księcia całkiem by nas za-skoczył.
- Właśnie dlatego lady Primrose przyjechała przed nim, kochanie.
- To szczęście dla nas wszystkich, że żołnierze nic nie wiedzieli - stwierdziła hrabina.

Powtórz mi wszystko, co mówili - poprosił mąż. - Chcę poznać każdy szczegół dzielnej obrony zamku przez moją żonę.

Pierce słuchał bratowej z dużym zainteresowaniem, ale zaniepokoił się, kiedy wspomniała o drugim oficerze, którego młody porucznik przywołał do porządku.

- Pamiętasz jego nazwisko? - zapytał, przerywając opowieść Millicent.

- Tak. Kapitan Turner. Serce Pierce'a zamarło.
- Gdzie Portia i Helena? - wykrztusił.

W miarę jak oddalali się od Baronsford, ścieżka stawała się coraz węższa. Gęste krzaki dzikich róż, głązy i karłowate sosny tworzyły po jej jednej stronie nieprzenikniony żywopłot, czasami zbliżając się niebezpiecznie do skraju urwiska. W dole od czasu do czasu ukazywała się rzeka. Tu i ówdzie Portia dostrzegała poszarpane skały wystające z wody. Poza tym widok zasłaniała jej mgła i wierzchołki drzew porastających zbocze.

Choć Turner trzymał ją za włosy, starała się prowadzić matkę jak najbliżej siebie.

- Ruszajcie się - warknął kapitan, dotykając czubkiem noża pleców Portii. - Idąc w tym tempie, utkniemy na półce, kiedy zajdzie słońce.

Pchnął ją tak, że potknęła się na kamieniach. Odzyskała równowagę, chwytając się jakiejś gałęzi.

•Matka nie może prowadzić, bo nie widzi - powiedziała. - Ja pójdę pierwsza.

•Żebyś uciekła? - zaśmiał się Turner. - Myślisz, że nie znam twoich sztuczek?

Portia skrzywiła się, kiedy szarpnął ją za włosy. Był głupcem. Nie znał jej wcale, bo inaczej zrozumiałby, że jego najcenniejszą bronią jest Helena. Portia nigdy nie zostawiłaby jej na jego łasce.

- Rób, jak mówię. Każ jej iść przed tobą.

Ściskając matkę za ramię, Portia ustawiła ją z przodu, odsuwając jak najdalej od przepaści. Wiedziała, że teraz jeszcze bardziej zwolnią, bo Helena będzie musiała szukać drogi, dotykając skał i roślin.

Portia nie miała pojęcia, dokąd prowadzi ścieżka, ale zakładała, że Turner zostawił konia na otwartym terenie. Jak je tutaj znaleźli? Wątpiła, żeby ktokolwiek w zamku domyślił się, w jakich znalazły się opałach. Ciekawe, ile minie czasu, nim ktoś się zorientuje, że przepadły bez śladu.

Nagle matka zatrzymała się i odwróciła.

- Za kogo pan się uważa, kapitanie? - spytała z oburzeniem. - Dlaczego pan nas porwał?

Portię zaskoczył jej wojowniczy ton. Turner pchnął ją na matkę, a Helena zatoczyła się do tyłu i chwyciła gałęzi.

- Ruszaj dalej, jakobicka dziwko! - ryknął.

•Zamknij się, Turner! - wybuchnęła Portia. Kapitan mocniej ścisnął w garści jej włosy.

•Maszerujcie żwawo - polecił.

•Dokąd pan nas zabiera? - zapytała Helena podniesionym głosem. - Wkrótce złączą nas szukać.

•Powiedz jej, żeby się uciszyła - rozkazał Turner, zwracając się do Portii.

Portia potknęła się o wystający korzeń i zachwiała nad przepaścią. W dole zobaczyła kamienistą plażę. Zbliżali się do zakrętu rzeki. W zielonej gęstwinie było coraz więcej

przerw. Gdyby wypatrzyła dogodne miejsce, pchnęłaby Helenę w jego stronę, a sama stawiała czoło Turnerowi, nie zważając na przekłety nóż. W razie konieczności zrzuciłaby go z urwiska.

Ścieżka kilka razy skręcała ostro, ale matce jakoś udawało się z niej nie zboczyć.

- Jeśli pan myśli, że dostanie nagrodę za odwiezienie mnie do ojca, jest pan większym głupcem, niż sądziłam. - Helena przystanęła i obejrzała się przez ramię. - Sam nieraz mówił, że pierwszy lepszy lokaj ma więcej rozumu niż pan.

Ruszyła dalej, nie czekając na reakcję kapitana. Droga poszerzyła się trochę, a potem znowu zwężiła. Portia wy-czuła, że matka jest coraz pewniejsza siebie.

- Zapewne pan wie, że w hierarchii admirała stoi pan niżej od jego koni - zaczęła znowu Helena. - A nawet psów.

W dole szumiała rzeka, tocząc się po kamieniach. Krzaki i skały tworzyły z jednej strony solidną barierę. Mgła wydawała się tutaj jeszcze gęściejsza. Portia ledwo widziała matkę przed sobą. Helena nagle zatrzymała się obok dużego głazu. Ścieżka była tak wąska, że z trudem mieściła się na niej jedna osoba.

- Chyba wiem, dlaczego mój ojciec pana trzyma. - Helena się odwróciła. - A pan mówi, że to ja jestem dziwką!

Portia poczuła nóż na gardle i oddech Turnera na uchu.

- Tylko czekałem na pretekst, żeby dać pani córce to, na co zasłużyła. Jeszcze jedno słowo, a poderżnę jej...

- I do tego tchórz. Tak jak mówił admirał. - Helena uścisnęła dłoń córki i cofnęła się o krok. - Nie rozgniewa się, kiedy wróci pan z pustymi rękami?

Zrobiła kolejny krok do tyłu i raptem, ku zdumieniu Portii, zniknęła za głazem.

Turner dopiero po sekundzie zorientował się, co się stało. Puścił zakładniczkę i przecisnął się obok niej, spychając ją ze ścieżki. Portia zachwiała się i wyciągnęła rękę, żeby czegoś się złapać.

Jakimś cudem trafiła na rękojęść jego szabli. Zacisnęła na niej dłoń, ale pas przytrzymujący broń nagle pękł i Portia znowu zaczęła spadać. Drapiąc rękami po kamienistym stoku, zdołała uchwycić cienki korzeń.

Tymczasem Turner z impetem wpadł na głaz, odbił się od niego i runął w przepaść, machając rękami. Jego krzyk skończył się głuchym uderzeniem daleko w dole.

Gdy korzeń wyrwał się z ziemi, Portia sięgnęła po inny. Wszystkie następne utrzymywały jej ciężar tylko przez chwilę, tak że za każdym razem osuwała się w dół o kolejne cale. Zaczynało brakować jej sił, dłonie były śliskie od krwi.

I wtedy poczuła, że ktoś łapie ją za nadgarstek.

Pierce wyciągnął Portię na skalną półkę i posadził pod głazem, tuląc do siebie mocno. Nie wiedział, które z nich drży gwałtowniej.

Kiedy usłyszał, że Turner jest w Baronsford, ogarnął go dławiący strach. Natychmiast popędził do Bess i dowiedział się od niej, że panna Helena i jej córka poszły w stronę rzeki.

Gdy wypadł z domu, Lyon krzyknął do niego z jednej z wież, że chyba widzi troje ludzi na ścieżce biegnącej wzdłuż klifu.

Pierce pobiegł przez pola razem z Truscottem. Przedzie-rając się przez zarośla i sosnowe młodniaki, próbowali wyprzedzić kobiety i ich porywacza. W pewnym momencie znaleźli się tak blisko nich, że Pierce usłyszał głosy. Zorientował się, że Helena idzie na przedzie, a kapitan na końcu.

Nawet mając wsparcie Truscotta, nie mógł ryzykować walki na wąskiej półce. Obraz Lyona i Emmy leżących w dole na skałach był jeszcze zbyt żywy w jego pamięci.

W końcu dotarli do miejsca, gdzie ścieżkę tarasował głaz. Mgła jeszcze zgęstniała. Pierce uznał, że to najlepsza chwila, żeby zaskoczyć Turnera. Poczekali, aż Helena do-trze do zwężenia, a wtedy Truscott pochwyił ją i odciągnął na bok. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie.

Pierce trzymał narzeczoną w ramionach i dziękował Bogu, że jest bezpieczna.

- Gdzie mama? - krzyknęła Portia z przerażeniem.
- Bezpieczna z Walterem - uspokoił ją Pierce.
- Turner spadł.
- Wiem. Widziałem. Poślemy kogoś na dół, ale wątpię, żeby przeżył.

Portia przytuliła się do niego mocniej.

- Nie mam pojęcia, co chciał osiągnąć, porywając nas - powiedziała. - Helena na pewno walczyłyby z nim w czasie całej podróży do Bostonu. Ja również.

Pierce pomógł jej wstać i poprowadził do wąskiego przejścia obok głazu. Portia zatrzymała się na chwilę i spojrzała w przepaść, gdzie runął Turner. Zobaczyła tylko

mgłę i usłyszała szum wody.

Chwilę później trzymała matkę w objęciach. Gdy jako tako doszły do siebie, Pierce opowiedział im pokrótce o próbie schwywania księcia.

- To wszystko wydarzyło się dziś po południu? - zdziwiła się Portia.
- Kiedy byliście w ogrodach. Turner pewnie was zobaczył i odłączył się od żołnierzy. Z tego, co mówi Millicent, wynika, że porucznik dowodzący oddziałem raczej go nie zatrzymał. - Pierce zobaczył, że Helena zbladła. Odwrócił się do kuzyna. - Zabierz panie do zamku. Ja muszę zejść nad rzekę.

Truscott potrząsnął głową.

- Nie. Ja wezmę paru ludzi i razem przeszukamy brzeg. - Klepnął Pierce'a po ramieniu i wskazał głową na Portię. - Ty lepiej zaopiekuj się narzeczoną.

28

Jasne sierpniowe słońce świeciło wysoko na bladoniebieskim niebie, kiedy w wiosce ludzie zaczęli gromadzić się przy stopniach małego kamiennego kościółka. Wszyscy mieli na sobie najlepsze stroje, w powietrzu rozbrzmiewały dźwięki kobz. W Baronsford, gdzie udekorowano pokoje, domownicy wstrzymali oddech w oczekiwaniu. Cały zamek, w którym po ceremonii ślubnej miało odbyć się wesele, udekorowano mnóstwem świeżo zerwanych stokrotek i róż. Z kuchni płynął zapach mięsiwa i ciast.

Lady Primrose wróciła z Edynburga. Hrabina wdowa Aytoun przyjechała na tydzień przed ślubem w towarzystwie Ohenewai i sir Richarda Maitlanda, rodzinnego prawnika. Do Baronsford zjeżdżali znajomi i rodzina, wypełniając zamkowe komnaty śmiechem i radością. Przybyło też kilku niespodziewanych gości, szkockich arystokratów należących do ścisłego grona zwolenników Bonniego Prince'a Charliego.

Trzy dni przed ślubem zjawił się kurier z prezentami od anonimowego wielbiciela, który, jak zapewniała lady Primrose, był bardzo nieszczęśliwy, że sam nie mógł przybyć. Pan młody dostał złotą tabakierę wysadzaną diamentami. Szeptano, że wartość tego daru przekracza dziesięć tysięcy funtów.

Panna młoda otrzymała w podarunku dwie rzeczy: szkocki tartan w zakazanych kolorach Stuartów do noszenia jako szal na suknię ślubną i złoty łańcuszek z medalionem misternie zdobionym klejnotami. W środku znajdowały się miniaturki dwojga kochanków. Portia aż krzyknęła na widok młodej Heleny i Charlesa.

Oba prezenty włożyła na ślub. Przez otwarte okno słyszała głosy orszaku, który już zbierał się na dziedzińcu, żeby odprowadzić ją do kościoła.

- Przykro mi, że ty zostałam pozbawiona tego szczęścia -powiedziała z żalem, pokazując matce cenną pamiątkę.
- Nonsens. - Helena uśmiechnęła się i pocałowała córkę w czoło. - Niczego nie zostałam pozbawiona. Odnalazłam swoje dziecko. Dzisiaj jestem najszczęśliwsza na świecie. Nigdy więcej nie będę żyć przeszłością. Liczy się dla mnie tylko teraźniejszość i przyszłość.

Matka wyglądała pięknie w jasnyniebieskiej sukni. Modnie ułożone i przypudrowane złote włosy nadawały jej młody wygląd. Blasku jej twarzy dodawało również doskonałe samopoczucie.

- Wysłałaś list do Bostonu razem z korespondencją lorda Aytoun, tak? - spytała Portia. Helena się uśmiechnęła.

- Owszem. Miałam kilka rzeczy do przekazania twojemu dziadkowi.

Po śmierci Turnera Lyon w kilku listach przedstawił historię poczynań kapitana, które w rezultacie doprowadziły do jego śmierci. Jeden z nich zaadresował do admirała Middletona.

- Chciałam, żeby dowiedział się o twoim ślubie z Piercem. Napisałam mu, że jeśli pragnie zachować swoją cenną reputację, musi zamieścić ogłoszenia o twoim ślubie we wszystkich gazetach od Londynu po Edynburg, a także w Bostonie, gdzie ponadto ma cię przedstawić jako swoją wnuczkę.

Portia wzięła do reki medalion.

- To nie będzie dla niego łatwe - stwierdziła.

- Może, ale dla mnie jest bardzo ważne. - Helena ujęła dłoń córki. - Uznając ciebie, przestanie mieć nade mną władzę. Zostanę w Anglii, a jeśli wrócę do kolonii, zrobię to, bo sama tak postanowię.

Portia objęła matkę. List był deklaracją jej niezależności. Mogła sobie tylko wyobrazić umieszczone w nim zawołowane groźby. Wcale jej to nie oburzało. Helena zbyt długo musiała żyć w niewoli. Zapowiedź ujawnienia prawdy otwierała jej drogę do upragnionej wolności.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Już czas - szepnęła Helena, wycierając łzy z policzków córki. - Twoja przyszłość czeka, kochanie.

Przy wtórze melodii granej przez kobziarzy Portia została poprowadzona z Baronsford do kościoła. Małe dziewczynki ubrane na biało przez całą drogę tańczyły wokół niej, machając wstążkami w oślepiającym słońcu. Matka trzymała ją za rękę i uśmiechała się promiennie.

Idąc przez wioskę ustrojoną girlandami kwiatów i chorągiewkami, Portia myślała o samotności, która była jej stałą towarzyszką jeszcze kilka miesięcy temu. I o kłopotach, które sprawiła Pierce'owi, starając się uwolnić matkę. Przez cały ten czas nawet nie śniła, że to on zostanie jej księciem.

Na widok tłumu zgromadzonego przed kościołem ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle. Zobaczyła lorda i lady Aytoun, hrabinę wdowę i kilka innych osób, które w ciągu ostatniego miesiąca stały się bliskie jej sercu. Już nie była sama. Miała rodzinę.

Jej wzrok padł na Pierce'a, który ku niej szedł. Potem nie widziała już nikogo innego.

Teraz oboje mieli stworzyć nową rodzinę. Niektóre z ich wspólnych marzeń już się spełniały. Bez długich dyskusji postanowili, że zostaną w Szkocji, póki nie urodzi się ich pierwsze dziecko, czyli do wiosny.

Pierce chciał, żeby potem razem wrócili do Ameryki, do lepszego świata. Portia również tego pragnęła, bo tam poczuła smak wolności.

Helena ucałowała córkę w oba policzki i pchnęła lek-ko w stronę przyszłego męża.

Pierce ujął dłoń narzeczonej i spojrzał na nią rozkochanym wzrokiem.

- Czuję się jak złodziejka - szepnęła Portia, kiedy szli do ołtarza. - Nawet w najśmielszych marzeniach nie wyobrażałam sobie takiej chwili.

- Jesteś złodziejką, najdroższa. - Pierce splótł palce z jej palcami. - Ukradłś mi serce.